

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/248-7/249

1968



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI :

DRUGA EUROPA

K. A. JELEŃSKI :

« MAJOWA REWOLUCJA »

B. BRODZIŃSKI :

CESKE ROZHOVORY

J. LEDERER :

POLSKA TYCH TYGODNI

APEL « KULTURY »

SPIS RZECZY

—	<i>Apel „Kultury”</i>	3
Juliusz Mieroszewski:	<i>Druga Europa</i>	7
K. A. Jeleński:	<i>Notatki o majowej rewolucji</i>	17
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	33
Maciej Gruby:	<i>Warszawski week-end</i>	42
◆		
ks. Bonifacy Miązek:	<i>Wiersze</i>	51
OBSERVATORIUM		
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Słowo sprawiedliwe i śmiałe</i>	55
—	<i>Oskarżeni i oskarżyciele</i>	61
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	62
Jan Krok-Paszkowski:	<i>Praga żąda złota</i>	75
K R A J		
W. I. Lenin:	<i>Nauki wydarzeń</i>	77
January Grzędziński:	<i>Zwierzęta patrz na nas</i>	79
Jiri Lederer:	<i>Polska tych tygodni</i>	87
—	<i>List z Kraju</i>	95
Andrzej Brzeski:	<i>Byle z tej iskry nie było pożaru</i>	98
—	<i>Protesty</i>	100
—	<i>Czarna lista</i>	108
Z OSTATNIEJ CHWILI		
Pelikan:	<i>Dziad do obrazu</i>	110
SĄSIEDZI		
Bohdan Brodziński:	<i>Ceske rozhovory</i>	120
Bohdan Brodziński:	<i>Noc w Pradze</i>	134
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Wilczy wiek</i>	147
Osip Mandelsztam:	<i>Kassandrze</i>	150
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Józef Czapski:	<i>Czy list Lenina?</i>	152
Adam Ciołkosz:	<i>W 25 rocznicę zgonu Sz. Żygielbojma</i>	159
KRONIKA KULTURALNA		
Adam Sutkowski:	<i>Ostatnie dzieło Walickiego</i>	171
Andrzej Nakov:	<i>O „Dzienniku” bez namaszczenia</i>	177
Marian Kałuski:	<i>O wielkości Hrusziewskiego</i>	182
—	<i>Komunikaty</i>	187
K S I A Ż K I		
Adam Sutkowski:	<i>Rodowód polskiego rewizjonizmu</i>	190
Józef Czapski:	<i>Ten jest z Ojczyzny mojej</i>	196
Adam Czerniawski:	<i>Nowe wiersze Iwaniuka</i>	198
Wacław Iwaniuk:	<i>Pożegnanie z awangardą</i>	201
Adam Czerniawski:	<i>Na marginesie „Poezji i Rzeczywistości”</i>	205
—	<i>Jastruna</i>	209
Piotr Guzy:	<i>„Czarny Polonez”</i>	210
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	210
◆		
J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	212
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i>	222
◆		
J. Grzędziński, B. Kawecki, L. Kondratowicz, E. Nea- trour, ks. W. Sojka:	<i>Listy do Redakcji</i>	228

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec-Lipiec - Juin-Juillet 1968

INSTYTUT



LITERACKI

OD REDAKCJI

„Majowa rewolucja” we Francji uniemożliwiła nam wydanie czerwcowego numeru „Kultury”. Bieżący zeszyt jest podwójny za miesiące czerwiec i lipiec.

Pragnąc wynagrodzić Czytelnikom tę niezawinioną przerwę w wydaniu „Kultury” — pierwszą od czasu ukazania się pierwszego numeru naszego pisma — następny zeszyt „Kultury” wydamy również w podwójnej objętości tj. 240 stron zamiast 160. Zeszyt ten za miesiące sierpień i wrzesień postaramy się wydać przed 1-szym wrześniem.

Kilkutygodniowy strajk pocztowy spowodował ponadto że nie tylko nie otrzymywaliśmy listów i przesyłek w tym okresie, ale w chwili gdy ten numer idzie do druku (18 czerwca) otrzymujemy dopiero listy i zamówienia z połowy maja. Żeby rozładować zaległości poczta francuska ogłosiła że do 20 czerwca nie przyjmuje poza listami żadnych paczek ani druków. Wszystkie otrzymane zamówienia będziemy więc mogli wykonać dopiero po unormowaniu się stosunków. Postaramy się najszybciej załatwić bieżącą korespondencję i wykorzystać nadsyłany nam materiał redakcyjny.

W związku z powyższymi wypadkami przedłużamy termin nadsyłania odpowiedzi na naszą Ankietę Czytelniczą do 1 sierpnia rb. Apelujemy do naszych czytelników aby nie tylko wzięli w niej udział osobiście, ale by również propagowali ją w swoim otoczeniu.

14-ty „Zeszyt Historyczny” ukaże się, jak zwykle, pod koniec sierpnia rb.

WPLĄTY NO FUNDUSZ „KULTURY”

Zofia i Jerzy Bonieccy, Rose Bay, NSW. (Australia), po raz drugi	F. 4.878,25
Ks. Donald Malinowski, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz czwarty	F. 72,90
Dr Jan Dobrucki, El Ceyon, Cal. (USA), po raz czwarty	F. 39,00
Pamięci inż. Sipayły — Buenos Aires (bezimiennie)	F. 30,00
Ks. Emil Seroka, Cedar Lake, Ind. (USA)	F. 48,50

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France.

Apel « Kultury »

Przez Europę, jak długa i szeroka, przebiegł dreszcz rewolucyjny. Istnieją ogromne i wielorakie różnice między wybuchami studenckimi we Francji, w NRF czy we Włoszech z jednej strony a w Polsce, w Czechosłowacji i w Jugosławii z drugiej, ale łączy je pewne podskórne podobieństwo: i tu i tam doszedł do głosu wspólny całej prawie młodzieży na świecie (łącznie z amerykańską i sowiecką) odruch buntu przeciw skostniałym lub kostniejącym formom życia społecznego i politycznego. Kryzys po obu stronach linii podziału ideologicznego świata jest tak głęboki, że we Francji objął równocześnie rząd i komunistów. W wywiadzie udzielonym tygodnikowi amerykańskiemu *Life* (numer z 10 czerwca br.) znany francuski pisarz polityczny Servan-Schreiber powiada: „Francuska partia komunistyczna jest zalana przez obecną rewolucję, dokładnie tak samo jak wszystkie inne części *establishmentu*. Komuniści francuscy przeżywają proces zmian w łonie własnej partii: rzeczą najważniejszą i wymagającą pilnie rozważenia są dla nich nie tylko wypadki we Francji, lecz wypadki w Pradze. Wszystkie partie komunistyczne w Europie znajdują się w trakcie procesu samookreślenia wobec rewolucji czeskiej, nawet Rosjanie. Wszystkie zmuszone są przemyśleć na nowo perspektywy i metody kontynuowania socjalizmu, ale bez tego już co nazywają dyktaturą proletariatu”.

Studenci polscy, którzy w marcu demonstrowali na uniwersytetach i wyszli na ulice miast pod hasłem „Bez wolności nie ma ani chleba ani nauki”, są dziś w Polsce forpocztą tej samej powszechnej walki o pogodzenie socjalizmu z wolnością. Jest już pewne ponad wszelką wątpliwość że gdyby ich akcja nie wygasła była zbyt wcześnie, ogarnęłaby w końcu robotników i doprowa-

dziłaby (jak w Czechosłowacji) do przełomu w partii. Stało się inaczej. Zwyciężyła reakcja moczarowska; Gomułka, rozegrany i uwięziony politycznie przez tych którzy za wysoką cenę ocalili *in extremis* pozory jego władzy, jest dziś, chcąc nie chcąc, drugim obok Ulbrichta żandarmem podmywanego z każdym dniem bardziej panowania sowieckiego w Europie wschodniej. Ta sytuacja nie może jednak potrwać długo. W Europie wstrząsanej niepokojami i fermentami rewolucyjnymi, u boku z detonatorem Czechosłowacji konsolidującej coraz wyraźniej i inteligentniej zdobycze swojej bezkrwawej rewolucji, nie ma na dalszą metę żadnych szans ostania się nowa reakcyjna „mała stabilizacja” Moczara i Gomułki. Jeśli studentom polskim wolno chwilowo odczuwać gorycz opuszczonych i zdradzonych, to przekonają się wkrótce że ich wystąpienie marcowe nie poszło na marne.

Na *Kulturę*, w okolicznościach jakie się wytworzyły, spadają szczególne obowiązki. Emigracja polityczna jest opanowana „kompleksem budapeszteńskim”, podniesionym do roli bezapelacyjnego i jedyne go argumentu dla usprawiedliwienia pasywności wobec ostatnich wypadków w Polsce. W innych apolitycznych (w sensie powiązań z określonymi „obozami”) lecz bez porównania żywszych i skuteczniejszych ośrodkach oddziaływania na kraj, zależność od obcych interesów nakłada często nieuchronne wędzidło politycznej samodzielności i jest ponadto samousprawiedliwieniem postawy bierności. W takich momentach historycznych jak obecny znowu odsłania całą swoją wartość stale i pilnie strzeżona niezależność *Kultury*, fakt że nasz miesięcznik i wydawane przez nas książki mogą stymulować procesy zachodzące w kraju nie licząc się z niczym poza jego dobrem. Ale nasza niezależność zależy od poparcia i pomocy naszych czytelników i przyjaciół. Raz już dopomogli nam oni nabyć dom *Kultury* i zamienić go w ciągu dwudziestu lat ciężkiej pracy w najżywszy polski ośrodek polityczny i kulturalny na świecie. Zwracamy się do nich z ponownym apelem by dopomogli finansowo *Kulturze* także teraz, gdy rola jaką ma spełnić *rozszerzając swą działalność* nabiera wyjątkowego znaczenia. Jest to tym ważniejsze że wypadki we Francji, znane czytelnikom, niezmiernie utrudniły naszą pracę.

W obecnej chwili każdy emigrant musi *na nowo* przemyśleć dzisiejszą sytuację Polski na tle ruchów i prądów o wadze i zasięgu światowym: nie tylko przemyśleć, ale wziąć w niej czynny udział.

Kultura pragnie być katalizatorem tych myśli i skupiskiem sił gotowych do działania.

Dla ożywienia „Funduszu Kultury” wydamy w najbliższym czasie dwa znaczki: jeden wartości 5 dol. am. a drugi 20 dol. Zwracamy się do wszystkich naszych czytelników i przyjaciół nie tylko o nabywanie tych znaczków ale jak najszersze zorganizowanie ich sprzedaży. Jak zwykle wszystkie wpłaty będą odnotowywane w „Kulturze”. Od rozmiarów Waszej pomocy w dużym stopniu będzie zależał rozmiar i skuteczność naszej akcji.

REDAKCJA

NOWE WYDAWNICTWA POLSKIEJ FUNDACJI KULTURALNEJ LONDYN



Marjan Kujawski
„Z BOJÓW POLSKICH W WOJNACH NAPOLEONSKICH”
z ilustracjami str. 344
sh. 35/-; US \$ 5; F 24; A- \$ 4

◆
Józef Garliński
„POLITYCY I ŻOŁNIERZE”

◆
Tadeusz Bielecki
„W SZKOLE DMOWSKIEGO”

◆
„SOCJALIZM NA ZACHODZIE EUROPY”
Antologia w wyborze i z przedmową
Adama Ciołkosza

◆
„WIADOMOŚCI NA EMIGRACJI”
Antologia w wyborze i z przedmową
Stefanii Kossowskiej

◆
Każda książka str. 320 — sh 25/-; US \$ 3,50; F 15; A- \$ 3
DO NABYCIA:

we wszystkich polskich księgarniach,
w przedstawicielstwach „DZIENNIKA POLSKIEGO”,
w POLSKIEJ FUNDACJI KULTURALNEJ
9, Charleville Rd., London W.14., England.
TAMŻE DO NABYCIA WYDAWNICTWO „WIADOMOŚCI”

Jan Lechoń
„DZIENNIK”
str. 446, płócienna oprawa z obwolutą
sh 50/-; US \$ 7,50; F 36; A- \$ 6

Druga Europa

Sądzę, że można dziś wyrazić pogląd, że Czechosłowacja znajduje się na drodze do demokracji i jeżeli owego celu nie osiągnie to stanie się to na skutek interwencji z zewnątrz. Ta interwencja może przybrać trojaką formę: 1) interwencji zbrojnej ze strony Związku Sowieckiego, 2) sankcji gospodarczych ze strony bloku wschodniego, 3) braku pomocy gospodarczej ze strony mocarstw zachodnich.

Osobiście jestem przekonany, że stalinowcy i zwolennicy Nowotnego swoje niepowodzenia przypisują nieobecności wojsk sowieckich w Czechosłowacji. Gwarant musi być obecny jeżeli ma spełnić swoje zadanie. Stalinowcy, gdyby tak czy inaczej powrócili do władzy, zażądaliby z całą pewnością stałych sowieckich garnizonów w Czechosłowacji. Dopóki Czechosłowacja jest członkiem Paktu Warszawskiego — obecności wojsk sowieckich można nadać legalną formę.

Pakt Warszawski jest bardzo szczególną instytucją, odbiera bowiem armii sowieckiej charakter imperialistyczny. 31 października 1956, w chwili największego zaognienia kryzysu budapeszteńskiego — Nagy i Tildy domagali się natychmiastowej ewakuacji wojsk sowieckich. Mikołaj oświadczył wówczas, że wycofane mogą być tylko te oddziały sowieckie, które przebywają na Węgrzech nie z tytułu postanowień Paktu Warszawskiego. Natomiast sowieckie siły zbrojne Paktu Warszawskiego będą mogły być wycofane dopiero po przeprowadzeniu odpowiednich konsultacji z państwami członkowskimi Paktu.

Rosjanie mogą zawsze powiedzieć Polakom, że chętnie wycofaliby swoje wojska z Polski lecz postanowienia Paktu Warszawskiego wymagają w tym względzie szczegółowych negocjacji z państwami członkowskimi. Rozpatrywane w tej perspektywie siły

sowieckie działające w ramach Paktu Warszawskiego stanowią *de facto* stalinowski korpus bezpieczeństwa wewnętrznego.

Polska jest niemal czterokrotnie większa od Austrii. Lecz nie Polska ale Austria jest państwem niepodległym. Istotą niepodległości Austrii jest jej neutralność. W systemie podwójnej hegemonii i stref wpływów — neutralność jest jedyną formą niepodległości, dostępną dla państw małych i średnich.

Polacy na emigracji są przeciwnikami neutralności, pasów neutralnych itp. Neutralność w czasie wojny jest niemal zawsze gwałcona, a bezbronność państwa neutralnego stanowiła często w przeszłości zaproszenie do agresji. Krytycy tej koncepcji przypominają jednak, że funkcja neutralizmu we współczesnym świecie uległa radykalnej zmianie. Dziś państwa małe czy średnie dążą do statusu neutralnego by *przetrwąć pokój* a nie wojnę. W razie wojny światowej ani neutralność, ani żaden inny instrument dyplomatyczny nie uchroniłby Austrii przed inwazją, okupacją i innymi klęskami. Lecz dopóki trwa pokój neutralność spełnia pozytywne i konkretne zadanie.

Gdyby Rosjanie wkroczyli do Czechosłowacji w ramach postanowień Paktu Warszawskiego — byłoby to wydarzenie dużej wagi w ramach bloku wschodniego. Gdyby jednak wojska sowieckie któregoś dnia przekroczyły granice neutralnej Austrii oznaczałoby to kryzys w skali światowej o trudnych do przewidzenia konsekwencjach.

By zrozumieć nową, pokojową funkcję neutralizmu należy cofnąć się do źródła obecnego układu europejskiego, tj. do Jalty.

W artykule, który ukazał się w *Kulturze* — nr styczeń-luty br. — starałem się zobrazować starcie dwóch koncepcji ładu europejskiego w chwili kiedy o losach Europy decydowało dwóch nie-Europejczyków, tj. Roosevelt i Stalin (Stalin zawsze z dumą podkreślał, że z urodzenia jest Azjatą).

Wróciwszy z Jalty Roosevelt oświadczył Kongresowi, że ma nadzieję, iż osiągnięte porozumienie oznacza kres „jednostronnie podejmowanych akcji, stref wpływów, równowagi sił i innych zabiegów dyplomatycznych stosowanych przez stulecia, które zawiodły”.

Koncepcja sowiecka (stalinowska) stanowiła dokładną odwrotność amerykańskiego uniwersalizmu (Wilsonianizmu). Rosjanie nie taili, że są zwolennikami sfer wpływów ściśle określonych i zabezpieczonych.

Zbędne dodawać, że zwyciężyła koncepcja sowiecka a nie amerykańska. „Żelazna Kurtyna” symbolizuje zarówno zwycięstwo koncepcji sowieckiej jak i utrwalenie jaltańskiego systemu.

Powyższy system — choć obfituje w różne dziwaczności jak np. Berlin — w ocenie obu supermocarstw zdał praktyczny egzamin

min ponieważ zapewnił Europie pokój przez 23 lata. Zarówno w Waszyngtonie jak i w Moskwie nikt nie przewiduje w najbliższej przyszłości wojny w Europie — z czego należy wnioskować, że obecny system spełnia swoje zadanie. *Status quo* zamroził wszystkie kwestie sporne. W rezultacie, nie tylko Amerykanie i Rosjanie lecz i zachodni Europejczycy przywykli *status quo* uważać za fundament pokoju. Każdy zamach wymierzony przeciwko *status quo* budzi alarm po obu stronach ideologicznej barykady ponieważ zagraża pokojowi.

Wszyscy życzymy powodzenia Dubczekowi. Lecz prasa amerykańska dała wyraz obawie, że gdyby umiarkowanego Dubczeka zastąpił nie stalinowiec à la Nowotny lecz przywódca bardziej radykalny i reformatorski niż Dubczek — szanse sowieckiej interwencji zbrojnej wzrosłyby bardzo znacznie. Innymi słowy rewolucja czechosłowacka musi się zmieścić w ramach *status quo*, w przeciwnym wypadku stanowiłaby bowiem zagrożenie dla pokoju. Wszyscy kochamy Czechosłowaków, lecz pokój i *status quo* kochamy jeszcze więcej.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Stalinowska arytmetyka polityczna sprowadza się do prostego stwierdzenia: jeżeli coś nie jest sowieckie — automatycznie staje się amerykańskie. Jeżeli Czechosłowacja przestałaby być sowiecka — tym samym stałaby się amerykańska. Państwo małe czy średniej wielkości musi wchodzić w skład jednego z bloków, bo tego wymaga stalinowska doktryna stref wpływów.

Z tych przyczyn neutralizm wydaje mi się jedynym rozwiązaniem problemu satelickiego. Czechosłowacja neutralna nie byłaby ani sowiecka ani zachodnia. Blok wschodni utraciłby państwo członkowskie lecz ta strata nie stanowiłaby zysku dla bloku zachodniego.

Neutralność jako koncepcja zyskuje na dynamice, ponieważ staje się oczywiste, że dziś jest to jedyna forma i sprawdzian niepodległości dla małych i średnich państw europejskich. Rosja nie może państw satelickich przekazać Ameryce — względnie zgodzić się na włączenie tych państw do Europy dominowanej przez Amerykę. Być może jednak Rosja zgodziłaby się w przyszłości na wyłączenie ze swojej strefy wpływów państw „problemowych” pod warunkiem, że wyłączenie z sowieckiej strefy wpływów nie oznaczałoby włączenia do amerykańskiej strefy wpływów.

Wielu ludziom wyda się to wszystko pobożnym życzeniem. Sądę jednak, że tak nie jest, ponieważ wybór metod, z punktu widzenia Moskwy, jest bardzo ograniczony. Nacisk polityczny nie wszędzie daje pożądane rezultaty. Nastroje neutralistyczne są wyraźne zarówno w Czechosłowacji jak i w Rumunii. Jeżeli szantaż,

sankcje gospodarcze i inne środki pokojowe nie przynoszą wyników — trzeba uciec się do siły. Budapeszt pociągnął za sobą dla Moskwy „utrata twarzy” w takiej skali — że, tym razem, Rosjanie zechcieliby hańbę tego typu operacji przerzucić choćby częściowo na barki lojalnych członków Paktu Warszawskiego. Inaczej mówiąc — to nie Związek Sowiecki tylko siły zbrojne Paktu Warszawskiego likwidowałyby „kontr-rewolucję” w Czechosłowacji.

Ekspedycja karna tego rodzaju zdemaskowałaby całkowicie Pakt Warszawski wykazując, że jest to w gruncie rzeczy stalinowski korpus bezpieczeństwa wewnętrznego, a nie sojusz obronny przed Niemcami.

Użycie siły w stosunku do Pragi byłoby nie tylko zbrodnią lecz i monstrualnym błędem. W tym wypadku nie chodzi bowiem wyłącznie o Czechosłowację. Nienawiść do Rosji w Polsce, w Rumunii i na Węgrzech — osiągnęłaby dziejowy szczyt. Rewizjonizm poniósłby klęskę, lecz antysowieckie nacjonalizmy buchnęłyby jak płomień w całej Europie wschodniej. Dubczeków zastąpiłoby z czasem nacjonal-komuniści, którzy byłiby niepomiernie trudniejszymi partnerami niż Dubczek i jego zliberalizowana Czechosłowacja.

Największym wrogiem Rosji jest nacjonalizm — nie rewizjonizm. Znacjonalizowany komunizm obróciłby się przeciwko Rosji ponieważ każdy nacjonalizm w Europie wschodniej z istoty rzeczy jest antyrosyjski. Państwa satelickie zliberalizowane na wzór Czechosłowacji stanowią dla Rosji znacznie mniejsze niebezpieczeństwo niż antyliberalny i antyrewizjonistyczny nacjonal-komunizm.

Koncepcja nietykalnych stref wpływów jest statyczna i powoduje, że Stany Zjednoczone nie mają żadnej polityki wschodnio-europejskiej. Podejście statyczne (strefy wpływów) w stosunku do dynamicznego, rewolucyjnego problemu jakim jest dziś Europa wschodnia — nie może dać żadnych rezultatów. Polityka — podobnie jak *business* — polega w 80 procentach na wykorzystywaniu koniunktury. W Pilźnie po raz pierwszy od dwudziestu lat powiewały flagi amerykańskie — lecz przejawy sympatii po tomtej stronie barykady wprawiają Amerykanów w zakłopotanie. W ramach polityki nienaruszalnych stref wpływów nie wiadomo co z takim fantem robić.

Amerykanie są lojalnymi partnerami. Niepisana konstytucja podwójnej hegemonii zakłada, że obaj partnerzy przestrzegają zasady nienaruszalności zasady *status quo*.

Nie proponujemy Amerykanom wskrzeszania koncepcji *roll back policy* czy *liberation*. Nie proponujemy nawet zmiany *status quo*, jeżeli przez *status quo* rozumieć równowagę sił na konty-

nencie. Nie można jednak wszystkimi możliwymi mediami komunikacji propagować latami idei demokratycznej w krajach Europy wschodniej — a w chwili, gdy owa idea zaczyna przeobrażać się w rzeczywisty kształt — umyć od wszystkiego rąk. Nie można adresować swojego demokratycznego posłania do opozycjonistów ale rozmawiać wyłącznie z tymi, którzy opozycjonistów posyłają do więzienia. Nie można wpływać na postawę młodych naukowców, a równocześnie przyznanie stypendium uzależniać od zgody władz reżymowych.

Wydalonym polskim profesorom uniwersytetów Czechosłowacji zaoferowali pracę na swoich wyższych uczelniach. Co owym ludziom zaoferowano na Zachodzie? Ktoś powie, że nic ze stypendium jeżeli władze komunistyczne odmówią wydania paszportu. To nie jest prawda. Pasternakowi nie pozwolono pojechać do Sztokholmu i odebrać przyznanej mu Nagrody Nobla. Jednak fakt że ją otrzymał posiadał wielkie znaczenie nie tylko dla Pasternaka. Gdyby wydaleniu uczeni polscy otrzymali stypendia prywatnych fundacji amerykańskich do podjęcia w chwili gdy znajdują się zagranicą — byłby to widomy znak solidarności z ich postawą a zarazem gwarancja, że gdy wyładują na Zachodzie nie grozi im nędza.

Nieporozumienie polega na tym, że przez strefy wpływów Sowiety rozumieją coś innego niż Amerykanie. Sowiecka polityka *status quo* w Europie nie wyłącza wspomagania przez Moskwę partii komunistycznych we Włoszech, czy gdziekolwiek indziej. Każdy wyborczy sukces włoskiej partii komunistycznej kwitowany jest na łamach prasy sowieckiej jako zwycięstwo Moskwy.

Gen. de Gaulle w czasie swej słynnej wizyty w Polsce nie spotkał się z Kardynałem Wyszyńskim, by nie zadrażniać swych stosunków z Gomułką i jego rządem. Jednak, gdy Kosygin był w Londynie z oficjalną wizytą, wziął udział we wszystkich galowych śniadaniach z prem. Wilsonem i pochwalił ostrygi, które jadł pierwszy raz w życiu — co nie przeszkodziło mu jednak w złożeniu równie oficjalnej wizyty w siedzibie Brytyjskiej Partii Komunistycznej.

Brytyjska Partia Komunistyczna, w przeciwieństwie do partii włoskiej czy francuskiej — zajmuje marginesową pozycję — niemniej, Kosygin zadał sobie trud, by podkreślić swoją solidarność z komunistami brytyjskimi.

W gruncie rzeczy sprawa jest prosta. Zachód powinien równie energicznie popierać demokratów na Wschodzie jak Związek Sowiecki popiera komunistów na Zachodzie. Dlaczego tak się nie dzieje? Odpowiedź na to pytanie nie nasuwa trudności. Partie komunistyczne na Zachodzie działają legalnie — demokraci na wschodzie działają nielegalnie. W rezultacie, komunista zachodni

jest *respectable* obywatelem, natomiast demokrata wschodnio-europejski jest wywrotowcem poza prawem, który zmierza do obalenia legalnego ustroju i porządku. Czy można popierać wywrotowców i równocześnie zachować dobre stosunki z rządem, który owi wywrotowcy usiłują obalić?

Z tym punktem wiąże się następujący problem. Większość polityków zachodnich jest zwolennikami ewolucji „odgórnej”. Powyższa teoria pozwala ominąć problem nielegalnej opozycji w krajach bloku wschodniego. Ewolucja „odgórną” jest nonsensem w samym założeniu, ponieważ wszystkie przemiany narastają zawsze od dołu. Niemniej, w sprzeczności z doświadczeniem historycznym przyjmuje się, że jeżeli konserwatywny dyktator komunistyczny otrzyma pomoc gospodarczą szanse „odwilży” wzrosną. Zwolennicy tzw. „budowania mostów” nie przeprowadzają żadnego rozróżnienia pomiędzy „dobrymi” a „złymi” komunistami. Przecież jest oczywiste, że gdy stalinowski przywódca otrzyma pożyczkę — nie zafunduje społeczeństwu liberalizacji — tylko wprost przeciwnie, wzmocni swój aparat represyjny. Oczywiście są wypadki kiedy należy udzielić pomocy z uwagi na bezpośredni interes społeczeństwa. Gomułka i jego reżym nie zasługują na żadną pomoc, lecz gdyby Polskę dotknęła klęska powodzi — społeczeństwu polskiemu należałoby pomóc, pomimo Gomułki.

Nikt nie podejmuje reform o ile do tego nie jest zmuszony. Raz przy władzy, radykał przemienia się w konserwatystę. Każda władza ukonserwatywnia a władza absolutna ukonserwatywnia absolutnie. Program reform — obojętne, czy to będzie w Czechosłowacji, czy we Francji — rząd podejmuje pod naporem społeczeństwa. Często ów napór powoduje zmianę kierownictwa. Jest powszechną tajemnicą w Pradze, że Dubczek ukonserwatywnił się w tym samym dniu, w którym objął władzę. W pewnym sensie jest to zrozumiałe. Co innego jest deklamować o reformach będąc w opozycji, a co innego jest wygospodarować pieniądze na owe reformy. Nacisk społeczny na kierownictwo partii w Czechosłowacji nie słabnie — lecz nacisk społeczny nie produkuje pieniędzy. Przeciwnie, nacisk społeczny jeżeli wyraża się strajkami, manifestacjami itp. — pociąga za sobą poważne straty gospodarcze.

Przywódca komunistyczny, który podejmuje program reform, zarówno potrzebuje jak i zasługuje na pomoc finansową ze strony Zachodu. Niestety mocarstwa zachodnie są nieprzygotowane do takiej sytuacji. Amerykanie są zdania, że Czechosłowacji powinni pomóc zachodni Europejczycy — a w europejskich stolicach zachodnich panuje pogląd, że pomoc w takiej czy innej formie powinien zorganizować Waszyngton. Płyńcie to stąd, że — wbrew propagandzie prodemokratycznej — celem polityki Zachodu nie jest demokratyzacja Europy wschodniej, tylko utrzy-

manie *status quo*. Procesy demokratyzacyjne w Europie wschodniej wywołują na Zachodzie niepokój, ponieważ nikt nie wie czym *status quo* należałoby zastąpić.

W moim przekonaniu *Europa jest w marszu* i nadszedł czas podjęcia decyzji w następującej sprawie. Albo można przyjąć pogląd, że podwójna hegemonia amerykańsko-sowiecka na terenie Europy jest *de facto* „Świętym Przymierzem”, którego jedynym celem jest utrzymanie *status quo* — albo trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i pogodzić się z faktem, że *status quo* w Europie jest nie do utrzymania.

Polityka „Świętego Przymierza” jest zła nie tylko dlatego, że jest niemoralna lecz przede wszystkim dlatego, że w obecnej sytuacji jest niebezpieczna. Struktura *status quo* zawaliła się wszędzie — zarówno w Paryżu jak i w Pradze. *Status quo* wali się w Bonn, w Warszawie i w Moskwie.

Główną tezę tego artykułu jest pogląd, że nie uratujemy pokoju broniąc *status quo*. Losy pokoju w Europie zależą od odpowiedzi na pytanie: czym zastąpić *status quo*?

Na Zachodzie nikt nie przewidywał policentryzmu. Do policentryzmu odnoszono się równie nieufnie jak do ewolucjonizmu. Dziś, policentryzmu nikt nie kwestionuje, lecz brak jest koncepcji, która umożliwiłaby polityczne wykorzystanie policentrycznych tendencji.

Marsz. Tito w czasie wizyty prezydenta Rumunii Nicolae Ceausescu w Belgradzie (28 V. br.) wysunął oryginalny projekt zorganizowania światowej konferencji partii komunistycznych, które prowadzą politykę niezależną od Moskwy. Tego rodzaju konferencja mogłaby stanowić załączek neutralnych państw komunistycznych.

Rumuni odrzucili projekt marsz. Tito, ponieważ obawiali się reakcji Moskwy. Czechosłowacy szukają zbliżenia do państw komunistycznych prowadzących politykę niezależną od Moskwy. Czechosłowaków popierają obecnie Belgrad i Bukareszt.

Istotą *status quo* jest równowaga sił. Moskwa nie zgodziłaby się w żadnym wypadku na odwrócenie sojuszków. Zgodziłaby się może jednak na przyznanie statusu neutralnego państwom komunistycznym, które przestały być w pełnym tego słowa znaczeniu satelitami. W ten sposób mógłby powstać w centrum Europy blok państw neutralnych, który początkowo obejmowałby Jugosławię, Rumunię, Austrię i Czechosłowację.

Utworzenie tego typu bloku przekracza możliwości państw zainteresowanych. Rozwiązanie po tych liniach wymagałoby dłuższych i żmudnych negocjacji pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Utworzenie bloku państw neutralnych — gwarantowanego tak przez Moskwę jak i przez Waszyngton — umożliwiłoby nadanie

procesowi emancypacji form pokojowych. Owego procesu emancypacji, który idzie przez świat nikt nie zatrzyma.

Murzyni w Stanach Zjednoczonych, mniejszości kolorowe w Anglii, studenci na uniwersytetach w Ameryce i w Europie, robotnicy w fabrykach francuskich, inteligencja i robotnicy w krajach Europy wschodniej — stanowią różne aspekty problemu emancypacji. Jeżeli robotnicy w fabrykach i studenci na uniwersytetach odrzucają paternalizm i „rządy opiekuńcze” — byłyby naiwnością przypuszczać, że paternalizm i „rządy opiekuńcze” tolerować będą narody i społeczeństwa.

Ograniczając pole widzenia do naszego kontynentu należy stwierdzić, że linia podziału przebiega dziś przez całą Europę. Istnieją dwie Francje, dwie Anglie, dwie Czechosłowacje, dwie Polski, dwie Rosje. Nomenklatura polityczna jest różna, lecz linia podziału jest wszędzie ta sama. Po jednej stronie barykady mamy paternalistów, konserwatystów i biurokratów — po drugiej stronie zwolenników reform, emancypacji i autonomii.

Owó ruch emancypacyjny jest czymś więcej niż rasizmem i więcej niż nacjonalizmem. Cechuje go bowiem powszechność i prawdziwy internacjonalizm. (W czasie jednego z demonstracyjnych pochodów — po odmówieniu prawa pobytu we Francji Danielowi Cohn-Bendit — niesiono charakterystyczny transparent z napisem: „My wszyscy jesteśmy niemieckimi Żydami”).

To jest cykl zagadnień, które omówię w oddzielnym artykule. W tym miejscu chciałem tylko podkreślić, że w świetle owych przemian instytucje stref wpływów i podwójnych hegemonii są wręcz archaicznymi przeżytkami, które nie mają żadnej szansy przetrwania.

Nie jestem i nigdy nie byłem zwolennikiem Europy „europejskiej”. Alternatywą hegemonii rosyjsko-amerykańskiej jest hegemonia niemiecka. Obecność Amerykanów na kontynencie tak w sensie politycznym jak i wojskowym jest nieodczowna.

Z Waszyngtonu bliżej jest dziś do Saigona niż do Pragi. A jednak, kto wie czy losy wojny i pokoju nie wazą się w Pradze. W ramach klasycznej polityki stref wpływów i poszanowania *status quo* zbrojna interwencja sowiecka w Czechosłowacji byłaby tylko wewnętrznym wydarzeniem w bloku wschodnim. Tak było w roku 1956. Lecz nie jestem pewien czy czołgi sowieckie na ulicach Pragi nie wywołałyby dziś innych reakcji w Europie, niż czołgi sowieckie na ulicach stolicy Węgier 12 lat temu. Gdyby Dubczek nadał przez radio apel, wzorem nieszczęsnego premiera Nagy — kto wie czy „druga Europa” nie zareagowałaby czynnie, manifestując swą solidarność z robotnikami i inteligencją czechosłowacką. Mogłoby dojść do demonstracji i rozruchów w Berlinie, które byłoby trudno opanować. Dywizje sowieckie w

Niemczech wschodnich znalazłyby się w bliskim sąsiedztwie rewolucyjnego wrzenia. Niemiecka wojna domowa byłaby czymś innym niż ewentualna francuska wojna domowa. Niemiecka wojna domowa prowadziłaby nieuchronnie do trzeciej wojny światowej.

Francja była o krok od wojny domowej w maju bieżącego roku. Dramatycznych wydarzeń we Francji nie przewidzieli ani publicyści ani socjologowie. Niemiecka wojna domowa w stanie potencjalnym trwa od lat.

Do czego zmierzają powyższe rozważania? Chciałem wykazać, że atmosfera i klimat polityczno-socjalny w całej Europie uległy zmianie. Polityka *status quo*, która nie ma odpowiedzi na owe przemiany, z polityki zachowania pokoju przekształca się w bezmyślność zagrażającą pokojowi.

Politycy i publicyści źle przewidują przyszłość, ponieważ wrodzony konserwatyzm utrudnia nam wystawienie świadectwa śmierci *status quo*, w chwili jego zgonu. Dyktatorzy, rządy, *establishment* — leżą wśród nas na katafalku, lecz biada śmiałkowi, który trupa nazwałby trupem. Dopiero gdy napór wydarzeń wywraca katafalk otwierają się nam oczy. Z tej przyczyny pozwalamy zawsze zaskakiwać się historii — pomimo, że *post factum* wszyscy są mądrzy po szkodzie.

Historia zawsze będzie nas zaskakiwać, lecz dążenie do zmniejszenia „ryzyka historycznego” musi stanowić jedno z podstawowych zadań polityki. Co to oznacza w kontekście praktycznego działania? Oznacza to — na przykład — że „ryzyko historyczne” enklawy berlińskiej, w obecnym klimacie europejskim, jest większe niż było 5 lat temu. Oznacza to również, że zbrojna interwencja sowiecka w Czechosłowacji wywołałaby prawdopodobnie reakcje i komplikacje, których nie wywołał mord Budapesztu.

Prowadzenie dialogu Wschód-Zachód nie ma sensu, jeżeli nie wysuwa się żadnych konkretnych propozycji. Terminy: odprężenie, porozumienie, współpraca — nie mają również żadnego sensu, jeżeli nie wysuwa się konkretnych propozycji.

Prasa anglosaska od miesięcy, przy każdej okazji, wykiłwa powiedzenie prez. de Gaulle'a o Europie zjednoczonej po Ural. Lecz jaką koncepcję mają Anglosasi, ściślej mówiąc Amerykanie?

Do tej pory nie trzeba było żadnej koncepcji, ponieważ *status quo* wykazywał wszelkie cechy trwałości. Pisałem na łamach *Kultury*, że w Europie wojna nam nie zagraża. Wydarzenia marcowe w Polsce, przewrót w Pradze, kwietniowe rozruchy w Niemczech, majowa rewolucja we Francji — przekonały mnie, że powojenna „wielka stabilizacja” europejska dobiegła kresu. W Europie, istotnie po Ural, przebudziły się dynamiczne siły i dążenia, których potencjał i rozmach zaskoczył zawodowych polityków.

Reformy konieczne są nie tylko we Francji, w Anglii, w Niemczech w Czechosłowacji czy w Polsce. Zreformowany musi być przede wszystkim europejski *status quo* w ten sposób, by czynił zadość emancypacyjnym dążeniom narodów wschodnioeuropejskich. Amerykański dylemat w tej dziedzinie streszczał się w pytaniu: jak wspomagać narody wschodnioeuropejskie i uniknąć równocześnie pogorszenia stosunków z Moskwą? Pierwszeństwo przyznawano stosunkom z Sowietami wnioskując, że pokój w Europie zależy wyłącznie od stosunków pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą.

Koniec „wielkiej stabilizacji” na kontynencie, oznacza między innymi, że powyższe rozumowanie utraciło pokrycie w faktach. Odrzucenie pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą nie gwarantuje dziś pokoju w Europie. Widmo rewolucji i wojny oddalić może tylko porozumienie pomiędzy rządzącymi i rządzonymi z jednej strony i porozumienie pomiędzy hegemonami i ich partnerami z drugiej strony. W moim przekonaniu, ci politycy w Waszyngtonie, którzy sądzą, że lepiej nie dopomagać Pradze czy Warszawie — by nie zadrażniać Moskwy — nie pracują na rzecz pokoju. Przeciwnie, przygotowują kulisy dla następnej serii europejskich „wiosennych wydarzeń”, które pewnego roku mogą spowodować pożar. W porównaniu z owym pożarem, Wietnam wydałby się harcerskim, wycieczkowym ogniskiem.

Juliusz MIEROSZEWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Notatki o « majowej rewolucji »

Jeden z moich przyjaciół powiedział mi w dwa dni po czwartkowej mowie de Gaulle'a, która dla burżuazji „ocaliła Francję”, dla studentów „zabiła rewolucję”: „w ciągu ostatnich trzech tygodni cierpiałem na swoistą schizofrenię. Nosilem w sobie wysmukłego młodzieńca o pięknych rysach, który z entuzjazmem reagował na każdy powiew rewolucji, na to nagle cudowne odmłodzenie Francji, i brzydkiego brzuchatego karzełka, który trząsł się ze strachu i wciąż miał nadzieję, że de Gaulle przywróci porządek. Dziś są obaj tak zmęczeni, że usnęli oparci o siebie, głowa przy głowie”.

Myślę, że do pewnego stopnia, poza studentami na barykadach, poza reakcyjną burżuazją, cały Paryż cierpiał w tym historycznym maju na podobny dualizm. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu bodaj lat, rewolucja była tu młoda, wolna, niezależna od aparatów, zarazem utopijnie bezkompromisowa i liberalna, ale również całkowicie oderwana od społecznej i gospodarczej rzeczywistości, pozbawiona jakiegokolwiek konkretnego programu, nieuchronnie skazana na klęskę swych marzeń, niezależnie od rozwoju wypadków.

Dla Polaka dochodziła dalsza trudność. Każdy z nas ma w pamięci niedawne wypadki w Warszawie, w czasie których studenci manifestowali o to właśnie co tutaj dostępne jest każdemu: o wolność słowa, o wolność opinii, o swobodę wyboru. Słyszając o wypadkach paryskich z daleka, niejednemu z nas mogła nasuwać się refleksja: o co właściwie tym młodym szaleńcom chodzi? Z bliska sprawa przedstawiała się inaczej. Mogę mówić tylko za siebie, zdając sobie również sprawę do jakiego stopnia ulega się nieraz nieświadomie atmosferze środowiska w którym się żyje, a tak się składa, że większość moich znajomych albo w wypad-

kach bezpośrednio uczestniczyła, albo miała dzieci na barykadach, albo przynajmniej odnajdywała w nich odbicie rewolucyjnych marzeń swej młodości.

Nie trzeba zapominać, że jasny, bezkompromisowy, orzeźwiający antystalinizm najbardziej bojowych studentów — Daniela Cohn-Bendita i jego „Ruchu 22 Marca” — ich odmowa przykładania dwóch miar do wypadków na Wschodzie i na Zachodzie, stanowiły skrajny kontrast z wygodnymi, eleganckimi zachodnimi *fellow-traveller*’ami, którzy przez tyle lat w swych pięknych domach, przy wytwornych obiadach tłumaczyli nam jak zbawienny jest „socjalizm” dla krajów wschodniej Europy. Jakikolwiek by nie były skutki paryskiego maja 1968 roku, przywrócił on raz na zawsze słowom „socjalizm” czy „rewolucja” ich pierwotne znaczenie.

I jeszcze jedno. Zawsze kochałem Paryż, ale kochałem to miasto wbrew oschłości, formalizmowi większości mieszkańców, mimo pośpiechu, mimo zewnętrznego „tłuszczy” samego miasta, mimo potwornych korków, ruchu samochodowego, mimo korowodów metalowych ślimaków wlokących się powolutku co piętek wieczór ku upragnionym *week-end*’om. W ciągu maja Paryż schudł, wypiękniał, atmosfera stała się nagle braterska i serdeczna. Ludzie mówili ze sobą na ulicach, Sorbona i Odeon na krótko wskrzesiły tradycje prawdziwie demokratycznej agory. Studenci, którzy pozornie interesowali się tylko jazzem i kaszmirowymi swetrami, wykazali odwagę jakiej nigdy nie widziałem w manifestacjach opozycji w czasie wojny algierskiej, w których uczestniczyłem.

Stąd mój dualizm, stąd sprzeczności których na pewno nie brak w tych uwagach.

Wypadki maja 1968 roku w Paryżu można odczytać na wielu różnych poziomach. A więc najpierw w kontekście czysto francuskim. Bunt studentów, do których wkrótce dołączyli intelektualiści, a nieco później liczni robotnicy, był buntem przeciw anachronicznej formie społeczeństwa, w którym nowocześni burokraci i technokraci operowali w ramach struktury centralistycznej, opartej na ściśle ustalonej hierarchii, stworzonej przez Pierwsze Cesarstwo. Był to bunt przeciw Francji *des grands patrons et des grandes écoles* — przeciw Francji mandarynów, przeciw elicie najbardziej zamkniętej ze wszystkich krajów zachodnich, kooptującej do swego grona tylko najzdolniejszych poprzez filtry „Wielkich Szkół”: Normale, Polytechnique, École Nationale d'Administration itd.

Był to również bunt przeciw reżymowi, który w ciągu dzie-

sięciu lat dokonał co prawda trzech trudnych zadań: ostatecznej dekolonizacji, stabilizacji rządowej, przywrócenia Francji pozornej być może, ale znacznej wagi w stosunkach międzynarodowych, oraz który umiał wykorzystać ekonomiczne perspektywy Wspólnego Rynku, mimo że jego konstrukcja była заслуżą czwartej Republiki, często wbrew gaullistom. Gaullizm nie potrafił natomiast ani przeprowadzić ani nawet przemyśleć żadnej z reform długoplanowych, których konieczność była jasna od lat dla każdego rozsądnego krytyka, ani reformy Uniwersytetu, ani reformy podatkowej, ani decentralizacji. Należy dodać, że ze wszystkich demokracji zachodnich Francja jest krajem o największej bodaj rozpiętości dochodów, o największej nierówności społecznej. Jeden z moich znajomych zwrócił mi niedawno uwagę na prosty w tej dziedzinie miernik: ilość restauracji w których rachunek na osobę (bez kosztownych win) przekracza 100 Frs (20 dolarów). Jest ich około pięciu w Nowym Jorku, ani jednej w Londynie, jedna czy dwie w Rzymie, jedna w Hamburgu, a w Paryżu — około piętnastu i zawsze przepełnionych. Wśród klientów tych restauracji uderza ilość względnie młodych ludzi, którzy nie mają żadnego określonego zawodu i pasażerują na różnego gatunku pośrednictwach — nieruchomości, mieszkania, najrozmaitsze *affaires*, od których nie płacą żadnego niemal podatku.

Wreszcie bunt ten był dla reżymu lekcją, że nie prowadzi się bezkarnie polityki „postępowej” w stosunkach międzynarodowych i konserwatywnej w sprawach wewnętrznych. Wiadomo, że opór studentów w Stanach Zjednoczonych i w Europie Zachodniej doszedł do świadomości politycznej w opozycji do wojny w Wietnamie. Manifestacje studentów amerykańskich, a nawet tych studentów europejskich, których rządy oficjalnie popierają politykę Stanów Zjednoczonych były rzeczywistym wyrazem protestu, aktem politycznym. Dla studentów francuskich, walczących z „imperializmem amerykańskim” sprawa przedstawiała się inaczej. Każdego ich protest, każda manifestacja była w pewnym sensie aktem *prorządowym*, wyrażała poparcie oficjalnej linii politycznej gaullizmu. Nie natrafiali oni w tej dziedzinie na żaden prawdziwy opór, walka ich miała charakter fikcyjny. Stawiając coraz większe wymagania polityzacji uniwersytetu, uniemożliwiając jego normalne funkcjonowanie, pragnęli jakby opór ten wywołać. Dlatego historyczna decyzja Rektora paryskiego Uniwersytetu Roche, aby Sorbonę ewakuować policją stanowiła iskrę, która wywołała pożar.

Cóż może jeden człowiek, coż może drobna grupa ludzi, coż może opozycyjna mniejszość, choćby najbardziej ekstremistyczna, przeciw współczesnemu państwu, bez względu na jego reżym spo-

łeczny czy polityczny? Wydawało się, że nie. Państwo ma broń, od bomby atomowej aż po gazy obezwładniające system psychiczny. Państwo dysponuje środkami nadzoru (*surveillance devices*), od klasycznych aparatów podsłuchowych na każdej linii telefonicznej, w ścianach czy pod podłogą, aż po przysłowiową oliwkę tranzystorową w kieliczku martini. Państwo ma komputery i karty perforowane, pozwalające w teorii na utożsamienie spośród olbrzymiej masy informacji, podejrzaną rozmowę, jej tematu, jej uczestników. Każde współczesne państwo rozporządza dziś potencjalnie aparatem kontrolnym i represyjnym godnym orwellowskiego „Big Brother’a”. Nic dziwnego, że podczas gdy państwa liberalne i demokratyczne stoją nadal otworem dla przemian w szerokich ramach ich konstytucji, podczas gdy państwa totalitarne wydają się podlegać niepisanyemu prawom wewnętrznej ewolucji, zależnej od ich społecznego i gospodarczego rozwoju, rewolucyjne mniejszości bez względu na ich metody i cele wydawały się co prawda zdolne do poważnego zakłócenia życia społecznego, ale nie do obalenia samego reżymu i państwa.

W maju 1968 roku, w Paryżu, okazało się, że akcja podjęta przez dwudziestotrzyletniego chłopca, Daniela Cohn-Bendita, który zelektryzował kilka ekstremistycznych grup studenckich (od trockistów do maoistów poprzez castrystów i guesarystów) na uniwersytecie w Nanterre (razem co najwyżej 5.000 młodych ludzi), wywołała w ciągu trzech tygodni strajk generalny dziesięciu milionów robotników, paraliż całego kraju i niemal doprowadziła do obalenia reżymu, który przed miesiącem jeszcze nie był przez nikogo poważnie zakwestionowany i cieszył się nawet powierzchowną popularnością. Ta nagła i niespodziewana afirmacja romantycznego buntu, ta rehabilitacja negacji indywidualnej, ten nawrót do dziewiętnastowiecznych nostalgii anarchistów i nihilistów miał miejsce wbrew wspólnemu i skoordynowanemu oporowi rządu i głównej partii opozycyjnej — francuskiej partii komunistycznej.

Wszystko pod znakiem skrajnych idei rewolucyjnego internationalizmu które od czterdziestu lat wymarły w głównym — komunistycznym — prądzie europejskiego ruchu rewolucyjnego i których korzenie sięgają dalej jeszcze — do premarksowskich utopistów w rodzaju Fourriera i Proudhona, do anarcho-nihilistów typu Maxa Stirnera i Bakunina.

Idee, na których była oparta „rewolucja majowa” wydają się bądź anachroniczne bądź utopijne:

1. Zastąpienie państwa radami robotników i studentów — sołtysami, czy w nowym słownictwie „władzą robotników”, „władzą studentów”. I to w epoce, w której coraz większa złożoność życia społecznego i gospodarczego wymaga — zda-

wałoby się — form organizacyjnych ponadpaństwowych raczej niż „infrapaństwowych”.

2. Zniszczenie państw narodowych w chwili gdy nacjonalizm wydaje się na nowo żywą siłą w Europie.
3. Zniszczenie „społeczeństwa konsumpcyjnego” w epoce, w której wszystkie dziedziny życia podporządkowane są produkcji uznanej jako cel sam w sobie i w konkretnych warunkach społecznych w których ta forma gospodarki unika poważniejszych kryzysów i zapewnia wzrastający dobrobyt robotnikom.
4. Przekształcenie Uniwersytetu z ośrodka nauczania czy to „bezzainteresownego” czy to przygotowującego techniczne kadry, bez których nie może funkcjonować nowoczesne społeczeństwo w stały ośrodek „kontestacyjny”, otwarty dla wszystkich, ściśle egalitarny i którego celem byłoby przygotowanie rewolucyjnej przemiany społeczeństwa.
5. Czystość ruchu, który odmawia — nawet dla względów taktycznych kapitulacji a nawet przymierza z partią komunistyczną, uznaną za instrument biurokratycznej dyktatury opartej na nowej formie wyzysku klasowego.



Daniel Cohn-Bendit jest rodzonym bratem Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Jeżeli szanujemy postawę obu młodych Polaków, to nie możemy nie uznać walki Cohn-Bendita. Nawet rozdział pomiędzy programem i rzeczywistością przedstawia się podobnie w jednym i w drugim wypadku. Kuroń i Modzelewski mają taką samą jak Cohn-Bendit pogardę dla organizacyjnych ram, bez których nowoczesne społeczeństwo nie może istnieć. Trudno się oprzeć podejrzeniu, że ich utopie są utopiami regresywnymi, których realizacja, nawet ściśle teoretyczna, byłaby możliwa jedynie poprzez całkowite zablokowanie przyrostu demograficznego. Idealne społeczeństwo tych trzech młodych, wolnych ludzi, połączonych w anarchicznym braterstwie nie mogłoby rosnąć w kategoriach współczesnej gospodarki.

Kilka wypowiedzi Daniela Cohn-Bendita (*Magazine Littéraire*, maj 1968):

— „Istnieją trzy zasadnicze cele: walka z represją państwową, z autorytaryzmem i z hierarchią. Ponieważ wszystkie te trzy elementy istnieją zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie, moja opozycja do form organizacyjnych społeczeństw na Wschodzie jak i na Zachodzie jest całkowita”.

— „Społeczeństwo sowieckie jest dla mnie formą państwa, mającą wszystkie cechy społeczeństwa klasowego: biurokracja jest dla mnie klasą i dlatego opieram się społeczeństwu sowieckiemu tak jak opieram się społeczeństwu kapitalistycznemu we Francji. Tyle, że nie żyję w Związku Sowieckim, ale we Francji. Stąd prowadzę walkę tutaj, przeciw burżuazji francuskiej”.

— „Ruch studencki jest dla nas jeden i dlatego musi powstać internacjonalizm, którego żadna partia komunistyczna — gdziekolwiek i kiedykolwiek — nie śmiała wzbudzić. Dla nas walka — nie tylko studentów, również i innych — musi się odbywać w skali europejskiej. W Warszawie, gdzie jest oczywisty nawrót do stalinizmu, dzieje się to samo co tutaj”.

— „Maoizm? nie wiem nawet dobrze czy jest coś takiego! W pismach Mao jest parę słusznych rzeczy — choćby jego teza oparcia o chłopów, która zawsze była tezą anarchistów... Ale teraz stworzono mit Mao. Dyskutowanie o miecie Mao o „czerwonej książeczce”, o jego obronie Stalina, to dobre dla „marksistów-leninistów”. Dla mnie to wszystko jedna wielka bzdura”.

— „Co myślę o Stalinie? Pytacie właściwie co myślę o francuskiej partii komunistycznej? Stalin — to stalinizm. To doprawdy absolutna forma represji, to zbiurokratyzowane społeczeństwo walczące przeciw wszelkiej formie robotniczego protestu, przeciw wszelkim przejawom rewolucyjnym”.

— „Jakie teorie wpłynęły na nasz ruch? Jacy „myśliciele”? Jasne, że wszyscy myśliciele. Mogłbym nawet powiedzieć: Arystoteles. Dlaczego nie? Na pewno! A jeśli chodzi o wychowanie, można powołać się na Rousseau, który już to wszystko powiedział! Czyli, że Rousseau jest myślicielem, który na czas wpłynął... Tyle, że trzeba oprzeć się o jakąś teorię, która pozwala na akcję. A trudno przemyśleć akcję w oparciu o myślicieli sprzed 2.000 lat. Dlatego opierano się na Marksie i Bakuninie, dzisiaj na Marcuse czy na Kolakowskim”.

Dla Cohn-Bendita, faktem przykładowym który go zdeterminował jest Kronstadt, „gdzie anarchiści walczyli przeciw zgnieceniu Sowietów przez bolszewików. Dlatego jestem skrajnie anty-leninowski, jestem przeciwnikiem centralizmu demokratycznego, jestem za federalizmem, za samodzielnymi grupami sfederowanymi, które działają razem, ale zachowują zawsze swą autonomię!”

Zapytany przez dziennikarza czy nie obawia się klęski podobnej do Kronstadtu „choć mniej krwawej” Cohn-Bendit odpowiada:

„Komuna Kronstadtu została zgnieciona przez czerwoną armię. Nasz ruch również zostanie zgnieciony. Nie obawiamy się tego. Zaczniemy gdzie indziej. Inaczej. Znać to będzie, że popełniliśmy błędy... Ale to widać dopiero w akcji, w praktyce rzeczywistej”.

W rozmowie z Sartre'm (*Nouvel Observateur*, 20 maj) Cohn-Bendit okazuje się zarazem przenikliwszy i bardziej praktyczny od swego słynnego rozmówcy.

Na zapytanie Sartre'a czy rewolucja nie ugrzęźnie, czy nie zdegeneruje się w „reformizm” D.C.-B. odpowiada:

„Nie chodzi mi o metafizyczną kwestię jak zrobić „Rewolucję”... Rewolucji nie robi się tak sobie, z dnia na dzień... Myślę, że idziemy raczej w kierunku wiecznych przemian społeczeństwa wywołanych, za każdym razem, akcją rewolucyjną... Myślimy tylko usunąć pierwszą przeszkodę: mit według którego „przeciw temu reżymowi nie nie można wskórać”!

Wreszcie dwie propozycje praktyczne Cohn-Bendita, które wydają mi się zarazem osiągalne i rewolucyjne:

1. „Wszystkie restauracje, kantyny, domy itd... uniwersyteckie będą otwarte na tych samych prawach dla młodych robotników.”

2. „Co tydzień, młodzi robotnicy i czeladnicy będą mieli trzy dni powszednie, w ciągu których będą mogli uczyć się na uniwersytecie razem ze studentami”.

Prasa francuska o Cohn-Bendicie: *Humanité*: prowokator, Niemiec, i wreszcie (zadziwiające dla spadkobierców międzynarodowego ruchu rewolucyjnego): „wiemy o tym, że to indywiduum należy do międzynarodowej organizacji”. *Minute* (faszystowskie): „prowokator, Żyd”. *Figaro*: „Prowokator”.

Po decyzji, która wkrótce potem miała tak ośmieszyć rząd francuski, że Cohn-Bendit nie ma prawa powrotu do Francji, jestem świadkiem jak podczas wielotysięcznego pochodu przez Boulevard Saint-Germain w stronę Izby Deputowanych wszyscy studenci skandują: „*Nous sommes tous des Juifs Allemands!*”! Jeśli się zna podskórny antysemityzm francuskiej burżuazji, jej niechęć do cudzoziemców (*méteques*), trudno nie być do głębi wzruszonym tą wspaniałą reakcją dziewcząt i chłopców, którzy w tej chwili *chcieli* być niemieckimi Żydami. Osiemnastoletni syn moich przyjaciół, Żydów pochodzenia niemieckiego, sam urodzony we Francji, mówi mi potem ze śmiechem: „Wiesz, to było wspaniałe. Przez chwilę zapominałem, że ja krzyczę prawdę”.

Prasa notuje krzyki na manifestacji po czwartkowej mowie de Gaulle'a na Concorde i na Champs-Élysées, na której kilkaset tysięcy gaullistów i konserwatystów wszelkiego pokroju daje wyraz swej uldze: „*Les Français avec nous!*”, „*Cohn-Bendit à Berlin!*”, „*Le rouquin à Pekin!*” („rudego syna do Pekinu”) i wreszcie ohyda: „*Cohn-Bendit à Dachau!*” (co prawda, według *Monde'u*, okrzyk sporadyczny).

Trudno się dziwić, że reakcja Francuskiej Partii Komunistycznej na wypadki majowe została uwarunkowana nie tylko klasyczną dla komunistów obsesją, aby nie pozwolić na utworzenie rewolucyjnego ruchu o lewicowym odchyleniu, ale nienawiścią do Daniela Cohn-Bendita. Oto krótki scenariusz od tej strony:

1) W pierwszej fazie manifestacji studenckich *Humanité* atakuje „prowokatorów”, wylewa pomyje na Cohn-Bendita, stara się jak może, uspokajać robotników, odseparować ich od „rewolucji studenckiej”.

2) Dopiero kiedy na barykadach pojawiają się młodzi robotnicy, którzy nazajutrz po krwawej policyjnej represji na rue

Gay-Lussac spontanicznie powodują strajki w kilku fabrykach, partia komunistyczna zostaje *zmuszona* do przejęcia strajków na swoje konto. Od tej chwili C.G.T. przewodzi ruchowi strajkowemu, ale ogranicza go ściśle do platformy materialnej, wykluczając wszelkie polityczne żądania.

3) W ciągu dwóch dni od soboty 25 do poniedziałku 27 maja rano odbywa się negocjacja między rządem, patronatem i syndykatami, w ciągu której komuniści ratują całkowicie już bezsilny i sparaliżowany rząd Pompidou, podpisując układ mający zakończyć strajki.

4) Ku zdumieniu, zgrozie i przerażeniu komunistów, robotnicy Renault odmawiają zaprzestania strajku, zarzucają sekretarzowi C.G.T. Séguy, który przedstawił im dopiero co zawarty układ, zdradę ich interesów, żądają przesunięcia konfliktu na płaszczyznę polityczną. Dopiero od tej chwili komuniści, zagrożeni z kolei utratą masy robotniczej na rzecz bardziej rewolucyjnego i sprzymierzonego ze studentami syndykatu CFDT (syndykatu, który powstał jako związek zawodowy chrześcijański) zmuszeni są do podjęcia tej walki o władzę, której chcieli niemal za wszelką cenę uniknąć.

Trudno im się dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę, że każdy rząd, który by doszedł do władzy po obecnym kryzysie, musiałby stawiać czoło tym samym trudnościom. Komuniści mieliby zatem do wyboru albo zdradzić swój program, nie wycofując Francji ze Wspólnego Rynku, ratując gospodarkę francuską, zagrożoną kryzysem „klasycznymi” środkami, jakimi są dewaluacja franka, narzucenie ograniczeń w spożyciu, subwencje zagrożonym firmom tak prywatnym jak upaństwowionym, albo przeprowadzić nacjonalizację środków produkcji, doprowadzić do izolacji Francji, spowodować paniczną ucieczkę kapitału i wywołać tak nagłe i silne obniżenie poziomu życia, że niezadowolenie robotników można by tylko uśmierzyć środkami ostrej represji, co bez wspólnej granicy ze Związkiem Sowieckim i wobec przejęcia aparatu administracyjnego policyjnego i wojskowego o charakterze „burżuazyjnym” jest nie do pomyślenia. Stąd niewątpliwa ulga aparatu komunistycznego po „silnej” mowie de Gaulle’a, który paradoksalnie usunął wiszący nad karkiem partii damoklesowy miecz jej własnej władzy. Jasne, że sytuacja będzie wyglądać inaczej jeśli wybory dadzą większość gaullistom i jeśli niepopularność nieodłącznie związana z posunięciami mającymi na celu zażegnanie kryzysu spadnie na rząd prawicowy. Wówczas komuniści będą prawdopodobnie chętnymi kandydatami do władzy, gdyż w warunkach kryzysu będą mogli żądać od robotników aby pracowali więcej i żądali mniej. Dodajmy wreszcie, że Moskwa z pewnością nie dolewała oliwy do ognia. Z punktu widzenia polityki zagranicz-

nej dla Moskwy cenniejszy jest w Paryżu anty-amerykański de Gaulle od pro-sowieckiego Waldeck-Rochet’a.

Śluchając w czasie negocjacji na rue de Grenelle jak komentatorzy radiowi mówili o „niemal serdecznej atmosferze” panującej między przedstawicielami rządu i syndykatów, przypomniało mi się zakończenie „Zwierzęcego Folwarku” Orwella: kiedy zwierzęta, które wywołały rewolucję, zgromadzone przed domem z którego wygnały właściciela, patrzą przez okno jak ich szef, wieprz Napoleon, gra w karty z sąsiednimi farmerami.



Niespodziewana siła anarchicznych międzynarodowych anty-produkcyjnych haseł paryskiej „Komuny Studenckiej” jest tym bardziej paradoksalna, że wybuchała ona nagle po długim stosunkowo okresie, w którym — od lat pięćdziesiątych do wczesnych lat sześćdziesiątych — cały szereg zjawisk, takich jak rozczarowanie intelektualistów wobec marksistowskich utopii, pragmatyzm lat powojennych w Stanach Zjednoczonych i Zachodniej Europie, stopniowa erozja ideologii we Wschodniej Europie nadawała wielkiej siły przekonywującej tezie o „końcu ideologii”.

Aleksander Hertz dowiódł nielada intuicji zaczynając swe „Szkice o Ideologiach”^{*} od Maxa Stirnera. Stirner, podobnie jak Marks, wywodzi się z Feuerbacha. Ale podczas gdy Marks widział źródło alienacji we własności prywatnej, dla Stirnera alienacja człowieka wynikała z idei, którymi on żyje. Stąd bystra uwaga Herta, że „na progu ery ideologii w osobie Maxa Stirnera znalazł się człowiek, który wyczuł jej niebezpieczeństwo”. Hertz widzi nawet w Stirnerze prekursora Raymonda Arona i Daniela Bella — głównych eksponentów tezy „końca wieku ideologii”. Maj 1968 roku dowiódł zarazem słuszności tezy „końca wieku ideologii”, jak i jej ograniczonego zastosowania. Aron i Bell przypuszczali bowiem że kompromitacja ideologii, opartych na deterministyczno-woluntarystycznej interpretacji historii, doprowadzi do wygaśnięcia pasji rewolucyjnych. Tymczasem pasje rewolucyjne rozpętały tym razem chłopcy i dziewczęta z Nanterre, których bunt przypomina uderzając bunt Maxa Stirnera, odrzucającego (cytuje Aleksandra Herta) „wszystkie normy zbiorowego współżycia i wszelkie instytucje tego współżycia jako sprzeczne z jego jednością, wiążące go i niszczące jego swobodę”. Cóż z tego, że nie słyszeli oni nigdy o Stirnerze? Cóż z tego, że zdarza się im „wzywać imię Marksa nadaremno?” Rewolucja Nanterre i Sorbony, wymierzona przeciw postępowi technicznemu i materialnemu, wywodząca się z buntu przeciw „alienacji kulturalnej”

* Instytut Literacki, Biblioteka „Kultury”, Paryż, 1967.

(vide Hertz o Stirnerze str. 15) jest rewolucją a-marksistowską, rewolucją „późnych wnuków” Stirnera.

Wiem, że ze Stirnera wywodzą się anarchiści i nihiliści drugiej połowy XIX wieku — Nieczajew i ten Bakunin, na którego tak często powołuje się Daniel Cohn-Bendit. Słuchając rozmów moich paryskich przyjaciół miałem dziwne wrażenie, że wszystko to już, jakby we śnie, słyszałem. Szukając śladów tego sennego echa odczytałem „Ojców i Synów” Turgieniewa (1862). Rozmowę między Bazarowem i Pawłem Piotrowiczem streszczam z mego angielskiego wydania:

Bazarow mówi: „Działamy na zasadzie tego co wydaje nam się dobrem. Obecnie, negacja jest największym dobrem i przeczymy...”

— Wszystkiemu?

— Wszystkiemu!

— Jakto, nie tylko sztuce i poezji... ale nawet... to straszne...

— „Wszystkiemu” — odparł Bazarow z nieopisanym spokojem...

— Pozwól mi, jednak — ciągnie Paweł Piotrowicz. „Przecyzysz wszystkiemu a raczej, ściślej mówiąc, niszczyysz wszystko... Ale trzeba również budować, wiesz”.

— „To nie nasza sprawa teraz... Najpierw trzeba oczyścić grunt”.

Paweł Piotrowicz opiera się dalej: „Naród rosyjski nie jest takim jak myślisz”. Bazarow zgadza się ale „to niczego nie dowodzi”. — „Jakto niczego nie dowodzi? — odpiera przerażony Paweł — w takim razie musicie iść wbrew narodowi?” — „A co z tego jeśli tak jest” — krzyczy Bazarow. W dalszym ciągu rozmowy Bazarow tłumaczy powody swego nihilizmu: („zobaczyliśmy, że nasi wielcy ludzie, tak zwani postępowcy i reformatorzy są nie niewarci”). Wreszcie Paweł Piotrowicz mówi:

— „A więc wy tacy jesteście, młodzi tego pokolenia! Tacy są nasi następcy!”

— „Jasne, że nie możesz mnie zrozumieć — odpowiada Bazarow. Należymy do dwóch różnych pokoleń... Przyszła nasza kolej. Nasi następcy mogą nam powiedzieć: Nie jesteście z naszego pokolenia; połknijcie waszą pigułkę”.

Kiedy zapytano Bakunina jakie są jego cele i przekonania, odparł: „Nie wierzę w nic. Nie czytam niczego, myślę tylko o jednym: skrócić im karki, nie pozostawić niczego po nich!” A kiedy zapytano go dalej co by zrobił gdyby udało mu się zrealizować wszystko o czym marzył, wybuchnął: „Wtedy zacząłbym zaraz burzyć to co zbudowałem!”

Twierdziłem, że nie znają Stirnera? A przecież wśród tego zalewu napisów, afiszów na murach, które sprawiły, że w maju mówili nie tylko ludzie ale i domy, czytam tę lapidarną aluzję do Stirnerowskiego „Finzige”: „L'unique existe!”

Jeden napis, dominujący inne. Gdziekolwiek w dzielnicy łacińskiej, figurował przepis tak ściśle związany z Francją republikańską, jak popiersie Marianny: „Défense d'afficher, loi du 22

juillet 1881” zastąpiono go przez: „Défense d'Interdire, loi de mai 1968”. Wszędzie poprzez spontaniczność hasła ściennych przemawia raczej wola szczęścia, afirmacja życia, niż destrukcja: „Si vous êtes révolutionnaires, soyez gais!”; „Plus je fais la révolution, plus je veux faire l'amour”; „Je prends mes désirs pour des réalités parce que je crois à la réalité de mes désirs”. I wreszcie częstszy od innych, wyrażający może głęboki sens majowej rewolucji, wskazujący na jej związek z rewolucją surrealistów, jeden nakaz: „Créez!” — „Twórzcie!”.

Podobnie jak w Warszawie, bunt synów przeciw ojcom, nawrócił do dekabrystów. Na barykadach studenckich w Paryżu było pięcioro dzieci ministrów rządu de Gaulle'a. Tyle, że nikt za to ojców nie szantażował. W sympatii całego Paryża do rewolucji studenckiej, przynajmniej aż do chwili, gdy fala strajków przerażała burżuazję, jest element paradoksalny poczucia że „nasza policja bije nasze dzieci”. Pytanie: czy obyłoby się bez zmarłych, gdyby na barykadach byli nie studenci, a robotnicy?

Konflikty w rodzinach. Niemal każda rodzina mająca studentów na barykadach dzieli się na dwie „partie”. Co mnie najbardziej uderza: wśród moich znajomych, ojcowie są najczęściej przeciw synom, jeśli sami mają za sobą rewolucyjną młodość. Niemal wszystkie matki są za rewolucją: czyżby typ „matki Polki” był uniwersalny? Hélène, żona Iksa, który w młodości był komunistą i uczestniczył w wojnie hiszpańskiej, a który teraz zarzuca synom walczącym na barykadach hipokryzję, głupotę, frywolną pozę na lewicowość, mówi mi: „Cóż chcesz, Iks jest tak zakochany w swej własnej młodości, że nie może darować innym, że są młodzi”.

Różnorodność motywów studentów, którzy wzięli udział w walce. Syn moich przyjaciół, o skrajnie lewicowych przekonaniach, doprowadzał ich do rozpaczliwej afiszowania prowokacyjnej obojętności dla „Juda”. Ranny na barykadzie ulicy Gay-Lussac, po dwóch dniach w „koncentracyjnym” szpitalu Beaujon odpowiada rodzicom: „Dlaczego? Po prostu dlatego, że to moje pokolenie”.

Przez miesiąc cały Paryż mówił. Jakby młodzież chciała zbiorowo zadać kłam teoriom literackiej awangardy o niemożliwości wyrazu, komunikacji — o przymusie milczenia (który nie zabraniał jednak wyrażać tego milczenia słowami). Sorbona i Odéon-

Théâtre de France stały się zarazem azylem, agorą, forum — czasem na poziomie poważnych seminariów, czasem politycznych wieców, czasem narwanych przemówień na londyńskim Hyde Park Corner. Sorbona to małe miasto, i jak po ulicach miasta w dzień i w nocy huczał w jej korytarzach i na jej dziedzińcach najbardziej różnorodny tłum, na który składali się studenci i robotnicy, literaci i artyści, nocne Marki różnego pokroju, najelegantsze kobiety Paryża, które w sukniach od Diora szły koło północy „na Sorbonę”, jak w czasach normalnych do Castella, Régine czy innych *boîtes*. W każdym z amfiteatrów inna dyskusja — często przerażająco nudna i banalna, czasem na granicy wariactwa, ale zawsze prowadzona z zadziwiającym liberalizmem, jeśli się weźmie pod uwagę, że każdy obecny miał prawo do głosu i że rola „przewodniczącego” była niemal nieistotna. Na wielkich, otwartych zebraniach, wśród retorycznych potoków, przeświecały czasem ciekawe świadectwa, jak głos tego młodego robotnika, zdającego sprawę z dialogów w fabrykach: „Mówię im, tym starym, którym chodzi tylko o parę groszy więcej: „Teraz jesteś u siebie, nad naszą fabryką powiewa czerwony sztandar. Jeśli zarzucisz walkę polityczną, jeśli ulegniesz de Gaulle’owi i komunistom, będziesz miał może jeszcze trochę lepsze warunki, ale znów na starym powrozie”.

Prawdziwe dyskusje o reformach uniwersyteckich, o współpracy studentko-robotniczej, toczyły się w aneksie Sorbony, w nowym budynku mieszczącym studia socjologiczne i lingwistyczne na rue Censier.

Co z nich wyniknie nie wiadomo. Ale pierwszy raz zabrano się poważnie do przemyślenia wszystkich problemów nauczania z całkowitą wolnością, nie uznając żadnej ze struktur, żadnej z form dotychczasowych za „naturalną” czy „konieczną”. Starzy profesorowie trzymali się często z dala od tych dyskusji, ale wszyscy młodzi uczestniczyli w nich i wielu z nich uznało „odwagę wyobraźni” studentów za niezmiernie cenną.

Wielki dziedziniec Sorbony przypominał — dosłownie — targ ideologiczny. Pod każdym murem kilkadziesiąt stoisk rozdających ulotki, wydawnictwa, zbierających składki na rannych, na strajkujących. Przykład liberalizmu (czy humoru?): stoisko młodzieży komunistycznej (ortodoksyjnej) — zresztą jedno z najmniejszych — umieszczono między stoiskiem maoistów i stoiskiem trockistów.

Sorbona — azylem. Po raz pierwszy w naszych czasach przy-

kład tego czym była średniowieczna katedra. Żaden policjant nie miał (nie ma dotąd) prawa wstępu na to terytorium suwerennej (na jak długo?) młodzieży.

Paryska „rewolucja majowa” wydaje mi się ostrzeżeniem przed zbyt optymistycznym najęźszymi umysłami naszego wieku, które już widziały na horyzoncie ZIEMI OBIECANĄ racjonalizmu. Istotnie, w krótko po diagnozie „końca wieku ideologii” pojawiła się nowa forma myśli optymistycznej i racjonalnej. Podobnie jak w przeddzień roku tysięcznego zachodnie chrześcijaństwo zostało ogarnięte milenarną psychozą, w zaraniu dwutysięcznego nasze społeczeństwo wydaje się ulegać nowej formie świeckiego „bi-milenaryzmu”. Prorocy roku dwutysięcznego wydają się Janami Chrzcicielami „technekronicznego” mesjanizmu. Ta nowa forma wróżby (*forecasting, futuribles*) jest dla oczywistych powodów najsprawniejsza w dziedzinach gospodarki, technologii, nauki. Świadczy to zresztą dobrze o uczonych eksplorujących przyszłość, że niechętnie ryzykują przepowiednie na poziomie kultury i wartościowania. Tym niemniej implikacją wszystkich prac obrazujących przyszłość na podstawie racjonalnej ekstrapolacji jest, że te mniej uchwytne poziomy i dziedziny są poniekąd pochodnymi bardziej zasadniczych dziedzin jak gospodarka czy układ sił wojskowych.

Optymistyczna wizja Zbigniewa Brzezińskiego w jego niezwykle ciekawym eseju „America in the Technetronic Age” (*Encounter*, styczeń 1968) polega na założeniu, że w tym „nowym wspaniałym świecie” drobna mniejszość, złożona z polityków-intelektualistów (o pewnych cechach wspólnych z platońskimi „królami-filozofami”) będzie ciężko pracować, aby zapewnić ludzkości postęp, wygodę i spokój, podczas gdy masa ludności zadowoli się „psychedelicznymi” odpowiednikami „panem et circenses”, niczym „prolesowie” Orwella w „Roku 1984”.

Ciekawe, że paryskich wypadków *nikt* ze specjalistów studiów przyszłościowych nie przewidział. Być może, że ani stopień rozwoju gospodarczego, ani stopień potęgi wojskowej nie są w stanie zapewnić społeczeństwu stałych ram organizacyjnych, jeśli brak poczucia integracji, pewnego minimum wspólnych wartości.

Być może również, że przeżywamy po prostu konwulsje prawdziwej mutacji, jaką zapowiada zresztą Brzeziński (ale zakładając, że odbędzie się ona niemal bezboleśnie). W kolorowych starych atlasach ewolucja życia na ziemi przedstawiana była czasem w postaci przekroju jeziora wśród stromych, skalistych brzegów.

Pamiętam rybę, która „przemieniając się w płaza” drapie się mierzwiście na skalny brzeg: wyrastają jej spod brzucha przednie łapki, podczas gdy „skrzelopłuc” ciężko chwytają powietrze. Czy obecne zaburzenia świadczą o podobnym stadium w rozwoju ludzkości?

Cóż zresztą wiemy o człowieku jako o istocie zbiorowej? Mniej niż o pszczołach (u Maeterlincka), mniej niż o owadach (u Fabre'a).

Jedną z prawdopodobnych przyczyn „buntu młodzieży” jest to, że niepomiarowo przyspieszono w ostatnich latach jej wiek „dojrzwienia”, podczas gdy granica wieku „odpowiedzialności” się nie cofnęła. Dziewczyna i chłopiec współcześni czują się seksualnie wolni, uprawnieni do pełnego udziału w dobrach konsumpcyjnych w wieku lat piętnastu, podczas gdy o odpowiedzialną rolę w życiu zbiorowym trudno przed 25-tym rokiem życia. Co zrobić z tym marginesem dziesięciu lat wolnych, ale nieodpowiedzialnych?

Trudno też nie zastanowić się nad pesymistyczną tezą socjologów takich jak Gaston Bouthoul, którzy twierdzą, że jak świat światem każda specjalnie silna fala pokoleniowa (wywołana skoncentrowanym w ciągu kilku lat wysokim wzrostem demograficznym) powoduje napięcia które w „normalnych” czasach rozładowuje wojna, oraz że obecne rozprzestrzenienie wewnętrznych konfliktów i wstrząsów zawdzięczamy bombie atomowej, która wojnę „uniemożliwiła”...

Łatwo znaleźć szereg wewnętrznych sprzeczności w teoriach Daniela Cohn-Bendita i „Ruchu 22 Marca”. Główną z nich wydaje mi się ich stosunek do „społeczeństwa konsumpcyjnego”. Nigdy nie zrozumiałem jak można z „postępowych” pozycji żądać od robotników, aby się wyrzekli dóbr konsumpcyjnych w których posiadanie weszli stosunkowo niedawno, i które ułatwiły, uprzyjemniły, urozmaiciły im życie. Jestem przekonany że logiczna krytyka społeczeństwa konsumpcyjnego jest jedynie możliwa jeżeli wychodzi z przesłanek szczerze „reakcyjnych” — jak krytyka Ortegi y Gasseta. Jakikolwiek byłoby gusty kulturalne tzw. elity, wydaje mi się bezcelną z jej strony chęć pozbawienia robotników wygód i przyjemności, którymi sama się — przynajmniej jako klasa — tak długo cieszyła.

Dodajmy, że samo przymierze zawarte na początku „majowej rewolucji” między studentami i młodymi robotnikami było możliwe właśnie dzięki stosunkowo niedawnemu nadejściu we Francji „społeczeństwa konsumpcyjnego”. Jeszcze 15 lat temu młodzi

robotnicy i młodzi „burżuazy” wyglądali tu jak dwie różne rasy: można ich było odróżnić na pierwszy rzut oka po ubiorze, języku, zainteresowaniach. Dzisiaj studenci i robotnicy między 15-tym i 25-tym rokiem życia noszą te same *blue jeans*-y i kaszmirowe swetry, te same skórzane kurtki, dziewczęta wyglądają równie elegancko w tych samych mini-spódnicach czy w spodniach. Czytają oni te same „kieszonkowe” książki, śpiewają te same piosenki, mają te same tematy rozmowy. Dlatego okrzyk: „Mój bracie! Mój towarzyszu!”, tak obficie rzucany z jednej strony w drugą w ciągu tego miesiąca, nie brzmiał fałszywie. Miałby on całkiem inny wydźwięk w okresie poprzedzającym rozpowszechnienie się „zła” społeczeństwa konsumpcyjnego.

Trudno również zrozumieć jak może funkcjonować uniwersytet, mający być *jednocześnie* miejscem nauczania, formującym lekarzy, techników i fizyków, oraz polityczną agorą. Ani też jak może zapewnić absolwentom pracę, nie chcąc dopuścić ani do wstępnej pre-selekcji, ani do egzaminów.

Są to jednak ostatecznie kwestie pomniejszej wagi, gdyż znaczenie paryskiej „komuny studenckiej” polega bardziej na jej społecznej, kulturalnej, historycznej wymowie niż na zaletach i wadach jej „programu”.

Stąd, na zakończenie, kilka pytań na które chyba jedynie czas da odpowiedź.

Czy jest to ostatnia rewolucja XIX wieku, czy pierwsza rewolucja XX wieku?

Reakcja przeciw racjonalizmowi „technekronicznemu”, przeciw cywilizacji „post-przemysłowej”, czy sygnał ostrzegawczy, że mutacja człowieka zapowiadana przez proroków roku 2000-cznego nie będzie łatwa?

Ostrzeżenie, że rewolucja „post-przemysłowa” nie zmieni człowieka, tak jak nie zmieniła go rewolucja marksistowsko-leninowska, czy bunt młodzieży nieprzystosowanej do tej rewolucji, pragnącej „zatrzymać koło historii”?

Czy uprzytomnienie tego buntu pozwoli społeczeństwu „post-przemysłowemu” na zapewnienie w swych schematach miejsca dla typu ludzkiego, którego dotychczas nie chciało to nowe społeczeństwo uznać (a przez to na „irracjonalny” wymiar w każdym z nas), czy też obie te tendencje będą się nadal niemiłosiernie ścierać, uniemożliwiając nadejście nowej racjonalnej epoki?

Czy jest to bunt zasadniczo anachroniczny, bliski właściwie

krytyki „radykalnej prawicy”, odrzucający wszelkie formy przemysłowego i technologicznego postępu, czy też bunt wymierzony tylko przeciw „społeczeństwu konsumentów”, nieprzewidzianemu przez Marksa, bunt bliski post-marksistowskim teoriom Herberta Marcuse?

Zaprzeczenie też „końca wieku ideologii”, czy też forma buntu niezwiązana z ideologią opartą na globalnej, deterministyczno-woluntarystycznej interpretacji historii, której koniec zapowiedzieli Aron i Bell?

Bunt młodej idealistycznej burżuazji zachodniej, której nie wystarcza samochód, piosenka i film, czy głębsza reakcja przeciw „produktywizmowi”, któremu społeczeństwo przemysłowe, niezależnie od społecznych i politycznych form, poddało wszystkie sfery życia?

Nikt nie przewidział wybuchu „rewolucji” studentów — to prawda. Nikt z polityków, nikt z socjologów, nikt z tak licznych dziś specjalistów ruchów młodzieżowych. Istnieje natomiast dzieło literackie, będące od trzydziestu lat zapowiedzią tej rewolucji. Jest nim oczywiście dzieło Gombrowicza. Zanim odkryje tę zbieżność uczona krytyka, oto jej główne zarysy:

— Pochwała niedojrzałości, odmowa ostatecznej formy, odmowa „upupienia”, krytyka zniewalającej kultury, bra...tanie się Miętusa z parobkiem („Ferdydurke”).

— Walka Sycyzyny z Ojczyzną („Trans-Atlantyk”).

— Solidarność młodości potęgująca się w gwałcie („Porno-grafia”).

Wreszcie — „Operetka”. W ostatniej sztuce Gombrowicza, ruina książąt Himalajów, spaczona rewolucja Hufnagla są poetyckim wyrazem wypadków, które już się zdarzyły. Ale w tej sztuce opartej na historii, „zmartwychwstanie” Albertynki wyraża wiarę w potencjalną siłę młodości:

„O zbawienie!

Witaj nagości wiecznie młoda!

O, witaj zwykła, witaj nieśmiertelna

Nagości wiecznie młoda witaj!

Młodości wiecznie naga witaj!”

Trudno nie być wdzięcznym „złodziejaskom” takim jak Daniel Cohn-Bendit, pogardzonym zarówno przez Himalajów, jak przez Hufnagłów, za danie przykładu jak można uratować Albertynkę — nadzieję na życie bez maski i bez przymusu, na kulturę bez upupienia.

K. A. JELEŃSKI

Fragment z dziennika

29. III. 68

Sprzedałem za dwieście czternaście tysięcy dolarów, z przyległościami, z panoramą, z synem i mulatką. Nic nie pozostało!

3. IV. 68

Przypominam sobie, pisząc o „Złym” Tyrmanda przed laty tak zacząłem „Tyrmand! Talent!”. I dziś jest mi cenny ten poemat w kaszkiecie, wódą śmierdzący i klęską, z romantycznym księżycem nad rozdołami sterczącej przedziwnie Warszawy. Łatwe? „Kryminalne”? Popularne? Uliczne nieomal? Ależ tak! I dlatego, że ten śpiew w mordzie rozkwazanej, z dziurą od wybitych zębów, nie ogląda się na nic, nie chce być ani wyższą literaturą, ani ludową, czy proletariacką, a tylko rodzi się z trywialnego, ulicznego gustu, z *genius loci*, z wyobraźni, jak kot po tych ruderach spacerującej, dlatego, powiadam, to godne admiracji, twórcze na swój sposób dzieło. I żywotne.

Jest więc prawdopodobne, że Jeleński i inni przesadzają podejmując w stosunku do tego szczerbatego poety ton lekceważący, jakim go już w Polsce częstowano. Ze Tyrmand, wydostawszy się na swobodę, załatwia przy sposobności porachunki osobiste? Jeśli by nawet tak było, czyż każdy proces wytoczony obecnemu ustrojowi polskiemu nie jest także, nie jest przede wszystkim, porachunkiem osobistym? Poza tym cechą Tyrmanda, jak ich wszystkich, urobionych przez Polskę powojenną, jest brak krystalizacji, oni są jak płyn zmacony, który nie zdołał osiąść warstwami, ich najlepsze wartości są niejako bezbronne, bo zanadto życiem zakłócone. To może nie jest takie złe w czasach, gdy nauczy-

liśmy się zbyt dobrze wyodrębniać wartości i posługiwać się nimi. Hłasko, Tyrmand, należą do tego, najbardziej dziś może oryginalnego i największymi osobistymi trudnościami najeżonego, odłamu naszej literatury. Ja bym Tyrmandowi zezwolił wojować, czym chce i jak chce, i śledziłbym co też się ukaże w iskrach tej walki — bo jego „Życie towarzyskie i uczuciowe”, choć jest poniekąd satyrą i analizą wyszczerbionego tenora lirycznego, wprowadza przecież w rzeczywistość... w pewną rzeczywistość specyficzną, polską... i staje się niezwykle, wyjątkowo, charakterystyczna. Dlaczego? Wskutek czego nawet pewne słabości stają się tutaj siłą? Ależ dlatego, że tu czyta się jednocześnie i książkę i jej autora, autor jest „stamtąd”, jest stworzony przez to, co opisuje, związany ze swoim opisem niewidzialną pępowiną, jest wciąż synem tego, czego się wypiera — choć się oderwał, choć zwalcza. To wyciska na utworze piętno szczególnej autentyczności. Widać to najlepiej w zdankach najbardziej niewinnych, ubocznych, tych najmniej zaangażowanych politycznie, mimowolnych.

ROZMOWY Z DOMINIKIEM DE ROUX

VII. *Slub i Trans-Atlantyk*

GOMBROWICZ: — *Slub? Trans-Atlantyk?* Opowiem o nich trochę, zanim przejdziemy do mego *Dziennika*. Trochę tylko, nie dlatego żebym im miejsce podrzędne wyznaczał. Ale *Ferdynand*, *Dziennik* i *Pornografia* lepiej może wprowadzają w moje życie.

Slub zacząłem już podczas wojny. Komponował mi się zwolna i dorywczo w mojej egzystencji argentyńskiej z dnia na dzień. Wzorem był mi *Faust* i *Hamlet*, ale jako format jedynie; mnie szło o napisanie „wielkiego” i „genialnego” dramatu, powracałem myślą do tych dzieł, nabożnie w młodości czytanych. I mojej wielkiej ambicji towarzyszyła jakaś chytrłość, chytre domniemanie, że łatwiej napisać dzieło „wielkie”, niż „dobre”. Genialność wydawała mi się łatwiejsza...

Dlatego? *Slub*, jak wszystkie moje utwory zwrócone przeciw formie, jest parodią formy, parodią genialnego dramatu. Czyż jednak parodiując genialność nie dałoby się przemycić odrobinę własnej genialności? Taka kontrabanda...

Ukazać ludzkość w jej przejściu od Kościoła Boskiego do Kościoła Ludzkiego. Ale ta idea nie była dana mojemu utworowi od samego początku, ja na scenę rzuciłem naprzód garść wizji, załączków, sytuacji, i powoli, kulawo, to mnie prowadziło do owej idei. Jeszcze w połowie drugiego aktu nie wiedziałem o co mi chodzi. A to kulawe, jakby pijane, czy senne, czy szalone, two-

zenie się mojej Missa Solemnis z napięć formy, z jej związków, kombinacji, rymów, rytmów wewnętrznych, wydawało mi się odpowiednikiem stwarzania się Historii, która też posuwa się naprzód, jak pijana i senna.

Zdarzyło mi się wtedy, gdym pisał:

WŁADZIO Nic.

HENRYK Nic.

OJCIEC Przeinaczone.

MATKA Wykręcone.

WŁADZIO Zrujnowane.

HENRYK Wypaczone.

... że rozplakałem się nagle, jak dziecko — jedyny to raz zdarzyło mi się coś podobnego — nerwy, oczywiście. Gorzko łkałem i łzy kapały na papier. Nie sama poufna, dotycząca moich prywatnych katastrof, zawartość tych słów wypełniła mnie taką rozpaczą, a to, że one tak gładko padały, rytm ich i rym poczułem jak kolec nie znający litości, łkałem przerażony wewnętrzną składnością nieszczęścia. Po czym przestałem łkać i powróciłem do pisania.

ROUX: — Jakie były dzieje *Slubu*?

G.: — Przetłumaczyłem go na hiszpański przy pomocy mego przyjaciela Aleksandra Russovicha i dzięki pomocy Cecylii Debenedetti, oraz Stanisława Odyńca, został wydany w Buenos Aires. Nie został zauważony przez sfery artystyczne tej stolicy. W 1963-im zainteresował się nim Jerzy Lavelli, młody argentyński reżyser przebywający w Paryżu. Wystawił go w Théâtre Récamier i ta świetna inscenizacja stała się początkiem jego szybkiej kariery, jako reżysera. Potem *Slub* znalazł innego wielkiego reżysera w osobie Alfa Sjöberga, który wprowadził go na deski Królewskiego Teatru Dramatycznego w Sztokholmie. Sjöberg włożył ogromną pracę i zapal w opracowanie *Slubu*, a też potem *Iwony*, i obie sztuki odniosły wielki sukces. Trzecia realizacja *Slubu* na wielką skalę miała miejsce w Schiller-Theater, w Berlinie, gdzie po premierze naliczono pięćdziesiąt jeden *rideaux*. To znów winienem reżyserowi Ernestowi Schröderowi i świetnemu zespołowi aktorów. Niestety, tak się złożyło, że żadnego z tych przedstawień widzieć nie mogłem. W ogóle nie byłem w teatrze od trzydziestu lat co najmniej, piszę sztuki, ale do teatru nie chodzę... sam nie wiem dlaczego... z lenistwa...

R.: — Jak pan umieszcza swoje sztuki wobec teatru Becketta i Ionesco?

G.: — Ja ich nie umieszczam. Umieszczają je krytycy. Kiedy *Iwona* i *Slub* startowały w Paryżu pisano, że to „teatr absurdu

Becketta i Ionesco". Ale *Iwona* to rok 1936, a *Ślub* 1946, kiedy jeszcze o tych autorach nikt nic nie słyszał. Poza tym mój teatr nie jest absurdalny.

Tak, *Ślub*, jest i senny i pijany i szalony, ja sam nie umiałbym odczytać go w całości, tyle tu mroku. I ma rację reżyser, który pozwala tej sfinksowej formie kształtować się dowolnie, ryczeć, szaleć, dbając jedynie o jakąś prawie muzyczną jedność tego ceremoniału. Mimo to jednak *Ślub* ma akcję, która trzyma się kupy, i nie ma powodu aby ona nie została udostępniona widzowi. Chciałbym, Dominiku, aby te nasze rozmowy mogły stać się czymś w rodzaju przewodnika po moich utworach, więc opowiem, co *Ślub* opowiada. Może z tego jaki reżyser skorzysta.



Co Ślub opowiada. — *Ślub* jest snem. Snem Henryka, żołnierza polskiego podczas ostatniej wojny, gdzieś we Francji, w wojsku francuskim, walczącego z Niemcami. W tym śnie dochodzą do głosu lęki Henryka o rodzinę, pozostawioną w Polsce, ale też niepokoje bardziej zasadnicze człowieka współczesnego na przełomie epok.

Ukazuje się Henrykowi jego dom rodzinny w Polsce, rodzice i naręczona, Mania. Dom jest spodlony, zamieniony w karczmę. Mania jest służącą, dziewczką karczemną. Ojciec jest karczmarzem.

Ojciec, prześladowany jest przez pijaków. Ale oto następuje kluczowa scena, w której Ojciec broniąc swej człowieczej godności przed atakującymi go pijakami woła, że jest „nietykalny”.

„Nietykalny, jak król”, wołają szyderczo pijacy.

I wtedy Henryk we śnie oddaje hołd ojcu i ojciec przemienia mu się w króla. Ojciec-król nie tylko podnosi Henryka do godności księcia, ale i przyrzeka że mocą swej władzy królewskiej nakaze mu dać ślub „godny”, kościelny, który Manię, tę dziewczkę karczemną, uczyni z powrotem czystą i nieskalaną... jak dawniej.

Na tym kończy się akt pierwszy. Godność ludzka — zdawałoby się — jest uratowana.

W akcie drugim odbywają się przygotowania do owego „godnego” sakramentu ślubnego, którego ma udzielić biskup. Ale tu spostrzegamy, że w sen Henryka zaczynają wdzierać się wątpliwości. Cały ten obrządek ślubny zaczyna coraz bardziej chwiać się, jakby zagrożony przez Głupotę — jakby on, Henryk, całą duszą po stronie mądrości, godności, czystości, nie ufał sobie...

Przywódca pijaków znów wdziera się na salę, pijany jak bela!

Dochodzi już prawie do bezpośredniej walki pomiędzy nim, a Henrykiem, gdy nagle (jak to zdarza się we śnie) scena przekształca się w przyjęcie dworskie. Pijak staje się ambasaderem wrogiego mocarstwa, namawia Henryka do zdrady.

„Zdradź ojca swego, króla” — oto co mniej więcej mówi pijak — „wszak biskup, król, kościół, Bóg, to stare przesady. Sam ogłoś się władcą, a wtedy żaden boski, ani inny, autorytet ci nie potrzebny, sam dasz sobie ślub i zmusisz wszystkich żeby go uznali i żeby uznali Manię za nieskalaną, tobie poślubioną”.

To klucz do metafory *Ślubu*. Przejście od świata, opartego na boskim autorytecie, boskim i ojcowskim, do nowego, w którym wola jego, Henryka, ma być boską wolą stwarzającą... jak wola Hitlera, Stalina.

Henryk ulega namowie pijaka. Obala ojca-króla. Sam staje się władcą.

Ale wtedy następuje scena, w której pijak prosi Władzia, przyjaciela Henryka, aby kwiat nad głowę Mani trzymał; i naraz kwiat usuwa, pozostawiając ich w tej sztucznej pozycji, już nieuzasadnionej kwiatem. I Henrykowi nasuwa się okropne podejrzenie, że Mania... z Władziem...

„Kapłanie-świnio, ty połączyłeś ich niższym, okropnym ślubem!” — wybucha.

Koniec aktu drugiego.

W akcie trzecim Henryk jest dyktatorem, wszystkich pognębił nie wyłączając rodziców. I znów przygotowuje się ceremonia ślubu, ale bezbożnego, mającego sankcję jedynie w jego absolutnej władzy.

Czuje wszakże, że jego władza nie będzie rzeczywista, póki nie zostanie potwierdzona dobrowolną ofiarą czyjejś krwi. Dlatego domaga się od Władzia aby się zabił dobrowolnie dla niego. To uspokoi jego zazdrość, a jednocześnie uczyni go dość potężnym i przerażającym aby urzeczywistnić ślub... i Manię jako „nieskalaną” (a także by urzeczywistnić sen... o co walczy od początku). Władzio się zgadza.

W ostatniej scenie Władzio się zabija. Ale Henryk załamuje się i cofa w przerażeniu przed swoim czynem. Ślub nie zostanie urzeczywistniony.



G.: — Taka jest ta historia. Próbuje ona odmalować lęki i zgrozy człowieka wobec świata nadchodzącego, w którym on sam sobie będzie Bogiem i panem. „Boskość” Henryka dokonuje się poprzez opanowanie innych ludzi, jak boskość Hitlera.

W *Slubie* dają się dostrzec mechanizmy nowoczesnego stawiania się człowieka i ludzkości. Nieustanna obecność Formy na scenie jest *spiritus movens* dramatu. Człowiek mówi coś i przystosowuje się do tego, co powiedział. Jedno słowo rodzi drugie. Jedna scena drugą. Nieustanna konieczność organizowania rzeczywistości w jakiś kształt doręczny przyświeca temu stwarzaniu się dramatu na scenie.

A ten, którego porywają wiry tworzącej się Formy, ciągle jest w śmiertelnej rozterce: czy to na serio? Czy to Mądrość? Czy Głupota? Czy rzeczywistość, czy sen?

Pomówmy teraz o *Trans-Atlantyku*.

R.: — Przede wszystkim trzeba by zaprotestować przeciw przemianianiu pańskiego *Trans-Atlantyku* na „*Transatlantyk*”, co się często zdarza w prasie.

G.: — Mój *Trans-Atlantyk* to nie statek, a coś jak „poprzez Atlantyk”. Powieść zwrócona z Argentyny ku Polsce.

Zawsze mnie śmieszy ten *Trans-Atlantyk*... rozfiglowany, sklebotyczny, barokowy, absurdalny, w stylu gawędziarskim sprzed stu lat, ale zmieszany z innymi gatunkami słowa, nieraz ze słowami przeze mnie wymyślonymi...

Najmniej znana z moich powieści, bo te harce językowe nie łatwe do przełożenia.

Nie ukazał się jeszcze we Francji. Po krótko o nim opowiem.

Zakończenie wojny nie przyniosło Polakom wyzwolenia, tam, w tej przesmutnej środkowo-wschodniej Europie, stało się ono wymianą jednej nocy na drugą, wymianą zbirów Hitlera na zbirów Stalina. Gdy w kawiarniach paryskich rozmaite szlachetne duchy witały radosnym pieniem „wydobycie się ludu polskiego z feudalnego ucisku”, w Polsce po prostu ten sam zapalony papieros przechodził z ręki do ręki by przypiekać nadal człowieczą skórę. Przyglądałem się temu z Argentyny, przechadzając się po Avenida Costanera. Słowo „dość już”, które chyba musiało się rodzić na ustach każdego Polaka, zaczęło domagać się we mnie konkretnych rozwiązań. Jeśli Polska, wskutek swojego położenia geograficznego i swojej historii, była skazana na wieczyste rozszarpywanie, czy nie dałoby się zmienić czegoś w nas samych, w Polakach, aby uratować nasze człowieczeństwo?

Niezależnie od potwornej brutalności tych faktów, coś innego mnie niepokoiło... fałsz, który temu towarzyszył, jakaś zgrywa... Jedną z tajemnic Formy jest, iż nie wiadomo jak i dlaczego w stosunku do pewnych zjawisk, pewnych ludzi, narodów, urabia się jakiś rodzaj odczuwania wyjątkowo fałszywy, niemądry, i gatunek frazeologii wręcz nieznosny. Gdy w Polsce skóra skwierczała i wybijano zęby, świat oddawał się nadal na nasz temat deklamacji o „polskim romantyzmie” i „polskim idealizmie”, recytowano

komunały o „Polsce męczennicy”, albo mówiono o nas z niechęcią, z tępym lekceważeniem i z tępym politowaniem. Widywałem w kinach, w Buenos Aires, Polaków na siwych koniach ze wzrokiem płomiennym, szarżujących... Więc nie dość, że ludziom tam twarze rozbijano pięściami, jeszcze im na szerokim i cywilizowanym świecie tę rozwaloną twarz ośmieszano?

To wydawało mi się wówczas groźniejsze bodaj od samej kłeski i samego bólu; ten symptom był niepokojący. Jak się mówi, że ten i ów ma „złą prasę”, tak o Polsce można by powiedzieć, że ma „złą poezję” (i ileż razy, czytając o sobie później w gazetach europejskich, lub amerykańskich, wyławiałem ten sam kiepski banał, który dostawał mi się jako Polakowi, jakby o nas nie można było pisać zwyczajnie). Kto tu zawinił? Pewien anachronizm, właściwy Polakom? Lenistwo duchowo-umysłowe Zachodu, szukające najtańszych frazesów? Coś niedobrego, coś spaczzonego, było w naszym stosunku ze światem i ja, artysta, poniekąd czułem się odpowiedzialny za tę fatalną „legendę polską” i czułem że trzeba z tym jakoś skończyć... ale jak? Nie wierzę w skuteczność drobnych poprawek, łatań, ostrożnych ulepszeń, w tych materiach artystycznych trzeba zdobyć się na skok, nagłą, radykalną, zmianę od podstaw. Jaką? Polacy będąc narodem najbardziej uwikłanym w mrzonkę, iluzję, frazes, legendę, deklamację, byli też najbliżsi rzeczywistości *in crudo, sans phrases*, tej co łamie kości. To był atut do wyzyskania. Najostrzejszy realizm, to jedynie mogło nas wyciągnąć z bagna naszej „legendy”. Wierzę w moc oczyszczającą rzeczywistości.

Potrzebna tu była rzeczywistość, nie jakaś wtórna, nie „polska”, ale ta najbardziej fundamentalna, po prostu człowiecza. Wydobyc Polaka z Polski, żeby stał się po prostu człowiekiem. Czyli zrobić z Polaka anty-Polaka.

R.: — Myśl nie nowa w panu, bo przecież już pisząc *Ferdurke* głowił się pan nad czymś podobnym.

G.: — Ta sama myśl. Zawsze to samo. Dystans do formy. W tym wypadku — do formy narodowej.

Czy to była myśl ekscentryczna w naszych warunkach, na samym dnie katastrofy, myśl nieprzytomna prawie, czy to był program ponad siły polskiej elity umysłowej (i chyba jakiegokolwiek innej elity narodowej)? Nie brałem tego zupełnie pod uwagę. Najdziwsza myśl, raz wypowiedziana, cywilizuje się stokroć szybciej, niżby mogło się zdawać. Wiedziałem, że Polak dojrzał do zmiany, że ma dość, że nie chce być, jaki jest, że chce być inny. Wiedziałem o tym z całą pewnością wbrew wszystkiemu, co oni — Polacy — mogli głosić o sobie tym swoim językiem, odziedziczonym z przeszłości. To mi wystarczało. A druga rzecz, wie

pan, to iż u mnie program nie wyprzedza utworu, ale jawi się zawsze *ex post*... Ja po prostu siadłem i zacząłem pisać... i napisałem... ale akurat coś wręcz odwrotnego temu co by napisać wypadało. Zamiast powagi — śmiech, głupstwo, igraszka, zabawa!

R.: — Sublimacja na opak. Jakie mogły być racje tej tragicznej przekory? Zdarza się takie ukrywanie prowokacji w niewinnym na pozór figielku. Ale tutaj nie co innego, jak właśnie rozfiglowanie pańskiego *Trans-Atlantyku* musiało być największą prowokacją. To jak wybuch śmiechu podczas pogrzebu.

G.: — Nieprzyzwoite, co? Mnie samego to dziwi... w najczarniejszym momencie naszej historii, kiedy Requiem raczej należało śpiewać... Może jednak to wyraz mojej dumy narodowej? Znowu sprzeczność. Bo, wie pan, wielu moich rodaków uważa mnie za pisarza bardzo, wyjątkowo, polskiego — więc ja jestem jednocześnie jak się okazuje, bardzo antypolski i bardzo polski — i może dlatego tak polski, że tak antypolski, gdyż polskość urzeczywistnia się we mnie bez premedytacji, swobodnie, o tyle, o ile jest moja koniecznością.

Wcale nie zdziwiłbym się, gdyby ten humor wisielczy był, mimowolnym prawie, wyrazem polskiej dumy i swobody.

A także... Pan wie, jak ja się boję wszelkiego nauczania, przewodnictwa duchowego... Nie chcę żeby uczono się ode mnie, jak od profesora, chcę uczyć sobą, własnym życiem, twórczością, na mnie niech się uczą, a nie ode mnie. Więc cały mój „program” zawierał się przede wszystkim w tonie, w stylu, w tym moim bezczelnym roześmianiu się w nos tragedii, w bezceremonialnym podejściu do tysiącletnich świętości. Literatura to nie szkółka niedzielna, to stwarzanie w słowie faktu dokonanego. Ktoś zaczyna o czymś mówić w inny sposób — to jest ważne.

Niech pan posłucha, jakie przekleństwo ciskam na Polskę: „*A płyńcież wy, płyńcież, rodacy do Narodu swego! Do Narodu swego świętego, chyba przekłętogo! Płyńcież do Stwora tego św. Ciemnego, co od wieków zdycha, a zdechnąć nie może! Płyńcież, płyńcież, żeby on wam ani Żyć, ani Zdechnąć, nie pozwalał, a na zawsze między Bytem i Niebytem trzymał! Płyńcież do Szaleńca, Wariata waszego... żeby on was szalami swymi męczył, dręczył, dzieci wasze, żony, na śmierć, na skazanie, sam konając w konaniu swoim...*”

Wystarczy. Za coś takiego można pobić... i wychodząc z Banco Polaco, po urzędowaniu, rozglądałem się nieznacznie, gdyż kolonia polska w Buenos Aires jest liczna i skora do czynu.

Nikt mnie nie pobił, moje przekleństwa miały błazeński strój.

R.: — Dzięki któremu mógł pan przeszwarcować sporą ilość dynamitu.

G.: — Jakimż wariactwem był ten *Trans-Atlantyk*! Pod każdym względem! Gdy pomyślę, że coś takiego napisałem, ja, wyrzucony na brzeg amerykański, bez grosza, zapomniany od Boga i ludzi! Przecież w moim położeniu trzeba było pisać na gwałt coś nadającego się do przetłumaczenia i wydania w obcych językach. Albo, jeśli już dla Polaków, to niech by przynajmniej nie obrażało uczuć narodowych. A ja zdobyłem się na ten szczyt niepojętości, że sfabrykowałem powieść i niedostępną dla obcych w powodu trudności językowych i prowokującą emigrację polską, jedyne środowisko, na którego pomoc mogłem liczyć.

Oto co się zdarza, gdy w najczarniejszej degrengoladzie własnej i narodowej pisze się jednak i mimo wszystko dla przyjemności. Na jakież luksusy pozwalałem sobie w mojej nędzy!

R.: — I ten utwór został jednak wydany po polsku?

G.: — Tak, co przynosi zaszczyt paryskiej *Kulturze*, miesięcznikowi, który mnie drukował. Zastosowano środki ostrożności. Józef Wittlin, wybitny i cieszący się wielkim poważaniem pisarz polski na emigracji, zgodził się napisać przedmowę i pod skrzydłami tego autorytetu *Trans-Atlantyk* wypłynął na wody polskiej literatury. Przełknięto jakoś. Nikt nie wziął tych cudactw za nadto na serio. Dynamit nie został dostrzeżony.

R.: — Jaka jest akcja w *Trans-Atlantyku*?

G.: — U mnie akcja to coś ubocznego, to tylko pretekst. Opowiadałem staroświecko-gawędziarską prozą, jak to w przeddzień wojny w Argentynie wylądowałem, jak wybuch wojny tam mnie złapał.

Ja, Gombrowicz, zawieram znajomość z „puto” (pedek) zakochanym w młodym Polaku, i okoliczności czynią mnie arbitrem sytuacji: mogę pchnąć młodzieńca w objęcia pederasty, lub sprawić, by przy ojcu został, zacnym i honorowym majorze polskim starej daty.

Pchnąć go w objęcia tego „puto”, to wydać zboczeniu, zepchnąć na bezdroża, w odmet dowolności, w bezgraniczność anormalności.

Wydrzeć go pederastie i przywrócić ojcu, to utrzymać go w dotychczasowej, tradycyjnej, bogobojnej postawie polskiej.

Co wybrać? Wierność przeszłości... czy wolność dowolnego stwarzania się? Przykuć do dawnego kształtu... czy dać swobodę i niech robi ze sobą co chce! Niech sam się stwarza!

Dylemat kończący się w powieści wybuchem powszechnego śmiechu, który i tę formę — dylematu — przewycięża.

Jeszcze jedna konfidencja. Już panu mówiłem, że pisząc *Słub* zapatrzyony byłem w *Hamleta* i w *Fausta*. Otóż *Trans-Atlantyk*

rodził mi się poniekąd jako *Pan Tadeusz à rebours*. Ten poemat Mickiewicza, też na emigracji pisany sto lat temu z górą, arcydzieło naszej narodowej poezji, jest afirmacją polskości z tęsknoty poczętą. W *Trans-Atlantyku* pragnąłem przeciwstawić się Mickiewiczowi. Jak pan widzi, zawsze urządzam się tak by tworzyć w dobrym towarzystwie!

7. IV. 68

Wylałem kompot.

Witold GOMBROWICZ

ALEKSANDER WAT CIEMNE ŚWIECIDŁO

Poezje zebrane
Okładka Jana Lebensteina
Stron 244.

CENA: We Francji Frs. 20,00
W Anglii Sh. 30/-
W USA i innych krajach \$ 4,25

Książka do nabycia we wszystkich
polskich księgarniach lub u Wydawcy:
LIBELLA
12, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ÎLE-PARIS IV

Warszawski week-end

Obudziłem się z piekielnym bólem głowy. Reminiscencja wczorajszej zaprawki u Wyczóły. Była dziesiąta, słoneczna majowa sobota. Starzy w robocie. Dzień bez wykładów. Cisza jest przerywana od czasu do czasu ćwiczeniami Pitra zza ściany. Robi palcówki przed dzisiejszym graniem na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Trzeba będzie ich kiedyś odwiedzić.

Wstałem — dwa jajka-oczka na boczkach i z gazetami do wanny. Życie — młodości, *Przegląd Sportowy* — cholera Legia znowu umoczyła, sam Kici gry nie robi, kolumna Waschki w *Sztandarze* czyli jak się umiejętnie leje wodę.

Telefon.

— Serwus, tu Kajetan z Ateneum.

— No, się masz, co słychać w wielkim świecie?

— Wyrabia się normę jak się daje, co może być więcej? Słuchaj, Gruby mam singla w piątym rzędzie na dzisiaj. Wpadniesz?

— O'key będę parę minut po siódmej.

Wróciłem do wanny. Na podłodze pozostały mokre plamy. Mówiłem Starej żeby załatwiła telefon w łazience. Znowu będą grymasy i psioczenia. Dzień zapowiadał się pracowicie, ale i podniecająco. Najpierw trzeba odwiedzić Szwajcarską.

Niebieski golf i gang ze złotymi guzikami, „śliwki”.

Pod apteką na placu koło Gajewskiego spotkałem Miccia. Był strasznie zmartwiony. Dostał wczoraj na Lesznie trójkę w zawieszeniu za handel lekarstwami.

— Gruby, z czego ja będę teraz żył?

— Wstąp do ORMO, braciszku — poradziłem mu.

Znając Miccia wiedziałem, że sobie nie da zrobić krzywdy. Wziąłem trolejbus 53 do CDTu.

Szwajcarska była w komplecie. Azylek, Jurek, Amerykanin, Lalek no i oczywiście Szeryfowa. Łańcuszki, naszyjniki i kolczyki to była branza Lalka. Poszedłem z nim do Kmiecia, który ma sklepik na Chmielnej. Kmieć jak zwykle najpierw ponarzekał na podatki, na domiary, potem na towar ale w końcu przyjął i wypłacił wcale nie najgorzej. Stowa dla Lalka, dwie dla mnie, reszta jest Pipka. Zgodnie z rytuałem obciągnęliśmy bełta na placyku. Na małą czarną wróciliśmy do kafei.

— Gruby mam mały romansik do Ciebie — zaczął Jurek.

— No wal prosto z mostu, tylko bez kitu, o'key?

— Potrzebuję dwie dobre młodzieżówki, wiesz takie co się kręcą po *Hybrydach*, ale jeszcze nie przeszły przez kocioł.

— Wiesz, że to będzie trudne, a poza tym do jakiego układu są ci potrzebne?

— Stara robi prywat na moje urodziny pod warunkiem, że będzie porządne towarzyszo. Wiesz jaka jest moja Stara — wyjaśnił Jurek.

O tak, wszyscy znaliśmy panią Sabinę, matkę Jurka. Miała sklepik z futrami w pawilonach na Świętokrzyskiej. Marzyła o znalezieniu dobrej panny dla Jurka. Wierzyła, że ślub go ustatkuje. A czas nagiął. To miały być jego trzydzieste urodziny.

— Pogadam z chłopcami, może coś się wyrobi. Zadzwoni do mnie druga trzydziści — odpowiedziałem.

Robiło się późno. Na rogu Nowego Świata i Alei wziąłem osiemnastkę do Ronda. W połowie Francuskiej usłyszałem: Gruby. Krzysiek na Lambrecie podjechał do krawężnika.

— Się masz, witam na Kępie. Co to kurtuazyjna wizyta czy byznes?

— Jedno i drugie, lepiej podrzuć mnie do Pipka — odpowiedziałem.

W ogródkach tłumy. Kępa szykowała się na sobotę wieczór. Ciekaw byłem u kogo dzisiaj SASKA KĘPA SOCIETY bawi się.

Dojechaliśmy do Wałów.

— Dzięki, kłaniaj się ode mnie SOCIETY — podziękowałem Krzyskowi.

— Hej Gruby, co ty dzisiaj nie przychodzisz do Majki? Dzisiaj jest jej pożegnalny balet, dwudniowy.

— Nie wiem jeszcze, być może — odpowiedziałem.

Nic nie wiedziałem o żadnym balecie, choć należało go się w tych dniach spodziewać. Majka wyjeżdżała do rodziny do Francji, na dwa lata.

Pipek jeszcze leżał w łóżku. Babcia mi wytłumaczyła, że wrócił wczoraj bardzo późno. Uczył się u Wyczoty. Nie wiedziała tylko, że była to normalna zaprawka z pokerkiem. Tzw. *relax evening* przed sesją.

— Pipek, wstawaj, dzień się pięknie zapowiada.

— Spokojnie, tylko spokój i ciacki mogą nas uratować. Gdzie ciacki? — denerwował się Pipek.

— Mam ze sobą półtora patyka, w porządku? — odpowiedziałem.

To go poderwało z łóżka. Wrzucił na siebie wyjściowy gang. Co równało się powiedzeniu: wracam jutro rano, nie martwcie się. W drzwiach Babcia:

— Pipciu, uważaj na siebie, tylko się nie przezięb. A masz pieniądze?

— Nie za dużo, gdyby Babcia była tak dobra i dała parę groszy.

Pipek zaliczył stowę więcej.

Na pętli wzięliśmy taryfę. Przy Mokotowskiej Pipek kazał się zatrzymać.

— Niech Pan chwilkę poczeka, musimy odebrać buty u szewca — powiedział Pipek.

Był to jego stary chwyt. Brama przy której zatrzymaliśmy się była przechodnia z zakładem szewskim wewnątrz. Wyszliśmy na Marszałkowską, następnie do Waryńskiego gdzie mieszkałem. Po drodze Pipek zanotował sobie numer taryfy. Była to już czwarta strona jego kalendarzyka.

Plamy mimo, że woda już wyparowała świeciły pełnym blaskiem. Cóż, a mówiłem...

Zrobiliśmy kilka telefonów. Pipek ustawił dwie rasowe młodzieżówki dla Jurka na wieczór. Iżę-Łapka i Jolę-Kawaler. Czekaliśmy na telefon Jurka grając w canastę. Złotego za punkt końcowy.

— Tak słucham, proszę chwileczkę poczekać — Pipek odebrał telefon i powiedział: Gruby to do Ciebie, wygląda na pannę z Opery.

— Słucham, Gruby przy telefonie.

— Ach, tu Maja z Kępy. Jak się czuje mój brzuszec, Grubasku?

— Wal prosto, o co chodzi — uciąłem krótko.

— Wiesz robię małe, skromne przyjęcie o jedenastej u mnie w willi, chciałabym cię zobaczyć przed wyjazdem. Weź ze sobą chłopców, oczywiście.

— Dzięki za pamięć, ale nie wiem czy się wyrobię z czasem.

— Ależ Brutalu mam chatę do dyspozycji całą niedzielę do ósmej wieczór. Wiesz Starzy w Jadwisinie. A poza tym będzie kilku zagraniczników. Proszę, wpadnij — kusiła Majka.

— No, już dobrze, wpadniemy gdzieś nad ranem.

— Ale przyrzeknij mi...

— Powiedziałem, że wpadniemy to znaczy że wpadniemy, wystarczy — przerwałem jej telefoniczne słodzenie.

Pipek, który przysłuchiwał się rozmowie, tarzał się teraz ze śmiechu.

— Czego się, idioto tak cieszysz, nie znasz Majki?

— Właśnie dlatego że znam to tak się cieszę że ją odwiedzę — odpowiedział Pipek.

Majka mieszkała w alei Wyzwolenia. Willa na Kępie należała do jej Starych, którzy siedzieli na placówce w Rumunii. W związku z tym Majka raz na miesiąc dawała *party*, które my nazywaliśmy orgia-balet. Majka знаła większość dziennikarzy zachodnich akredytowanych w Warszawie. Nasza znajomość z nią datowała się od ubiegłorocznych Targów. Jak by nie było *weekend* zapowiadał się więcej niż obiecująco.

— Cholera, kiedy ja się nauczę tej cholernej chemii na poniedziałek — martwił się Pipek.

— Głowa do góry, ja mam anatomię o ósmej w poniedziałek a jeszcze do niej nie zajrzałem — pocieszyłem go.

Jurek zadzwonił. Pipek umówił się z nim na szóstą trzydziestki w *Bolerze* na MDMie. Było już późno. Więc pogналиśmy na plac Unii Lubelskiej ile sił w nogach. Pipek jeszcze nie odkrył w tej okolicy żadnej bramy przechodniej. Ciągłe powtarzał: Niech cię głowa o to nie boli, pracuje się nad tym.

Autobus „S” na Służewiec. Ciasno, duszno ale podniecająco. Jechaliśmy na wyścigi konne. Wszyscy dyskutowali piątą gonitwę. Czy Melnicki załatwi Rumuna na Xanthe? A może Konieczny pomiesza im szyki na Orestesie. Byłem spokojny. Babcia powinna znać układy.

Pod siedemdziesiątą siódmą kasą, naszym punktem zbornym, chłopcy ustalali trzecią gonitwę. Długi, Gienio-Frajer i Wojtaszek. Poszedłem odszukać Babcie.

— Jak zdrowko Babciu? — zapytałem.

— Dobrze, dobrze Synku, graj sześć, osiem i piątkę z dołu, ale pamiętaj o Orestesie — odpowiedziała Babcia.

— Gra Babcia ze mną do spóły piątkę z dołu? — zapytałem.

— Masz pięć dych, tylko kup co ci mówiłam, Synku — odpowiedziała Babcia.

Zagrałem czwartą gonitwę do spóły z Długim. Umoczyliśmy. Ten sezon zaczął się bez wygranej. To było już... a nie ważne. Piąta gonitwa musi być nasza. Pipek zajął już pozycję przy setkowych na Głównej. Gieniek wrócił od Wyplat. Zaliczył triple. Odgrywał się za ubiegłoroczny sezon. Tylko Wojtaszek od dwóch sezonów nie umoczył. Był całkiem dobrze na plusie. Jego brat był stajennym w Mosznie. To wyjaśniało wiele. Zaczął

się ruch przy kasach. Zupełne szaleństwo. Poszliśmy spokojnie obejrzeć konie na padoku. Wszystko było w porządku. Słży według numeracji. Nic zatem nie zapowiadało zmyły. Wróciliśmy do kasy. Ludzie brali dosłownie wszystko, każdą możliwą kombinację. My czekaliśmy na cynk Pipka z głównych trybun.

— Minuta do zamknięcia kas — zapowiedział spiker.

Wreszcie jest Pipek. Sześć — osiem porządek, jedynek z dołu.

Wojtaszek wziął dla nas trzy porządki sześć — osiem i trzy razy siódmkę z dołu.

W drodze na trybuny wypiliśmy po setce z korniszonem. Zaczynało być gorąco. Dzwonek zamknął kasy dla piątej, głównej gonitwy tej soboty. Zdążyliśmy. Usadowiliśmy się wygodnie przy płocie.

— Cholera, ty idioto, co ty wziął — poderwał się Długi.

— Zamknij się żłobie, chcesz wygrać to siedź cicho na dupie

— spokojnie odpowiedział Wojtaszek.

— Czegoś wziął siódmkę, przecież Pipek cynkował jedynekę — grymasił Długi.

— Nie odpowiada Hrabemu, to bierz swoje dychy i zmyj się z horyzontu — uciął krótko Wojtaszek.

— Rebiata zamknijcie się, konie na starcie — wmieszałem się w ich dyskusję. Znałem trochę Wojtaszka i wiedziałem że się nie pomylił. Miał tę końską intuicję popartą bratem-stajennym.

Bomba w górę. Poszły.

„Patrz Pan co on go tak trzyma”. „Cholera co się dzieje z czwórka”.

„To sukinsyn, ten Konieczny”. „Dawaj piątka”. „Panie gdzie moja szóstka?”

Konie weszły na przeciwną prostą.

„Dawaj Melnicki”. „Co on śpi ten Rumun”. „Nie daj się Xanthe”. „Co z moją Dwójką”.

Konie na ostatniej prostej.

„Dawaj Piątka”. „O Jezu, gdzie moja Czwórka”. „Daaawaaa Dwójka”.

Konie na celowniku.

„Panie, to cholery złodzieje, widział Pan co oni zrobili z Piątką na wirazu?” „Normalnie, Góra znowu ułożyła gonitwę”. „Więcej tu moja noga nie stanie”. „To cholery, gorsi złodzieje niż Gomulka”.

— Gonitwa szósta rozpocznie się z dziesięciominutowym opóźnieniem. Wynik gonitwy piątej zostanie podany po odczytaniu foto — zapowiedział bezbarwnym głosem spiker.

Nie odzywaliśmy się. Podświadomie czuliśmy dużą forę. To nas paraliżowało. Foto była naszą nadzieją. Przy kasach pustki.

Służewiec czekał na spikera z odczytanym z foto wynikiem. Nagle Wojtaszek nie wytrzymał. Wstał i ustawił się pod wypłatami.

— Porządek sześć — osiem, osiem — sześć; wypłata tysiąc trzysta pięć złotych. Koń numer siedem; wypłata dwieście dwa złote — zapowiedział spiker.

Wojtaszek był pierwszy przy kasie wypłat. Miał „końską” intuicję. Uczuliśmy wygraną setką z korniszonem. Każdy ruszył w swoje. Gienio — Frajer do Stodoły. Wojtaszek na chatę. Długi na Starówkę. Pipek do Bolera.

Pożegnałem Babcię, która oczywiście została na koniach. Umówiliśmy się na przyszłą sobotę. Taryfą do chaty. Była szósta trzydzieści. Przynic, udko kurczaka, wyjściowy gang, biała Melka z krawatem.

„Wypastuj podłogę, bądź grzeczny, pamiętaj o anatomii w poniedziałek, Rodzice”.

Na schodkach przed Ateneum czekał Kajetan. Szły *Jabłonie Osieckiej*.

— Serwus, jak leci — zapytałem.

— Dobrze, bez zmył. Pożyczysz mi chłopców na środę? Wiesz jak jest. O tak wiedziałem jak jest. Wiedziałem też jak moi chłopcy, Mały i Jaś pomagali Kajetanowi w rozgrywkach bridge'owych. Przyrzekłem mu Małego i Jasia. Tłum gęstniał. Wymięte marynarki, nie prasowane od lat spodnie. Przetarte sztruksy. Przepecone koszule. Szare twarze. Zakurzone buty. Krawaty na gumkę. Zmęczone makijaże.

Dzwonek. Usiedliśmy. Szelesty czekoladek 22 Lipca d. E. Wędel przybierały na sile. Pierwsze poszukiwania wygodnej pozycji dla zmęczonego ciała. W powietrzu ścierały się: smary z Zerania z czekoladkami; naftalina z kalką do pisania; lawenda z przepeconymi skarpetkami. Kurtyna poszła w górę. Automatycznie dotknąłem wygranej ze Służewca. Ela robiła „Rebekę” cieplej, Władek patrzył jej w oczy. Wrócili do siebie. Przerwa. Trzydziestego dziewiątego Sporta i Oranżadę; Sezamki z małą czarną; duże jasne z pączkiem; brzęki monet i szelest banknotów. Sobotnich. Dzwonek. Powrót. Światła. Szelesty, poszukiwania, powietrze bez zmian. Może bardziej śpiące.

Krysia-Traktorzystka. Chłopięco-męskie marzenia. Ach, ta Krysia-Traktorzystka.

Koniec. Brawa. Kurtyna. Brawa. Kurtyna. Brawa. Kurtyna. Wyścig do szatni. Spacerkiem na Most Poniatowskiego. Pod Klubem Prasy czekałem na chłopców. Po głowie ciągle chodziła mi Krysia-Traktorzystka.

Rozkołysani hybrydowym wino-piwem Jaś, Mały i Pipek dotarli do Klubu. Była dziesiąta trzydzieści. Rozpoczęliśmy co

miesięczne tour de Knapa *Kameralna*. W dziennej dyrektorowie i zwykli urzędnicy na delegacjach w otoczeniu sekretarek i pań. Również na delegacjach. W nocnej niezastąpiony tandem w barze. Pan Józef i Pan Edward. Nocna *Kamera* dopiero się napełniała. Prywatnej inicjatywy karakuły, złote sygnety, lamy i nylony. Galluxowe garnitutki opuszczonych. Ciuchowe kreacje antylop i bezimienne ubrania agentów. Kilka hybrydowych twarzy. Scotch był Pipka, gin z grapem był mój, martini były Jasia i Małego. Wypiliśmy i w drogę. Nowy Świat przeszedł w ręce „spacerujących” antylop. Pod Europą podzieliliśmy się. Jaś z Pipkiem do *Bristolu*. Mały ze mną do *Kamieniolomów*. Pan Władysław w barze z Panem Zygmuntem z górki. Niecodzienny układ.

— Co za układ, Panowie — zapytałem.

— Grzegorz zachorował, nie było zastępstwa, wiesz jak jest — odpowiedział Pan Zygmunt nalewając nasze drinki. Pamiętał o swoich klientach. To się nazywa wykwinna obsługa. Towar był podniecający. Szwajcarzy i Holendrzy przeważali. Ginęli co chwila w dolarowochciwych objęciach antylop Eda i Pani Ewy. Nad sałatkami śledziowymi i pół litrem kiwali się biedni krajanie odziani w Modę Polską. W kącie kelnerzy wynosili Andrzeja. Buzował już od miesiąca. Ewa powiedziała mu: *c'est fini, mon chéri*. Współczuliśmy mu. Szczególnie Mały i ja. Byliśmy w podobnej sytuacji. Joanna. Przestrzegając niepisanych zasad gościnności na tym rewirze, mogliśmy tylko marzyć o byzniesie. Chłopcy Eda pilnowali dobrze, a z nimi byliśmy bez szans. Wrzuciliśmy drugą kolejkę drinków.

Pod Mickiewiczem Ciocia-Kwieciarka udowadniała Jasiowi i Pipce jak to modelowała wczoraj Panom Artystom z Akademii. Uwierzyliśmy. Z gracją rasowej modelki wręczyła nam po bukiecie fiołków. Została naszą sobotnią dziewczyną. Joanno, gdzie jesteś?

Taryfą pod *Krokodyla*.

— Panie, gdzie milicja — krzyczała młoda panna made in Targówek.

W hallu tłumek gęstniał. Rozpoznaliśmy w nim towarzyszo ze Służewca.

— Ty chamie, oddaj dwa patyki — zabierał się do bitki Wyższy.

— Spadnij, ch... — bronił się Niższy.

Zrobiło się ciśnień, cieplej, pierwsze odgłosy ciosów.

— Gruby, spływamy. Pod *Zdrowiem* za kwadrans — wyszeptał Mały.

— Co się stało — zapytałem pod *Zdrowiem* Małego. Byliśmy w komplecie.

— Pamiętasz tego Niższego, o'key. Stałem za nim, gdy ścisnął moją rękę. Poczułem w niej jakieś papierki. W chwilę później doszło do mnie, że to muszą być te dwa patyki które zwinął Wyższemu — dokończył Mały.

— Mali zawsze się odnajdą — zażartował Pipek.

Mały zatrzymał dla siebie patyka, resztę podzieliliśmy między nas trzech. Wykreśliliśmy z dzisiejszego *tour'u* Polonię i Grand. Postanowiliśmy odwiedzić Majkę.

Willa tonęła w ciemnościach. Weszliśmy.

— Się mata rebiata, barek jest w piwnicy, żarcie w lodówce, panny na górce ale musicie czekać na swoją kolejkę. Dans jest na parterze, nie blokujcie siusiaka, jak któryś jedzie do rygi niech się stara zdążyć do ogródka — wyrecytował jednym tchem Rosław.

— Gdzie jest Majka?

— Jest zajęta, ale się nie łam twoja kolej przyjdzie — odezwał się Johnny.

Rozgościliśmy się. Schaby, szynki, polędvice, serki szwajcarskie w lodówce. Scotch, Gin, Martini, Rum, Rizlingi w piwnicy.

Pipek zasiadł do pokera z Johnnym, Markiem i Claudem. Mały starał się postawić na nogi Mariolę i zmusić ją do tańca. Rosław poszedł na górkę odrobić swoją kolejkę. Z kim? Postanowiliśmy z Jasiem zrobić mały przegląd towarzysza. W sypialni na parterze Krzysiek z Dalką. Następny był Jerzy. Na schodach wiodących na górkę spała Oleńka. Zagraliśmy szybkiego marynarza. Jaś wygrał. Zostałem sam. Dwa pokoje były zamknięte. Z dochodzących odgłosów zorientowałem się że oba pracują na pełnych obrotach. W trzecim Komik udawał w pijanym widzie Maryli bezsens życia, bezsens miłości. Zawsze miał filozoficzne ciagoty. Na balkonie Henio z Markiem oglądali gwiazdy. Na drzwiach wiodących na strych wisiła kartka. „Bądź cierpliwy, Twoja kolej przyjdzie wnet. Majka”. Wróciłem do piwnicy, do barku. Willa się kochała. Rozpiąłem kołnierzyk Melki. Po trzecim ginie wrócił obraz Joanny. Jej miękkie, ciemne włosy. Jej mądre oczy. Jej szlachetny nos. Jej pełne usta. Jej podniecająca szyja. Jej namiętne piersi. Ona. Jej smukłe nogi. Jej pewne stopy. Patrzyłem na nią. Na odwrocie dedykacja: „Ze wszystkich pereł Azji, Jam najpiękniejsza, Jam gejsza”. Jej głos. Muszę go usłyszeć. Telefon. Joanno, ja... — straciłem głos.

— Słucham Cię — to był jej głos. Głos który kochałem, który siedział we mnie.

— Ja kocham... — zgubiłem się.

— Uczysz się?

— Ja, nie.

Położyła słuchawkę. Wróciłem do ginu. Joanno, dlaczego? Ocknąłem się w taryfie. Było słoneczne niedzielne popołudnie. Głowę miałem pełną od oparów ginu. Na ich dnie kołatało się: Joanno!

Poniedziałek

— Proszę się lepiej przygotować do sesji poprawkowej — powiedział Profesor.

Joanno, dlaczego?

Maciej GRUBY

GRYF-KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

Wyłączne przedstawicielstwo na Wielką Brytanię

KULTURY

i wydawnictw INSTYTUTU LITERACKIEGO (Paryż)

KSIĘGARNIA S.P.K.

- jest zaopatrzona w książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojezystych,
- jest składem głównym (na prawach wyłączności):

GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO
W WIELKIEJ BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,

- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres: 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

U w a g a : Przy przysyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

Wiersze

Ks. Bonifacy MIAZEK

SZKIC DO WIERSZA

Pod obcym latawcem nieba
zrozumiałem
dlaczego ludzie uśmiechają się do siebie o zmierzchu
dlaczego stara kobieta grzebie w śmietniku
dlaczego świętych zamykamy w klatkach kościołów
jak drogocenne papugi
dlaczego chleb spod kryształowych świeczników
jest gorzki
że wolność jest wartością wymienną
że człowiek jest gotowy na każde świństwo tak samo
jak na każde poświęcenie
że samotność pije
lubi milczące kobiety albo chłopców
że pierścień z ametystem chwali ręce twarde i zimne
że miłość sprzedawana nocą
nie zawsze jest kamieniem rzuconym w Boga
że chory człowiek jest tylko sam
i skazany na siebie

Pod obcym niebem
zrozumiałem dlaczego Lechoń
zakończył emigracyjny wiersz na nowojorskiej ulicy

ROZMYŚLANIE

Idziemy przed i ponad pamięcią
poklejeni zmęczeniem w językach wąwozów
lata łamią nam czoła
wargi pieką głodem niesiemy patos błaznów
złym wiatrom po drogach
i jak gliniane dzbany w których stare wino
szczelinami rozpaczy ocieka powoli
nie ma dnia nie ma nocy
nagle zapadamy aż po wysokość serca
wiatr otwiera pola
morze odchodzi z brzegów przed piaskiem i dalej
czarne kadłuby statków rozwożą w zatoki

Nagle porty żdziwienia
dni zielono-trwałe tam imiona tam miasta
jak świerkowy wieniec
i pole garncarzowe krwawi srebrnikami
po cóż było uciekać w połowie zdumienia
ziemia woła i widzisz
już zapach wieczoru
gładzi trawę cieniami drzew idących długo
odłóż pamięć w tych cieniach
wychłódź nadzieje i połóż nas cicho
między zapomnienie
w miejscu przed i ponad pamięcią

ZAPIS WIOSENNY

Księdzu Kan. Paulowi Nieużyłe

Słoneczny majster na dachach
ostatni promień powtarza
rzeką
wierzby w srebrzystych skargach

Potem
Wiedź jak ciepłe zwierzę
w światłach się wytarza
i zaśnie
z Dunajem przy wargach

Szukałem Boga
muzyczny gotyk i złoto kapiące z ołtarzy
mówiło mi
że jest On inny niż ja
ale nie wiem jaki i nie wiem gdzie

Dlatego szukałem Boga
pośród ludzi
brałem do rąk ich serca i tzy
patrzyłem
jak powoli zamieniają się w żmije
ścąc jadłem i składając ręce

Szukałem Boga
wiedząc że Go tutaj nie spotkam
pomimo wszystko szukałem w pocie czoła
aż mi zdziwienie odebrało pamięć

GAŁĄZ JABŁONI

Zimą siadają tutaj gołębie pełne zmierzchu
przemieszane dokładnie z fioletem co spada
gdy języki lasów chwycą słońce
i rozgniotą w wielkie jezioro

Wiosną
na wełnistym nalocie
jak krople na klawiszach fortepianu
dźwięczy kwiat i gałąź podnosi się ku niebu
promiennym zielonym palcem

Tutaj o późnej porze
przystaje zakurzony Wielki Wóz
dzwonią dzwoneczki tonem który poznam
pod gałęzią
w jej treści wyniosłej i prostej

ks. Bonifacy MIĄZEK

Obserwatorium

Słowo sprawiedliwe i śmiałe

Pisząc z okazji procesu Ginzburga, Gałanskowa i Łaskowej o „nieprzerwanej walce Rosjan o wolność, nieprzerwanej w najstraszniejszych nawet latach rewolucji i ucisku totalitarnego”, eseista włoski Nicola Chiaromonte podkreśla że „ta walka opierała się i opiera na wierze w słowo, której towarzyszy wola porozumienia się za wszelką cenę z innymi”. Grigorij Swirskij wygłosił 16 stycznia na zebraniu moskiewskiej organizacji partyjnej Związku Pisarzy długie przemówienie na temat cenzury, za które wkrótce potem został wydalony z partii.

„Najgroźniejszym wrogiem Gławlitu — powiedział m.in. Swirskij — stało się przyzywanie słowa prawdy. Oto świeży przykład, z listopada 1967 roku. W gruzińskim wydaniu almanachu *Dzień poezji*, w wierszu bardzo utalentowanego poety gruzińskiego Michaiła Kwiliwдзе, cenzura skreśliła kategorycznie strofę końcową:

*Wszystko będzie odplacone, i Dobro i Zło...
Wystarczy słowo,
Jedno słowo sprawiedliwe i śmiałe,
By okupić całe życie.*

Ileż trzeba nienawiści do prawdy, by zakazać wydrukowania tych czterech linijek!”.

Wraz z tekstem przemówienia Swirskiego przemycano ostatnio z Rosji całą serię dokumentów, głównie listów protestujących przeciw skazaniu Ginzburga, Gałanskowa i Łaskowej. „Słowo sprawiedliwe i śmiałe”, ścigane i tępione z „nienawiścią do prawdy” przez cenzora, znajduje w nich azyl tymczasowy. „Wiara w słowo, której towarzyszy wola porozumienia się za wszelką cenę z innymi”, nie przestaje być wypróbowaną od czasów *Listów filozoficznych* Czaadajewa bronią w „nieprzerwanej walce Rosjan o wolność”.

Serię rozpoczyna list Larissy Bogoraz-Daniel i Pawła Litwinowa *Do opinii publicznej świata*, datowany 11 stycznia i wzywający do składania dalszych podpisów.

„Zwracamy się do opinii publicznej świata, w pierwszym rzędzie do sowieckiej. Zwracamy się do wszystkich, którzy mają jeszcze sumienie i dość śmiałości. Domagajcie się publicznego potępienia procesu i ukarania odpowiedzialnych za jego zorganizowanie... Obywatele naszego kraju! Ten proces okrywa hańbą nasze państwo i jest plamą na sumieniu każdego z nas. Sami wybraliśmy ten sąd i tych sędziów, żądajcie pozbawienia ich uprawnień z których zrobili zły użytek. Zagrożony jest dziś nie tylko los trojga pod sądnych, proces przeciw nim nie jest ani trochę lepszy od znakomitych procesów lat trzydziestych, które przyniosły nam wszystkim tyle wstydu i zalały nas takimi potokami krwi, że do tej pory nie możemy się z nich w pełni otrząsnąć. Przekazujemy nasz apel do zachodniej prasy postępowej, prosimy o jak najszybsze opublikowanie go i nadanie przez radio; nie zwracamy się do gazet sowieckich, byłoby to bezcelowe”.

Bezpośrednim odzewem na apel Larisy Daniel i Pawła Litwinowa był list zaadresowany do naczelnego prokuratora ZSSR Rudienki i do Sądu Najwyższego RSFSR, z kopiami dla Podgornego, Kosygina i Breżniewa. Uderza w nim lista sygnatariuszy: przeszło dwieście podpisów pracowników naukowych, inżynierów, lekarzy, literatów, dziennikarzy, nauczycieli, urzędników, studentów. Spory też jest wachlarz miejsc zamieszkania sygnatariuszy: prócz najliczniej reprezentowanej Moskwy, Leningrad, Charków, Kaliningrad, Swierdłowski, Magadan, centrum atomowe w Dubnie.

Do redaktora naczelnego *Izwestji*, na znak protestu przeciw artykułowi atakującemu skazańców, skierowany jest list W. M. Woronina z Arzamasu. Kończy się tak:

„Jako obywatel RSFSR, w której imieniu wydano haniebny wyrok, protestuję przeciw temu wyrokowi i przeciw tej sądowej farsie jaką odegrano w Moskwie. Żądam natychmiastowego, jawnego i bezstronnego, powtórnego rozpatrzenia sprawy w obecności szerokiej publiczności i korespondentów zagranicznych. Żądam publicznego osądzenia praktyki rozpraw sądowych przy drzwiach zamkniętych i ukarania winnych naruszenia wymiaru sprawiedliwości. Żądam przywrócenia prawdy i sprawiedliwości”.

List otwarty do Pawła Litwinowa napisała grupa dwudziestu czterech uczniów i uczennic szkół średnich w Moskwie:

„Dziękujemy Wam i Larisie Daniel za śmiały i uczciwy list. Jesteśmy wstrząśnięci procesem do głębi duszy, rozumiemy do czego mogą doprowadzić milczenie i obojętność. Przejrzeliśmy dwa lata temu, kiedy skazano Siniawskiego i Daniela, zrozumielśmy krzyczącą niesprawiedliwość naszych organów władzy... Nasi dziadkowie i ojcowie byli rozstrzeliwani, umierali w łagrach, poznali wszystkie okropności stalinowskiej reakcji. Wyobraźmy sobie jak ciężko jest żyć w atmosferze milczenia i strachu. Dlatego myśląc pokolenie lat sześćdziesiątych wzywa wszystkich uczciwych ludzi do poparcia dwójga śmiałości i do składania podpisów pod naszym listem. Kto wybierze milczenie popełni zbrodnię wobec sumienia i wobec Rosji. A płaci ona za to drogo krwią swoich najrozumniejszych i najbardziej utalentowanych synów —

od Osipa Mandelsztama do Aleksandra Ginzburga. Jesteśmy za tym by drukowano wiersze Brodskiego, powieści Remizowa i Zamiatina, poezje późnego Mandelsztama, prozę Pasternaka. Jesteśmy za tym by zwolniono Siniawskiego i Daniela... Nie możemy milczeć, gdy dokoła panoszą się tyle demagogii, gazetowego kłamstwa i zdrady. Żal nam tylko naszych rodziców. Prosimy o nadanie tego listu, by usłyszeli go nasi podobnie myślący rówieśnicy, by sprawiedliwie zdecydowano o losach pisarzy”.

W *Liście otwartym do towarzysza*, wysłanym do przyjaciół i do redakcji *Sowieckoj Kultury*, reżyser Sziffers pisze:

„Muszę wiedzieć (wiedzieć by żyć) czy moja ojczyzna zdaje sobie sprawę z tego bezprawia, czy też jak w niedalekiej przeszłości sądzi nieświadomie swoje dzieci. A jeśli tak, jeśli ojczyzna wie i milczy, to chciałbym ją prosić o przyłączenie mnie do sprawy niewinnych osądzonych. Ten krok wydaje mi się naturalny, odczuwam więc zakłopotanie kładąc jako pierwszy mój podpis”.

Siedemdziesiąt osiem podpisów widnieje pod listem do prokuratora Rudienki i do Sądu Najwyższego ZSSR z końca stycznia i początku lutego: większość stanowią znowu pracownicy uniwersyteccy, literaci i artyści (często partyjni), ale tym razem nie brak również robotników. Czymś w rodzaju dyplomatycznej koncesji „prawniczej” jest w tym liście lekkomyślny argument, że skoro oskarżeni działali jawnie i nie ukrywając swych prawdziwych nazwisk, jawność procesu powinna być elementarnym minimum przysługującym im ze strony sądu. Nie trudno odgadnąć o co chodzi: Ginzburga i Gałanskowa wypadało sądzić inaczej niż Terca i Arzaka. I takie jednak postawienie sprawy złagodzone jest na szczęście dwuznacznikiem: „Ginzburg i Gałanskow starali się uczynić godnym jawności to, co zwykle się świądomie zatajać”.

Na szczególną uwagę i obszerniejsze przytoczenie zasługuje list do Susłowa pióra I. A. Jachimowicza, członka partii, przewodniczącego kołchozu w Łotewskiej SSR:

„Odświeżyliśmy pięćdziesięciolecie, chlubiśmy się ogromnymi osiągnięciami naukowymi i gospodarczymi, i oto sami, gdy Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłasza rok 1968 Rokiem Obrony Praw Człowieka, dajemy do rąk wrogom komunizmu atuty przeciw nam. Absurd! Byliśmy kiedyś nędzy, głodni, wynędzniali, a przecież zwyciężyliśmy bo na pierwszy plan wysunęliśmy uwolnienie człowieka od bezprawia i deptania jego godności. I możemy teraz wszystko zaprzepaścić, posiadając rakiety i bomby wodoro-
we, jeśli zapomnimy skąd się wzięła wielka socjalistyczna Rewolucja Październikowa. Od czasów Radiszczewa sąd nad pisarzami był zawsze w oczach ludzi myślących nikczemnością. Co sobie myśleli nasi domorośli działacze, zatykając usta Sołżenicynowi, wygłupiając się z Wozniesińskim, „karząc” katorgą Siniawskiego i Daniela, wpłatając KGB w awantury z „wewnętrznyimi wrogami”? Nie wolno podkopywać zaufania mas do partii, nie wolno narażać honoru państwa, nawet jeśli jakimś tam działaczowi zachciało się skończyć w ciągu sześciu miesięcy z *samizdatem* (tak określa się w Rosji powielanie i kolportowanie utworów, które nie mogą liczyć na druk). *Zniszczyć samizdat* można tylko w jeden sposób: rozwijaniem

praw demokratycznych a nie ich kurczeniem, przestrzeganiem Konstytucji a nie jej naruszaniem, stosowaniem w praktyce Deklaracji Praw Człowieka (podpisanej w imieniu naszego państwa przez Wyszyńskiego) a nie jej przemilczaniem. Nawiasem mówiąc, zdaje się że paragraf 20 tej Deklaracji głosi: 'Każdy człowiek ma prawo do wolności myśli, sumienia i religii. Każdy człowiek ma prawo do własnych przekonań i do ich swobodnego wyrażania. To prawo obejmuje wolność trwania bez przeszkód przy swoich przekonaniach i wolność poszukiwania, otrzymywania i rozprzestrzeniania informacji wszelkimi środkami i niezależnie od granic państwowych'. Paragraf 125 naszej Konstytucji znacie doskonale, nie warto go cytować. Chciałbym tylko przypomnieć myśl Lenina o tym, że 'jest nam potrzebna pełna i prawdziwa informacja, a prawda nie powinna zależeć od pytania komu ona służy'. Jestem zdania że prześladowanie inaczej myślącej młodzieży w kraju, gdzie przeszło 50 % ludności ma poniżej trzydziestu lat, to skrajnie niebezpieczna linia i awanturnictwo. Nie potakiewiczze, nie pochlebcy, nie maminsynki będą stanowić o drogach naszej przyszłości, ale właśnie *buntownicy* jako najbardziej energiczni, męzni i wierni zasadom materialnego pokolenia. Głupota jest widzieć w nich przeciwników sowieckiej władzy, arcygłupota gnoić ich w więzieniach i znęcać się nad nimi. Dla partii taka linia równoznaczna jest z samouduszeniem, biada nam jeśli nie potrafimy znaleźć wspólnego języka z tą młodzieżą. Założy ona nieuchronnie nową partię. Poczytajcie trochę historię, a przekonacie się o tym. Nie można idei zabić ani kulami, ani więzieniami, ani zsyłkami. Kto tego nie pojmuje, ten nie jest politykiem, ten nie jest marksistą... Niech *Nowy Mir* znowu drukuje utwory Sołżenicyna, niech sobie Sieriebriakowa wydaje w ZSSR swój *Smiercz* a Jewgenia Ginzburg swój *Krutoj marszrut* — i tak to przecież ludzie znają i czytają, po co grzechy ukrywać. Mieszkam na prowincji, gdzie na jeden zelektryfikowany dom przypada dziesięć nieelektryfikowanych, gdzie zimą autobusy nie mogą się przedrzeć przez zasypany śniegiem, gdzie poczta nie dochodzi całymi tygodniami, jeśli więc i do nas docierają szeroko informacje, to możecie sobie wyobrazić coście narobili, jakście posiali nasiona w całym kraju. Mieście odwagę naprawić popełnione błędy, dopóki nie wmiszali się w tę sprawę robotnicy i chłopcy".

Bracia Wachtin, pisarz Boris i biolog Jurij, w liście do Sądu Najwyższego ZSSR z kopiami do Politbiura KC i do Prezydium Rady Najwyższej:

"Straciliśmy ojca w latach masowych represji stalinowskich. Zrehabilitowano go pośmiertnie. Nie możemy się pogodzić z myślą, że te potworności jakie nasz naród przeżył w strasznych czasach bezprawia i zezwierzęcenia mogłyby się teraz powtórzyć w małym choćby stopniu. Nasz kraj, któremu poświęciliśmy życie i siły, przeszedł przez niezliczone cierpienia w wojnach, rewolucjach i walkach bratobójczych. I jednym z najstraszniejszych cierpień było bezprawie, wyniszczające duchowe i fizyczne rezerwy naszego społeczeństwa. Nie możemy się pogodzić z nowym bezprawiem, gdyż nasze życie i nasza praca straciłyby sens i zamieniłyby się w zwykłą egzystencję biologiczną. Domagamy się ponownego rozpatrzenia spraw Siniańskiego i Daniela, Gałanskowa, Ginzburga, Dobrowolskiego i Łaskowej, sprawy Bukowskiego, sprawy Ogurcowa i innych".

Warto wymienić wszystkich dwunastu sygnatariuszy listu połączono do Prezydium Zgromadzenia Doradczego partii komunistycznych w Budapeszcie, nadanego w Moskwie 24 lutego (kopia do KC partii sowieckiej): Aleksiej Kostierin, pisarz; Larissa Bo-

goraz, filolog; Paweł Litwinow, fizyk; Zamira Asanowa, lekarka i wybitna działaczka tatarska; Piotr Jakir, historyk i syn generała Jakira rozstrzelanego w roku 1937; Wiktor Krasin, ekonomista; Ilja Gabaj, nauczyciel; Boris Kragin, filozof; Anatolij Lewitin (Krasnow), pop i pisarz cerkiewny; Julij Kim, nauczyciel; Jurij Głazow, językoznawca; Piotr Grigorienko, inżynier-konstruktor i generał w stanie spoczynku (o Kostierinie wiadomo dodatkowo, że jest członkiem partii od roku 1916 i że przesiedział trzy lata w więzieniach carskich i siedemnaście lat w łagrach stalinowskich). List Dwunastu zawiera kilka nowych akcentów:

"Uważamy za nasz obowiązek stwierdzić że w łagrach i w więzieniach znajduje się wiele tysięcy więźniów politycznych, o których prawie nikt nie wie. Więzi ich się w nieludzkich warunkach pracy przymusowej, pół-zagłodzonych i zdanych na łaskę i niełaskę administracji. Po odbyciu wyroku poddaje ich się prześladowaniom pozasądowym i często przeciwnym prawu: mają ograniczony wybór miejsc zamieszkania i przebywają pod nadzorem administracyjnym, który wolnego człowieka stawia w sytuacji zesłańca. Zwracamy też naszą uwagę na fakty dyskryminacji małych narodów i polityczne prześladowanie ludzi walczących o równouprawnienie narodowe, co z wyjątkową jaskrawością widać w wypadku krymskich Tatarów".

Trzej podpisani pod Listem Dwunastu — Gabaj, Kim i Jakir — przygotowali również elaborat w formie odezwy *Do pracowników nauki, kultury i sztuki w ZSSR*. Jego głównym tematem jest groźba restauracji stalinizmu w Rosji. W końcowych partiach czytamy:

"Próby walki z tak zwanym *samizdatem* — literaturą nielegalną — skazane są na niepowodzenie. Gdyby w literaturze rosyjskiej nie było *samizdata*, stracilibyśmy powieść Radiszczewa, *Mędremu biada* Gribojedowa, *liczne wiersze* Puszkina. I w naszej epoce troskliwy stosunek grupy czytelników do słowa niewydanego doniesie do lepszych czasów autentyczną myśl w twórczości naszych współczesnych. Tymczasowi faworyci nie są w stanie temu przeszkodzić: odchodzą w niebyt, a poezja Achmatowej zawojowuje pokolenie za pokoleniem... Rozumiemy: znajdujecie się w takim położeniu, że spełnienie obowiązku obywatelskiego jest z waszej strony za każdym razem aktem męstwa. Ale przecież nie ma także wyboru: albo męstwo albo tchórzliwe uczestnictwo w brudnych sprawach, albo ryzyko albo stanie w jednym szeregu z Wasiliewem i Kedriną... Chcemy niewiele: aby nasza społeczność miała *moralne prawo* protestować przeciw sześciomiesięcznemu więzieniu Teodorakisa".

"Doszło do naszej wiadomości, że wybitny sowiecki matematyk, znany specjalista w dziedzinie logiki matematycznej, Aleksander Siergiejewicz Jesienin-Wolpin, został przemocą, bez uprzedniego badania lekarskiego, bez wiedzy i zgody rodziny, osadzony w szpitalu psychiatrycznym Nr 5, stacja Stółbowa w odległości 70 kilometrów od Moskwy. Osadzenie przemocą w szpitalu dla ciężko chorych psychicznie utalentowanego i w pełni zdolnego do pracy matematyka i warunki w jakich się tam siłą rzeczy musiał znaleźć rozstrajają jego psychikę, podkopują jego zdrowie i poniżają jego godność ludzką".

Tak brzmi początek listu z 9 marca do Ministra Ochrony Zdrowia ZSSR i do Naczelnego Prokuratora ZSSR, z kopią dla Naczelnego Psychiatry miasta Moskwy. Podpisało go dziewięćdziesięciu dziewięciu wybitnych matematyków, w tym kilkunastu członków Akademii Nauk ZSSR i laureatów najwyższych państwowych nagród naukowych. Jesienina-Wolpina (syna poety) odstawiono pod strażą do szpitala psychiatrycznego w Stołbowoj za udział w demonstracji przeciw wyrokowi skazującemu Ginzburga i Gałanskowa.

Serię dokumentów zamykają trzy listy młodego pisarza i tłumacza, J. W. Malcewa. W pierwszym, wysłanym 15 marca 1966 roku do Podgornego, Malcew żąda się obywatelstwa sowieckiego i prosi o zezwolenie na wyjazd z Rosji, motywując swoją prośbę brakiem warunków do swobodnej i niezależnej pracy literackiej. Drugi, z 22 lipca 1966 roku i także do Podgornego, jest pokwitowaniem odpowiedzi odmownej: „Zawiadomiono mnie że będę dalej siłą przetrzymywany w tym kraju, i że w dalszym ciągu mam się przymusowo uważać za obywatela ZSSR... Możecie obrócić mnie w niewolnika, i zrobiliście to już, ale nie możecie zmusić mnie siłą do pozostania obywatelem waszego kraju... Powtarzam wam, że nie czuję się więcej obywatelem ZSSR. Pogodźcie się w końcu z tym faktem, gdyż zamierzam żyć i postępować zgodnie z moją decyzją”. I wreszcie w liście do U Thanta z 5 lutego 1968 roku Malcew żąda od ONZ interwencji w swojej sprawie, powołując się na odnośne paragrafy podpisanej także przez ZSSR Deklaracji Praw Człowieka, które głoszą że „każdy człowiek ma prawo opuścić jakikolwiek kraj łącznie z własnym” i że „nikt nie może być siłą pozbawiony prawa zmiany swego obywatelstwa”. *Casus* Malcewa przypomina głośny list Zamiatina do Stalina z roku 1931: „Nie ukrywam — pisał w tym liście Zamiatin — że główną przyczyną mojej prośby o zezwolenie na wyjazd wraz z żoną zagranicę jest położenie bez wyjścia, w jakim znajduję się tutaj jako pisarz; wyrok śmierci, wydany na mnie w Rosji jako na pisarza”.

Dossier „słowa sprawiedliwego i śmiałego” nasuwa dwie refleksje. Siniawski i Daniel ustanowili w Rosji *standard* moralny postępowania, który ich następcy starają się za wszelką cenę utrzymać. Opozycji tak odważnej, tak świadomej swojej nowej siły i swoich celów, nie uda się już uciszyć tymi półśrodkami represji i zastraszenia jakimi dysponują spakobiercy Stalina.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Oskarżeni i oskarżyciele

Sięgnięcie przez komunistów w Polsce po tradycyjną czarnoseciną broń antysemityzmu w walce o utrzymanie się przy władzy wywołało reakcję łańcuchową, w której jeden obłęd ciągnie za sobą drugi. Publicyści Gomułki i Moczara oskarżają „syjonistów” o wszelkie możliwe zbrodnie. „Syjoniści” i ich kiepsko poinformowani rzecznicy oskarżają globalnie Polaków o wszelkie możliwe zbrodnie. Pan Roman Halter na przykład, odpowiadając Edwardowi Raczynskiemu na łamach londyńskiego *Observera* z 5 maja, wzywa czytelników by „pamiętali że Powstanie Warszawskie było powstaniem getta” i zapewnia ich że „to nie dzięki pokoleniu hr. Raczynskiego czy jego kolegów z rządu ocalał jeden procent z sześciu milionów Żydów”.

Na tym tle uderza apel do trzeźwości i opamiętania się zawarty w liście do *New York Timesa* pióra profesora Aleksandra Schenkera, językoznawcy z Yale University:

„Artykuł wstępny NYT z 19 kwietnia, napisany z okazji 25 rocznicy powstania w getcie warszawskim, daje słusznie wyraz oburzeniu w obliczu antysemitycznego i (należałoby dodać) antyliberalnego i antyintelektualnego charakteru obecnej rozgrywki partyjnej w Polsce. W dwóch jednak miejscach zaniepokoił mnie jego ton faryzejski. Autor artykułu pisze, że „podczas agonii getta warszawskiego mieszkańcy otaczającego je miasta żyli mniej lub więcej normalnie; nie wybuchło powstanie powszechne, nie podjęto większego wysiłku by przyjąć z pomocą walczącym rozpaczliwie przeciw hitlerowcom”. To oskarżenie brzmi pusto w ustach tych którzy byli tak tragicznie bezradni, by nie powiedzieć beczynni, gdy zaledwie w rok po bohaterskiej walce getta ludność Warszawy powstała przeciw Niemcom i w ciągu paru miesięcy samotnej walki oglądała swe miasto obracane w kupę gruzów: w ustach tych, którzy — gdy dymiły jeszcze ruiny Warszawy — nie uczynili nic by zapobiec brzemieniom postanowieniom jałtańskim, odznaczającym się całkowitą obojętnością wobec losu Polski. Autor artykułu zauważa także, że „byli liczni Polacy nie-Żydzi którzy utracili lub ryzykowali swe życia by dopomóc skazanym na zagładę tysiącom w getcie”, ale dodaje zaraz z wyrzutem że „chodziło o wyjątki”. Chciałbym wiedzieć od kiedy heroizm przestał być wyjątkiem, i czy posiadamy prawo moralne domagać się od innych by szli na śmierć za jakąkolwiek sprawę, choćby słuszną i szlachetną. Wątpię też czy wolno Zachodowi patrzeć na swoją własną bierność podczas hitlerowskiej rzezi Żydów polskich z mniejszym „wstydem, żalem i niedowierzaniem”, niż Polakom którzy w pełni dzielili męczeństwo Żydów”.

Archiwum polityczne

Kronika angielska

WARIANTY SYTUACYJNE

W europejskim bloku komunistycznym ani ewolucja ani rewolucja nie osiągnęły jak dotąd swego celu. Owym celem jest budowa ustroju demokratycznego. Ustrój demokratyczny, który zastąpi dyktaturę komunistyczną — nie musi być kopią ustrojów zachodnioeuropejskich.

Na ogół przyjmuje się, że specjaliści od zagadnień komunistycznych dzielą się na zwolenników ewolucji i rewolucji. To nie jest prawda. Są i tacy, którzy sądzą, że żaden z ustrojów totalnych w Europie nie został do tej pory obalony bez pomocy z zewnątrz. Hitlerowskie Niemcy i faszystowskie Włochy upadły a gen. Franco trwa niezachwianie. Matką rewolucji październikowej była również wojna, która wyniszczyła i zdeorganizowała imperium carskie.

Likwidacja komunizmu czy to w drodze rewolucji czy ewolucji bez pomocy z zewnątrz a więc bez wojny czy interwencji zbrojnej, byłaby wydarzeniem historycznym bez precedensu. Ci, którzy nie wierzą w sytuację bez precedensu odrzucają zarówno rewolucjonizm jak i ewolucjonizm ponieważ w ich mniemaniu tylko zwycięska wojna mogłaby obalić komunizm.

Model rewolucji realizowany w rezultacie zwycięskiej wojny nie interesuje nas w niniejszym artykule. Wojny nie można wyłączyć lecz również nie można na niej niczego budować.

Większość sowietologów anglosaskich określić można mianem ewolucjonistów. Obiektywnie należy stwierdzić, że za ewolucjonizmem przemawiają obserwacje i fakty. Przeciwnicy ewolucjonizmu nie poddają w wątpliwość owych faktów twierdząc natomiast, że w ustroju totalnym istnieje granica, która z góry określa zasięg demokratyzacji czyli ewolucji. Ową granicę stanowi monopol władzy. Ponieważ nikt nie popełnia dobrowolnie politycznego samobójstwa — trudno oczekiwać, że komuniści bez rewolucji

wewnątrz czy bez interwencji z zewnątrz zrezygnują z monopolu władzy.

To jest argument trudny do odparcia, ponieważ, choć ewolucja w pewnych krajach komunistycznych czyni postępy — komuniści jak dotąd nigdzie nie zrezygnowali z monopolu władzy.

Spór pomiędzy ewolucjonistami a rewolucjonistami nie jest do rozstrzygnięcia ponieważ, jak wiemy, ani ewolucja ani rewolucja nie przywróciły w żadnym państwie komunistycznym ustroju demokratycznego.

W tym miejscu może nie od rzeczy będzie stwierdzić co następuje. Ewolucja czy rewolucja nie są celami same w sobie. To są dwie metody działania o identycznym celu. Wybór metody zależy od sytuacji i okoliczności lecz cel zawsze pozostaje ten sam. Nie należy mieszać metody z politycznym „credo”. Naszym politycznym „credo” jest zdemokratyzowanie ustrojów społecznych w Europie wschodniej i ściśle z tym związana modernizacja Związku Sowieckiego.

Osobiście jestem zdania, że tak jak są różne drogi do komunizmu — tak są i różne drogi od komunizmu. Byłoby naiwnością przypuszczać że Czechosłowacy wybiorą identyczną drogę jak Rosjanie. Czechosłowacy są narodem zachodnim, nielicznym, o żywych tradycjach demokratycznych. Rosjanie natomiast są narodem wschodnim, licznym, a w ich historii spiski, przewroty, rewolucje odegrały daleko większą rolę niż instytucje demokratyczne.

Istnieje szereg modeli ewolucjonizmu, które przedstawiają w sposób bardziej lub mniej dokładny przejście od komunizmu do form ustrojowych o charakterze demokratycznym. Wiktor Zorza zaprezentował model ewolucyjny Czechosłowacji w serii artykułów pt. „New Communist World”, które ukazały się na łamach „The Guardian” w kwietniu br.

W przeciwieństwie do ewolucjonistów, ci którzy mówią o rewolucji w europejskim bloku wschodnim — nie pokusili się nigdy o odpowiedź na pytanie: *jak to się ma stać?* O ile ewolucjonizm, jako teoria, dysponuje szeregiem modeli popartych znacznym materiałem obserwacyjnym — o tyle rewolucja w bloku wschodnim nie doczekała się dotychczas teoretycznego modelu.

Podejmując analizę szans rewolucji w bloku wschodnim — wysuwam na wstępie podstawową tezę: osiągnięcie pewnego stopnia ewolucji jest nieodzownym warunkiem rewolucji. Za czasów Stalina w Rosji, czy w okresie Bieruta w Polsce o rewolucji nie mogło być mowy. Tam gdzie istnieje stuprocentowy terror totalny — rewolucja nie może być nawet pobożnym życzeniem. Polityka Stalina zmierzała do likwidacji na zapas nie tylko opozycji, lecz ludzi, którzy mogliby się stać opozycjonistami dzięki swej inteligencji i indywidualności. Rewolucja może wybuchnąć w kraju gdzie istnieje opozycja. Tam gdzie opozycjonista musi skupić całą energię i przemyślność by uratować głowę własną i rodziny o rewolucji nikt nie myśli. Opozycja by podjąć jakiekolwiek działanie musi mieć szansę przeżycia. Z tych przy-

czyn twierdząc, że pewne przemiany ewolucyjne jak zelżenie terro-ru, ukrócenie wszechwładztwa tajnej policji, wzrost znaczenia opinii publicznej — stanowią podstawowy warunek uaktywnienia opozycji z opozycją rewolucyjną włącznie.

Podkreślałem w wielu innych artykułach fakt, że nie ma Marksa XX wieku. Nie ma teorii rewolucji ani ideologii rewolucyjnej. Z tych przyczyn rewolucja w bloku wschodnim — jeżeli kiedykolwiek nastąpi — będzie miała zupełnie inny charakter i przebieg niż wszystkie inne rewolucje poprzednie.

Użyjmy metody Khana i Wienera z Hudson Institute i zaprojektujmy scenariusz sytuacyjny. Scenariusz może mieć różne warianty które prezentuję czytelnikowi.

Wariant pierwszy

Czechosłowacja na drodze ewolucyjnej w obrębie najbliższych dwóch lat przekształca się w państwo socjalistyczne i demokratyczne. Administracja państwowa bierze górę nad aparatem partyjnym. Rząd odpowiedzialny jest autentycznie nie przed KC tylko przed parlamentem. Opozycja partyjna (wewnątrz partii komunistycznej) wystawia własną listę wyborczą i posiada swój klub poselski w parlamencie. Związki zawodowe są całkowicie niezależne i głosują według własnego uznania. Sądy są niezależne, prasa wolna od cenzury, ekonomia oparta na mechanizmie rynkowym.

Nasza uwaga skupiona jest na Polsce — nie na Czechosłowacji i dlatego szczegółowe rozważanie linii rozwojowej Pragi nie jest w tej chwili istotne. Być może w Czechosłowacji powstanie druga partia robotnicza — być może demokracja znajdzie wyraz w nowych formach ustrojowych, trudnych dziś do przewidzenia. Zakładamy jednak, że ewolucja postępuje — mimo czasowych zahamowań z którymi należy się liczyć.

Następną tezę niniejszego artykułu jest pogląd, że nie tylko nie ma lecz nie będzie Marksa XX wieku, tzn. nikt nie wypracuje teoretycznej ideologii i modelu ustrojowego, którym należy zastąpić obaloną dyktaturę komunistyczną. Owego modelu musi dostarczyć praktyka.

Gdyby doświadczenie czechosłowackie zostało uwieńczone pozytywnym rezultatem — Polska rewolucyjna opozycja miałaby przed sobą określony cel i program. Ów program byłby w Polsce dyskutowany i zmieniony zgodnie z polskimi warunkami — lecz ów program górowałby nad wszystkimi luźnymi projektami rewizjonistów kardynalnym faktem, że tuż za ścianą został wprowadzony w życie. Pod adresem owego programu mówić powiatowi nie mogliby wysuwać argumentu, że jest nierealny.

Ferment w Polsce przestałby być fermentem bezprogramowym. Klasa robotnicza porównując swoją sytuację z sytuacją robotników w Czechosłowacji wysłaby na ulice domagając się tych samych praw, które przysługują robotnikom czechosłowac-

kim. Nie jest wykluczone, że w takiej sytuacji znalazłaby w Pradze schronienie — choćby pół-oficjalne — polska emigracja rewolucyjna, która podziemnymi kanałami oddziaływałaby na Kraj.

Gdyby doświadczenia czechosłowackie zostały uwieńczone sukcesem — reżym w Polsce nie miałby przed sobą innego wyjścia jak tylko upuścić pary z przegrzanego kotła i w ten sposób podjąć próbę uniknięcia wybuchu. Zaaranżowano by nowy „Październik”. Obojętne kto z ekipy partyjno-rządowej stanąłby na czele tej operacji. Społeczeństwo tym razem nie dałoby wiary i „odwilż” przyspieszyłaby tylko rewolucję. Praga podziałałaby na Polaków wręcz odwrotnie niż Budapeszt.

W ten sposób to co w Czechosłowacji byłoby ewolucją — w Polsce przekształciłoby się w rewolucję, tzn. w obalenie obecnego reżymu. Nowi ludzie powołaliby do życia nową partię robotniczą. W Polsce reżym i partia są tak skompromitowane, że potencjalni Dubczekowie działać muszą poza ramami partii komunistycznej z której już dawno zostali wydalen, lub wyjść z dołów partyjnych.

Jugosławia nie mogła odegrać podobnej roli, ponieważ nie wchodzi w skład bloku wschodniego, a geograficznie, etnicznie i cywilizacyjnie należy do zupełnie innego rejonu Europy. Specyfika jugosłowiańska jest nieporównywalna ze specyfiką polską czy czechosłowacką. To samo dotyczy Rumunii. Suma różnic pomiędzy niemiecką Rumunią a krajami Europy wschodniej jest zbyt wielka, by Bukareszt mógł spełnić rolę detonatora przemian w bloku wschodnim. O losach komunizmu w Europie decydują trzy narody tj. Rosjanie, Polacy i Czechosłowacy. W obrębie tych trzech narodów działa niewidzialny system połączonych naczyń.

Wariant drugi

Zakładamy, podobnie jak w pierwszym wariantcie, że przemiany w Czechosłowacji powodują prawdziwe zdemokratyzowanie ustroju. Nie jest wykluczone, że w takiej sytuacji Moskwa uznałaby, że ewolucja w Pradze na dalszą metę jest groźniejsza niż rewolucja w Budapeszcie w roku 1956. W Czechosłowacji są tyśiące stalinowców — nie wyłączając KC — którzy chętnie powróciliby do władzy i do żłobu.

Zdemokratyzowanie ustroju czyni dane państwo łatwiejszym terenem dla obcej penetracji. Moskwa swego czasu podjęła próbę obalenia od wewnątrz kierownictwa rumuńskiej partii komunistycznej. W Rumunii nie było w tym okresie liberalizacji i tajna policja działała według totalnych wzorów. W rezultacie machinacje Rosji spaliły na panewce. Ta sama operacja podjęta za rok w zliberalizowanej Czechosłowacji może Moskwie przynieść sukces.

Rosjanie są ostrożni i gotowi czekać. Jeżeli demokratyzacja zawiedzie — nie będzie powodu do interwencji. Jeżeli natomiast demokratyzacja czynić będzie postępy — Czechosłowacja z każdym miesiącem będzie łatwiejsza do spenetrowania. Dla Breżniewa, Gomułki czy Ulbrichta — demokracja jest antytezą bezpieczeństwa. W oczach stalinowców przywódca partyjny, który zwiększa swobody obywatelskie i równocześnie ogranicza wszechwładzę policji — podcina gałąź na której siedzi.

Oczywiście na decyzje Moskwy miałby wielki wpływ rozwój sytuacji w innych krajach bloku wschodniego a w szczególności w Polsce. Gdyby „choroba czeska” wykazywała wielki stopień zaraźliwości — Rosjanie doszliby do wniosku, że trzeba działać szybko i bezkompromisowo.

Im demokratyzacja ustroju byłaby bardziej zaawansowana, tym przewrót wydawałby się stalinowcom łatwiejszy. W Moskwie nie brak specjalistów od tego typu operacji. Agenci sowieccy zorganizowaliby spisek czechosłowackich stalinowców penetrując wojsko i policję — co oczywiście potrwać by mogło kilka miesięcy. Dubczek zginąłby bez wieści a stalinowski przywódca powołałby nowy Komitet Centralny, któremu Moskwa udzieliłaby natychmiast swojej aprobaty. Prasa angielska zamieściła charakterystyczną wiadomość. Dubczek zagroził Rosjanom, że opóźni wysłanie swego ambasadora do Moskwy — jeżeli ambasador sowiecki w Pradze, Czerwonenko, nie zaprzestanie permanentnych konferencji i konsultacji z Nowotnym.

Stalinizm to nie jest doktryna polityczna, ale typ mentalności. Stalinowcy mogą któregoś dnia popełnić katastrofalny błąd ponieważ coraz mniej rozumieją reakcję społeczeństw którymi rządzą.

Stalinowcy myślą dziś identycznie, jak myśleli w roku 1948. Jeżeli w roku 1948 można było zlikwidować Masaryka i wszystko co on reprezentował — dlaczego w roku 1968 nie można by zlikwidować Dubczeka i wszystkiego co on reprezentuje? Stalinowcy skłonni są myśleć po tych liniach, ponieważ w okresie ubiegłych 20 lat wszystko się zmieniło, tylko nie oni.

Po roku czy dwóch życia w atmosferze wolności — bez cenzury, bez terroru wszechwładnej policji — widmo renesansu stalinizmu spowodowałoby w Czechosłowacji wybuch rewolucyjny. Czechosłowacy wiedzą z własnych ciężkich doświadczeń jak wygląda stalinizm i jak wygląda wolność, choćby ograniczona i „demokracja” choćby jeszcze ciągle w cudzysłowach. Jestem przekonany, że jakkolwiek próba przywrócenia stalinizmu drogą zamachu stanu w Czechosłowacji — spotkałaby się z czynnym oporem społeczeństwa. To jest właściwie jedna sytuacja, jaką można sobie wyobrazić, która przekształciłaby spokojną Pragę w ognisko rewolucji.

Podstawowy błąd stalinowców polega na tym, że chcieliby intronizować króla, który jest nagi. Można latami utrzymywać dyktaturę stalinowską terrorem i policją. Z chwilą jednak gdy dyktatura zostaje obalona — mit wszechwładzy stalinowców ule-

ga zdyskredytowaniu w oczach społeczeństwa. Okazuje się wówczas że stalinowcy nie są wszechwładni i walka przeciwko nim nie jest beznadziejna. Dziś, choćby stalinowcy dokonali zamachu na Dubczeka — znajdzie się 10-ciu nowych Dubczeków, którzy podjęliby walkę. Z każdym miesiącem będzie coraz trudniej zastraszyć Czechosłowaków i stalinowski zamach stanu im później dokonany spotkałby się z tym gwałtowniejszą reakcją społeczeństwa.

Jest wielce prawdopodobne, że próba stalinowskiego zamachu stanu i rewolucja, która wybuchłaby w konsekwencji owego zamachu — spowodowałyby rozruchy i demonstracje w Polsce i na Węgrzech. Użyłem terminów: „rozruchy i demonstracje” ponieważ — choć wiele rewolucji zaczyna się od rozruchów i demonstracji — nie wszystkie rozruchy przekształcają się w rewolucję.

Jeżeli w obrębie najbliższych dwunastu miesięcy model Czechosłowacki okaże się sukcesem — jeżeli doświadczenia w Pradze dopomogą do wykrystalizowania się programu „Polskiej drogi do socjalizmu”, jeżeli wydaleni z partii polscy intelektualiści, inteligenci i działacze wykażą solidarność i odwagę — wówczas rozruchy i demonstracje mogą umożliwić wyłonienie nowego kierownictwa partii.

Polacy na emigracji nie rozumieją podstawowej sprawy. Natychmiastowe obalenie komunizmu i całkowita likwidacja ustroju komunistycznego nie są rzeczą możliwą bez interwencji z zewnątrz. W każdym państwie komunistycznym istnieje szeroko rozbudowany aparat władzy, złożony z dziesiątków tysięcy ludzi. W aparacie, zwłaszcza na średnich i niższych szczeblach, jest wielu działaczy postępowych, którzy krytycznie oceniają górę partyjną.

Program rewolucyjny, który zakładałby likwidację komunizmu — tzn. likwidację partii i jej aparatu — zjednoczyłby całą komunistyczną organizację władzy od szefa partii po sekretarza „Narodowej Rady Powiatowej”. Aparatczycy zjednoczyliby się w solidarnej obronie życia, kawałka chleba i dachu nad głową.

Tzw. „nowa klasa” nie obejmuje nawet 20 % aparatu władzy. Luksusowe mieszkania, limuzyny, wyjazdy zagranicę — owo „słodkie życie” jest udziałem elity, która stanowi niezmiernie ekskluzywny klub.

Realny program rewolucyjny musi przyjąć za swój główny cel i zadanie zdobycie poparcia 80 % aparatu władzy w walce przeciwko elicie „nowej klasy”. Ci ludzie poprą polskiego Dubczeka, poprą reformatora, lecz nigdy nie poprą likwidatora komunizmu.

Model rewolucji bez pomocy z zewnątrz w państwie komunistycznym typu Polski czy Czechosłowacji musi przewidywać trzy kolejne fazy:

I. Obalenie stalinizmu względnie neo-stalinizmu.

II. Podjęcie reform gospodarczych i społecznych ujętych w programie opozycjonistów.

III. Demokratyzacja ustroju poprzez stworzenie instytucyjnych gwarancji podstawowych swobód demokratycznych z prawem do opozycji włącznie. Wszystkie konstytucje państw komunistycznych głoszą swobody demokratyczne. Te swobody pozostają martwą literą, ponieważ w ustroju komunistycznym nie ma instytucji, poprzez które owe swobody mogłyby się wyrazić.

Czechosłowacja znajduje się u progu drugiej fazy. Najważniejsza będzie jednak trzecia faza, która zadecyduje o sukcesie lub upadku rewolucji.

Dubczek w Czechosłowacji obalił stalinizm na drodze legalnej. W Polsce przywódca rewolucji antystalinowskiej wyjść musi z kół nie należących do obecnego *establishmentu* partyjnego. Niemniej i polski Dubczek musi być komunistą — choćby wydalonym z partii, bo tylko przywódca komunistyczny miałby możliwość zdobycia poparcia większości członków aparatu władzy i obalenia reżymu Gomułki.

W naszym modelu pierwsze stadium rewolucji dokonane być musi przez komunistów przy poparciu społeczeństwa. Przywódca antykomunistyczny głoszący emigracyjny program obalenia nie tylko stalinizmu, lecz komunizmu we wszystkich jego formach — miałby przeciwko sobie nie tylko Gomułkę lecz i Kołakowskiego — miałby przeciwko sobie nie tylko stalinowców lecz i najbardziej reformatorskich i postępowych młodych komunistów.

Ktoś powie, że to są walki frakcyjne wewnątrz partii, które nic nas nie obchodzą. Odpowiadam: ponieważ to wszystko nic nas nie obchodzi — Czechosłowacy mają Dubczeka a my Gomułkę.

W państwie stalinowskim czy neo-stalinowskim pierwszym zadaniem nie jest wskrzeszanie zwietrzałych, przedwojennych partii — tylko obalenie stalinizmu. To jest owo wielkie „A”, od którego wszystko musi się zacząć. Każda droga dobra, która prowadzi do tego celu.

Pierwsza faza rewolucji, tj. obalenie stalinizmu, może być dokonana przez reformatorskiego przywódcę komunistycznego, który działa pod naporem sił społecznych i ów napór rewolucyjny reprezentuje. Tam gdzie nie ma naporu i wrzenia społecznego — najbardziej uzdolniony przywódca nie zaryzykuje konfrontacji z partyjno-państwowym *establishment*.

Rozważaliśmy do tej pory dwa warianty sytuacyjne. Tak pierwszy jak i drugi wariant oparty jest na przesłance, że rewolucja czechosłowacka okaże się sukcesem.

Wariant trzeci

W marcu 1968 roku Aleksander Dubczek postawił na naród. W październiku 1956 Władysław Gomułka postawił na partię i Bezpiekę. Błąd był tym większy, że w październiku 1956 Gomułka miał za sobą większość społeczeństwa, lecz mu nie zaufała.

Gdzie są gwarancje, że Dubczek po roku czy po dwóch nie

stanie się czechosłowackim Gomułką? Gwarancji nie ma. Należy również podkreślić, że o ile stalinowski zamach stanu i powrót Nowotnego wywołałby wrzenie rewolucyjne — o tyle odwrót pod wodzą Dubczeka prawdopodobnie nie spowodowałby takiej reakcji.

Dochodzimy do najistotniejszego punktu w naszych rozważaniach. Trzeba pamiętać, że nawet rewizjonistyczni i postępowi komuniści nie są demokratami. Dubczek — jak większość liberalnych komunistów — przez reformę systemu rozumie przede wszystkim reformę gospodarczą. Stalinizm oznacza nie tylko wszechwładzę tajnej policji lecz również absolutystyczny centralizm, który jest nie do pogodzenia z ekonomią opartą na mechanizmie rynkowym. Dla społeczeństwa upadek stalinizmu oznacza „wewnętrzne wyzwolenie”, zniesienie cenzury itp. Dla Dubczeka i jego ludzi upadek stalinizmu oznacza w pierwszej linii możliwość zmodernizowania gospodarki czechosłowackiej. W sprawach gospodarczych program Dubczeka jest szczegółowy i idzie bardzo daleko. W sprawach demokratyzacji ustroju program jest mglisty i nie daje żadnych gwarancji.

W naszym modelu rewolucji zakładamy, że stalinizm obalą liberalni komuniści powodowani nie tyle ideałami wolnościowymi ile motywami gospodarczymi. Przywódca komunistyczny dążący do likwidacji stalinizmu i głoszący program racjonalnych reform gospodarczych ma oczywiście za sobą poparcie społeczeństwa i owo masowe poparcie w krytycznym momencie umożliwia mu objęcie władzy.

W tym momencie rewolucyjna rola liberalnych komunistów dobiega kresu. Byłoby naiwnością oczekiwać od nie-demokratów demokratyzacji ustroju. Liberalizacja gospodarki pociąga za sobą w konsekwencji pewną liberalizację społeczną. W okresie owej liberalizacji demokraci mają szansę wypracowania programu rzetelnej demokratyzacji ustroju i zabezpieczenia wolności. Jeżeli Czechosłowacy tego nie uczynią i osiadą na laurach — będą mieli „gomułkizm” w obrębie kilkunastu miesięcy.

Różnica pomiędzy Dubczkiem a Gomułką nie dotyczy demokracji. Gomułka uważa, że decentralizacja władzy i delegacja odpowiedzialności — choć korzystne w modelu nowoczesnej gospodarki — niosą z sobą zbyt wielkie ryzyko na froncie społeczno-politycznym. Lepiej nie mieć zmodernizowanej gospodarki a utrzymać się przy władzy — niż mieć złotego polskiego wymieniałnego na wszystkich giełdach świata i podzielić los Nowotnego.

Dubczek natomiast uważa, że jest rzeczą możliwą unowocześnić gospodarkę i równocześnie liberalizację na odcinku społeczno-politycznym utrzymać w ryzach.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że reżym Dubczeka oznacza tak olbrzymią poprawę i polepszenie w porównaniu z reżymem Nowotnego, że większość może łatwo zrezygnować z postulatów politycznej demokratyzacji jeżeli Dubczek zdecydowanie oprze się tym żądaniom. Zawsze można powiedzieć, że wygórowane postulaty demokratyczne dostarczają amunicji stalinow-

com i utrudniają pozycję rządu i KC w rozmowach z Moskwą. To są argumenty klasyczne.

Osobiście ufam, że przed „gomułkizmem” uratuje Czechosłowaków sam Gomułka. W kwietniu br. ukazało się w prasie czechosłowackiej kilka niezmiernie obiektywnych artykułów o sytuacji w Polsce. „Gomułkizm” jest najbardziej ponurym zaprzeczeniem „wiosny w Październiku” i Czechosłowacy winni przeanalizować polski odwrót od wolności i demokracji z wielką dokładnością.

W niniejszym artykule starałem się przedstawić model rewolucji na tle trzech wariantów sytuacyjnych. Wariant pierwszy zakłada, że przemiany w Czechosłowacji spowodują z czasem upadek „gomułkizmu” w Polsce. Wariant drugi obrazuje konsekwencje ewentualnego zamachu stalinowców w Pradze przy poparciu sowieckim. Wariant trzeci poświęcony jest możliwości zwyrodnienia „czechosłowackiej drogi do socjalizmu” w „gomułkizm”.

Rozważając ostatni wariant należy podkreślić, że o ile Gomułka odrzucał zawsze projekty reform postulujących decentralizację — o tyle program Dubczeka przewiduje daleko posuniętą decentralizację. W sumie, Dubczekowi byłoby znacznie trudniej zostać Gomułką niż... Gomułce.

Program Dubczeka wymaga pełnego poparcia społeczeństwa. W „Czechosłowackiej drodze do Socjalizmu” społeczeństwo z bezpostaciowej masy terroryzowanej i zarządzanej przez dyktaturę — zaawansowało do roli aktywnego partnera. Program Dubczeka jest więc w pewnej mierze „kontraktem społecznym” pomiędzy partią a narodem. Średniowieczni monarchowie ilekroć potrzebowali poparcia społeczeństwa i pieniędzy — przyznawali również przywileje swoim poddanym. Ową kontrakt zrehabilitowany jest w całości przez partię i liberalizacja w sferze społeczno-kulturalnej ma charakter przywilejów przyznanych przez suwerena. Owym przywilejom — jeżeli mają być trwałe — trzeba nadać charakter instytucjonalny co z całą pewnością wymagać będzie naporu i walki. Obalenie stalinizmu nie jest końcem lecz początkiem rewolucji społecznej.

Ci, którzy mówią o rewolucji zapominają często, że nie wolność lecz demokracja jest ostatecznym celem. Wolność, drogą zwycięskiej rewolucji, można zdobyć jednego dnia. Lecz wolność niewcieloną w instytucje demokratyczne, można również stracić jednego dnia.

We wszystkich trzech fazach modelu rewolucji podstawowym czynnikiem jest napór społeczny i świadomość kierunku. Demokracja zostanie osiągnięta nie z komunistami lecz wbrew komunistom. Lecz tak jak komuniści współpracują z demokratami na pewnych etapach — tak i demokraci muszą współpracować z komunistami na określonych odcinkach drogi. Przywódca komunistyczny, który zmierza do obalenia stalinizmu — zasługuje na pełne poparcie demokratów w swoim kraju. Również przywódca komunistyczny typu Dubczeka, który zmierza do moderni-

zacji gospodarki i liberalizacji ustroju winien mieć całkowite poparcie demokratów swojego kraju. Obalenie stalinizmu, unowocześnienie gospodarki i liberalizacja umożliwiają bowiem wydobyć się myśli demokratycznej na powierzchnię.

Niebezpieczeństwa zagrażają zewsząd. W Pradze co trzeci bochenek chleba, sprzedawany w sklepach żywnościowych, wypiekany jest z mąki sowieckiej. Transport samochodowy niemal w całości zależy od dostaw benzyny sowieckiej. Rosja może wywierać na Czechosłowację nacisk nie tylko polityczny lecz i gospodarczy. Po dwudziestu latach stalinizmu przekształcenie modelu ekonomii nastręcza olbrzymie trudności. Można by wyliczyć dziesiątki przeszkód i niebezpieczeństw tak wewnętrznych jak zewnętrznych, które zagrażają procesowi reformy.

Osobiście za najgroźniejsze niebezpieczeństwo uważam jednak opadnięcie fali rewolucyjnej nim rewolucja spełni swoje zadanie.

Po latach stalinowskiej dyktatury Czechosłowacy i Polacy przez wolność rozumieją odpowiedź na pytanie: „co wolno?” Wolno pisać co się komu podoba, wolno wyjeżdżać zagranicę itp. Belgowi czy Francuzowi, który wylądował w Londynie, nie przyjdzie do głowy zapytać Anglika co wam tu wolno? W ten sposób wolność rozumieją ludzie w krajach gdzie swobody obywatelskie nie są fundamentalnym prawem ale zależą od każdorazowego zezwolenia władzy totalnej.

W chwili gdy piszę te słowa rząd czechosłowacki przygotowuje projekt nowej ustawy prasowej. Projekt zostanie uchwalony przez parlament i stanie się prawem. Czechosłowacy odetchną z ulgą i pomyślą: mamy wolną prasę, ustawowo zabezpieczoną i zagwarantowaną. W rzeczywistości jednak wolność prasowa w Czechosłowacji nie będzie ani zabezpieczona ani zagwarantowana. Komuniści mają większość w parlamencie i każdej chwili mogą legalnie przeprowadzić ustawę ograniczającą wolność prasy. To samo dotyczy wszystkich innych wolności.

Trudność sytuacji polega na tym, że *de facto* można mieć albo stuprocentową demokrację — albo nie mieć żadnej. Tylko pełna, stuprocentowa demokracja stanowi gwarancję i zabezpieczenie wolności.

To jest zamówienie społeczne bardzo wysokiego rzędu, lecz rewolucja, jeżeli ma osiągnąć zwycięstwo, nie może z tego celu zrezygnować.

Wariant czwarty

Na rozwój sytuacji w Czechosłowacji będzie miała wpływ nie tylko polityka Sowietów lecz i polityka mocarstw zachodnich. Temu zagadnieniu poświęcimy odrębny artykuł. Scenariusz czechosłowacki nie byłby jednak kompletny bez „czwartego wariantu” choćby naszkicowanego w ogólnym zarysie.

Czechosłowacja znajduje się w krytycznej sytuacji finansowej. Robotnicy wykorzystują nowo-zdobytą wolność i domagają się

natarczywie podwyżki płac. Jeżeli podwyżek płac nie będzie, a towary w sklepach będą coraz droższe — stalinowcy postępujący kryzys przedstawiają jako rezultat spisku intelektualistów, rewizjonistów i syjonistów zwrócony przeciwko interesom klasy robotniczej. Po tych liniach idzie interpretacja Gomułki, Ulbrichta, Nowotnego i Breżniewa.

O sukcesie czy upadku rewolucji w Czechosłowacji może więc zdecydować finansowa pomoc — względnie jej brak — ze strony Zachodu.

Rosjanie z całą pewnością dadzą do zrozumienia tam gdzie należy, tzn. w Waszyngtonie, że pożyczkę udzieloną Czechosłowacji uważać będą za akt nieprzyjazny, oraz za próbę bezpośredniej interwencji w obrębie sowieckiej strefy wpływów. Innymi słowy, w grę wchodzi nietykalna „święta krowa” stanowiąca symbol podwójnej hegemonii, czyli *status quo*.

Rosjanie mają różnorakie możliwości odwetu. Mogą obiecać poważną pomoc Hanoi i paraliżować negocjacje pokojowe. Mogą sytuację w Berlinie doprowadzić do kryzysu. Mogą wreszcie, przez „osoby trzecie” i swoich *fellow-travellers* zasugerować wpływowym czynnikom amerykańskim pogląd, że udzielenie pożyczki Czechosłowakom osiągnęłoby skutek odwrotny od zamierzonego. Interwencja dolarowa zmobilizowałaby bowiem stalinowców w całym bloku wschodnim — co w konsekwencji, opóźniłoby ewolucyjne przemiany o wiele lat.

Polscy *fellow-travellers* usiłowali przekonać mnie dziesiątki razy, że program ewolucyjny realizować można tylko z Gomułką a nie przeciwko niemu. Usiłowano przekonać mnie wielokrotnie, że polityka „Kultury” hamuje w gruncie rzeczy liberalizację i dostarcza amunicji stalinowcom. To jest taktyka szczegółowo opracowana, argumentatywna, która na Zachodzie może poszczycić się znacznymi osiągnięciami.

Rewolucja węgierska upadła, ponieważ Węgry znajdują się w sowieckiej strefie wpływów i Zachód, w konsekwencji, nie miał niczego do zaoferowania powstańcom, prócz słów uznania. Czechosłowacja znajduje się również w sowieckiej strefie wpływów. Czy ów fakt automatycznie wyłącza pomoc finansową ze strony Zachodu — nawet gdyby brak pomocy oznaczać miał klęskę?

S T R A C H

Przez wiele lat w partii obowiązywała teza, że emigracja polityczna nie ma i nie może mieć żadnego wpływu na rozwój sytuacji w Polsce. Komuniści nie byli odosobnieni w tym poglądzie. Emigracyjni krytycy Kultury odmawiali nam również jakiegokolwiek wpływu na rozwój sytuacji w Kraju.

Pierwszy zaprzeczył tej tezie Władysław Gomułka, który w swym przemówieniu z dnia 19 marca br. podkreślił ideologiczne i polityczne powinowactwo pomiędzy linią Kultury a inicjatorami marcowych wydarzeń w Kraju.

Owo „powinowactwo” rozpracowała prasa partyjna. W Trybunie Ludu

z 13 kwietnia br. ukazał się obszerny artykuł Ignacego Krasickiego pt. „Kultury paryskiej dywersja przeciw Polsce”. W cytowanym artykule czytamy m.in.:

„W „Kulturze” u Mieroszewskiego znajdujemy program, w oświadczeniu „Stronnictwa Pracy” instruje wykonawcze, w marcu br. na ulicach Warszawy — lekcję poglądową zamierzonego i dobrze zaplanowanego działania, działania agitacyjnie nakierowanego w dodatku interpelacją „Znaku”. Oto co znaczy dla organizatorów wojny psychologicznej owo mieroszewskie zdanie „umieć wygrać pokój!”.

Zbędne dodawać, że nie nas nie łączy ani ze „Stronnictwem Pracy”, ani ze „Znakiem”. Wbrew opinii zarówno koł partyjnych jak i pewnych ośrodków emigracyjnych nigdy nie wątpiliśmy, że *Kultura* w skromnej mierze wywiera wpływ na rozwój sytuacji w Polsce. Byłoby jednak megalomanią z naszej strony przypisywać *Kulturze* rolę głównego reżysera wydarzeń marcowych, jak czyni to Ignacy Krasicki.

Oczywiście jesteśmy w sojuszu z syjonizmem i nie przestrzegamy rasistowskich kanonów „gomułkizmu”. Posłuchajcie słów Ignacego Krasickiego — nie tyle biskupa, ile politruka:

„Od 1956 roku tor polityczny „Kultury” znaczący dwa równoległe szlaki: stawka na rozmięczenie przeciwnika czyli rewizjonizm w marksistowskiej partii rządzącej oraz poparcie dla antypaństwowych wydarzeń skrajnej prawicy kościelnej.

Ideowy posiew tego nowego okresu przyniósł jednak — jak się okazało w marcu br. — raczej żalosny plon. Sojusz syjonistów i rewizjonistów, tak drogi „Kulturze”, wykorzystał zapal i naiwność części młodzieży. Doszło w Warszawie do antysocjalistycznej ruchawki. O co bowiem idzie decydująca rozgrywka? Właśnie o „rząd dusz”.

Styl wypowiedzi *Trybuny Ludu* przypomina najciemniejsze okresy bierutowszczyzny. Jednak w tym bełkocie dźwięczy nowa nuta: strach! Rządcy PRL boją się rewizjonistów, syjonistów — nawet kilkusobowego zespołu Kultury.

Jeszcze jedna uwaga. Czy z „bankrutami politycznymi” walczy się o rząd dusz?

W innej tonacji utrzymany jest artykuł Henryka Zdanowskiego w *Polityce* z 30 marca br. pt.: „Credo Londyńczyka”. Wypowiedź Zdanowskiego jest mniej „drętwa” i bardziej dostosowana do inteligentnego poziomu niż żargon *Trybuny Ludu*.

Gdy czytam krytyki moich artykułów i książek w prasie krajowej i w konserwatywnych pismach emigracyjnych — nie mogę oprzeć się wrażeniu, że potrafiłbym to zrobić niepomnieć lepiej i bardziej przekonująco. Zarówno stalinowcy w Kraju jak i stalinowcy *à rebours* na emigracji są zaangażowani doktrynalnie i z tej przyczyną postawa krytyczna (*balanced view*) jest dla nich nieosiągalna. Polacy nie uprawiają polityki tylko wyznają polityczne teologie. W rezultacie, dla kierowniczych ośrodków, tak w Kraju jak i na emigracji, pojęcie opozycji politycznej jest zarówno nieznanne jak i całkowicie zbędne. Dzielimy się na wyznawców i na heretyków. Here-

tyków nie krytykuje się tylko potępia. Heretycy, zgodnie z uświęconą tradycją, wysługują się zawsze „siłom ciemności”. Na emigracji *Kultura* „przechodzi w sukurs” Związkowi Sowieckiemu (Adam Pragier) — w Kraju ta sama *Kultura* jest „narzędziem imperializmu amerykańskiego” (Ignacy Krasiecki).

Zasada krytyczna *balanced view* dla doktrynerów obu denominacji jest przejawem zgnilego liberalizmu, kosmopolityzmu, agnostycyzmu i zapewne powiązań z masonerią.

Trudno jest krytykować rezygnując z logiki i obiektywizmu. Zdanowski we wstępie do omawianego artykułu charakteryzując sylwetkę Londyńczyka pisze co następuje:

„O nim to właśnie powiedział Władysław Gomułka na spotkaniu z aktywnym warszawskim, że reprezentuje kierunek polityki reakcyjnej, bardziej perfidny, bardziej dostosowany do realnego układu sił.

Niniejszy szkic nie rości pretensji do pełnej analizy całokształtu poglądów Londyńczyka, ale nawet skrótna charakterystyka jego wizji świata wskaże na niebezpieczne analogie, które wypłynęły na fali wydarzeń marcowych. Niebezpieczne dlatego, że nieralne”.

Gomułka twierdzi, że reprezentuję „kierunek polityki bardziej dostosowany do realnego układu sił”. Zdanowski natomiast utrzymuje, że to co pisze jest „niebezpieczne dlatego, że nierealne”. Coś tu wyraźnie nie gra. Logicznie biorąc, polityka dostosowana do realnego układu sił nie może być nierealna — choć w subiektywnej ocenie może być perfidna.

Gdyby nasza polityka była nierealna kto by się nią zajmował? Do zwalczania nierealnej polityki nie byłoby powodu mobilizować całego aparatu od pierwszego sekretarza partii zaczawszy a na dziesiątkach Zdanowskich skończywszy.

Muszę jednak stwierdzić, że elaborat Zdanowskiego nie jest bez wartości. Cytaty z wielu moich artykułów podane są uczciwie — to znaczy zacytowany jest pełny ustęp a nie powyrywane z kontekstu poszczególne zdania jak w *Trybunie Ludu*. Dzięki temu Czytelnik Krajowy ma możliwość zapoznania się nie tylko z polemiką Zdanowskiego, która idzie po wiadomych liniach — lecz również z poglądami *Kultury* na kluczowe zagadnienia. Wdzięczny jestem Zdanowskiemu za przedruk następującego fragmentu, który uczestnikom wydarzeń marcowych dostarczy być może materiału do refleksji:

„Bronić granicy na Odrze i Nysie można tylko na Wschodzie. O losie Wrocławia zadecyduje nasza pozycja w Moskwie. Na dalszą metę Ziemię zachodnią utrzymamy tylko wówczas, jeżeli zdamy historyczny egzamin na Wschodzie — jeżeli dopomożemy do przebudowy Związku Sowieckiego i zdobędziemy status niezależnego, głównego partnera przyszłej Rosji.

Gdyby w Polsce nie rządził Gomułka lecz rzetelni socjaliści wtedy narody Związku Sowieckiego z Rosjanami na czele widziałyby w przykładzie Polski drogowskaz i nadzieję lepszego jutra”.

LONDYŃCZYK

Praga żąda złota

2 maja 1968 roku rząd Czechosłowacji wystosował notę do rządu Stanów Zjednoczonych domagającą się zwrotu zrabowanego w czasie wojny przez Niemcy hitlerowskie złota, które później znalazło się w rękach alianckich. Rząd czechosłowacki stwierdził, że na podstawie decyzji Komisji do Spraw Odszkodowań podjętej w roku 1946 w Paryżu, złoto w ilości 18.433,48 kg. należy do Czechosłowacji. Złoto to nigdy nie zostało zwrócone.

Sprawa, zdawałoby się, jest prosta: w ostatnich miesiącach wojny w ręce wojsk alianckich, przeważnie zresztą amerykańskich, wpadły poważne ilości złota, które niewątpliwie pochodziło z rabunku w państwach okupowanych przez Niemcy. Trudno było jednak wówczas zidentyfikować, jakie złoto do kogo należy. W związku z tym trzy mocarstwa zachodnie, a mianowicie Stany Zjednoczone, W. Brytania i Francja powołały do życia specjalną komisję, która zajęła się sprawą odszkodowań i podziału złota.

W roku 1946 na posiedzeniu Komisji w Paryżu zapadła decyzja przyznania Czechosłowacji złota w ilości prawie 18 i pół ton. Przedstawiciele W. Brytanii i Francji, zasiadający w Komisji byli zdania, że złoto należy przekazać władzom czechosłowackim. Jednakże delegat amerykański sprzeciwił się temu, domagając się by Czechosłowacja wypłaciła najpierw odszkodowanie obywatelom Stanów Zjednoczonych, których własność na terytorium Czechosłowacji została upaństwowiona. Ponieważ Czechosłowacja nie kwapiła się z zaspłatwieniem tych pretensji, sprawa wysylki złota do Czechosłowacji utknęła na martwym punkcie. W praktyce Amerykanie nałożyli areszt na złoto traktując to jako zabezpieczenie sum należnych obywatelom amerykańskim od rządu czechosłowackiego.

Rokowania w sprawie odszkodowań toczyły się do 1948 roku, to jest do czasu komunistycznego zamachu stanu w Czechosłowacji. Jeszcze przed zamachem stanu Czechosłowacja zakupiła w Stanach Zjednoczonych walcownię stali, wpłacając 16 milionów dolarów. Gdy jednak komuniści objęli pełną władzę, rząd amerykański wydał zakaz eksportu walcowni, ponieważ tego rodzaju urządzenia przemysłowe mają znaczenie strategiczne. Sprzedano więc, z nakazu rządowego, walcownię w Ameryce, nie zwracając pieniędzy Czechosłowacji.

Wówczas powstał nowy spór: Amerykanie domagali się odszkodowań za upaństwowioną własność swych obywateli, a Czechosłowacja żądała zwrotu złota i 16 milionów dolarów.

Sprawa ta odżyła kilka lat temu i w roku 1964 opracowano porozumienie kompromisowe, którego jednak Stany Zjednoczone nie podpisały.

W lutym ubiegłego roku Czechosłowacja zaproponowała oddzielenie sprawy złota od innych zagadnień spornych, wyrażając gotowość wpłacenia pewnej sumy do jakiegoś banku międzynarodowego, na konto odszkodowań za upaństwowienie własności amerykańskiej. Wreszcie w początkach maja br. rząd czechosłowacki wystąpił raz jeszcze z żądaniem zwrotu złota, pomijając inne zagadnienia sporne.

Jest rzeczą charakterystyczną, że prawie w tym samym czasie władze czechosłowackie ubiegają się o złoto w Związku Sowieckim. Premier Czernik ujawnił 16 maja, że Czechosłowacja zwróciła się do Rosji o pożyczkę w wysokości od 400 do 500 milionów rubli w złocie. Premier dodał, że fundusze te zostaną zużyte na zakup nowoczesnego sprzętu technologicznego na rynkach światowych.

Nie ulega wątpliwości, że jednym z najważniejszych zadań nowych władz w Czechosłowacji jest możliwie jak najszybsze przebrojenie przemysłu, tak by móc konkutować swym eksportem przemysłowym z najbardziej rozwiniętymi krajami świata. Bez gruntownej modernizacji przemysłu, i to w oparciu o sprzęt i licencje zachodnie, taka ofensywa eksportowa byłaby niemożliwa.

Z drugiej strony złoto potrzebne jest Czechosłowacji w jej próbach doprowadzenia do wymienialności korony. Wymienialność własnej waluty jest nieodzownym warunkiem wejścia na rynki światowe. Wymienialna waluta stanowi również jedno z głównych powiązań między rynkiem wewnętrznym, a rynkami zagranicznymi.

Jan KROK-PASZKOWSKI

Co wysłać teraz ?

**PO CO PUDŁOWAĆ, SKORO POINFORMUJE
NAJLEPIEJ NAJNOWSZY BIULETYN T A Z A B A
*** (TRZY GWIAZDY)**

„POLO” bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy”? Ortaliony?
Jeżeli tak, to tylko dobre i ze wszystkimi „szykanami”
bo dobry gatunek najlepiej się opłaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver”, kalkulujące się u
TAZABA: £1 ca 500 zł sprzedają się „jak bułki” po 12-15 zł
za sztukę. Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-;
500 szt. £12.15.0; 1000 szt. £22.15.0.

Biuletynami ***, najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych
leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich
i doświadczeniem 20 lat służby

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB 22 Roland Gardens, LONDON, S.W.7.
100 East 10th St., NEW YORK 3, N.Y.
tel.: Alganquin 4-4161

Kraj

Nauki wydarzeń

Po znanych wypadkach studenckich w Polsce nieoczekiwaną popularność uzyskały... dzieła Lenina, a mianowicie 9 tom jego *Dzieł*, zawierający ocenę zaburzeń studenckich w Moskwie, w roku 1905. Artykułowi Lenina nie można odmówić aktualności.

Ponieważ *Dzieła* Lenina są bardzo mało znane nie tylko na emigracji ale również w kraju, przedrukowujemy ten artykuł mając nadzieję że młoda inteligencja w Polsce wreszcie sobie uświadomi, że o sukcesie rewolucji decyduje w pierwszym rzędzie sojusz inteligencji z klasą robotniczą, co wymaga opracowania konkretnego i *realnego* programu społeczno-gospodarczego. Ten obowiązek ciąży również na emigracji i tego obowiązku emigracja nie spełniła. Artykuł Lenina jest ostrzeżeniem nie tylko dla totalistów z PZPR, ale także dla tych, których on nazywa „liberałami”. Jakże dobrze znamy tych ludzi na emigracji i w kraju którzy się miotają „namawiając studentów, by byli skromniejsi, a rycerzy nahajki by byli łagodniejsi”.

...Zalążkiem wydarzeń moskiewskich były wypadki o charakterze na pierwszy rzut oka czysto akademickim. Rząd obdarzył uniwersytety częściową „autonomią”, czy rzekomą autonomią. Pp. profesorowie otrzymali samorząd. Studenci otrzymali prawo wieców. W ogólnym systemie samowładzo-pań-szczyźnianego ucisku zrobiono więc mały wyłom. I w wyłom ten skierowały się natymiast z nieoczekiwaną siłą nowe rewolucyjne potoki. Drobne nędzne ustępstwo, mała reforma, przeprowadzona w celu stępienia przeciwności politycznych i „pojednania” rozbójników z grabionymi, wywołała w praktyce ogromne zaostrzenie walki i rozszerzenie składu jej uczestników. Na wiece studenckie hurmem ruszyli robotnicy. Zaczęły się one przekształcać w rewolucyjne wiece ludowe, na których przeważała klasa produkująca w walce o wolność — proletariat. Rząd oburzył się. „Solidni” liberałowie, którzy otrzy-

W. I. Lenin, *Dzieła*, Tom 9, str. 377-379, Książka i Wiedza, W-wa, 1951.

mali samorząd profesorski, zaczęli miotać się i biegać od rewolucyjnych studentów do policyjnego rządu nahałki. Liberalowie skorzystali z wolności, aby zdradzić wolność, aby powstrzymać studentów od rozszerzania i zaostrzania walki, aby propagować „porządek” — w obliczu basybybuzuków i czarno-secińców, panów Trepowa i Romanowa! Liberalowie skorzystali z samorządu, aby robić robotę katów ludu, aby zamknąć uniwersytet, tę czystą świątynię „nauki” dozwolonej przez rycerzy nahałki, świątynię, którą studenci sprofanowali wpuszczając do niej „ciemny motłoch” dla omówienia spraw „nieodzwolonych” przez samowładczą szajkę. Samorządni liberalowie zaprzędawali lud i zdradzali wolność, gdyż bali się, że uniwersytet stanie się polem walki. I zostali przykładnie ukarani za swe nikczemne teórzostwo. Zamknawszy rewolucyjny uniwersytet otworzyli rewolucję na ulicy. Ci nędzni pedanci na wyścigi z nikczemnikami Głazowami tryumfowali już, że udało im się ugasić pożar w szkole. W rzeczywistości roznieśli tylko pożar w ogromnym mieście przemysłowym. Ci napuszeni mali ludzie zabronili robotnikom iść do młodzieży studenckiej; pchnęli tylko młodzież studencką ku rewolucyjnym robotnikom. Oceniali oni wszystkie zagadnienia polityczne z punktu widzenia swojego kurnika, na wskroś przeziąkniętego odwiecznym biurokratyzmem: błagali studentów, by oszczędzili ten kurnik. Wystarczyło pierwszego świeżego wietrzyka, wystąpienia wolnego i młodego żywiołu rewolucyjnego, by wszyscy porzucili nawet myśl o kurniku, albowiem wietrzyk krzepł, przekształcając się w burzę wymierzoną przeciwko podstawowemu źródłu całego biurokratyzmu i całego naigrania się z ludu rosyjskiego, przeciwko carskiemu samowładztwu. I nawet teraz, gdy pierwsze niebezpieczeństwo minęło, gdy nawałnica wyraźnie uciechła, lokaje samowładztwa wciąż jeszcze drżą ze strachu na samo wspomnienie otchłani, jaka rozwarła się przed nimi w krwawe dni moskiewskie: „na razie to jeszcze nie pożar, ale już niewątpliwe podpalenie”, bełkoce p. Mieniszikow w lokajskiej gazecie „Nowoje Wremia” (z 30 września) — „na razie to jeszcze nie rewolucja... ale już prolog do rewolucji”. „Nadchodzi ona”, do-wodził (p. Mieniszikow) w kwietniu, a od tego czasu jakie straszne kroki poczyniła „ona”!... Żywioł ludowy rozkołysał się aż do swych najgłębszych odmętów”...

Tak, w dobre kleszcze dostali się Trepowowie i Romanow wraz ze zdradzieckimi liberalnymi burżua. Otworzysz uniwersytet — dasz trybunę rewolucyjnym zebraniom ludowym, wyświadcysz nieocenioną przysługę socjaldemokracji. Zamkniesz uniwersytet — otworzysz walkę uliczną. I miotają się, zgrzytając zębami, nasi rycerze knuta; znów otwierają uniwersytet moskiewski, udają, że chcą zezwolić studentom, by sami strzegli porządku w czasie pochodów ulicznych, patrzą przez palce na rewolucyjny samorząd studentów, którzy przeprowadzają formalny podział na partie socjaldemokratów, socjalistów-rewolucjonistów itd., tworząc regularne przedstawicielstwo polityczne w „parlamencie” studenckim (i którzy, jesteście przekonani, nie ograniczą się do rewolucyjnego samorządu, lecz zajmą się niezwłocznie i poważnie organizowaniem i zbrojeniem oddziałów armii rewolucyjnej). A razem z Trepowem miotają się również liberalni profesorowie, starając się namawiać — dzisiaj studentów, aby byli skromniejsi, jutro rycerzy nahałki, by byli łagodniejsi. Miotanie się jednych i drugich sprawia nam największą przyjemność: a więc dobrze dmie rewolucyjny wietrzyk, skoro tak wysoko podskakują na górnym pokładzie dowódcy polityczni i dezerterszy polityczni.

Zwierzęta patrzą na nas

Przed prawdą uciec nie można. Jeżeli się ją skrywa wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy i niepokoi, buntuje się i wścieka.

Władysław Gomułka na VIII Plenum 1956.

Pojmując materialistycznie dzieje musimy uznać, że obecny kryzys jest koniecznością. Ale kto mógł przypuścić? Najlepsi znawcy Marksa i Lenina nie przewidzieli tego co zostanie w historii jako „skandal 'Dziadów'” i — jak nieraz się przekonywałem — „zgniły Zachód” tego zrozumieć nie może. W krajach burżuazyjnej stabilizacji, „praktycznego rozumu” — brak jest wyobraźni. Jako okoliczność łagodzącą dodam, że nawet u nas fakt, że w klimacie pełnego zmaterjalizowania zagrały jakieś duchy Mickiewicza nie mieści się w głowach „ludzi uświadomionych”. Taki to zamęt czasów...

W kwiecie sukcesu zdjęto „Dziady” ze sceny, ukarano mistrza, wychłostano publiczność, uwięziono młodych wielbicieli, otworzono kryzys. Kryzys stał się kryzysem kultury. Larum podnieśli pisarze, to oczywiście nie nowina. Od samych pierwszych lat Polski Ludowej pisarze domagają się swobody twórczości, bez której kultura w ogóle jest nie do pomyślenia. Dla władzy, która tego nie chce, chociaż to mówi dla galerii, pisarz jest synonimem wicherzyciela, burzyciela — wrogiem. Już list 34-ch w 1964 r. był obrazą. Rok później wypracowali obszerny memoriał Neverle-go o potrzebach literatury. Jest rzekomo w czytaniu, budzi zainteresowanie — jak oficjalnie się mówi. A pisarze wciąż żale roz-wodzą: kultura i kultura. Dotknięci ostrą kulturomanią, zwołali swe nadzwyczajne zgromadzenie i na nim nad kulturą rozległy się skargi Jeremiasza. Józef Kępa, stołeczny centurion ideologii, aż trzy pełne auto-wozy przysłał na salę, by złe duchy rozproszyć, ale i to nie pomogło. Precz z literaturą gromił na zebraniu u Kępy „aktyw” aparatczyków, kwiat Ludowej Polski. Niewdzięcz-niki! A kto im daje papier? A kto ich drukuje? To my, partia: partia — klasa robotnicza, partia — naród, partia — Polska Lu-dowa. Kultura to my, bez nas nie ma kultury. Kija na nich! Może starczyłoby pobicie Kisielewskiego, zatłuczenie w jakimś kącie Jasienicy, ale tu, jak cień, wybuchli za nimi studenci. To już gorsza sprawa. Użyto pałki policyjnej — to elastyczne zakoń-

czenie naszej konstytucji, jak to się u nas mówi. Na nic wołania studenckie: „zamieńcie pałki na całki”. Sytuacja poważna. Statystyka pozwala nam ocenić jej wymiary. W szkołach wyższych w Polsce jest z górą 200.000 studentów. Zadanie dla partyjnych kursów: ile trzeba pałek w Polsce dla gruntownego rozwiązania problemu młodzieżowego. Dodajmy, że choroba jest zaraźliwa i przenosi się na młodzież szkolną. Sam widziałem w czasie jednej z bitew warszawskich chłopca z tarczą licealną na rękawie i z kajdankami w rękę: wyrwał je policjantowi na ulicy. Są już szare szeregi. Władze Warszawy ściągnęły milicję z prowincji, zmobilizowały W.S.W., ale szeregi się mnożą. Na rynku Starego Miasta przybyła studentom pewnego dnia „odsiecz” z fabrycznego Powiśla i tu zapewne połowa ze 147 rannych policjantów została sprana. Wchodzi też w grę ORMO — ochotnicze oddziały pomocników milicji po zakładach i fabrykach. W Warszawie nazywa się ich Ostatnią Rezerwą Ministerstwa Oświaty. Każdy z nich musi się wykazać, ale żaden nie chce się narażać — niełatwe zadanie. Są w końcu psy policyjne, których użyto w dużej skali w Nowej Hucie i w Krakowie, no i gaz łzawiący. Tegoż dnia przeciw użyciu tego gazu i rzekomo też psów przez Amerykanów w Wietnamie wystąpiły wielkie prasowe organy. Zresztą PRASA KŁAMIE — jest jednym z tych sloganów młodzieży, który objął CAŁE społeczeństwo. Palenie stosów „Życia Warszawy” przed jego redakcją, a Konstytucji P.R.L. pogwałconej przez władze przed Politechniką były najwymowniejszymi manifestacjami ruchu.

Popularność młodzieży jest niezwykła w Polsce — jej samopoczucie wzrosło, poczucie *esprit de corps* wyraziło się w mnożeniu się białych rogatywek uniwersyteckich i brązowych czapek politechnicznych, których nie widziano od czasu powstania Polski Ludowej. Władze nawet po cichu zakazały spółdzielniom czapkarskim szycia tych czapek, ale jest ich mimo to coraz więcej. Podczas okupacyjnego strajku fabryki posyłały studentom ciężarówki żywności, zbierano na fundusz dla nich — nie setki, ale setki tysięcy. Okazało się, że wielu profesorów w czasie strajku np. gotowało dla nich herbatę (sam Stefan Żółkiewski — ojciec soc-realizmu). Uznano to za czyn tak antypaństwowy, że profesorowie zostali zwolnieni. Inni memoriał w obronie młodzieży skierowali do Rady Państwa — nie pomogły zabiegi takiego Turskiego — rektor godny słynnego Pelikana z „Dziadów” — kramoła wdarła się do profesury. Zwolniono sześciu profesorów, a jednego z Polskiej Akademii Nauk. Zamknięto szereg wydziałów i katedr — nie tylko humanistyki. Humanistyka jest, jak wiadomo, dawno już traktowana przez władze na stopie wojennej. Teraz eskalacja obskurantyzmu poszła już dalej: na fizykę, matematykę, ekonometrię — jeden krok i samo liczenie będzie wyma-

NOWOŚCI

BIBLIOTEKI « KULTURY »

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji : 91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE, France

ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 13-ty)

● Zawiera m.in. prace: T. Katelbacha: *Zet*; W. T. Drymmera: *Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935-1939*; E. Puacza: *Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia*; T. Romera: *U kolebki pewnego sojuszu*; J. Weinsteina: *Scenariusz Ministra Gafencu*. (Styczeń, 1968).

Tom 153
Str. 240
15 F (\$ 3,00)



Tom 154
Str. 40
7 F (\$ 1,75)

Kazimierz WIERZYŃSKI

CZARNY POLONEZ

(Poezje)

● W chwilach przełomowych w życiu naszego narodu polska poezja zawsze była w pierwszej linii walki o wolność. Tak jak w czasie ostatniej wojny tak i obecnie Wierzyński jest godnym kontynuatorem tradycji Słowackiego, Norwida i Żeromskiego. (Marzec, 1968).



Tom 155
Str. 288
17 F (\$ 4,00)

Czesław DOBEK

DRUGI RZUT

I inne opowiadania

● Zbiór opowiadań obrazujących życie emigrantów bez upiększeń i legendy. Od „kulisów” bitwy pod Monte Cassino aż po dzień dzisiejszy los szarego człowieka jest przedstawiany gorzko, czasem ironicznie, ale zawsze z ciepłą życzliwością i zrozumieniem. (Kwiecień, 1968).



Tom 156
Str. 80
8 F (\$ 2,00)

Wacław IWANIUK

CIEMNY CZAS

Poezje

● Nowy tom znanego poety, stanowiący niewątpliwie najlepszy zbiór jego wierszy. Adam Czerniawski pisze o tym tomie: „większość wierszy jest starannie wykończona i zestrojona w jednej tonacji od początku do końca: zespala je zawsze jakiś dominujący obraz, niczym wątek muzyczny”. (Kwiecień, 1968).



Tom 157
Str. 400
23 F (\$ 5,00)

Leon MITKIEWICZ

Z GEN. SIKORSKIM NA OBCZYŻNIE

(Seria „Dokumenty”)

● Wspomnienia jednego z bliskich współpracowników gen. Władysława Sikorskiego, które wnoszą szereg nowych informacji i naświetleń — nie rzadko sensacyjnych, a przede wszystkim rzucają nowe światło na postać gen. Sikorskiego. (Maj, 1968).



Tom 158
Str. 15 F (\$

ZAMAWIAM NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI

..... Cena
..... Cena
..... Cena
..... Cena
..... Cena
..... Cena

ZAMAWIAM PRENUMERATĘ „KULTURY” NA
OKRES
DLA

Francja — F. 50; Zagranicą F. 54 (lub \$ USA 12;
\$ can. 13).

ZAMAWIAM PRENUMERATĘ „KULTURY”
WRAZ Z „ZESZYTAMI HISTORYCZNYMI” NA
OKRES
DLA

Francja F. 65; Zagranicą F. 69 (lub \$ USA 15;
\$ can. 16).

Załączam czek na

(podpis)



Tom 159
Str. 12 F (\$



Tom 160
Str. 12 F (\$



Tom 155
Str. 280
17 F. (\$ 4,00)

Czesław DOBEK

DRUGI RZUT I inne opowiadania

● Zbiór opowiadań obrazujących życie emigrantów bez upiększeń i legendy. Od „kulisów” bitwy pod Monte Cassino aż po dzień dzisiejszy los szarego człowieka jest przedstawiany gorzko, czasem ironicznie, ale zawsze z ciepłą życzliwością i zrozumieniem. (Kwiecień, 1968).



Tom 156
Str. 80
8 F. (\$ 2,00)

Wacław IWANIUK

CIEMNY CZAS Poezje

● Nowy tom znanego poety, stanowiący niewątpliwie najlepszy zbiór jego wierszy. Adam Czerniawski pisze o tym tomie: „większość wierszy jest starannie wykończona i zestrojona w jednej tonacji od początku do końca; zespała je zawsze jakiś dominujący obraz, niczym wątek muzyczny”. (Kwiecień, 1968).



Tom 157
Str. 400
23 F. (\$ 5,00)

Leon MITKIEWICZ

Z GEN. SIKORSKIM NA OBCYZNIE (Seria „Dokumenty”)

● Wspomnienia jednego z bliskich współpracowników gen. Władysława Sikorskiego, które wnoszą szereg nowych informacji i naświetleń — nie rzadko sensacyjnych, a przede wszystkim rzucają nowe światło na postać gen. Sikorskiego. (Maj, 1968).



Tom 158
Str. 240
15 F. (\$ 3,50)

Alicja IWĄSKA

ŚWIAT PRZETŁUMACZONY

● Alicja Iwańska, znany socjolog w Stanach Zjednoczonych, od lat studiuje życie Indian meksykańskich. „Świat przetłumaczony” jest oryginalnym pamiętnikiem studiów wśród Indian Mazahua, przeplatany wspomnieniami i refleksjami. Daje to w całości niezmiernie ciekawą i nową formę literacką. Ludzka uczciwość i głęboki humanizm nadają książce Iwańskiej wartości uniwersalne, mimo — a może właśnie dlatego — że autorka wprost obsesyjnie żyje Polską i pamięcią AK i Powstania Warszawskiego. (Czerwiec, 1968).



Tom 159
Str. 144
12 F. (\$ 2,50)

Piotr GUZY

STAN WYJĄTKOWY

● Nowa powieść autora *Krótkiego żywota bohatera pozytywnego* jest fragmentem wielkiego fresku życia rodziny podczas okupacji niemieckiej i pod rządami PZPR. (Lipiec, 1968).



Tom 160
Str. 144
12 F. (\$ 2,50)

Julian KULSKI

STEFAN STARZYŃSKI w mojej pamięci (Seria „Dokumenty”)

● Wspomnienia najbliższego współpracownika i osobistego przyjaciela bohaterskiego Prezydenta m. Warszawy. (Lipiec, 1968).

INSTITUT LITTERAIRE

91 Avenue de Poissy

78-MAISONS-LAFFITTE

France

Poza Biblioteką „Kultury” Instytut Literacki wydał w kwietniu 1968, w formie plakietki utwór Janusza Szpotańskiego pt. „Cisi i gęgacze”. Te satyryczne wiersze, za które autor skazany został w Warszawie na trzy lata więzienia są jednym z ważniejszych ogniw w rozwoju sytuacji rewolucyjnej w Polsce. (str. 32, cena F. 3,00).

WYDAWNICTWA

INSTYTUTU LITERACKIEGO :

MIESIĘCZNIK « KULTURA »

ZESZYTY HISTORYCZNE

ARCHIWUM REWOLUCJI

DOKUMENTY

gało specjalnych zezwoleń. Gomułka nie zapowiada nawet żadnej rozmowy z profesorami. Ustrój, który, jego zdaniem, „naprawia się sam” nauk od nikogo nie potrzebuje. Mrok, jak w Ciemnogrodzie Ildefonsa Gałczyńskiego.

*Ciemnogród nie zna latarni publicznych
Tam każdy z własną latarnią lata...*

Na słynnym zebraniu literatów Kisielewski mówił, że „ciemniaki rządzą w Polsce”. Ale jeszcze nie wiedział o zamykaniu katedr. Ci którzy wówczas czuli się tym dotknięci, dziś sami chyba przyznają rację: w oświeconych krajach katedr się nie zwija. Ciemniakom należy zawdzięczać, że cała walka z akademikami w Polsce Ludowej przerodziła się w prawdziwe pośmiewisko dla Wolnej Europy albo w tworzywo dla szopnej muzy Janusza Szpotańskiego.

Biczowanie, zawały serca, zgony w szpitalach, nocne pogrzeby. Straty wielkie, koszty ogromne, skandal światowy. I komu to było potrzebne? Kto tego piwa nawarzył? Gdzie winowajca? Komu to służy? System panujący przyjmuje zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Odpowiadają bracia, siostry, rodzice. Ministrowie nie odpowiadają. Premier nie odpowiada. Min. Motyka, który zdjął ze sceny Mickiewicza, oświadcza, że nie on winien, ale „szersza płaszczyzna polityczna”. To znaczy KC partii, praktycznie zaś niezastąpiony Artur Starewicz jest od tego resortu. Ale dla hołoty innego winowajcy trzeba szukać. Biblijnego kozła ofiarnego. „Syjoniści” — woła Gomułka, „profesorzy” — woła minister Jabłoński*. Kto ma być uważany za syjonistę określa Gomułka sam, tak jak w Rzeszy kto jest, a kto nie jest, Żydem określał sam Hitler. A w ogóle to wicherzyciele, burzyciele, inspiratorzy... Tak samo jak za carskich czasów, wiecznie to samo: ochrana wynajdywała i tępiła „zaczyńszczyków”. Cóż, gdy ich już wytępiła, to wybuchła rewolucja i ją samą wymiotła.

Propaganda dotąd nie odkryła innej zbawczej formuлки: głosi *urbi et orbi*, że byłoby dobrze gdyby nie „małe grupki wicherzycieli”, które wywracają Polskę do góry nogami. Bardzo to niejasne, bo coś się nie klei w tej terminologii: dwie osoby to zebranie, trzy — to wiec, a 3.000 studentów to... „mała grupka wicherzycieli”. Mniejsza o to — oddajmy ten numer na „zgaduj zgadula”. Zgadywanie bardzo pomaga na partyjnych wiecach. Są to przeważnie „otwarte” zebrania Podstawowej Organizacji Partyj-

* Warto, mówiąc o profesorach, wspomnieć piękną postawę rektorów wrocławskich, prof. Tomaszewskiego, którego milicjanci w Warszawie walili głową o ścianę własnego gabinetu, dokąd wtargnęli 8 marca, lub w Poznaniu profesora, który ogłosił głodówkę i sztucznie go karmił w szpitalu.

nej w każdym Ryczywole. Zapadają na nich rezolucje „na zlecenie”. Rezolucje zgadywane — rezolucje nakazane. Organizatorzy tak znakomicie zgadują „życzenia ogółu”, że głosowanie staje się naprawdę luksusem. Robi to się czasem, ale niekoniecznie. Lecą ryzy papieru, telegramy, hołdy. A obok pałki, pałki, pałki.

Gouverner c'est prévoir — mówił Napoleon. Rządzić to przewidywać. Chyba to nie wszystko, ale przewidywać trzeba. Brak przewidywania rząd dyskwalifikuje. Trudno sobie wyobrazić, że rząd przewidywał wydarzenia, które wywołał zakazem „Dziadów”. Posądzać go, że przewidywał, jest równoznaczne z oskarżeniem go o prowokację. To nie przychodzi mi na myśl. Natomiast gdy widzę, jak miota się bezradnie, jak się tłumaczy nieudolnie, jak brnie nieopatrznie — czuję, że jest już bezwolną ofiarą tego sprzeczania zwrotnego, o którym mówił na słynnym literackim zebraniu prof. Leszek Kołakowski. Przytoczę fragmenty jego przemówienia, które było kluczowym przemówieniem tego wieczoru...

...„chodzi nie tylko o „Dziady”. Ocena interpretacji Dejmka nie ma wielkiego znaczenia w tej dyskusji... istotne jest, że w ogólności władze polityczne roszczerzają sobie pretensje, poparte siłą urzędu, do ustanawiania reguł poprawnej interpretacji inscenizacyjnej, potępienia innych inscenizacji. Trudno nam nie widzieć w tym powrocie do epoki żdanowskiej... Powtarzam, i będziemy powtarzać bez końca prawdy najbanalniejsze, że ŻYCIE KULTURY WYMAGA SWOBODY i że wymaga także swobody refleksji nad kulturą, nad jej możliwościami i wartościami. Lecz i ta REFLEKSJA JEST NIE-MOŻLIWA, bo każda dyskusja prowadzi NIEUCHRONNIE do spraw zasadniczych, obwarowanych zakazami. Bo nawet szczegółowe wartościowanie kultury jest SYSTEMATYCZNIE FAŁSZOWANE przez nieprzechwytywalne względy osobiste... Administrowanie kultury (M.K. i S.) weszło w tej chwili w spiralny *ruch wstępujący*, z którego nie widać wyjścia, lecz który NIEUCHRONNIE BĘDZIE POGŁĘBIAŁ PRZEPAŚĆ między rzeczywistym życiem kultury a administracją, będzie w jałowej szarpaninie coraz więcej marnotrawił energii i coraz większe szkody wyrządzał wszystkim dziedzinom życia duchowego. W sytuacji, w której narosła OGROMNA MASA NIEUCHRONNEGO SPRZECIWU, goryczy, zawodu, poczucia bezsilności i beznadziejności, dowodów niekompetencji i nieudolności w kierowaniu kulturą, stłumienie wyrazów tego sprzeciwu środkami administracyjnymi ma TYLKO TEN SKUTEK, że tworzy stały jego PRZYROST... Mamy klasyczny, najbanalniejszy przykład sprzeczania zwrotnego — środki mające zapobiegać ujawnianiu się oporu, o którego REALNYCH ŹRÓDŁACH nikt nie myśli, stwarzają sytuację, w której coraz większa ilość tych środków presji jest potrzebna i tak bez końca... Doszliśmy do zawstydzającej sytuacji kiedy cała dramaturgia światowa, od Ajschylosa przez Szekspira do Brechta i Ionesco stała się zbiorem aluzji do Polski Ludowej... Teatry są z konieczności obezwładnione kiedy okazuje się, że NIC NIE JEST NEUTRALNE, bo tam gdzie trzeba powracać do wartości najbardziej elementarnych WSZYSTKO STAJE SIĘ PODEJRZANE. Cała bowiem literatura światowa i cała sztuka ponawiają przypomnienie tych wartości. Dojdziemy do punktu, w którym nasze komedijki staną się groźnym materiałem wywrotowym... Pomyślmy o degrengoladzie filmu polskiego, pomyślmy o przerażającej nędzy systemu informacyjnego w prasie, pomyślmy o masie ograniczeń i szyskan, które krepują polską wiedzę humanistyczną... w historii najnowszej,

socjologii, w naukach politycznych, prawnych. Pomyślmy o żalosnym ubóstwie dyskusji, w których nikt nigdy nie może powiedzieć o co chodzi naprawdę, bo wszystko prowadzi do barier zakazanych... Nie istnieje naprawdę prasa kulturalna... Monopol jest środkiem dewastacji życia duchowego, które marnieje i więdną tam, gdzie ZADNE KONFRONTACJE NIE SĄ MOŻLIWE, gdzie owe ze wszystkich sił hodowane i karmione, obsypywane przywilejami twory, przybierają same postać KARYKATURALNĄ. Monopol prowadzi do zwyrodnienia tej gałęzi, która cieszy się monopolem. Bezustannie, wobec każdego głosu krytyki rozlegają się pogroźki i oceny formułowane w kategoriach, które chcą UPODOBNIĆ KRYTYKĘ DO CZYNNOŚCI ZAKAZANYCH. Każda spotyka się z oceną, że jest antysocjalistyczna (co już jest pogroźką), więc oparta na zamiarze przywrócenia kapitalizmu. Lecz JEST TO SZANTAŻ. W rzeczy samej, gdybyśmy mieli uznać, że socjalizm może istnieć TYLKO w warunkach tłumienia kultury, musielibyśmy uznać, że socjalizm jest niemożliwy, lub może być tylko PARODIĄ WŁASNYCH ZAŁOŻEŃ. Jednak wyobrażam sobie formę życia socjalistycznego, w której zniesiony będzie nieznosny i niszczyielski stan rzeczy, gdzie twórczość kulturalna i refleksje nad nią odczuwane są przez władze jako PERMANENTNE ZAGROZENIE, wymagające przeciwdziałania przemocą i że CHCEMY ZNIESIENIA TEJ SYTUACJI W IMIĘ SOCJALIZMU, A NIE PRZECIW NIEMU”.

Chcę wrócić do rozmyślań o przewidywaniu tych co rządzą. Kazimierz Kąkol — znany ze sprawy Wańkowicza od strony zdolności demistyfikacji — jest, jak w Warszawie sądzą, tubą grupy tzw. Polski Mocarowej, a więc grawitującego ku aparatowi represji. Otóż Kąkol z jednej strony wystąpił z atakiem na Kisielewskiego, pt. „Dyktatura ciemniaków” (ta nazwa chwyciła u Warszawiaków), a po milionowej wiernopoddanej rezolucji „z terenu” wystąpił z „rewelacją”, że zostaliśmy cudem ocaleni od zamachu, który groził w tych ponurych dniach akademickich ze strony „nieznanych sprawców”. Komu grozili ci „nieznani sprawcy”? Naszej ludowej władzy — oczywiście. Kto mógł go dokonać? Wojsko czy milicja? Nie twierdę, że wojsko jest zachwycone reżymem — od czasu skandalu z „odstawką” trzech generałów lotnictwa jest raczej odwrotnie. Dla pewności gwałtownie generałów się przenosi. Ale trzyma się ono z dala od klikowych rozgrywek. A więc aparat bezpieczeństwa? Jest on rozbudowany i dynamiczny — ma mocne macki w robotniczym środowisku, gdzie zorganizował znane ORMO na swe usługi i wewnętrzne szpiegostwo, a od czasu 1950 roku bardzo licznych ubeków rozmieszczono po fabrykach i w urzędach jako pracowników. Utrącony przez październikowców aparat został w czasie ery gomułkowskiej przywrócony do dawnego znaczenia. Przeniknął już wszędzie: kontrola pocztowa, podsłuch telefoniczny, obserwacja lokali publicznych paraliżują społeczeństwo. Słyszałem taką rozmowę: „U nas dziś co drugi służy ubekom. Jak nas tu dwóch rozmawia, to jeden z nas jest donoszczykiem: tylko nie wiem czy pan, czy ja?”. Przesada? Zapewne — ale groźny kompleks psychiczny.

W praktyce we dwóch się w Polsce Ludowej rozmawia — przy trzecim rozmowa milknie. Bo są ubecy i w literaturze. Jak byli za Gałczyńskiego gdy pisał, że „mój wujaszek ma dziwne szaleństwa / przenosi się z dziury do dziury / był wczoraj w służbie bezpieczeństwa / dziś przeszedł do literatury”. Wielu jest nam znanych, choć o tym nie wiedzą — niektórych ujawnił Flemming. Są ubecy i w dziennikarstwie, np. Ryszard Gontarz, który poświęcił mi artykuł w „Kurierze Polskim” (nie chciała umieścić go „Polityka”). Inny napisał książkę „Izrael i NRF”, trzeci inaugurował tablicę pamiątkową dla uczczenia (akowskich) Szarych Szeregów — rola UB w Polsce jest wszechobejmująca — jest to, jak ktoś powiedział, UBIKACJA Polski. Wykluczenie mnie z ZLP byłoby aktem tej ubikacji. Już za drukowanie w „Kulturze” paryskiej Stowarzyszenie Dziennikarzy wydało mnie na swym Zjeździe. Nie było to w Polsce środowisko wysoko cenione. Już — za pokrewnych czasów pogardy — Słowacki pisał: „tchórz — albo gazety redaktor”. Dziś jest to domena Artura Starewicza. Pozwolono sobie na niedawnym zjeździe dziennikarzy wygwizdać red. Korotyńskiego. Jednak zapewne tylko dlatego, że ma żydowską kategorię krwi (zero), a nie za jego prasę, którą palili studenci publicznie, bo PRASA KŁAMIE. Jak się ze mną zrobi na terenie literatów — widowisko przed nami: nie jestem syjonistą, bo w moim rodzie, przynajmniej od Grunwaldu, nie mogłem się doszukać kropli krwi żydowskiej. Antysocjalistą też nie jestem, a właściwie przeciwnie — dowodem „Czarno na Białym”, gdzie komuniści szukali azylu, a ja byłem redaktorem — taki pozostałem jakim byłem, zmienili się tylko lokatorzy. Wracam do zamachu. Dążenie do opanowania władzy przez aparat jest pragnieniem jej wyzwolenia od KC, to jest od wpływów Gomułki i Kliszki. Wybuch mickiewiczowski wypadł w chwili, gdy obaj byli poza Polską (w Bukareszcie i w Sofii). Aparat działał swobodnie. „Pałkownicy” mogli zalać krwią Warszawę i uratować ojczyznę ludową, po czym objąć władzę dyktatorską. Terror był zawsze drogą do dyktatury. Może zabrakło im odwagi — może inne napotkali przeszkody. Pozostawmy te badania historykom — będą się nad tym głowili. Fakt, że tak się nie stało. Ale Kąkol zdradził, choć mgliście, te niepokoję. Oczywiście używając alibi: oto mu chodziło. Było zagrożenie władzy ludowej od strony wicherzycieli (literatów i studentów) i „syjonistów”. To winowajcy, a nie ci, którzy do łamania kości już otwarcie wzywali. Nie dopowiedział jednak, że zamachowcy mieli właśnie swą dyktaturę na trupach tych wicherzycieli wywindować. A to właśnie jest najistotniejsze. Tymczasem Gomułka i Kliszko skrócili swój pobyt zagranicą co z pewnością pozwoliło im uprzedzić zamach przyjaciół Kąkola. Było to gdy Gierek w Katowicach wzywał do

łamania kości, gdy „Heil Gierek” rozlegało się w tej jego Katandze. Kto cię Gierek tak wystrychnął na dudka — czyś to zrobił sam? Nie uwierzę. Groteska? Niebywała. Syjoniści składający wieńce u stóp naszego wieszcza, ambasador sowiecki zapraszający Dejmka z „Dziadami” do Moskwy na polski występ, minister zakazujący „Dziadów” w Polsce za akcent antyradziecki, inny — od oświaty — zamykający katedry uniwersyteckie, a władza pałkami objima młodzież, której rzekomo przepisy oświatowe nie pozwalają fizycznie karać, ba, nawet dotykać. Używa się przeciw Polakom środków potępianych w Wietnamie. Senat wyższej uczelni uznany za nielegalne zebranie, interpelacje sejmowe na które nie ma odpowiedzi. Bito dotąd pisarzy żywych, teraz bije się nawet nieboszczyków. Makabra. Groteska. Groteska sięgająca już tronu sławnego króla Ubu. Byłoby to wesołe, gdyby nie było takie smutne.

Idy Marcowe to dramat młodzieży, która nie oglądając się na straty wyszła na czoło w walce o wolność. Wyszła nawet nieprzygotowana, bez własnej organizacji, nie zapewniwszy sobie oparcia w masach z natury ociężałych, mierząc po mickiewiczowsku „siły na zamiary”, na zew właśnie odezwała się Mickiewicza. Na literackim zebraniu mówiłem o tym...

„chcę mówić o tym co było genezą dramatu „Dziadów”, o procesie Filarów. Jakież były te winy, którymi obciążył młodzież ową Nowosiłcow? Pierwsza — to należenie do tajnej organizacji, druga — to oddziaływanie na młodzież w nieprawomyślnym duchu, trzecia — to krytykowanie swych wieczorach utworów w duchu rządowi nie po myśli. To jest to co u nas robił Janusz Szpotkański. Już sam „sposób myślenia” tej młodzieży uznano za karygodny. Aby to jasno zrozumieć spróbuję zbadać jakby ich czyn był zakwalifikowany przez u nas obowiązujący Mały Kodeks Karny.

Oto artykuł 36 MKK — Kto bierze udział w związku, którego istnienie ma być tajemnicą wobec władz państwowych — **PODLEGA KARZE WIEZIENIA.**

Art. 14 p. 2 — Wystarcza TRZECH członków, by zakwalifikować jako związek, a według orzeczeń Sądu Najwyższego czasem nawet 2 (mąż i żona jeżeli są politycznie jednej myśli).

Art. 8 p. 1 — Za wprowadzenie w błąd władzy ponad 5 lat więzienia.

Art. 23 MKK (stynny) — Za rozpowszechnianie wiadomości (nawet prawdziwych) jeżeli mogą przynieść szkodę państwu (to jest władzy)...

Najprostszemu wyliczenie wykazuje, że byłiby u nas skazani na 5 lat każdy, a Tomasz Zan, jako przywódca, na dożywotnie więzienie.

Tymczasem dostali oni wówczas łagodniejsze kary. Czemu tak się stało? Bo Nowosiłcow, który proces prowadził, sam prosił o ich złagodzenie. „Nie wstydzę się paść do stóp Jego Cesarskiej Mości, by prosić o łaskawość dla oskarżonych”. I uzyskał. Motywował tym, że część winy spada na obiektywne warunki zewnętrzne, w których ta młodzież żyła. ZAPYTUJĘ: Czy pan minister Motyka upomniał się o ulaskawienie Janusza Szpotkańskiego, czy upomniał się o ulaskawienie Niny Karłow? NIE! Przeciwnie! Pan min. Motyka zwoływał u siebie zebrania z całej Polski, by na nich oczerniano pisarzy polskich, którym zabroniono prostować... Wolę od zachowania się mi-

nistra Motyki zachowanie się Nowosilcowa. Wołałbym Nowosilcowa od Motyki, bo sprawa byłaby jasna.

... Publiczność oklaskuje „Dziady” nie ze względu na czułość na wielką poezję, jak tu mówiono, ale ze względu na analogie historyczne do czasów, gdy Mickiewicz je pisał. Są one dla publiczności bodźcem dla reakcji emocjonalnej. Te analogie są. Królestwo Kongresowe było rządzane rękami Polaków, a kontrola prawomysłowości była w rękach Nowosilcowa. Królestwo miało własną konstytucję i Polska Ludowa ma własną. Tamta miała art. 16 gwarantujący wolność słowa, myśli, druku i my mamy art. 71 — tej samej treści. Ale i wówczas i dziś prasa i myśl uginają się pod cenzurą — konstytucja jest gwałcona. Sejm Królestwa domagał się jawności sądu — my jej też nie mamy; na literatów zapadają wyroki kapturowe! Nie trzeba się dziwić, że żywo reaguje na „Dziady” publiczność”.

Tu zatrzęsała się obecna bojówka tow. Kępy, a przewodnicząca Zółkiewska gwałtownie usiłowała odebrać mi głos. Min. Motyka się jednak nie obraził. Za to używa ubeków literatury do wydalania mnie ze Związku.

Młodzież podlega różnym represjom: relegacjom, zawieszeniom, więzieniom, łamie się im przyszłość, a w jej przewidywaniu łamie się jej charakter. To jest bardzo ważne dla każdej despotacji. Kiedy po powrocie do kraju miałem nadzieję wznowić przez wojnę przerwane moje pismo: „Czarno na Białym”, w pierwszym numerze, który z miejsca zresztą skonfiskowano, umieściłem artykuł prof. Mieczysława Michałowicza pt. „Nie łamać kręgosłupów”. Cenzura go skreśliła. Zapytałem cenzora Skoneckiego: „A więc łamać kręgosłupy?” Skonecki uśmiechnął się: „To nie moja sprawa”.

Warszawa ma dowcip, którym jak murem odgradza się od ponuraków władzy — ten mur podkreśla ich obcość. Na terror pałaników odpowiada dowcipem:

Pytanie: — Czy towarzyszy swego syna wysyła do uniwersytetu?

Odpowiedź: — Nie! Ja sam go leję.

Jakże łagodna jest ta młodzież w porównaniu z nami! Może warto przypomnieć co mówił naszemu pokoleniu walki Wacław Nałkowski, któremu i komuniści przecież hołd składają:

... „Nie dość po żakowsku pokazywać język — trzeba cały ten przybytek podłości, ucisku i grabieży wysadzić w powietrze i pole spod niego zaościć!”

Do studentów zastosowano nawet brankę do wojska. I znowu tradycja — ale Margrabiego Wielopolskiego. Wiemy, że ta metoda miała wręcz odwrotne skutki. „Sprzężenie zwrotne” — powiedziałby Leszek Kołakowski.

♦

Ale jest także dramat władzy. Powódź rezolucji jest jednym ze środków deprawacji politycznej społeczeństwa. Władza legity-

mistyczna — zdaniem Benjamin Constant’a — wymagała od społeczeństwa tylko milczenia — władza despotacji w naszym stylu wymaga mówienia, potakiwania. Każdy wie jak powstają rezolucje — każdy wie, że podwładni wykonują tylko rozkazy, że muszą się wykazać — wie o tym — wiedzieć powinien — każdy szef. Tego wymaga, ale czy temu wierzy?

Po co więc łudzić się? By łudzić innych? PRASA KŁAMIE — ten slogan studenci wbili ludziom w głowę. Ale prasa mimo to istnieje. Rezolucje kłamią, ale płyną rzeką. Coś z tych łgarstw zostaje. Ale ile: 50 %, 30 %, 20 %? Czasem i to jest coś warte, nawet i 10%. Kipling dał genialny obrazek z dżungli z rozmowy szakala z krokodylem. Szakal wiedział, że krokodyl wie, że on kłamie, ale sprawia mu to przyjemność i tak kłamali sobie obaj dalej.

I jest to dramat władzy, która nic poza stołem rezolucji nie widzi. Pogrębia się w ciemności, zaślepiona.

Jest w tym zjawisku coś z alienacji. Kłamstwa zastępują rzeczywistość, aż nastąpi jakiś wypadek, jak w bajce Andersena o nagim księciu, który tak długo imponował swym poddanym fikcyjnym strojem, póki jakiś prostak nie zawołał, że król jest nagi. Władza nie widzi, że okrzyki „Niech żyje” sama sobie wznosi, że transparenty sama sobie pisze, że na wiece sama ludzi spędza.

Mówię przez ludzkie współczucie: Ostrożność nie zawadzi. Należy jednak przebiegać w metodach. Należy pamiętać o przestrodze Ildefonsa Gałczyńskiego:

ZWIERZĘTA PATRZĄ NA NAS.

January GRZĘDZIŃSKI

Polska tych tygodni

Spotkania i wrażenia

Kiedy na początku kwietnia zjawiłem się w Warszawie, przyjaciele i znajomi wyrażali zdziwienie, że się tam w ogóle dostałem. Mówili: przecież jeszcze niedawno wyganialiśmy czeskich dziennikarzy. Kiedy odjeżdżałem po dziesięciu dniach obdarzono mnie mnóstwem rad i zaleceń. Jedni mówili, abym pisał absolutnie wszystko, co widziałem i przeżyłem, czego się dowiedziałem.

Inni mnie ostrzegali. A właśnie głosy ostrzegawcze są najbardziej interesujące, dlatego dwa z nich przytoczę.

Rozmowa z redaktorem:

On: — Proszę cię, pisz o nas, tak, żeby nie robić radości „Wolnej Europie”.

Ja: — Przecież nie piszę dla „Wolnej Europy”, ale dla swych czytelników. Piszę to, co myślę, że jest prawdą. Wielokrotnie w przeszłości pisaliśmy z myślą, „aby z tego nie skorzystała ‘Wolna Europa’”, a osiągnęliśmy to, że nam czytelnicy przestali wierzyć — wyczuli prawdę połowiczną.

On: — Ale nie zapominaj, że kiedy cię, powiedzmy, zacytuje „Wolna Europa”, będzie się potem u nas mówiło: Widzicie, tak o nas piszą prawdziwi pomocnicy agentur nieprzyjacielskich...

Prośba redaktora naczelnego: — Czy mogę Pana o coś prosić? Po powrocie do Pragi, niech Pan nic nie pisze o Polsce. Nic Pan nie pomoże. A może tylko zaszkodzić. Wywoła Pan rozdrażnienie u nas. Zacznie się polemizować. Pogorszą się nasze wzajemne stosunki. Zrodzi się podejrzenie że Czechosłowacja dąży do rozbicia obozu socjalistycznego. A zjednoczone siły mogą zahamować, to co się u was dzieje — a co i nas napawa wielką nadzieją.

Po przyjeździe do Warszawy — miesiąc po demonstracjach studenckich — zauważyłem jedynie dwa nowe zjawiska. Studenci nałożyli tradycyjne czapki studenckie — symbol patriotycznych tradycji, który zniknął mniej więcej przed dziesięciu laty. To była zdecydowana nowość. A następnie wydawało mi się, że na warszawskich ulicach jest więcej milicji niż kiedykolwiek w minionych dwudziestu latach, odkąd znam to miasto osobiście. To było wrażenie — rzekłbym na pierwszy rzut oka. Spotkania z ludźmi odkrywały mi stale wyraziściej coś o wiele bardziej ważnego: strach. W ostatnich latach, właśnie tu miałem zawsze poczucie większej swobody niż w domu. Najpierw myślałem: może teraz mamy w domu tyle wolności, że wydaje mi się jakoby w Warszawie się pogorszyło. Tylko, że każda nowa rozmowa utwierdzała mnie w przekonaniu, że sytuacja naprawdę się tu zmieniła.

Ten, z którym siedziałem w kawiarni, sciszał głos w chwili, kiedy ktokolwiek zbliżał się do naszego stolika. Ten, z którym spotkałem się w instytucie naukowym, zmieniał kilkakrotnie miejsce rozmowy — wydawało mu się stale, że ktoś nas śledzi. A większość tych, z którymi się spotkałem — oprócz najbliższych przyjaciół — mówiła z tłumikiem na ustach: w głębi serca mieli strach, abym nie zdradził o czym mówiliśmy, abym nie ujawnił ich nazwisk.

Tempo życia na ulicach Warszawy, w kawiarniach i teatrach było takie samo jak i przedtem. Ale wewnątrz tego życia coś się zmieniło. Coś, co mnie niepokoiło.

Wielokrotnie mówiłem sobie, że może całkiem przypadkowo spotykam właśnie takich ludzi, że rzeczywistość jest może zupełnie inna. Od rana do nocy spotykałem się z nowymi, z innymi, obcymi ludźmi. Chciałem nareszcie dowiedzieć się co w trawie piszczy. A także aby dowiedzieć się o wypadkach, które Polska tych tygodni ma za sobą.

Odwiedziłem rodzinę technika. Jego żona jest nauczycielką. Mają piętnastoletniego syna. Nikt z nich nie jest w żadnej organizacji politycznej. Ojciec opowiadał jak to wygląda u niego w fabryce:

— Kiedy zorganizowano u nas zebranie, zamknięto główną bramę, aby nikt nie mógł odejść. Zeszliśmy się w hali fabrycznej, tam się gadało. Nie wszyscy zgadzali się z tym, o czym mówiło się na zebraniu, ale na to nikt nie zważał. Przeczytano list do Gomułki, przegłosowano, a następnie list odesłano. Po zebraniu rozmawiałem ze swym szefem. Jest komunistą. Powiedział: Jeśli się to nie zmieni, ucieknę za granicę, tu się żyć nie da.

— A powiem Panu jeszcze jak to było przed zebraniem. Zawołał mnie sekretarz partii. Jesteście odpowiedzialny za to, aby wszyscy ludzie z waszego oddziału przyszli na zebranie. — Przecież ja odpowiadam jedynie za ich pracę, a nie za to co myślą, nie za ich polityczne poglądy — odpowiedziałem. On na to: To znaczy, że odmawiacie współpracy z partią? — Ja: Nie, to znaczy tylko to, co powiedziałem. Odpowiadam za ich pracę.

...W czasie naszej rozmowy jego piętnastoletni syn pisał na maszynie w sąsiednim pokoju. Zapytałem co pisze. Powiedział: — Przepisuję przemówienia z warszawskiej konferencji literatów. Wiele osób się nimi interesuje, a te przemówienia u nas nigdy nie ukażą się w druku.

Mówiliśmy długo. Opowiadał mi jak rozkłada przemówienia pisarzy w fabryce, jak rozmawia z ludźmi, jak im wszystko wyjaśnia. A potem powiedział zdanie, które zapisałem dosłownie: „W najgorszym razie czeka mnie kryminal, ale będę robić to, o czym wiem, że służy naszej ojczyźnie. A poza tym lepiej żyć uczciwie w kryminalu niż nieuczciwie na wolności.

Powiedział mi inny robotnik (lat 50): „Widziałem co robili z tymi studentami, straszne, byłem tym zdruzgotany”.

Zapytałem go: „A co Pan?” — On na to: „To jest trudne, na razie nie da się nic zrobić”.

Urzędnik ministerstwa

Sytuacja jest u nas bardzo, ale to bardzo skomplikowana. Mówię Panu — bardzo skomplikowana. Proszę nie wierzyć temu, co się Panu narzuca na pierwszy rzut oka. U nas nie chodzi o walkę przeciwko intelektualistom, pomimo, że wielu z nich nie ustrzegło się błędów. Nie chodzi także o antysemityzm, pomimo, że były tu silne tendencje syjonistyczne. A następnie, proszę, niech Pan nie zapomni przy wytwarzaniu sobie pełnego

obrazu naszej sytuacji, że tu we wszystkim co się u nas dzieje są i pozytywne elementy. Może się Panu wydawać na pierwszy rzut oka, że się tłumi demokrację, że się dławi wolność, ale za tym wszystkim naprawdę są pozytywne elementy — rozbija się to, co było nikczemne. Tylko proszę, niech Pan nie pisze o nas w sposób uproszczony.

Nie pisać w sposób uproszczony! Nie jestem historykiem abym mógł uchwycić wszystkie nici przemian w społeczeństwie. I nawet historyk normalnie ich nie uchwyci. Dziennikarz notuje to, co widział co słyszał, poznał i zrozumiał — z całym ryzykiem ograniczonego swego spostrzegania i pojmowania. Ponadto przeżywałem w Polsce moment zaskoczenia: jak bardzo zmieniła się atmosfera życia! Większość tych, których spotkałem, nie wiedziała co się naprawdę dzieje i dlaczego. Niektórzy przypuszczali, że toczy się walka o władzę w kierownictwie PZPR.

Co się stało?

Ktoś napisał, że przyszli historycy będą pisać o „marcowych wypadkach”. W marcu były studenckie demonstracje. Ale co je poprzedziło?

Ze strzępów rozmów, z wiadomości prasowych, z przemówień polityków, z uwag i artykułów układam sobie — może niedokładny — obraz „przebiegu polskich wydarzeń” w ostatnich miesiącach. W wydarzeniach tych ma swoje specjalne miejsce konflikt arabsko-izraelski. W Polsce wywołał on gwałtowną polityczną i ideologiczną ofensywę. Były organizowane zebrania, podejmowano rezolucje przeciwko izraelskim agresorom, rezolucje zapewnające pierwsze strony gazet. A jednocześnie przybrała na sile ofensywa przeciwko syjonizmowi. Władysław Gomułka w swym czerwcowym przemówieniu, w większej części poświęconemu syjonizmowi, mówił nawet o niebezpieczeństwie żydowskiej V kolumny w Polsce. Nastąpiły pierwsze czystki. Jeśli jestem dobrze poinformowany, zaczęło się od armii, głównie od lotnictwa. Dowiedziałem się, że przyczyną odwołania ze stanowisk wybitnych dowódców było wyrażenie wątpliwości o wartości polskiego systemu obrony przeciwlotniczej, który jest ponoć ten sam co w Egipcie — a tam okazał się raczej mało skuteczny. Wątpliwości były podobno likwidowane w ten sposób, że wątpliwych zwalniano ze stanowisk.

Drugim wydarzeniem ubiegłego roku była jesienna podwyżka cen. Wiele się o niej nie pisało. Za to o wiele więcej mówiło w polskich rodzinach. A potem przyszła Dejmkowa inscenizacja Mickiewiczowskich „Dziadów” w Teatrze Narodowym...

Co się działo wewnątrz

O zebraniu literatów przeczytałem wiele wypowiedzi w polskiej prasie. Wypowiedzi napisanych przez dziennikarzy i wyso-

wionych przez polityków. Były to praktycznie wyłącznie zdania — potępiające. Różnice między zdaniem były tylko w tonie ich formułowania — od delikatniejszych zastrzeżeń, aż po najsłabsze potępienia („wrogowie ludu i socjalizmu”).

Naszemu czytelnikowi, który pamięta co czytał u nas po zjeździe pisarzy, te zdania byłyby dobrze znane. I nawet okoliczność, że się publicznie potępia coś, czego nie wolno było publikować, też nie jest nam obca.

Na zebraniu było jeszcze coś godnego uwagi. W czasie zebrania, około budynku literatów zaczęły się zbierać grupy milicjantów — to było pod wieczór. A w nocy, około jedenastej, zaczęły podjeżdżać pod budynek ciężarówki z ludźmi, chcącymi się dostać do wewnątrz. Przedstawiali się jako delegacje robotnicze. A przywozili rezolucje ostro potępiające przebieg zebrania, a nawet wystąpienia niektórych pisarzy — to wszystko w chwili gdy zebranie jeszcze trwało. (Kiedy to usłyszałem, mówiłem sobie: To jest polityczna przytomność umysłu, na to się u nas w przeszłości nie wpadło).

Ciężarówek przybywało. Napór „delegacji robotniczych” wzrastał. Po północy zakończono więc zebranie. Podjęto znaną nam już rezolucję.

Mówcy występujący na zebraniu Z.L. zostali uznani za inspiratorów wydarzeń, które niedługo potem nastąpiły. Do pierwszej wielkiej demonstracji studenckiej doszło 8 marca. Zaczyna się okres wydarzeń, które reprezentują swego rodzaju szczyt politycznych niepokojów ostatnich miesięcy. Ten szczyt znaczy jednocześnie otwarte wystąpienia milicji. A po nich nowy typ politycznych zapasów w Polsce.

Antysyjonizm — antysemityzm

Kampanię przeciwko syjonizmowi prowadzi się już od dawna. W zaostrej formie od czerwca zeszłego roku, od izraelsko-arabskiego konfliktu. Przybrała na sile po marcowych wypadkach.

Wszyscy biorący udział w kampanii przysięgają, że nie ma to nic wspólnego z antysemityzmem. Przeważnie dodają: „wprost przeciwnie”. Tylko, że w praktyce wygląda to zupełnie inaczej. Czy kto chciał, czy nie chciał, objawiła się fala antysemityzmu, wywołując u wielu osób uczucie zawstydy. Między obywatelami „żydowskiego pochodzenia” strach, normalny strach o własną egzystencję, ból i zawód. Sam fakt mówienia o „pochodzeniu” niektórych obywateli, jest dowodem specjalnego rodzaju antysemityzmu.

Na marginesie tej fali należy podkreślić jeden fakt: nie ma ona szerokiego zasięgu w społeczeństwie. Społeczeństwo, w którym nie trudno było w przeszłości wzbudzić antysemityczne nastroje, jest dziś w większości wstrzemięźliwe i spokojne. Jest to, według mnie, przejaw sprzeciwu w stosunku do obecnie stosowanych sposobów demaskowania syjonizmu. Starszy dziennikarz

powiedział mi: „Chyba jeszcze nigdy nasze społeczeństwo nie było tak mało antysemickie jak obecnie — przyczyny widzę w opozycyjnych nastrojach przeciwko rządowi”.

Przed wojną mieszkało w Polsce ponad trzy miliony Żydów. Znaczną ich część stanowili Żydzi ortodoksyjni, reprezentujący specjalną grupę obywateli. Polskim Żydom przypadł w udziale najstraszliwszy los. Nieomal wszyscy zostali wymordowani podczas wojny. Przeżyło ich około stu tysięcy. Obecnie żyje w Polsce podobno około trzydziestu tysięcy Żydów. Różnice między ilością powojenną a dzisiejszą ukazują ogrom emigracji. Jedynie w latach 1956 i 1957 wyemigrowało około 40 tys. Żydów. Było to w dobie, kiedy w atmosferze życia codziennego wyczuwało się antysemityzm — prowadzono walkę przeciwko stalinowskiemu funkcjonariuszom, a niektórzy z nich byli „pochodzenia żydowskiego”. W tamtych jednak czasach, o tych problemach, praktycznie wcale się nie pisało. Emigracja w tamtych latach wywołała pewne napięcie. Między emigrantami bowiem, znaleźli się polityczni działacze, wysocy oficerowie, naukowcy, którzy po przyjeździe do Izraela zajęli znowu wybitne stanowiska w tamtejszym życiu politycznym i w armii.

Kiedy, dziś pisze się o tym w Polsce, często artykuły tchną uczuciem urażonej dumy narodowej, wyrzutami, z pominięciem zjawiska społecznego jakim jest emigracja dziesiątek tysięcy obywateli. Dlaczego odeszli, co ich wyciągnęło z dawnej ojczyzny...

Słabym punktem obecnej walki przeciwko syjonizmowi jest... walka przeciwko syjonistom. Kto to jest syjonista? Albo jeszcze inaczej: kto ma prawo decydować o tym czy innym człowieku, że jest syjonistą?

Otwiera się tu — przypuśćmy że w ogóle istnieje konieczność walki przeciwko syjonistom, która najczęściej kończy się zwolnieniem z pracy — szerokie pole dla samowoli. A właśnie ta samowola niweluje granice między antysyjonizmem i antysemityzmem...

Od „obywateli żydowskiego pochodzenia” żąda się aby ostentacyjnie potępiali syjonizm — dopiero po tym mogą być dobrzy obywatelami socjalistycznego państwa, dopiero wtedy są zweryfikowani. Że to łamie charakter? Że jest smutne i niezaszczytne?

...Charakterystyczne są słowa *Trybuny Mazowieckiej*, którymi wzywała Żydowskie Stowarzyszenie Kulturalne, aby zadeklarowało się po czyjej jest stronie: „Chcemy wiedzieć, z kim żyjemy pod jednym dachem”...

Przesławna interpelacja

Mała grupa katolickich posłów „ZNAK” 11 marca, na początku marcowych wypadków, przesłała premierowi PRL interpelację.

Nie wiem, czy jest jakaś inna interpelacja w historii powojennej Polski o której więcej powiedziano, czy napisano. Wątpię.

Znalazła się w radiowych stacjach zagranicznych i prasie światowej. Dlaczego mówię o niej — przesławna? Bo tyle się o niej powiedziało, ale w Polsce nie była opublikowana.

Na interpelację z 11 marca odpowiedział premier Józef Cyrankiewicz na posiedzeniu sejmowym w dniu 10 kwietnia w ramach swego obszernego przemówienia. Na początku przypomniał, że zanim sam otrzymał interpelację była już znana zagranicą i cytowała ją „Wolna Europa”. (Sprawdzałem w Warszawie w odpowiednich miejscach, kiedy o interpelacji „ZNAKU” mówiła „Wolna Europa” po raz pierwszy — było to 15 marca).

Poza tym całe przemówienie — które w pełnym brzmieniu zajęłoby ponad dwie strony *Życia Warszawy* — było przeglądem historycznym a jednocześnie, rządową proklamacją. Przytoczyć go nie mogę, jest zbyt obszerne. Poza tym było u nas publikowane w fragmentach.

Przeczytałem także znaczną część dyskusji sejmowej. Posłowie — przedstawiciele wszystkich organizacji, od komunistów, aż po członków PAXu — z wyjątkowym zdecydowaniem odrzucili interpelację „ZNAKU”.

Posłowie koła „ZNAK” nie poddali się, nie zmienili swego zdania, bronili go w sejmie w czasie dyskusji. Mam wrażenie, że ta dyskusja w polskim sejmie będzie kiedyś warta dokładnego przestudiowania jako wydarzenie o wielkim znaczeniu w historii współczesnej Polski. Nie tylko jako zjawisko czysto polityczne, ale i etyczne, psychologiczne i socjologiczne. Koło poselskie „ZNAK” liczy pięciu posłów, są to: M. Mazowiecki, K. Łubieński, S. Stomma, J. Zabłocki, J. Zawieyski. Byli sami. Przeciwko nim cały sejm.

Dlaczego to wszystko? Co dalej...

Po powrocie z Polski pytano mnie: O co tam właściwie chodzi? Jaki kierunek ma ta walka? Kto stoi przeciwko komu? Czy marcowe wydarzenia przyspieszą proces demokratyzacji, czy go zahamują? Jak są tam rozłożone siły?

Już na początku tych moich uwag napisałem, że wielu ludzi w Polsce czuje się bezradnymi po tym wszystkim co się stało. Tam gdzie polityczne decyzje zapadają w zamkniętych gabinetach, gdzie społeczeństwo dowiaduje się o już podjętych decyzjach, a samo jest co najwyżej wezwane do aklamacyjnego przyjęcia owych decyzji — tam się nie łatwo poznać oblicze i układ sił wiodących walkę polityczną. Można o nich wnioskować jedynie według określonych symptomów.

Polska przeżywa poważny kryzys reformowanego stalinowskiego systemu politycznego. Kryzys przebiega w kraju, w którym specjalnie silny jest nacjonalizm oraz wpływ katolicyzmu i kościoła katolickiego. W kraju, który najbardziej ze wszystkich był dotknięty ostatnią wojną. W kraju, który — nie licząc Jugosławii — jako pierwszy rozpoczął reformowanie systemu stali-

nowskiego i doszedł w swym dziele najdalej. W kraju, który do dziś walczy o uznanie swych granic.

We współczesnej historii polskiej wyjątkową rolę odegrał październik 1956, kiedy to na czoło partii wysuwa się Władysław Gomułka. Jest to wydarzenie na skalę międzynarodową. We wszystkich państwach socjalistycznych mówiło się wtedy o „polskim przykładzie”. A w wielu krajach socjalistycznych — włącznie z Czechosłowacją — mówiło się o „polskim niebezpieczeństwie” i o tym, że Gomułka jest zdrajcą socjalizmu, że jego polityka doprowadzi do rozbitcia sojuszu ze Związkiem Sowieckim i do katastrofalnego osłabienia obozu socjalistycznego.

Gomułka zyskał wtedy poparcie całego narodu, przede wszystkim dlatego, że zaakcentował momenty narodowe — ogłoszeniem równouprawnienia w stosunkach ze Związkiem Sowieckim, następnie prowadził walkę o zlikwidowanie najbardziej jaskrawych deformacji ustroju, walkę o przywrócenie praworządności. A na koniec doprowadził do pewnego odprężenia w polityce gospodarczej kraju, zwłaszcza w rolnictwie. Ale struktura systemu politycznego pozostała poza tym niezmieniona. Przejęła stare dziedzictwo z okresu stalinowskiego. Dlatego dziś przeżywa nowy kryzys.

Historia ta zawiera niemało przesłanek umożliwiających zrozumienie procesu działania mechanizmu władzy, który wiódł od „października” do „marca”.

Polski publicysta w dyskusji ze mną charakteryzował przebieg ostatnich lat następująco: „październik” oznaczał właściwie początek końca demokracji. Największa swoboda była przed „Październikiem”, kiedy aparat ucisku był bardzo słaby, szczególnie po krwawych wydarzeniach poznańskich. Ale jak tylko na czoło partii wysunęła się nowa grupa rządząca, cały proces reform zatrzymał się natychmiast i wszystko właściwie zaczęło tężeć. A czym się więcej stabilizowało nowe kierownictwo partii, tym dokładniej przykręcało śrubę. Aż wreszcie mogło przystąpić do powolnego tłumienia procesu demokratyzacji. Swego rodzaju szczytem regresu była pierwsza rocznica Października — kiedy zamknięto pismo „Po prostu”. Doszło do wielkiej demonstracji, interweniowała milicja uzbrojona w pałki. Nowe kierownictwo osiągnęło pełną stabilizację. Dziś to kierownictwo jest w sytuacji, która pod pewnymi względami przypomina okres przedpaździernikowy. Nie istnieje pozytywna koncepcja polityczna. Są natomiast anty-koncepcje — przeciwko syjonizmowi, rewizjonizmowi, liberalizmowi, przeciwko... A to jest znak głębokiego rozkładu. A także słabości.

W różnych wystąpieniach politycznych na temat marcowych wydarzeń, wyjście z krytycznej sytuacji dostrzega się w wychowaniu i pracy ideowej.

Mówi się o kryzysie w partii kierowniczej. Za granicą pisze się o tym, a w Polsce mówi się otwarcie w prywatnych rozmowach. Wzmianki o tym można znaleźć nawet w prasie codziennej i w przemówieniach politycznych — tylko, że są bardzo mgliste.

Mówi się powszechnie, że grupa Gomułki nie jest w stanie opanować sytuacji, że Gomułka właściwie traci autorytet nie tylko w społeczeństwie, ale i w aparacie partyjnym. Oczywiście, że nie jest dziełem przypadku, że się już i publicznie pojawiają głosy o wahaniach i niezdecydowaniu dzisiejszego kierownictwa. Tylko, że jedyną alternatywę przeciwko linii Gomułkowej reprezentują siły kierowane przez zwolennika „twardego kursu”, ministra spraw wewnętrznych Mieczysława Moczar. Mieczysław Moczar to człowiek, któremu udało się w ostatnich latach zbudować, na razie sprawnie działający, ustabilizowany mechanizm bezpieczeństwa, a także osiągnąć pewne zdobycze i w innych dziedzinach życia politycznego.

Reasumując: na razie nie istnieje żadna realna siła stanowiąca inną alternatywę — alternatywę demokratyzacji partii i społeczeństwa.

Po marcowych wydarzeniach dokonuje się bilansu — nawet publicznie, chociaż w ograniczonym zakresie. Dokonywanie tego bilansu swoistym sposobem odkrywa przed społeczeństwem kulisy polityki. Przyspiesza się proces krystalizacji „politycznych frakcji”. W jakim kierunku dąży ten proces? Aby pełnię władzę uzyskały siły, których reprezentantem jest Moczar? Czy może nacisk społeczeństwa wywoła demokratyczne tendencje?

W jednym wszyscy są zgodni: Moczarowa polityka nie zlikwidowałaby zasadniczych problemów dzisiejszej Polski — są to bowiem problemy, do których rozwiązania nie jest powołana policja.

Polityka Moczara nie zlikwidowałaby niezadowolonych, mogłaby tylko przejściowo zmusić ludzi do milczenia — co groziłoby poważnym niebezpieczeństwem, że owo niezadowolenie wreszcie przejawia się w formie wybuchu.

Jiri LEDERER

Jiri LEDERER ur. w 1922 r., studia na Uniwersytecie Karola w Pradze i Jagiellońskim w Krakowie. Pracuje jako dziennikarz od 1946 r. Zajmuje się problematyką środków masowej komunikacji, wydał dwie książki o zagadnieniach radia. Obecnie współredaktor tygodnika Związku Pisarzy Czechosłowackich *Literarní Listy*. Jako jedyny dziennikarz czeski nagrodzony nagrodą Związku Dziennikarzy Polskich (1967).

List z Kraju

... Sądzę, że historia obdarzyła Mickiewicza godnością wieszcza za głęboką wnikliwość w sprawy ludzkie: myślą „sięgał gdzie wzrok nie sięga”.

Autor tego listu znany redakcji. List na skutek cenzur krajowych i strajków we Francji doszedł do nas z dużym opóźnieniem. Przypuszczamy że jednak będzie dla czytelników interesujący.

przebiegał powłokę czasu i patrzył w przyszłość — z przelotnej czasowości otrząsał wiecznietrwałe pierwiastki prawdy. Nawet w jego ocenach wydarzeń przemijającej chwili na łamach publicystyki jego własnej, paryskiej „Trybuny Ludów” wystarczałoby zmienić francuskie nazwiska na polskie i przenieść czasy, w których żyjemy, a treści pozostały nadal prawdziwe. Weź, kochany, np. jego słowa o burbońskich politykach z tamtego okresu. Czytaj: „Pamiętamy, że właśnie w przeddzień rewolucji lipcowej tacy jak Polignac, Raguse, Mangin zapewniali króla i zagranicznych dyplomatów, że przeprowadzą ordonanse NIE NAPOTYKAJĄC poważnego oporu. A w samym dniu rewolucji, w chwili gdy karabiny uzbrojonego ludu godziły we władzę królewską, izba parów śmiała się z ostrzeżeń pana de Boissy”... Czy to zjawisko nie powtarza się w różnych czasach i krajach? Patologia władzy jest wszędzie podobna. Ludzimy się gdy sądzimy, że ze swego wysokiego szczebla władza ma tak szeroki widnokrąg, że błędzić nie powinna. Zapominamy o optyce człowieka, innej u krótkowidza innej u dalekowidza. W jednej z fraszek mówi się o krótkowidzu, że im wyżej pnie się do góry, tym z pewnością mniej widzi. A dodaj do tego fakt niezbity, że władza zaślepiła: dlatego śmieli się parowie Francji i śmieją się parowie Polski A.D. 1968 — dlatego także przeżyliśmy okres błędów i wypaczeń i jak z gwiazd czytamy — wchodzimy już w nowy. Zasada *gouverner c'est prévoir*, mój drogi, jest zabytkiem w takich okresach, zwłaszcza ustępuje innej: *après nous le déluge*.

Domyslam się, że spodziewasz się ode mnie jakieś wiadomości o miekiewiczowskim kryzysie w Polsce — cały świat o tym mówi i pewnie znasz jego przebieg. Mówi się, że „listopad to miesiąc Polaków”. Zaczyna się od Zaduszek. A w Warszawie zaczął się w teatrze Narodowym od „Dziadów” Mickiewicza. Było to w clou sezonu, a Kazimierz Dejmek, bezprzecznie wielki reżyser wykazał w nich talent na miarę Leona Schillera: „Dziady” nie dramat lecz narodowe misterium, jest sztuką niezwykle trudną — o ich interpretację pokusili się: Wyspiański, Schiller, Kotlarezyk z Krakowa — każdy indywidualnie — podjął się jej Dejmek, który po swych łódzkich sukcesach objął pierwszą scenę polską. Stało się to, co nie jest do pomyślenia w żadnym cywilizowanym kraju. Tę sztukę Dejmka zabiło jej olbrzymie powodzenie. Na całej planecie żywot sztuki ustala publiczność — sztuki spadają z afisza z braku publiczności, a jeżeli ją mają nie schodzą ze sceny przez długie miesiące. U nas dosłownie na „Dziady” Mickiewicza publiczność pchała się drzwiami i oknami. Grano przy pełnych kasach, a gdy je zamykano młodzież siadała na podłodze w przejściach i kładła się między pierwszymi krzesłami a sceną. Publiczność żywo klasnęła i kontakt był pewny. Była to słowami Adama „chwila Samsona”. Scena polska nie pamięta takiego sukcesu. Jak reagował teatr? Z codziennych przedstawień przeszedł na raz w tygodniu, aż władze „kultury” zdjęły je w ogóle z programu. Ostatnie przedstawienie stało się przedmiotem wielkiej manifestacji, jakiej również scena polska nie pamięta. Z całej Polski przybyli reżyserzy i aktorzy by zobaczyć „Dziady” Dejmka na własne oczy, studenci z wieniem poszli pod pomnik Mickiewicza. Wkroczyła do teatru policja — teatr, jak mówiono był pełen aktorów, studentów i policjantów. Aresztowano około 50-ciu studentów, z nich zatrzymano 5-ciu, których w krótkiej drodze skazano za *chuligaństwo* na grzywnę wysokości 2.500 złotych. Oczywiście potępienie manifestacji miekiewiczowskiej studentów, uznanej jako *chuligaństwo* musiało wywołać głębokie oburzenie. „Młodziecy, ty nad poziomy wylatuj!”... ale za 2.500 złotych — koryguje władza. W okamgnieniu zebrano w drodze składek fundusz na pokrycie grzywny dla studentów. Ofiary synpęły się tak, że zebrany fundusz wystarczy nawet na pokrycie grzywny przyszłych manifestacji: wytrzyma. Studenci podjęli natychmiast akcję petycyjną do władz za wznowieniem „Dziadów” w ciągu kilku dni na listach zebrano się kilka tysięcy podpisów.

Rzecz jasna, że oderwali się z miejsca literaci. Wystąpili z natychmiastowym żądaniem zwołania w sprawie zdjęcia „Dziadów” Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia. W żądaniu pisarzy nie ma nic dziwnego — raczej dziwny jest fakt, że zarządy Związków Literatów same, bez presji członków, nie zwołały takiego zebrania i w ogóle nie zajęły w tej sprawie żadnego stanowiska: jest to objaw ich zależności od władz państwowych. Jakże jest stanowisko tych władz? Oczywiście zarządzenie zdjęcia „Dziadów” z afisza zostało podjęte przez Min. Kultury i Sztuki, to jest przez ministra Lucjana Motykę. Dn. 7 lutego zostało to ogłoszone oficjalnie w „Życiu Warszawy” oraz ogłoszono z ekranów telewizji. Wątpliwości więc być nie może — teatr należy zresztą do administracyjnej kompetencji tego ministerstwa. Tymczasem min. Motyka zaprosił do siebie zarząd Żw. Literatów celem wyperswadowania mu walnego zgromadzenia w tej sprawie, dał niedwuznacznie do zrozumienia, że inkryminowana decyzja nie od niego pochodzi i że wręcz przeciwnie on chciałby nawet ją zmienić. Powstało pytanie czy „Życie Warszawy” oskarżało ministra, a jeśli tak to czemu on tego nie sprostował. Taki jest już zwyczaj w Polsce Ludowej, że wbrew ustawie nie daje się szkalowanym z urzędu prostować. Jednak jest to nie do pomyślenia, że można było o ministrze pisać bez uzgodnienia z jego gabinetem, albo też odmówić sprostowania, kiedy tego żąda. Minister wystrychnięty na dudka może dymisjonować.

Nie wiem czy znasz, mój Drogi, „Słonia” Sławomira Mrożka. Jest tam nowelka, której trudno odmówić aktualności. Rzecz dzieje się pod innym pomnikiem, pod pomnikiem nieznanego żołnierza-rewolucjonisty. Grono uczniów — pendant do naszych studentów — przybyło z wieniem, kupionym z własnych składek. Obok znalazł się „pan w granatowym” — słowem tajniak i zatrzymuje młodzież, bada po co, na co i kto oni. Pragniemy uczyć pamięć rewolucjonisty — powiadają. — Acha, kolega z dzielnicy? — Nie, my ze szkoły. — Jakto? Nie ma nikogo z dzielnicy? — Nie. Zamyślił się. — A może wam szkoła kazała? — Nie. My sami. A potem: — A może jest to miesiąc czci dla nieznanego rewolucjonisty? — Nie, zawołali chłopcy — my sami. Oddalił się. Wrócił z milicjantem. — Proszę o dokumenty — rzekł milicjant. Podali mu dowody szkolne. Zasalutował. — W porządku — rzekł. — Wcale nie w porządku sprzeciwił się „pan w granatowym”. — Kto wam kazał złożyć te wienie? — Nikt — odrzekli. — A więc przynajmniej się, że do urządzenia tej manifestacji nie zostaliście zorganizowani ani przez dyrekcję szkoły, ani przez zarząd ZMS, ani przez komitet dzielnicowy partii, ani przez miejski, czy powiatowy? — Oczywiście, że nie... — Że to wy sami? — My sami. Otarł czoło chusteczką. — Sierżancie, wiecie kim jestem? Odebrać im wieniec, a wy, rozejść się.

Pod pomnikiem Mickiewicza scena mało się różni.

Zarządowi PEN Clubu min. Motyka także się zaklinał, że jest w tej sprawie niewinny. „Mickiewicz u nas to żelazny repertuar” powiada. Kto więc wysłał go na stos starego żelastwa? Nie wiadomo. Krasnoludki przecieć istnieją, a u nas mają nawet swój K.C. Ktoś z delegatów miał zaproponować, by na listach do pana ministra dopisywać: „z prośbą o przekazanie czynnikom decydującym”. A „czynnikami” są nieuchwytnie, ale dobrze chwytają. Reżyser Kazimierz Dejmek podał się do dymisji. Minister odmówił, bo go bardzo ceni. Rozdwojenie osobowości jest u nas nagminne. Wobec tego Dejmek wystawia drugą sztukę: Witkacego „Gyubal Walhazar” — podtytuł autora: „Na krańcu nonsensu”. Podtytuł widocznie złudził Dejmka. Pomyślał, że rzecz jak najbardziej się nada. Ale to rzecz o tyranie i jego otoczeniu. Czym się tyran kieruje? Jakimi kryteriami? — pyta Czarna Dama. „Kryteria to banał” odpowiada bohater. Gdy literat się wtrąca słyszy odgórne przekleństwo: „Literaci to sobacza rasa”. Najechały na teatr trzy komisje — u nas kolegialnie, panie kolego, winnego nie ma: i zawyrokowały: Nie.

Na niet i suda niet — mówią Rosjanie. Sztuka spadła, ale Dejmek się pobierał i ze starego zapasu wyciągnął trzecią. Tu był dopiero witkacowski „kres nonsensu”. Trzecią także zdjęto. Nie spadnij z krzesła — światoburczą sztuką były „Ciepłe czasy” Michała Bałuckiego. Czy nie „ciepkie”, powiedz sam? A ile razy było to dozwolono cenzuruj. A może już ziemia zaczęła obracać się w odwrotnym kierunku?

Popularny Zdejmek ma kłopot. Nie się z klasyki teatralnej dzisiaj nie nadaje. „Noc Listopadowa” Wyspiańskiego? Ostrożnie. „Wyzwolenie” — skądże znowu — to jest dla Wietnamu. Na smętnej naradzie ktoś Zdejmekowi poradził wznowić „Krakowiaków i górali”. — Panie drogi, co znowu, i tam jest jaki głupi władca. Wobec tego Zdejmek, poprawiwszy krawat, zgłosił do swego ludowego patronatu chęć przejścia do fredrowskiego repertuaru. Zaczęłyby od komedii „Gwałtu, co się dzieje!”. Nie, to już byłaby bezczelna prowokacja. Młode „chuligany”, przyszłe magistry i doktoranci z wrogich ośrodków zrobiłyby sobie ucztę na przedstawieniu. Nic z tego, panie Zdejmek, poczekaj Pan na „Dzume” w teatralnej adaptacji Balickiego i samego Motyki.

Najciekawsze w tej sprawie jest to, że te wszystkie sztuki były w Polsce drukowane. Możesz je, Tomku, czytać w swoim domku. Ale oglądać w teatrze Motyka ci nie da. On co prawda mówi, że sam niewiele może. Pokazywał nawet Małą Encyklopedię, wydaną przez Państwowe Towarzystwo Naukowe, na literę M, tam też go pominięto. Pod „motyką” nie ma tam nic o Lucjanie, a za to stoi: „narzędzie do kopania”. Skandal oczywisty. Jednak dobrze, że wydawca nie dodał: „do kopania dołków pod kulturą”.

Różne plotki chodzą po Warszawie w tej „Dziadowskiej” sprawie. Gdy informacja urzędowa straciła kredyt, plotki muszą kursować. Mówią, że zdjęcia „Dziadów” zażądał amb. Aristow. Że był w teatrze i miał zobaczyć, że Nowosilcowa ucharakteryzowano na niego, co go miało oburzyć. Ale mówią także, że Aristow zaprosił Dejmka do siebie i zapewnił go, że nigdy zdjęcia „Dziadów” nie żądał. Rzeczywiście Aristow do wy tłumaczenia tego wszystkiego wcale nie jest potrzebny. Wystarczą „duchy nad Frascati”.

Uwaga na „duchy” — to przewrotne istoty. W radiowej audycji „Dziadów”, którą nadano zaraz dla odprężenia nastrojów, mickiewiczowskie duchy (anioły i diabły) zostały wygnane. Pytasz czy jest różnica między zakazaną interpretacją Dejmka a interpretacją dozwoloną Polskiego Radia. Jest zapewne. Żaden teatr nie wystawi całych „Dziadów” — to spektakl na 8 godzin i na chiński teatr. Opuszczone są teksty nijakie — zgoda; opuszcza się teksty francuskie — także zrozumiałe, ale opuszcza się modlitwy, opuszcza się opowiadanie kaprała napoleońskiego — jest to czystka teologiczna. Skróty w roli księdza Piotra — czystka ideowo polityczna (ksiądz nie przystąpił do PAXu). Do tej czystki należą liczne skreślenia słowa „Rosjanin” i wszystkie aluzje do ówczesnych ubeków.

* Rezydencja Gomułki.

Byle z tej iskry nie było pożaru...

W Trybunie Ludu z 22 kwietnia ukazał się artykuł zatytułowany „Ideologiczne zaplecze ideologii”, w którym niejaki doc. dr Wiesław Iskra wytyka

objawy „rewizjonistycznej degeneracji pewnych środowisk ekonomistów warszawskich (i chyba nie tylko warszawskich)”.

Autor ilustruje swój akt oskarżenia przykładami z prac pięciu znanych ekonomistów: Włodzimierza Brusa, Jana Drewnowskiego, Tadeusza Kowalka, Stefana Kurowskiego i Ignacego Sachsa. Kurowski, podobnie jak przed kilku laty, krytykowany jest za swoje interesujące studium cykli rozwojowych (*Historyczny proces wzrostu gospodarczego*, PWN: 1963), w którym przedstawiona jest hipoteza o prawidłowościach w doświadczeniu krajów rozwiniętych przez nowe ośrodki uprzemysłowienia. Pozostali czterej ekonomiści dostają się pod pręgierz za poglądy o jedności nauki ekonomicznej i o potrzebie wykorzystywania dorobku uczonych zachodnich. Jak wiadomo tezę taką lansował przed swoją śmiercią Oskar Lange, nb. cytowany ale niewymieniony z nazwiska przez Iskłę.

Jako przykład obskurantyzmu doktrynerstwa, wywody publicysty *Trybuny Ludu* nie zasługiwałyby na bliższą uwagę. Ich ciężar gatunkowy jest miżerny. Poza tym mało kto bierze dziś na serio sakramentalne nawoływanie do czystości linii ideologicznej, ukazujące się od czasu do czasu w prasie partyjnej. Ale w zestawieniu z obecną sytuacją polityczną, artykuł Iskry wzywający do „obnażenia, a następnie eliminacji” błędów polskich ekonomistów nabiera groźnej wymowy.

Iskra wymienia tłustym drukiem następujące grzechy główne ekonomistów: „Strategicznym celem tych środowisk jest dążenie do deformacji marksistowskiej ekonomii politycznej, skierowanie jej oblicza na Zachód, odwrócenie zainteresowania nauki ekonomicznej od potrzeb praktyki gospodarczej, celów i zadań partii, budownictwa socjalistycznego... Strategicznym zadaniem tych środowisk jest przygotowanie teoretycznego zaplecza do deformacji samej gospodarki socjalistycznej, skompromitowania socjalistycznej praktyki gospodarczej”. Jednym słowem: prawie-że sprzysiężenie przeciwko Polsce Ludowej.

Ukazanie się tego rodzaju donosu w obecnej chwili jest alarmujące. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z publicystyką na zamówienie frakcyjne. Ale czyje? Gomułki, Mocząra czy Gierka? Zamieszanie polityczne w Warszawie utrudnia diagnozę. Jedno jest pewne: zleceniodawcy Iskry są siłą polityczną, której nie można lekceważyć. Czyżby znaczyło to że obecne (lub przyszłe) kierownictwo partii zamierza odseparować Polskę od postępu światowej nauki i praktyki ekonomicznej? Czy próby twórczego przyswojenia dorobku Zachodu będą znów powodem do szyskan i prześladowań? Czy ćwierć-inteligenci z wydziałów KC staną się znów rzecznikami nauki i techniki? Krótko mówiąc, czy grozi Polsce nowe średniowiecze? I wreszcie, co najważniejsze praktycznie, czy usztywniają się ideologiczne pseudomarksistowskie opory wobec reformy gospodarczej?

Z artykułu *Trybuny Ludu* można by wyciągnąć te niepokojące wnioski. W Pradze i Bukareszcie rządzące partie komunistyczne dokonały zasadniczego zwrotu w kierunku racjonalnej dyskusji. W Budapeszcie i Sofii zachodzą podobne zmiany. A w Warszawie, w dwanaście lat po Październiku, wbrew zdrowemu rozsądkowi i oczywistym interesom kraju, skłócone kierownictwo partii posługuje się w swych wewnętrznych rozgrywkach zdyskredytowanymi rekwizytami stalinizmu.

Napisał kiedyś Marks, że historia powtarza się raz jako tragedia, a drugi raz jako farsa. Miejmy nadzieję, że symptomy nowego przymroczu ideologicznego nad Wisłą będą nie tylko zabawne, ale krótkotrwałe. Gospodarka polska znajduje się dziś w stanie nie uzasadniającym optymizmu. Nasilenie wpływów ideologicznych na dyskusję o jej reformie i kierunku rozwoju mogłoby okazać się fatalne nie tylko dla dobrobytu narodowego, ale... i dla tych politycznych klik i ugrupowań, które dziś szermują ideologicznym orężem.

W roku 1968 ekonomiczne zaplecze ideologii jest dużo ważniejsze niż ideologiczne zaplecze ekonomii o które tak troszczy się doc. dr Iskra. Dlatego, choć ekonomistów nie zawsze można słuchać, z jak najbardziej praktycznych powodów warto ich wysłuchać.

Andrzej BRZESKI

Protesty

WŁOCHY

Włoska Partia Komunistyczna kieruje się w ocenie wewnętrznej polityki partii komunistycznych ZSSR i krajów demokracji ludowej kryterium sformułowanym w jałtańskim testamencie politycznym Togliattiego. Togliatti stwierdził tam, że „przezwyjęcie zaprowadzonego przez Stalina systemu ograniczeń oraz zniesienia wolności demokratycznych i osobistych jest dziś jednym z najważniejszych problemów stojących przed ruchem komunistycznym w świecie”.

„Sytuacja — pisał dalej Togliatti — nie jest jednakowa we wszystkich krajach socjalistycznych. Jednak wszędzie uderza powolność i opór przeciw powrotowi do norm leninowskich zapewniających — wewnątrz partii i poza nią — szeroką swobodę wypowiedzi i dyskusji na odcinku kultury, sztuki a także i polityki. Ta powolność i opór są dla nas trudne do wytłumaczenia, zwłaszcza w obecnej sytuacji, gdy okrażenie kapitalistyczne nie istnieje a gospodarka socjalistyczna ma za sobą wspaniałe osiągnięcia”.

Od czasu publicznej dyskusji w Czechosłowacji o potrzebie reorganizacji gospodarki kraju, a przede wszystkim od dramatycznego zjazdu pisarzy w czerwcu 1967 r., komuniści włoscy uznali konieczność i słuszność reform proponowanych przez marksistowskich intelektualistów czechosłowackich.

Komuniści włoscy traktują zachodzące w Czechosłowacji przemiany i fermenty jako jeden z przejawów ogólnej sytuacji w Europie wschodniej. Wybitny dziennikarz komunistyczny Giuseppe Boffa, autor głośnej książki „Po Chruszczowie” napisał wkrótce po wyborze Dubczeka w artykule wstępnym *Unità* (12 stycznia 1968 r.):

„Przemiany odbywające się w Czechosłowacji nie ograniczają się do tego kraju. Dopatrywano się analogii z wydarzeniami w Jugosławii związanymi z usunięciem Rankovica. Bez odwoływania się do zbyt sztucznych zbliżeń, można skonstatować, że we wszystkich krajach wschodniej Europy poszukuje się bardziej demokratycznych form zarządzania budującym się społeczeństwem socjalistycznym. Przeprowadzane obecnie w poszczególnych krajach różnego

rodzaju reformy gospodarcze są częścią tego zjawiska, gdyż jak wielokrotnie podkreślaliśmy, nie mają one charakteru wyłącznie technicznego, lecz prowadzą do konsekwencji politycznych. Czyta się często, że trudny proces rozbudowy demokracji socjalistycznej w krajach wschodniej Europy oraz towarzyszące temu walki mogłyby doprowadzić do rezygnacji z ideałów komunistycznych. Jesteśmy przekonani o czymś wręcz przeciwnym”.

Przechodząc od ogólnych stwierdzeń do spraw konkretnych Boffa napisał w reportażu z Czechosłowacji (*Unità* z 25 stycznia 1968), że

„problem stosunku partii komunistycznej do inteligencji dojrzał do rozwiązania nie tylko w Czechosłowacji”

i wyjaśnił:

„Jest to problem nowy, będący konsekwencją ogromnego rozrostu warstw inteligentnych na skutek uprzemysłowienia krajów Europy wschodniej oraz upowszechnienia szkolnictwa i oświaty. Inteligencja — głównie pochodzenia chłopskiego — jest obecnie w krajach socjalistycznych znacznie liczniejsza i w praktyce ma wpływ większy niż przed wojną. Nie znalazło to jednak wyrazu politycznego, poza jednym — i to tylko częściowym — wyjątkiem dla techników i inżynierów. To właśnie było istotną przyczyną konfliktu pisarzy czechosłowackich z partią”.

Po dziennikarzach komunistycznych zaczęli zabierać głos na temat Czechosłowacji i ogólnej sytuacji w Europie wschodniej także i włoscy przywódcy partyjni.

Na marcowym posiedzeniu Komitetu Centralnego generalny sekretarz partii Luigi Longo (*Unità*, 27 marzec 1968 r.) powiedział, że w toczącej się kampanii przedwyborczej do parlamentu mówcy chrześcijańsko-demokratyczni i socjalistyczni mają ułatwioną polemikę z komunistami przez to, że mogą im wytykać

„ograniczenia, braki i opóźnienia istniejące jeszcze w krajach Demokracji ludowej, jeżeli chodzi o swobodę krytyki oraz swobodę działania różnych kierunków w dziedzinie kultury i sztuki”.

„Chociaż od czasu ogłoszenia testamentu Togliattiego nastąpiły w krajach socjalistycznych pewne zmiany na lepsze, to jednak dużo jeszcze pozostaje do odrobienia. Dlatego — jak oświadczył dalej Longo — komuniści włoscy są przekonani, że towarzysze kierujący obecnie Czechosłowacką Partią Komunistyczną uczynili dobrze inicjując reformy zmierzające do odnowienia i demokratyzacji życia politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego”.

W końcowym przemówieniu na tymże plenum KC Longo uczynił wyraźną aluzję do wschodnioniemieckich, polskich i sowieckich wystąpień przeciw nowej linii czechosłowackiej, podkreślając że komuniści włoscy

„nie kwestionują prawa poszczególnych partii do krytykowania przemian w bratnich partiach, lecz domagają się aby taka krytyka szanowała ich autonomię i niezależność”. „Eksperyment czechosłowacki — mówił Longo — jest czymś zupełnie nowym w ruchu komunistycznym, ale przyjmujemy go

z pełnym zaufaniem i uważamy, że nikt nie powinien go utrudniać", gdyż jest on pierwszą „konkretną próbą rozwiązania najbardziej palącego problemu naszej epoki, to jest stworzenia społeczeństwa prawdziwie demokratycznego, a jednocześnie socjalistycznego i sprawnie funkcjonującego gospodarczo”.

Problemy te pogłębił Longo w wywiadzie prasowym ogłoszonym w *Unità*, 10 kwietnia 1968. Na pytanie jak ocenia linię PZPR Longo odpowiedział:

„Bez wchodzenia w szczegóły dotyczące sytuacji w Polsce stwierdzam, że uwagi Togliattiego w testamencie jałtańskim dotyczące potrzeby i konieczności przewyciężenia wszelkich oporów i opóźnień na drodze do prawdziwej demokracji socjalistycznej, odnoszą się do wszystkich krajów demokracji ludowej. W Czechosłowacji wskazania te są obecnie realizowane na serio. Także i Polska — na skutek różnych trudności — odnowiła w pewnym stopniu swą strukturę gospodarczą i metody kierowania ekonomiką kraju. Jeżeli jednak chodzi o inne aspekty życia politycznego w Polsce, to — potwierdzając nasze stanowisko o konieczności maksymalnej rozbudowy demokracji socjalistycznej — nie możemy ignorować tego, że na skutek specyficznych trudności historycznych oraz propagandy i prowokacji z zagrańcy, siły antysocjalistyczne i antydemokratyczne są tam dość silne. Mimo to uważamy, że przy budowie ustroju socjalistycznego nie można ograniczać się do tylko tego jednego aspektu. Trzeba liczyć się z wszystkimi aspektami, zwłaszcza jeżeli chodzi o przewyciężenie ograniczeń i zahamowań jakim ulega w wielu krajach socjalistycznych budowa prawdziwej demokracji oraz potrzeba odnowienia metod kierowania nie tylko gospodarką, lecz również całym życiem politycznym, kulturalnym i społecznym”.

Zarysowane przez Longo przeciwstawienie przestarzałych metod polityki PZPR nowym wytycznym czechosłowackim podjętą w artykule „Intelektualiści w ustroju socjalistycznym” (*Rinascita*, Nr 17 z 26 kwietnia 1968) profesor filozofii uniwersytetu florenckiego Cesare Luporini, członek KC partii włoskiej. Podkreślił on raz jeszcze, że „wydarzenia w Czechosłowacji są pouczające, ponieważ wyrażają ogólne dążenie do przywrócenia socjalizmowi maksimum treści demokratycznej”. Świadczy o tym między innymi obszerny wywiad udzielony przez Dubczeka dla *Unità*, będący „przykładem tego, czego międzynarodowy ruch komunistyczny oczekuje od wszystkich partii w dziedzinie szczerego, bezpośredniego i ścisłego informowania o problemach, trudnościach i perspektywach rozwojowych w poszczególnych krajach socjalistycznych”. Coś zupełnie przeciwnego dostrzega natomiast Luporini w taktyce informacyjnej komunistów polskich:

„O przemianach PZPR dowiadujemy się jedynie za pośrednictwem wiadomości o niespodziewanych dymisjach w rządzie czy kierownictwie partii. Jest niestety trudno zrozumieć sens i potrzebę tych przemian chyba że chcielibyśmy się posługiwać tendencyjnymi interpretacjami podawanymi przez prasę burżuazyjną...”.

Prof. Luporini krytykuje zresztą nie tylko metody informacyjne PZPR, lecz również jej założenia polityczne wobec intelektualistów i studentów:

„Oficjalne interpretacje zaburzeń studenckich w Polsce, podane w chwili ich tłumienia nie przekonywują nas, podobnie jak nie przekonywuje stosowanie wobec studentów metod represji. Jeszcze bardziej groźnym zjawiskiem, potwierdzającym nasze wątpliwości, jest usunięcie z Uniwersytetu Warszawskiego wybitnych uczonych znanych na całym świecie — profesorów Baczy, Bauman, Brusa, Hirsowiczowej, Kołakowskiego i Morawskiego oraz dymisja towarzysza Adama Schaffa członka KC PZPR, z Akademii Nauk... Wyrażając najgłębszy sprzeciw wobec tych zarządzeń administracyjnych w Polsce wyrażam nadzieję, że zostaną one szybko odwołane. Uważam je za napiętowaną przez jałtański testament Togliattiego pozostałość wprowadzonych w okresie stalinowskim ograniczeń i likwidacji wolności demokratycznych i osobistych”.

W dalszym ciągu artykułu profesor Luporini podkreślił, że uznaje odmienne warunki rozwoju każdego kraju socjalistycznego, co sprawia że nie można wysuwać tych samych wymagań pod adresem Związku Sowieckiego i Kuby, Chin i Polski, Czechosłowacji i Algierii. Istnieją jednak, jego zdaniem, pewne ogólne zasady, sprawiające że „bez wtrącania się w życie wewnętrzne innych partii można krytycznie oceniać ich postępowanie”. Taki moment krytycznej oceny nadchodzi, gdy

„pewne partie bez żadnego usprawiedliwienia odwołują się do metod autorytarynych i administracyjnymi zarządzeniami swego centralnego i biurokratyzowanego kierownictwa usiłują tłumić budzenie się i dochodzenie do głosu nowych twórczych sił”.

Wizyta Longo w Pradze i u Dubczeka w dniach 5-7 maja przyniosła szereg nowych ważnych oświadczeń włoskich komunistów. W wydziale dla dziennika *Rude Pravo* Longo powiedział między innymi:

„Od pierwszej chwili powitaliśmy z uznaniem odnowicielską akcję podjętą przez czechosłowacką partię komunistyczną. Jesteśmy przekonani, że wasza walka wyraża ogólną tendencję zmierzającą do przywrócenia ograniczeń i błędów, które w przeszłości na skutek zbiegu różnych okoliczności zbyt często towarzyszyły budowie społeczeństwa socjalistycznego”.

Na pytanie redaktora *Rudego Prava* czym można wytłumaczyć rozbieżne ustosunkowania się poszczególnych partii komunistycznych wobec wydarzeń w Czechosłowacji Longo oświadczył:

„Jest rzeczą zrozumiałą, że każda partia jest skłonna oceniać wszystkie wydarzenia polityczne z własnego punktu widzenia i w oparciu o własne doświadczenia. Nie można więc dziwić się temu, że oceny poszczególnych partii komunistycznych w sprawie wydarzeń ostatnich kilku miesięcy w Czechosłowacji są dość rozbieżne. Trzeba też pamiętać, że na skutek agresywnych ataków rewanżystów przeciw obecnemu układowi stosunków w Europie niektóre państwa socjalistyczne i niektóre partie są bardziej niż inne zaniepokojone tymi groźbami, mającymi być skierowanymi pod ich adresem. Jest jednak rzeczą oczywistą, że odmienna ocena tego czy innego aspektu poszczególnych problemów nie może utrudniać podjęcia koniecznych wysiłków nad zrozumieniem wzajemnych wymagań zmierzających do poszukiwania wszelkiej możliwej formy współpracy, porozumienia i współdziałania.

Oczywiście że te wysiłki powinny być podejmowane przy pełnym poszanowaniu swobody i autonomii każdej partii”.

Na konferencji prasowej w Pradze w dniu 7 maja Longo powiedział:

„Przemiany zachodzące w Czechosłowacji nie prowadzą do osłabienia lecz do wzmocnienia ustroju socjalistycznego... Eksperyment czechosłowacki przysłuży się również wielu krajom socjalistycznym oraz partiom komunistycznym w krajach kapitalistycznych w ich walce o stworzenie nowego typu społeczeństwa socjalistycznego — młodego, otwartego i bardziej nowoczesnego”.

Odpowiadając na pytania dziennikarzy jaką wagę należy przywiązywać do oświadczeń „pewnych przyjaciół Czechosłowacji obawiających się, aby proces demokratyzacji nie został skierowany przeciw socjalizmowi” Longo odpowiedział: „jestem przekonany, że rozpoczęta w Czechosłowacji demokratyzacja zostanie zrealizowana bez większych trudności i przyniesie pozytywne rezultaty”.

Podkreślając jedność poglądu komunistów czechosłowackich i włoskich na tematy będące przedmiotem obrad ostatniego międzynarodowego spotkania w Budapeszcie Longo stwierdził:

„Już nie jest obecnie możliwe kierowanie wielostronną działalnością międzynarodowego ruchu komunistycznego z jednego centrum. Każda partia powinna być odpowiedzialna za los socjalizmu w swym kraju. Tam gdzie możliwe jest uzgodnienie poglądów, partie mogą koordynować swą działalność. Na tym właśnie polega ogłoszona przez Togliattiego koncepcja jedności w różnorodności”.

W komunikacie wydanym po wizycie Longa u Dubczeka sekretarza generalnego Włoskiej Partii Komunistycznej wyraził „poparcie i solidarność swej partii dla zdecydowanej walki komunistów czechosłowackich o wzmocnienie socjalizmu i rozwój demokracji socjalistycznej celem wykazania jej wyższości nad demokracją typu burżuazyjnego”. Dyrektoriat Włoskiej Partii Komunistycznej w komunikacie z 10 maja aprobował wypowiedzi swego generalnego sekretarza i potwierdził pozytywną ocenę zachodzących w Czechosłowacji przemian.

Przemawiając 10 maja w Instytucie Studiów Marksistowskich imienia Gramsciego w Rzymie Longo zwrócił uwagę na nowe wytyczne polityki międzynarodowej w Czechosłowacji:

„Świadomość konieczności ściślejszej współpracy z innymi krajami socjalistycznymi a przede wszystkim ze Związkiem Sowieckim nie wyklucza bynajmniej uznania konieczności posiadania ze światem zachodnim takich stosunków jakie są zdeterminowane przez specyficzny historyczny i gospodarczy rozwój Czechosłowacji... Otwiera to możliwość stworzenia wymiany handlowej z różnymi krajami kapitalistycznymi w Europie w oparciu o zasadę współpracy dwóch światów na warunkach wzajemnej korzyści. Zasadę tę komuniści włoscy w pełni aprobują”.

Nasze niekompletne zestawienie chronologiczne niektórych wypowiedzi włoskich przywódców i dziennikarzy komunistycznych z okazji przemian w Czechosłowacji ukazuje jak bardzo komunistom włoskim zależy na demokratyzacji i liberalizacji życia w krajach socjalistycznych i jak angażują swój autorytet najsilniejszej na zachodzie partii marksistowskiej dla poparcia zmian zmierzających w tym kierunku.

Włodzimierz SZNARBACHOWSKI

WIELKA BRYTANIA

W londyńskim *The Times* z 8 maja bieżącego roku ukazał się następujący list, podpisany przez 17 profesorów uniwersytetów angielskich:

„Podobnie jak Bertrand Russel (*The Times* z 6 kwietnia br.) dowiedzieliśmy się z przerażeniem i oburzeniem o usunięciu 25 marca z Uniwersytetu Warszawskiego 6 wybitnych uczonych, wśród których nie brak nazwisk o sławie międzynarodowej. Są to profesorowie: Bronisław Baczko, Leszek Kołakowski, Stefan Morawski, Zygmunt Bauman, Maria Hirsztowicz, i Włodzimierz Brus. Równocześnie były minister oświaty, Prof. Stefan Żółkiewski, został wydany z Akademii Nauk. Wszyscy oni, jak Sokrates, oskarżeni są o znieważanie młodzieży, a urzędowa *Trybuna Ludu* (z 26 marca) pisze że „najwyższe interesy państwa i narodu” wymagają by „uniemożliwiono im wywieranie wpływu na wychowanie młodzieży”. W roku 1956, w okresie polskiej „wiosny w październiku”, Kołakowski był sumieniem polskiej młodzieży. Brus był jednym z pierwszych (jeśli nie pierwszym) ekonomistów w całej wschodniej Europie wysuwających postulat reformy gospodarczej, postulat, który został później podjęty przez tyle innych krajów w tym rejonie (ale zduszony w Polsce). Jest ironią, że właśnie w chwili gdy walka o wolność polityczną i racjonalność gospodarczą toczy się z takim powodzeniem pod przewodnictwem intelektualistów czeskich, ich polscy koledzy, którzy podzielają ich poglądy i ideały, i którzy jako pierwsi w tym rejonie rzucili hasło wolności, ponoszą karę za wierność swoim przekonaniom i są wyrzuceni z uniwersytetu. Znamy osobiście niektórych spośród tych uczonych. W ciągu ostatnich 12 lat dali się oni poznać na zjazdach międzynarodowych i na zachodnich uniwersytetach wielu swoim kolegom, którzy z najwyższym szacunkiem odnoszą się do ich osiągnięć naukowych. Ich książki ukazywały się w tym kraju, jak również w Ameryce i w Europie Zachodniej, i zostały przełożone na wiele języków. Apelujemy do Rządu Polskiego by przywrócił tym uczonym ich stanowiska uniwersyteckie i by zapewnił im warunki pracy zgodne z obyczajami świata cywilizowanego. Jeśli tego nie uczyni, stanie pod przęgiem opinii uniwersyteckiej całego świata”.

Podpisy: H. B. Acton, S. L. Andreski, A. J. Ayer, R. C. Cross, R. Fletcher, M. Freedman, M. Gaskin, J. Gould, C. Lewy, A. Headlam-Morley, R. H. Pear, A. Quinton, J. Rex, I. Schapera, E. Schils, Hugh Thomas, A. G. Wernham.

Organ amerykańskiej partii komunistycznej *The Worker* pisze między innymi w numerze z 9 kwietnia br., co następuje:

„Partyjna i rządowa deklaracja Gomułki, chociaż odpięta wysuwane za granicą oskarżenia o antysemityzm, zdaje się nie uciszać i nie hamować ludzi w Polsce, którzy kontynuują represje wobec Żydów... Żydzi przeważają wśród osób usuniętych z różnych stanowisk rządowych i partyjnych,

a niektóre dzienniki polskie, pod pozorem wymyślenia przeciw syjonizmowi, pomniejszają udział Żydów w polskim ruchu oporu".



Międzynarodowy P.E.N. jest ostatnio bardzo zaniepokojony falą przesładowań, skierowanych przeciwko polskim pisarzom. Członek Zarządu Polskiego P.E.N. Klubu, znany dziennikarz Stefan Kisielewski, padł ofiarą napadu dokonanego przez „osoby nieznane”, które go ciężko pobiły. Inny członek Polskiego P.E.N. Klubu szeroko znany pisarz historyczny Paweł Jasienica został oskarżony jako „morderca”. Związek Polskich Pisarzy podlega presji mającej na celu spowodowanie usunięcia wyżej wymienionych (wraz z innym członkiem Związku, Januarem Grzędzińskim) z szeregów Związku Pisarzy.

Jednocześnie poeta, nestor polskiej literatury Antoni Słonimski, słynny powieściopisarz Jerzy Andrzejewski, poeta Artur Międzyrzecki oraz inni stanowią cel złośliwej kampanii prasowej i są pozbawieni możliwości publikowania swych dzieł oraz możliwości zarobkowania.

Generalny Sekretarz Międzynarodowego P.E.N., David Carver, przedstawił tę sytuację Zarządowi angielskiego oddziału P.E.N. Klubu, który jednoznacznie poparł jego decyzję wysłania w związku z tą sytuacją depeszy do Oddziału polskiego P.E.N. Klubu. W dniu 22 kwietnia następująca depesza została wysłana do Prezesa Polskiego P.E.N.-Klubu Jana Parandowskiego:

ZANIEPOKOJONY INFORMACJAMI O ATAKACH PRZECIWKO POLSKIM PISARZOM I KROKACH POWZIĘTYCH CELEM USUNIĘCIA KILKU Z NICH ZE ZWIĄZKU PISARZY, MIĘDZYNARODOWY P.E.N. PROSI PANA O SPRAWOZDANIE O SYTUACJI ORAZ POWZIĘCIE WSZELKICH MOŻLIWYCH KROKÓW MAJĄCYCH NA CELU SPOWODOWANIE ABY WŁADZE ZAPRZĘSTAŁY DZIAŁAŃ POWODUJĄCYCH ZANIEPOKOJENIE WŚRÓD SPOŁECZNOŚCI PISARZY. OCZEKUJEMY PAŃSKIEJ NATYCHMIASTOWEJ ODPOWIEDZI.

W dniu 30 kwietnia 1968 roku p. Carver otrzymał następującą odpowiedź:

POINFORMOWALISMY O PANA DEPEZY ZARZĄD ZWIĄZKU PISARZY, KTÓRY BADA SPRAWĘ TRZECH PISARZY. JEŻELI CHODZI O OGÓLNA SYTUACJĘ PISARZY-POBIERAMY KROKI W GRANICACH NASZYCH MOŻLIWOŚCI. — POLSKI P.E.N.

Od tego czasu nie posiadamy żadnych informacji, że nacisk na pisarzy ze strony władz zmalał. Związek Pisarzy, jak dotychczas, odmówił poddania się naciskowi mającemu na celu usunięcie wspomnianych trzech pisarzy, lecz obecnie są oni zagrożeni usunięciem drogą administracyjną.

W tej sytuacji Międzynarodowy P.E.N. apeluje do polskich władz aby zahamowały szkodliwe działania, które zagrażają nie tylko literaturze polskiej, ale również szkodzą kulturalnym powiązaniom Polski z innymi krajami.

U.S.A.

W *New York Times* z 19 kwietnia bieżącego roku ukazał się następujący list:

„Członkowie Zarządu Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku wyrażają swój najgłębszy niepokój o wolność myśli i słowa w polskich insty-

tucjach naukowych, oraz potępiają antyintelektualne i antysemityczne poglądy i posunięcia polityczne funkcjonariuszy rządzącej partii komunistycznej i Rządu Polskiego. Jest w tym coś ironicznego i tragicznego że wspomniane wypadki mają miejsce w 25 rocznicę bohaterskiego Powstania w Getto warszawskim i po niedawnych obchodach 600-setnej rocznicy założenia Uniwersytetu Krakowskiego. Solidaryzujemy się z polskimi intelektualistami, studentami i robotnikami, którzy walczą dziś o godność ludzką, braterstwo i wolność”.

Podpisy: Theodore Abel, Zbigniew Brzeziński, Jan Fryling, Feliks Gross, Ludwik Krzyżanowski, Jerzy Krzywicki, Damian S. Wandycz.

AUSTRIA

„Podpisani zajmują bardzo różne stanowiska: marksści, których celem jest pełny rozwój człowieka i jego twórczej inicjatywy; chrześcijanie, którzy angażują się w walce o sprawiedliwość i pokój; artyści i uczeni, którym wolność potrzebna jest jak powietrze do oddychania; profesorowie, absolwenci i wybrani reprezentanci studentów, którym leżą na sercu podstawowe wolności akademickie. My wszyscy, niezależnie od naszych różnic, spoglądamy na walkę warszawskich studentów i profesorów z podziwem dla ich odwagi i z uczuciem solidarności w obliczu ich dążenia do wolności. Potępiamy zastosowane wobec nich represje, którym towarzyszy mobilizacja antysemityzmu. Pozdrawiamy zdymisjonowanych profesorów Bronisława Baczko, Zygmunta Baumana, Włodzimierza Brusa, Marię Hirszowicz, Leszka Kołakowskiego, Stefana Morawskiego, których znaczenie w twórczym życiu duchowym ich kraju uznajemy w pełni, i których zachowanie jest dla nas wielkim przykładem. Długa i bolesna historia europejskich ruchów wolnościowych daje nam pewność, że walki i cierpienia warszawskich studentów i profesorów nie okażą się daremne”.

Oświadczenie to, zredagowane i ogłoszone w Wiedniu, podpisali, prócz 58 uczonych i intelektualistów austriackich następujący uczeni z innych krajów Europy: Wolfgang Abendroth z Marburga, Ernst Bloch z Tübingen, Giulio Girardi z Rzymu, Lucien Goldmann z Paryża, J. M. Gonzalez-Ruiz z Madrytu, Robert Kaliwoda z Pragi, Edward Koebek z Lubliany, Arnold Künzli z Bazylei, Milan Machovec z Pragi, Johannes Metz z Münster, Jürgen Moltmann z Tübingen, Paul Oestreicher z Londynu, Milan Prucha z Pragi, Alceste Santini z Rzymu, Hans Schaefer z Heidelbergu, Rudi Supek z Zagrzebia.

CZECHOSŁOWACJA

Najwybitniejszy czeski filozof marksistowski młodszego pokolenia, Karel Kosík, pisze w tygodniku „Literární Listy” z 4 kwietnia br.:

„Instytut Filozofii Czechosłowackiej Akademii Nauk zaprosił do siebie 6 wydalonych profesorów z Uniwersytetu Warszawskiego na gościnne wykłady, aby im dać okazję — jak to jest powiedziane w zaproszeniu — dalszego twórczego rozwijania teorii marksistowskiej zarówno w dziedzinie badań jak i w dziedzinie nauczania. Moi polscy koledzy, filozofowie Bronisław Baczko i Leszek Kołakowski, zostali w tych dniach wydalen z Uniwersytetu Warszawskiego wraz z innymi wykładowcami za głoszone przez siebie poglądy. Oświecona Europa zna Baczko i Kołakowskiego jako marksistowskich huma-

nistów i ceni ich dzieło. Zgodnie z zasadami ludzkiej solidarności Wydział Filozofii Uniwersytetu Karola w Pradze zaprosił do siebie wymienionych myślicieli polskich, by mogli swobodnie rozwijać i pogłębiać swoje postępowe poglądy socjalistyczne".

CZARNA LISTA

Dr Stanisław Gebethner, pracownik naukowy U.W. Katedry Prawa Państwowego: audycja o demokracji w Radio Polskim z 16 kwietnia 1968.

Dr Jarosław Ładosz, docent, kierownik Katedry Filozofii U. Wrocławskiego: audycja w Polskim Radio „Pojęcie słowa, wolności publikacji” z 16 kwietnia 1968.

Literaci Wielkopolscy (nie podano nazwisk) na zebraniu w dniu 20 kwietnia 1968 odcięli się od uchwał nadzwyczajnego zebrania Oddz. Warszawskiego Z.L.P. i zsolidaryzowali się z uchwałą zarządu głównego Z.L.P. domagającą się usunięcia z Z.L.P. St. Kisielskiego, P. Jasienicy, J. Grzędzińskiego i A. Stonimskiego.

Artykuł redakcyjny w sprawie usunięcia z Z.L.P. J. Grzędzińskiego, P. Jasienicy i St. Kisielskiego. Współczesność Nr 9 z 24 i 25 kwietnia 1968. Podajemy skład tej redakcji: Józef Lenart (redaktor naczelny), Stanisław Bielecki (z-ca redaktora naczelnego), Marek Jaworski (sekretarz redakcji), Eugeniusz Kabate (dział zagraniczny), Jerzy Koenig (teatr-film), Piotr Kuncewicz (poezja), Mirosław Małcharek (red. graf.) Władysław Malinowski (muzyka), Jerzy Niecikowski (krytyka literacka), Wojciech Skrodzki (plastyka), Tadeusz Strumff (dział reportażu). Stałe współpracują: Ernest Bryll, Anna Bukowska, Jan Detko, Bohdan Drozdowski, Marian M. Drozdowski, Kuszewski, Aleksander Małachowski, Rafał Marszałek, Krzysztof Nowicki, Hubert Orłowski, Roman Samsel, Stanisław Staszewski, Jerzy J. Wiatr, Aleksander J. Wieczorkowski, Jerzy Wittlin, Aleksander Wojciechowski. (Nazwiska wzięliśmy ze stopki redakcyjnej).

Czesław Centkiewicz, wiceprezes Zarządu głównego Z.L.P. Wywiad udzielony Expressowi Wieczornemu 25 kwietnia 1968.

Gaworski H. „Integracja”, Życie Warszawy z 25 kwietnia 1968.

Witold Filler: „Paryscy 'malarze' współczesnej Polski”. Żołnierz Wolności z 26 kwietnia 1968 i nast.

Ireneusz Gwidon Kamiński (prezes Z.L.P. w Szczecinie): „Niedobre tradycje w Z.L.P.”. Trybuna Ludu z 27 kwietnia 1968.

Jerzy Putrament: „Dwa miesiące później”. Życie Warszawy 28/29 kwietnia 1968 i nast.

Edward Krupiec: „Z historii pewnego klubu”. Panorama Północy z 28 kwietnia 1968.

W. Machejek: „Z mojego obserwatorium. Ruch naprzód”. Życie Literackie z 28 kwietnia 1968.

Ernest Bryll: „Metamorfozy. Wiersze”. Kultura, Warszawa z 28 kwietnia 1968.

C. Trojanowski: „Dobre towarzystwo”. Robotnik Rolny 28 kwietnia 1968.

Marek Adam Jaworski: „Przed i po północy”. Kamena z 28 kwietnia 1968.

Józef Barecki: „Antypolska kampania”. Kamena z 28 kwietnia 1968. Plenarne zebranie bydgoskiego oddziału Z.L.P. w dniu 3 maja 1968 uchwaliło poparcie dla polityki PZPR jako „jedynie słusznej drogi upowszechniania wartości kulturalnych”.

Na zebraniu POP PZPR działającej przy redakcji dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Nadodrze” w Zielonej Górze uchwalono analogiczny adres do Gomulki.

Płk. Mazurkiewicz-Radość: przemówienie wygłoszone na plenarnym posiedzeniu ZBOWiDu w dniu 4 maja 1968.

Zygmunt Stoberski: „Jeszcze o złych tradycjach w Z.L.P.”. Trybuna Ludu z 6 maja 1968.

St. Turski: „Aktualne problemy Uniwersytetu Warszawskiego”. Trybuna Ludu z 6 maja 1968.

Jerzy Piątkowski, przewodniczący Rady Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich, referat wygłoszony na VIII Plenum tejże Rady.

Wiesław Mysłak: nie ma sensu wymieniać tytułów. Wszystkie jego artykuły.

Ernest Bryll: „Metamorfozy. Wiersze”. Kultura, Warszawa, 28 kwietnia 1968.

L. Zaręba: „Wokół agresji Izraela”. Sztandar Młodych, 20 maja 1968.

Wiesław Wrzesiński: „Wyobcowani z partii i narodu”. Głos Robotniczy, 29 kwietnia 1968.

Andrzej Werblan: Artykuł w „Miesięczniku Literackim” z czerwca br. (M.in. napisał, że niebezpieczeństwo wpływów syjonistycznych zostało usunięte na skutek czystki w łonie partii i w urzędach: większość usuniętych stanowią Żydzi. „Wypadki marcowe zrodziły się na podłożu rewizjonistycznym”. „Rewizjonizm (tj. liberalizm) pozostaje długofalowym zagrożeniem”. „Wybitną rolę wśród rewizjonistów na uniwersytetach odegrali ludzie pochodzenia żydowskiego”).

Z ostatniej chwili

Dziad do obrazu

— Jestem w tym stopniu zniechęcenia i ośpienia w stosunku do wszystkiego, co się w kraju dzieje i co mnie tutaj otacza — a mam na myśli nie tylko zajęcia zawodowe i zarobkowe, ale wszystkie typowe i codzienne kontakty, wszystkie pospolite przyjemności, łącznie z kinem, telewizją i spotkaniami w kawiarni — że nawet trudno mi rozmiar tego bezwładu komuś trzeciemu zobrazować. Jestem od środka zaszpunktowany. Jeżeli są jeszcze we mnie jakieś procesy psychiczne, to o tyle tylko, o ile to jest konieczne do życia. No i do napisania tego, co postanowiłem sobie tu napisać, choć żadnej radości to mi nie sprawia. Jestem w dość przedziwnej sytuacji przymusowej, bo sam na siebie ten przymus nałożyłem a w dodatku nie mam żadnego sprawdzianu i przez długi czas mieć go nie będę, że to ma w ogóle jakiś obiektywny sens. Najgorzej się czuję w zetknięciu z tutejszą prasą i innymi formami publicystyki. Na to jest już tylko jedno słowo: obrzydzenie.

— Jesteś chory.

— Tak. Radziłem się nawet inteligentnego lekarza chorób nerwowych. Ale cóż: jego diagnoza musiała się oprzeć na domysłach, na intuicji — bo nie mogłem mu powiedzieć, że chodzi o sprawę wulgarnie nazwaną polityką. Neurologia unika tego słowa. Na ogół nie przyjmuje się jeszcze w tym środowisku do wiadomości, że polityka może stwarzać sytuacje o dużym zasięgu, obejmujące powszednie życie wielu ludzi i że tego rodzaju sytuacje bywają do ostatnich granic zafałszowane, co natychmiast odbija się na systemie nerwowym ludzi, których to dotyczy. W Polsce od wypadków marcowo-kwietniowych dotyczy to bardzo wielu ludzi. Neurologzy powinni radzić w takich wypadkach typowy wyjazd na urlop, w góry albo nad morze, z tym że te miejscowości musiałyby leżeć poza Polską. A to już jest niemożliwe i rozmowa z lekarzem, choćby bardzo serio, ma charakter z lekka teatralny, w każdym razie satyryczny. Dostałem w każdym razie receptę na elenium, witaminę E, mesterol i metylofenidan.

— Dobrze jednak sobie zdawać sprawę, że to nie dotyczy wszystkich wszystkich mieszkających w Polsce ludzi, bo doszlibyśmy do jakichś niebezpiecznych paradoksów w obliczaniu proporcji tego stanu rzeczy.

— Wiem. Ale pozwól, że jeszcze wrócę do opisu tej choroby. Można to chyba nazwać społeczną chorobą, bo wiem na pewno, że dotyczy nie tylko mnie jednego. Wiem np. że w redakcjach odczuwa się brak materiału, bo tylko pewien gatunek dziennikarzy i pisarzy nie przyhamował swojej aktywności. Nieliczni nawet rozruszali się, jakby koniunktura była specjalnie dla nich, no i nie mylą się. W sekretariatach wydawnictw prowadzi się długie rozmowy z autorami, którzy odwołują dostarczenie na czas obiecanych maszynopisów, albo dyplomatycznie wycofują się z umów, mimo, że to kosztuje. W czasie cieszącego się dość dużą popularnością kiermaszu książki na brzydkim placu przed Pałacem Kultury i Nauki w tym roku dyżurowali już tylko trzeciorderni pisarze i nie sądzę, żeby to był przypadek. W każdym więc razie choroba, od której nie można uciec na urlop, dotyczy środowiska intelektualnego i to pewnie w znacznym zakresie, choć żadna statystyka nie przyjdzie nam tu z pomocą. Dotyczy to także młodzieży uniwersyteckiej, która nie kryje się z przynębieniem, która jest dumna z tego, co zrobiła, ale przynębiona, że ta jej odwaga została szybko zniweczona, bo inaczej być nie mogło, bo młodzież była prawie sama i nie może sobie pozwolić na taki rozmach demonstracji, na jaki sobie pozwalają młodzi na Zachodzie, choćby w Niemczech. Zresztą porównanie z demonstracjami na Zachodzie dotyczy tylko techniki działania i niczego więcej. Żadnych podobieństw poza tym nie ma.

— Za młodzieżą nie poszli u nas robotnicy i nic nie było gotowe, żeby mogli pójść. Ale nie można zapominać o naturze tego rodzaju wydarzeń rewolucyjnych czy quasirewolucyjnych. Zasada stawiania się tego rodzaju faktów jest prawie zawsze ta sama: wszystkie rewolucje zostają wymarzone, pomyslane i realizowane przez intelektualistów. Naturalnie intelektualiści powołują się na masy i to niekoniecznie nie szczerze, choć Bóg wie, ile w poszczególnych wypadkach jest w tym demagogii. Masy są im potrzebne, to są wielkie elementy strategiczne na szachownicy walki, to jest inna wersja armatniego mięsa, no i wreszcie to jest surowiec niezbędny do stworzenia legendy o proletariacie, którego dobro jest rzekomo jedynym celem i który w procesie historii jest rzekomo równie nieomylny, jak papież w kwestiach wiary.

— Czyżby z tego wynikało, że masy są tą stroną, która w grze rewolucyjnej zawsze daje się nabrać i ostatecznie przegrywa?

— Unikajmy przesady. Nie ulega wątpliwości, że masy coś korzystają na każdej grze zwanej rewolucją, tylko w innej proporcji niżby wynikało z reguł gry i różnych jej obwarowań. Np. w Październiku 1956, gdzie główne posunięcia były zaaranżowane od góry, masy przegrały w zupełności i zostały oszukane. Ludzie, którzy wtedy rzucili się do działania i przemawiali z samej głębi swoich serc i swoich przekonań — a trzeba sobie

uświadomić, że największym przeżyciem Października był nawrót do dawno zapomnianych i pogrzebanych wzruszeń publicznych — ci ludzie zostali prawie zaraz potem anulowani, jak niepotrzebny rozkład jazdy. Zresztą wtedy przegrali nie tylko robotnicy, ale i intelektualiści. Dziś już się nawet nie pamięta wielu nazwisk. Już się nawet prywatnie nie słyszy, co robią chłopcy z PO PROSTU, albo pewni działacze z Żerania i innych zakładów, gdzie z wielką emocją, wielkim napięciem nadziei zaczęto z powrotem montować pewne formy władzy proletariackiej, np. rady robotnicze. Z tych porywów nawet nominalnie prawie nic nie zostało. Oszustwo zresztą nie ograniczyło się do cywilnego anulowania kilkudziesięciu czy kilkunastu ludzi. Dostaliśmy wtedy wszyscy po grzbiecie w sensie ekonomicznym. Z jaką starannością różnych reakcyjnych posunięć oszukano masy ekonomicznej i włączono je z powrotem w system egzystencji minimalistycznej, który tylko w tym zakresie funkcjonuje, żeby nie ustawała praca. Zresztą zła praca, najmniej wydajna w całej cywilizacji europejskiej, którą ludowy dowcip zdefiniował jak zwykle bez pudła: — Czy się stoi, czy się leży dwa tysiące się należy! W tym kraju niedostatecznie aprowidowanym i zaszpunktowanym w wielu naturalnych reakcjach tylko jeden zespół odruchów jest wciąż po olimpijsku sprawny: ten, który wytwarza humor polityczny. Może to jest naturalny produkt uboczny kraju trzymanego na ekonomicznej diecie. O zasadach i konsekwencjach tej diety napisali z piękną przejrzystością i jeszcze piękniejszą odwagą Kuroń i Modzelewski, którzy, o ile wiem, bardzo szybko wrócili w kwietniu do swoich cel. Może uzupełni tam swój traktat zagadnieniem humoru wiążącego się ze specyficzną polską sytuacją. Mówię to poważnie.

— Wiem. Bo jesteś pod działaniem metylofenidanu. Ale przyznaj, że jednak w innych wypadkach rewolucyjnych, w większości takich wypadków, coś przecież zostaje w rękach robotników. Inaczej świat nie wracałby z takim uporem do problemu rewolucji i do teorii socjalistycznych. Ludzie mają krótką pamięć, na to zgoda, ktoś powiedział, że gdyby doświadczenie wpływało na dalsze postępowanie człowieka, to człowiek nigdy nie nabawiłby się po raz drugi kataru. Ale to żarty. Świat nie zrezygnował z ideologii socjalistycznych, w różnych wersjach, mimo, że na zachodzie zaszły tak kapitalne zmiany w stosunkach między zespołami pracodawców a zrzeszeniami zatrudnionych i schemat marksistowski w ogromnej ilości wypadków został albo bardzo skorygowany, albo zdeaktualizowany.

— Mogłbym zażartować, że rewolucje będą zawsze, bo nigdy nie znikną intelektualiści, którzy o nich marzą. Rewolucje są im potrzebne do ostatecznej afirmacji ich częstokroć bezrobotnego życia. Nie każdy umie tak ułożyć życie, żeby polegało wyłącznie na pisaniu książek czy komponowaniu muzyki, czy badaniu warunków przeszczepu serca. Intelektualiści mają w zasadzie pełne ręce roboty, znacznie więcej niżby podołały ich życiowe możliwości, ale najchętniej afirmują się w polityce. Tylko, że

w tym uogólnieniu jest trochę żartu. Celowość rewolucji po staremu jest największa i najoczywistsza na Wschodzie, w krajach niedoprzemyślowionych i przydeptanych dyktaturą. Np. w tzw. demokracjach ludowych — jakaż tryumfująca ironia dźwięczy w tym terminie, jaki nietykalny fałsz, który narzucił się już nawet i nam w rozmowie niezależnej, jaką tu prowadzimy! — otóż w demokracjach ludowych socjalizm ma wciąż świeżość i potęgę teorii radykalnej, wydaje się panaceum wolności ekonomicznej i umysłowej. Choć naturalnie i tu, gdyby przyszła odpowiednia chwila, rola intelektualistów okazałaby się wiodącą, odwrotnie proporcjonalna niż to się przedstawia w broszurach teoretycznych, gdzie po staremu przez wszystkie przypadki odmienia się magiczne słowo l.u.d. Ludzkość z pewnego punktu widzenia jest cholernie stara, przygarbiona i skrzywiona reumatyzmami, a jednak nie chce za żadne skarby zrezygnować z różnych swoich bajeczek — zupełnie jak pan Jowialski.

— Dlaczego nie ma żadnych podobieństw merytorycznych między ruchami studentów na Zachodzie, np. w Niemczech — a ruchem, który zakończył się czy może, miejmy nadzieję, tylko przycichł, w Polsce? Ja wiem, jaka będzie twoja odpowiedź, ale mimo to odpowiedz mi. Dwie odpowiedzi, nawet takie same, są zawsze mocniejsze niż jedna.

— Studenci zgromadzeni wokół Rudi Dutschke i jemu podobnych, to wszystko dzieci wysokiego standardu życiowego, cywilizacji przemysłowej, która praktycznie zlikwidowała nędzę w tym pospolitym sensie wyrazu, jaki jest w dalszym ciągu jak najbardziej aktualny w rejonie naszego świata. Koledzy Rudi Dutschke występują z furią przeciw tym ubocznym produktom psychologicznym i społecznym, które są związane z wielką zamożnością całego społeczeństwa. Istnieje pewien rodzaj tyranii i pewien rodzaj niewolnictwa możliwy tylko w krajach bogatych. Ruch hippiesów w Ameryce też jest uwarunkowany w ten sposób, na tle nasycenia materialnego i w wyniku powszechnej zamożności. Brodaci i ukwieceni łachmaniarze — to wszystko synowie najłepiej sytuowanych rodzin. Widocznie tak jak z biedą i upokorzeniem w Polsce łączy się wyjątkowa aktywność dowcipu politycznego, tak samo z nadmiarem techniczno-materialnym łączy się jakiś nowotwór nudy wytwarzający wybredny krytycyzm socjalny, z czym są związane różne formy buntu. Zresztą dywaguję na ten temat niechętnie, bo z ręką na sercu możemy sobie powiedzieć, że nas tego rodzaju porównania nie a nie nie obchodzą. Z przyjemnością każdy student UW w białej czapce i każdy napiętnowany literat warszawski zamieniłby swoje motywy rewolucyjne na luksusowe motywy amerykańskie czy zachodniemieckie. To w ogóle nie jest temat tej rozmowy.

— Jaki jest temat?

— Zaraz. Muszę coś wyjaśnić. Czytelnik ma prawo sądzić z układu tych akapitów, że w tym momencie z kimś rozmawiam. Nie, nie rozmawiam z nikim. Raczej z czymś — choć wcale nie proponuję tu jakiegoś schematu sytuacji surrealistycznej. Opar-

tem się, prawdę mówiąc na pewnym niewłaściwym schemacie literackim, który tak mi się podobał, że już nie pora się z tego wszystkiego wycofywać.

W jednej z mniej fascynujących książek Hemingwaya (choć prawdę mówiąc, Hemingwaya trzeba czytać jako całość, i wtedy jest zawsze fascynujący), w „Across the river and into the trees” bohaterem jest pewien zdezelowany w poprzednich wojnach Pułkownik, który o świcie siedzi sobie w weneckim łóżku, popija valpolicellę z dwulitrowego fiasco i rozmawia z obrazem opartym przed nim o krzesło. Pułkownik prowadzi swoją rozmowę delikatnie i szczerze. Nie jest to dla niego żadna sytuacja na niby, ani żadna konwencja, kiedy od czasu do czasu można sobie pozwolić na przymrużenie oka i na wygłup. Pułkownik zachowuje się w taki sposób, jakby przed sobą miał wyjątkowo przenikliwego partnera, który zresztą nie zniósłby żadnego grubiaństwa. I mówi sobie na ty, to znaczy Pułkownik mówi na ty, co jest sympatyczne i wzbudza zaufanie. Nie mam pojęcia skąd Hemingway podebrał ten pomysł do złudzenia naśladowujący naszą popularną gadkę o dziadu, który pewnego razu przemówił do obrazu. Może coś takiego istnieje w ludowych gawędach amerykańskich, kończąca mądrość ludowa prezentuje się czasem w identycznych wersjach w najbardziej od siebie oddalonych punktach globu. Ta nasza gadka jest mądra i dwuznaczna, dowcipna i tak, jakby czegoś od słuchacza oczekiwała. Chce, żeby słuchacz pomyślawszy skinął głową i powiedział: — Ano, rzeczywiście. Tak to jest.

Układając tę korespondencję dobieram sobie różne środki swobody pisarskiej. W tej intencji uprzedziłem czytelnika już w poprzednim odcinku („Haniebny koniec Małej Stabilizacji”), że nie będzie to ani esej, ani artykuł, ale coś na kształt — z różnymi odmianami — prywatnego pamiętnika o zastosowaniu politycznym. Proszę mi wybaczyć, to jest wielka moja troska, która raz po raz przerywa mi właściwy tok tego listu. Bez swobody poruszania się w tych tematach, bez możliwości nagabywania tego kompleksu tematycznego z różnych dogodnych mi stron — pewnie w ogóle nie odważyłbym się na tę imprezę. Mogę się podjąć tylko czegoś ze zdecydowaną ograniczoną odpowiedzialnością, to znaczy musi to pozostawać w granicach mojej własnej refleksji. Czy rozumiesz mnie, mój niewidzialny Obrazie?

— Rozumiem ciebie, dziadu.

— Może na ten epitet jeszcze w pełni nie zasługuję, ale już jestem w wieku, kiedy bardzo się boję niezręczności i fałszerstw ze swojej własnej strony, o co tak niesłychanie łatwo w pisarstwie w ogóle, a zwłaszcza w tak bezpośredniej i docelowej publicystyce, jak ta tutaj. I przed chwilą powiedziałem, że to jest moja największa troska. Ale widzę, że największą moją troską jest zdążyć napisać jeszcze parę, jeszcze z pięć albo trochę więcej tego rodzaju korespondencji. Chodzi o to, żeby mój dziennik w odcinkach nie był za krótki, nie był garścią ulotek. A wydaje mi się, że miałbym jeszcze dużo do napisania. To nawet nie jest dobrze powiedziane: po prostu siedzę w jakimś centrum

panoramicznym i powinienem pisać bez przerwy, powinienem te swoje obserwacje kręcić bez przerwy, jak film na obustronnej taśmie. To jest temat nieustający, choć — jak wspomniałem — bardzo trudny do zsyntetyzowania i przekazania. Gdybym mógł pisać dość długo, myślę przecież praktycznie, to w pewnym logicznym miejscu ten cykl powinien się zejść i zabić, jak rana. Marzę o książce. Książka ma zupełnie inną funkcję, inny ma dostęp do rozumu czytelnika.

— Konieczne są różne gwarancje z twojej strony. Musisz np. dać słowo honoru, że nie będziesz tu stosował krytyki totalnej, do czego masz wyraźną skłonność, bo sam się przyznajesz do obrzydzenia, które wywołuje w tobie nie tylko polityka, ale i różne banalne zjawiska codzienne w stosunku do których można żyć tylko pozytywnie. Czy chcesz żyć?

— Nie miałem odwagi zastanawiać się nad tym. Wiem, że muszę żyć, a to pewnie na jedno wychodzi.

— Tak, to jest tylko bardziej tchórzliwe sformułowanie tej samej postawy. Otóż chciałem ciebie przestrzec, że taka krytyka totalna prowadzi do nonsensu, mianowicie w końcu sama siebie anuluje. Jak pewien gatunek węża, który, gdy się mu przetrąci grzbiet, zżera własny ogon. Np. nie możesz wyjść na ulicę i zacząć namawiać ludzi, żeby przestali się interesować Wyścigiem Pokoju i zlekceważyli zawodowy entuzjazm Bogdana Tomaszewskiego, który ten wyścig rok rocznie zaleca sercom i wyobraźni, nie oglądając się na to, że w Polsce pałkami rozwala się uniwersyte-ty, wyrzuca najlepszych profesorów i skazuje na cywilną śmierć najlepszych literatów. Takie przejmowanie się Wyścigiem Pokoju jest kwestią elementarnego zdrowia psychicznego, pewne gruczoły nie mogą przerwać swej roboty, bo się człowiek od środka zadusi. Z tego samego powodu nie możesz np. zacząć agitować znajomych, żeby przestali słuchać co tydzień Matysiaków, choć to jest najbardziej zafałszowana audycja, jaką się tu transmituje, bardziej abstrakcyjna niż przemówienie jakiegoś Logi-Sowińskiego o roli Związków Zawodowych w PRL. O Związkach Zawodowych wszyscy przynajmniej wiedzą, że nie grają one żadnej absolutnie roli w organizacji życia w Polsce, co najwyżej ograniczoną i nudną rolę statysty. A z Matysiakami jest inaczej: tam grają dobrzy aktorzy, tam zainwestowano cały naturalistyczny spryt naśladowania życia; KTT kiedyś powiedział, że to w ogóle nie audycja tylko coś w rodzaju podsłuchu: nie powiedział tylko, że ten podsłuch omija kardynalne elementy informacyjne; że w tej gadanej maskaradzie, która nawet naśladuje pospolite kłopoty i problemiki — nigdy nawet z daleka nie dotyka się cech decydujących o charakterze życia w Polsce. Nie mówi się tam ani słowa o polityce, choć nie ma drugiego kraju na świecie, który byłby tak nadmuchany i rozepchnięty polityką, gdzie nie tylko stan gospodarki, ale nawet kryteria prawdy czy nieprawdy, nawet samopoczucie obywateli mają zawsze jedno źródło: w jednoznacznym interesie rządzącego aparatu. Ten kraj jest tak rozdęty złą polityką, że przemilczanie tego jest tylko inną formą, niemo-

ralną formą konstatacji takiego stanu rzeczy. Wspaniały historyk francuskiej rewolucji pisał przed wiekiem: „*Sous l'ancien régime, comme de nos jours, il n'y avait ni ville, ni bourg, village, ni si petit hameau en France, hôpital, fabrique, couvent ni collège, qui pût avoir une volonté indépendante dans ses affaires particulières, ni administrer à volonté ses propres biens. Alors comme aujourd'hui l'administration tenait donc tous les Français sous sa tutelle*”. Wszystko to, co wtedy de Tocqueville napisał, bez żadnej różnicy, prawie bez niuansu sprawdza się w Polsce drugiej połowy XX wieku. Nie do wiary! Tylko, że definicję tę należałoby rozszerzyć i pogłębić włączając w nią sprawy etyki, sprawy nerwów i elementarnego poczucia bezpieczeństwa każdego żyjącego tu człowieka. O tym, rzecz prosta nie ma mowy w dyskusjach i naradach rodziny Matysiaków, bo ta audycja lansuje model normalnej małomieszczańskiej rodziny w normalnym małomieszczańskim społeczeństwie posługującym się z rzadka i niechęć do niczego nie zobowiązującą terminologią socjalistyczną. Źródło wszelkiej rzeczywistości w Polsce, aparat, dba o to, żeby nikogo zbytnio socjalizmem nie nastraszyć, raczej woli go demonstrować jako łagodną odmianę drobnomieszczaństwa. Od czasów Stalina naprawdę nie chodzi tu już o nic więcej, niż o utrzymanie władzy: koszmarny stalinowski może mieć cechy heroiczne, których jeszcze nie potrafimy dostrzec, bo ledwie zdołaliśmy to przeżyć, zbyt jesteśmy nastraszeni, zaszokowani i obolali.

— Wszystko, co od ciebie słyszę, mój Obrazie, jest w końcu zachętą do krytyki totalnej, do wyciśnięcia całego swojego obrzydzenia, jak ropy z paskudzącego się palca. Dobierasz bardzo wybrednych określeń i porównań, żeby przedstawić to, co się nazywa w Polsce rządem. Może niepotrzebnie tak się trudzimy. Czy nie prościej byłoby powiedzieć: tu się nie rządzi narodem, tu się szykanuje.

— To jest może dobre powiedzenie, ale ma tę wadę, że po nim należałoby przerwać wszystkie dalsze rozważania. Ten rząd, który pogarsza byt swoich obywateli, który zajmuje się nie tyle rządem, co szykanowaniem — jest jednak konkretną rzeczywistością, której należy się przeciwstawić, ale której nie można uznać za nieistniejącą dlatego, że jest tak nieudana. Pamiętaj, że prowadząc ten dialog jesteś opozycjonistą, a nie dynamitardem, który chce sprawę skrócić do jednego i ostatecznego momentu wysadzenia wszystkiego w powietrze. Gdyby chodziło tylko o aparat rządzący takie skrócenie procesu opozycji byłoby bardzo wskazane. Ale z aparatem rządzącym jest związany geografią, wpływem czasu i mnóstwem codziennych realiów cały naród. Jest z nim związany nawet tym przykładowym Wyścigiem Pokoju i rodziną Matysiaków, o której nie chcesz nic słyszeć. Nie możesz wysadzić w powietrze narodu. Możesz tylko drażyć. Jak? Przy pomocy myśli. Myśl daje sobie radę w najtrudniejszych sytuacjach. Spróbuj coś zrobić. Tak jak to robili, każdy po swojemu, i co prawda w różnym stopniu ci wszyscy napiętnowani profesorowie i publicyści z Kołakowskim i Kisielewskim na czele.

— Czy sądzisz, że miałbym prawo do zupełnej i swobodnej negacji, włącznie z wyrażaniem swojego totalnego obrzydzenia, gdybym po prostu wyniósł się z całym swoim życiem zagranicę?

— Tak, gdybyś wyniósł się zagranicę z całym swoim życiem. Cóż za patos! Ale jeżeli wyniósłbyś się tylko z częścią swego życia i zachowałbyś w mocy te skomplikowane prawidła psychiczne, które określa się sentymentalnym słowem patriotyzm, to popisywanie się wszechogarniającym obrzydzeniem równie nie miałoby sensu, jak tu w kraju. Dlatego tak jałowa jest postawa emigracji, która wyćwiczyła swój język i metody obrzydzące kraj jako całość, z wszystkimi jego realiami. Dlatego i na emigracji może dla kraju liczyć się tylko to, co nie jest wybrzydzeniem, ale myśleniem, choćby najbardziej męczącym — bez nadziei na natychmiastowe wnioski. Powiedziałeś przed chwilą, że chcesz żyć. To właściwie o wszystkim przesądza.

— Nie jest to zupełnie jasne, ale domyślam się zawartej w tym sugestii. Może chodzi ci o to, żebyśmy pomówili o różnych formach patriotyzmu, który może być bierny, fizjologiczny, ograniczony do związków z miejscem urodzenia — a może być także stanem ducha dynamicznym, związanym także z narodem, jako abstrakcją, jako sumą wytworzonych przez niego wartości a może ściślej: wytworzonych przez niego jakości — złych i dobrych. Ten patriotyzm typu dynamicznego traktujący naród nie jako zespół biologiczny przywiązany do pewnego miejsca, ale mniej więcej tak jak dzieło sztuki, zmaturalizowane w przestrzeni czasu dzieło ludzkie — taki patriotyzm każde przede wszystkim żyć. Gdybyśmy przykładali do naszej rozmowy miarę dziennikarską, to takie rozważanie o patriotyzmie byłoby niezwykle na czasie. Od kilkunastu tygodni w Polsce aż roi się od tego słowa. Jest to nowy funkcjonalny wynalazek aparatu rządzącego. Przy pomocy tego słowa członkowie aparatu chcą nostryfikować swoje dyplomy premierów i ministrów. Ale wątpię, żeby ta naiwna demagogia dała gruntowniejsze rezultaty, choć doświadczenie uczy, że najbardziej absurdalne treści demagogiczne, byle je z uporem wtłaczać w mózgi, mogą się czasem przyjąć i do pewnego stopnia obrodzić. Mam dużo szacunku do swojego narodu, ale mam też masę wątpliwości co do jego charakteru. Kto wie, czy spekulacja na pojęciu patriotyzmu nie da jakichś częściowych wyników, zwłaszcza gdy wspiera się ją antysemityzmem. Być może jednak, że naród nie zapomni, że owe dyplomy władzy, z którymi ci świeżej daty patrioci się zjawili były jednak wydane zagranicą. Być może, że wtedy nostryfikacja weźmie w łeb, mimo całej tej olbrzymiej maszyny propagandowej, której główną cechą jest inercja i która raz uruchomiona toczy się często dalej, niżby ci i owi demagodzy sobie życzyli. W kwestii antysemityzmu np. zajechało to nieco dalej, niż było zaprojektowane i trzeba teraz podkładać cegły pod koła.

— Pewnie się mylisz. Proces antysemityzmu trwa. Towarzyszy mu tylko propagandowa akcja obronna, równie niezgrabna, jak większość tutejszych akcji politycznych. Wszystkie organa infor-

macji czy raczej dezinformacji dostały nakaz udowadniania, że antysemityzm nie istnieje i jest oszczerstwem. To było do przewidzenia, to już zostało przewidziane jeszcze w końcu marca, gdy na pamiętnym zebraniu literatów w Żańsku Jasienica wskazał na oczywiste początki nagonki antysemickiej, na co oburzył się Putrament i zaręczył, że partia czuwa i zastosuje przeciw temu skuteczne środki. Dziś Jasienica nie ma już żadnej możliwości powołania się na tamto swoje ostrzeżenie, a Putrament nie odczuwa żadnej potrzeby moralnej, żeby przypominać publicznie swoje słowo honoru dane wówczas w imieniu partii.

— Putrament jest w tej chwili zajęty szczupakami. Zaraz ci coś przeczytam z niedawnego „Życia Warszawy”: „Nigdy tyle, co w tym maju nie widziałem hamletowych szczupaków — pisze Pucio. — Normalny szczupak, jak prawdziwy mężczyzna, gdy chce to chwytą, gdy chce to nie. W tym maju co większy szczupak sam nie wie, chce — nie chce. Ściągą błysk. Wirująca blaszka miele wodę... To wszystko trwa może trzy sekundy. Winien bym targnąć kijem, zaciąć go. Ale pewnie ten wyrzut zahaczył mi przecież sumienie. Skręciło kołowrotek, ale niezdecydowanie...”

— Więc jednak czytujesz „Życie Warszawy”.

— Nie, słowo honoru, już nie czytuję. Patrę czasem tylko w tę płachtę i zdarza się, że skacze mi stamtąd do oczu taki właśnie szokujący, goły, autentyczny dowód moralnego bezwstydu. Putrament przyłożył rękę do tego, żeby w księgarniach i czytelnich publicznych wzięto na indeks Andrzejewskiego, Międzyrzeckiego, Kołakowskiego, Bocheńskiego, Jastruna, Kisielewskiego i paru innych jego kolegów, którzy podnieśli głos w sprawie jasnej i czystej, idealnie dla każdego czytelnej. Ale Putrament nie ma sumienia hamletycznego, jak ten szczupak, którym nas zabawia. Putramentowi się pewnie wydaje, że on w każdej sytuacji może pisać o rybach, tak jak Hemingway, który rzeczywiście w każdej sytuacji na świecie miałby moralne prawo napisać swojego „Człowieka i morze”, bo to była wielka literatura stosowna do każdej fazy stosunków na świecie, bo to było w każdym wypadku ogniwo jego konsekwentnej i permanentnej filozofii męstwa i prawdy za wszelką cenę. Putrament jest filozofem partyjnym. Jego męstwo polega na zamieszczaniu brechty rybackiej w momencie, gdy cała świadoma część społeczeństwa nie może się nadziwić rozmiarowi zła, które się praktykuje widowiskowo, na oczach wszystkich.

— Powiedziałeś jednak, że musisz żyć.

— Ale to jest ciężkie. W tym kraju zawsze było ciężko żyć. Jednak nie we wszystkich epokach tak samo. Na przykład epoka stalinowska, która jest słusznie uważana za dno zła i upokorzenia, miała jednak różne ułatwienia moralne. Trudno w to uwierzyć, ale tak było. Epoka stalinowska upływała w atmosferze strachu. Było to jedyne w swoim rodzaju przeżywanie faktów oparte na zupełnej rezygnacji i poczuciu fatalności. Na ogół w fatalność praktycznie się nie wierzy, to jest raczej jedno z powiedzeń, jedno z zaklęć: ale wtedy czuło się wokół siebie fatal-

ność i rezygnację. Było to coś tak konkretnego, jak obniżone ciśnienie krwi. Ludzie ograniczali swoje ruchy do minimum. Otóż człowiek ma pewną absurdalną skłonność do sytuacji krańcowych i bez wyjścia, do fazy fatalnej losu. To nawet jakoś smakuje. Ale potem przyszedł Październik i czym prędzej się wyrzuciło do kubła tę dręczącą fatalność, ten groźny smak przegranego losu. Masa ludzi zaczęła pracować z dobrą wolą i z rozpędu utrzymuje się przy tych narzuconych sobie normatywach dobrej woli aż do dziś, gdy Październik dawno został odwołany i wycofany z kroniki. Gdy go zdjęto z regałów i oddano na przemiał. Otóż teraz żyć jest jeszcze ciężiej, niż przed Październikiem i tego, zdaje się, nie trzeba tłumaczyć. Nie mówię o wszystkich ludziach, bo umówiliśmy się, że totalnych miar nie będziemy stosowali. Ale jest pewna kategoria ludzi, której może i nie dałoby się wyodrębnić ani według cenzusu wykształcenia, ani zajęć, ani pochodzenia społecznego, dla której ta rotacja losu od Stalina poprzez Październik aż do — powiedzmy sobie obrazowo — Moczara — jest nie do wytrzymania. Na pewno dotyczy to ludzi głównie ze środowisk inteligentkich, ale to nie jest ostateczne kryterium. Może i byłby tu jeden cenzus rozróżniający: osobista wrażliwość, ale to nie jest żadna przesłanka statystyczna i nawet w tak luźnej jak nasza rozmowa trudno tym rozróżnikiem posługiwać się z uporem. Chyba, że będę się nim posługiwał bez uporu, jak najmniej natrętnie. Jest to, powiedzmy sobie, międzyspółeczna grupa Dziadów przemawiających do Obrazu. Rzecz, jak wiadomo, zaczęła się od zdjęcia „Dziadów”. Oto są nowe Dziady...

— Posłuchaj jeszcze, mój Obrazie. Ten Hemingwayowski Pułkownik mówi, że do sprawy śmierci nie trzeba nikogo wplątywać, to się robi samemu, jak samemu chodzi się do klozetu. Międzyśpółeczna kategoria Dziadów nie rozmyśla, jak Pułkownik, o śmierci, ale żyje tak samotnie, jak by chodziło tu tylko o funkcje fizjologiczne. Większość nawet myśli półgłosem, nie słyszy własnych myśli, a to już jest dno samotności — najmniej wartościowa jej forma. Gdyby to, co tu mówiliśmy o patriotyzmie dynamicznym można było wyjaśnić, unaocznic, rozpowszechnić, to może znalazłaby się jakaś inna recepta na życie w tym zaszpunktowanym od środka kraju. Ale mówię to tylko do siebie. Czując podniecenie związane z końcem tej rozmowy — domyślam się, że wielu moich na zapas robionych — przesadnych — określeń już nie ma możliwości cofnąć. Żałuję tego. Nie! Spróbujmy grać — nie znając partnera. Nie mam możliwości porozumiewać się z innymi. Wierzę w wartość tego rodzaju korespondencji, bo to może okazać się sposobem porozumienia się z innymi — ale wiara moja jest ograniczona. Nikt nie może żądać dziś od Polaka bezgranicznej wiary w sensowność takiego czy innego postępowania. Tkwimy w rzeczywistości, z której nie możemy się wyodrębnić, bo przestałaby nas obchodzić. A przecież tylko ona, ta zła rzeczywistość, naprawdę nas obchodzi.

Sąsiedzi

Ceske rozhovory

Podziwajta se, pane, na te wieże a kopuły w dole; wszystko to byłoby pozłoczone, a każdy Czech miałby swój własny domek i pracowałby pięć godzin dziennie. Takby to było jakbyśmy nasz uran dali Amerykanom. A tak i co? Uranu już nie ma, domy się wałą, a my, chudziny, nic nie mamy.

Niemcy nam domy niechali, pieniądze nam niechali, a jak kto co zarobił to mu to też niechali. A komuniści wszystko ny zabrali i do Rosji wywieźli.

Korespondenci anglosascy w reportażach z Niemiec Wschodnich często używają przenośni biologicznej: Rosja wykrawia Niemcy Wschodnie na biało. W Pradze, która przecież słynęła kiedyś jako *Złota Praha*, sam się narzuca warszawski zwrot sztubacki: Rosja zrobiła Pragę na szaro. Ze złota już ani śladu, zażytkowe tynki i sztukaterie wałą się przechodniom na łeb, wszystko pokrywa szarość zaniedbania, tak charakterystyczna dla współczesnego imperium Moskwy. Praga, Drezno, Kraków, Budapeszt wałą się w gruzy, obsuwają się znów w mrok średniowiecza — przynajmniej relatywnie, w porównaniu z resztą Europy — aby Kazachowie w Ałma-Acie mieli przywilej podziwiania na swoim terenie Pałaców Kultury i innych „budów” soc-realizmu. Wątpliwy to przywilej a, jak mówią turyści, nie taka znów strata dla Pragi, Budapesztu itd. jakby się na pierwszy rzut oka wydawało. Faktem jest, że najstarsze choćby miasta Grecji, Włoch czy Francji nie mają tego autentyzmu, tych widoków, tej niskiej zabudowy, tego charakterystycznego średniowiecznego smrodku, jaki ma Praga. Miasto, mianowicie środek miasta, jest nietknięte przez samochód, a dzięki stalinowskiemu prymatowi żelaza i stali nie dotarła doń epoka żelbetonu. Samochodów jest właściwie dość sporo, ale wyglądem swoim nie odbijają rażąco od tła. Są to przeważnie okazy zabytkowe, nieludzko sfatygowane, rozpadające się tak jak domy przed którymi stoją. Współczes-

ne modele mają tak liche wykończenie jakby z góry zaplanowane były na bezkonfliktowe wtopienie się w tło.

Wasz Gomułka! (pogardliwie i z wyższością)

Szukacie, pane, „Literarnych Listów”? Całą Betlemską ulicę przeszliście i nie widzieliście? A może ich już w ogóle nie ma, może chudaki w więzieniu siedzą? Nie myślcie, pane, że tu taka liberalizacja. W KC a w parlamencie, dokładnie ci sami ludzie siedzą co za Novotnego, łącznie z Novotnym. Jak będą chcieli to w oka mżyk Dubczeka wynaczą. Co ten Dubczek może? — on tyle co Kiereński, a i Gomułka też tak zaczynał i na czym skończył? Okres słów się skończył, teraz pora na działanie, a tu nic nie widać. Przeszliśmy już zenit, pane, teraz zobaczmy realność. Ale jak mówicie że „Literarni Listy” wychodzą to pódźcie, poszukamy razem. A cenzura jak była tak jest — najlepiej to widać na listach: samolot do Paryża idzie godzinę, to dlaczego sześć dni trwa dostarczenie listu? Tylko dawniej była cenzura w jednym kierunku: na zachód, a teraz jest na wschód i na zachód. To cała różnica.

Trudno się Czechom dziwić, że sobie na Polakach chcą trochę pofolgować. Przez lata całe zjeżdżało tu polactwo, piersi dumnie wypinało i świeciło Czechom w oczy swoją pseudo-wolnością. To teraz mają. Ale trudno o wszystko winić Gomułkę, trudno nawet logicznie przyjąć tezę, że cała Polska czeka na swego Dubczeka. Bo przynajmniej to otwarcie, Gomułka to polski Dubczek. Tylko Polacy jak to Polacy, zawsze muszą być pierwsi. A dziesięć lat temu było inaczej, o wiele inaczej.

Po pierwsze Rosja była wtedy o wiele bardziej zwarta i bardziej trigger-happy. Okazało się to jasno na Węgrzech. Może zresztą Węgry wykazały jeszcze coś innego: że społeczeństwo ZSSR wcale nie jest tak gotowe do imperialistycznych podbojów, jakby to chcieli niektórzy jego władcy.

Po drugie w międzyczasie narósł konflikt chiński. W czasie polskiego października nie było pewne po jakiej linii rozwinię się ten zarysowujący się już konflikt. Chiny przez chwilę bawiły się ideą stu kwiatów, co pozwoliło Rosji na przybranie pozy surowego obrońcy ortodoksji. Późniejsze lata przyniosły odwrócenie ról. Walczący konserwatyzm Chin robi z Rosji *nolens-volens* obrońcę umiarkowania, istniejącego legalizmu, praworządności. „Jaka sytuacja, taka konsekwencja” — jak mówi student-jahas u Mrożka. Nie można ganić Chin za awanturnictwo, i jednocześnie w sposób awanturczy zmuszać czołgami taką np. Rumunię do trzymania się konserwatywnej linii. Logika tej sytuacji niewątpliwie musiała wyłonić w ZSSR specyficzny zespół kierowniczy, mianowicie zespół który przeciwny jest agresji. Niewątpliwie na podorzędziu jest też i inny zespół, taki który nie wahałby się przed agresją, ale na razie jest on w pozycji gabinetu cieni.

Błędem i niesprawiedliwością byłoby przemilczanie roli jaką odegrał Dubczek i postępowe skrzydło partii w rozgrywaniu tego niesłychanie trudnego manewru. Znow jednak nie można tego zbyt upraszczać sprowadzać porównania Gomułka-Dubczek do prymitywnego „Gomułka głupi, Dubczek mądry”. Właściwiej byłoby rzucić tezę, że bez Gomułka nie byłoby Dubczeka, tzn. że błędy Gomułka (ew. postępowego skrzydła w Polsce) nauczyły Dubczeka (postępowców w CS) jak należy prowadzić walkę z elementami stalinowskimi. Tak jak i Gomułka, Dubczek odziedziczył aparat z gruntu stalinowski. Do walki z nim użył jedynej broni jaka była do jego dyspozycji, a jakiej Gomułka nie dostrzegł, czy ją zlekceważył. Bronią tą jest jawność. Każdy, choćby największy stalinista w KC czy sejmie, może głosować *przeciwko* linii postępowej. Jedynym hamulcem jest świadomość, że taki fakt będzie ogłoszony publicznie i że trzeba będzie równie publicznie przedstawić alternatywną politykę. Co przy dużej swobodzie dołów, zarówno partyjnych jak i ogólnospołecznych, oznaczałoby koniec politycznej kariery takiego opozycjonisty.

Dla uzupełnienia obrazu trzeba naturalnie wspomnieć niesłychanie ważne różnice w układzie społecznym. Czechosłowacji pomogła jej dawna tradycja komunistyczna i pro-rosyjska. Dzięki temu partia nigdy nie była w Czechosłowacji tak wyobcowana społecznie jak w Polsce, była częścią narodu a nie pogardzanym narzędziem okupanta. Była i procentowo liczniejsza i jakościowo lepsza w tym sensie że najlepsze elementy społeczne nie miały sprzeciwów przeciw przyjmowaniu członkostwa.

Czechosłowacja nie miała u szczytu kamienia młyńskiego w postaci „politycznej emigracji” która wywoływała widmo „kontr-rewolucji” i działała jak płachta na byka na władców ZSSR.

Dalej, Czechosłowacja miała bardziej zaawansowaną strukturę gospodarczą i społeczną, co sprawiło że system stworzony przede wszystkim dla organizmów prymitywnych nie mógł w niej należycie funkcjonować bez względu na wszystkie inne okoliczności. Niewydolność systemu widoczna była dla wszystkich, nawet dla najgłupszych aparatczyków. Natomiast w Polsce niejedyn jeszcze wierzy, że to komunizm wynalazł silnik elektryczny i że jakby zdjąć Gomułka z Kliszka to wszyscy piloci, maszyniści i tramwajarze straciliby pracę.

DYSKUSJA Z MŁODZIEŻĄ O CELOWOŚCI WYWIESZANIA FLAGI AMERYKAŃSKIEJ

Większość młodzieży: Nareszcie udało nam się zdobyć flagę amerykańską, szybko dawajcie jakiegoś sznurka to ją wywiesimy.

Mniejszość młodzieży: Nie błażnujcie z tym wywieszaniem, nie róbcie tego.

Większość: A dlaczego?

Mniejszość: Przecież nikt tego nie robi.

Większość: Bo nikt nie ma flagi amerykańskiej, jakby mieli to by wywiesili.

Mniejszość: I co to za flaga, mała taka! Takich flag się nie wiesza!

Większość: Trudno, nie ma innych; całe miasto oblataliśmy i tylko taką małą mieli, to małą wywiesimy.

Ja: A dlaczego tak koniecznie chcecie wieszać?

Większość: Należy im się — wszędzie tylko flagi sowieckie, tak jakby to sami Rosjanie uwolnili Czechosłowację. A Amerykanie też przyczynili się do uwolnienia, przecież uwolnili Pilzno.

Ja: Opowiadania o uwolnieniu są dla dzieci. Armie walczyły nie o uwolnienie takiego czy innego miasta, a przeciwko Niemcom. Jak Niemcy upadli, wszystko się automatycznie uwolniło. W ten sposób do uwolnienia przyczynili się wszyscy ci, którzy walczyli; można by więc dużo flag wieszać.

Większość: To dlaczego tylko sowieckie wiszą?

Ja: No, przede wszystkim wiszą flagi Czechosłowacji. Z tego wiadać, że flagi nie odnoszą się wcale do krajów uwalniających, a pełnią tylko funkcję stereotypową, jak na każdym święcie państwowym.

Większość: Ale rocznica uwolnienia jest dobrą okazją do zamianifestowania naszej przyjaźni dla Ameryki...

Ja: A Jaltę znacie?

Większość: Do cholery z Jaltą, dawać flagę!

Mniejszość: Wstydyście się, spokój! niech powie o tej Jaltce.

Ja: Jalta to był układ między Stalinem, Rooseveltem i Churchilllem na mocy którego Europa środkowa, a więc i Czechosłowacja, została oddana pod władzę ZSSR. Dlatego rok 1945 nie przyniósł prawdziwego uwolnienia i dlatego dopiero w 1968 r. możemy mówić o oświeconym socjalizmie. Więc rocznica zakończenia wojny nieszczególnie nadaje się na manifestacje pro-amerykańskie; chyba, żeby wywiesić tę flagę na pół masztu, na znak żałoby dla chybionej polityki amerykańskiej.

Głos z tyłu: Na Tylovym Namesti sprzedają pomidory!

Wszyscy: Pomidory!

Zgiełk i tłok przy wyjściu. Po chwili sala pustoszeje. Na stole zostaje flaga amerykańska rozmiarów 20 na 29 cm.

Wszystkie oficjalne rozmowy w redakcjach pism praskich zaczynają się od wyjaśnienia pozycji *Kultury*. *Kultura* jest polskim miesięcznikiem wychodzącym w Paryżu i, ze względu na swój poważny charakter, cieszącym się dużym autorytetem wśród Polaków zarówno na emigracji jak i w kraju. Natomiast władze PRL jak również ZSSR odnoszą się do niej wrogo. Wina za ten stosunek leży po stronie wyżej wymienionych władz, które nie chcą tolerować wolności słowa. Jeśli chodzi o *Kulturę* to stoi ona na gruncie demokratycznego socjalizmu i ze szczerą radością

wita obecne wysiłki CSSR zmierzające do usunięcia wypaczeń ustroju socjalistycznego. W odniesieniu do PRL i ZSSR *Kultura* żywi nadzieję, że i te państwa z czasem zmienią swoje stanowisko i w tym właśnie kierunku idzie działalność *Kultury*.

ROZMOWA W CENTRALI ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
Z E. ZAHRADKĄ I M. ODCHAZELEM, REDAKTORAMI
DZIENNIKA „PRACE”, KTÓRY JEST OFICJALNYM
ORGANEM ZZ CZECHOSŁOWACJI

Pytanie: — Czy panowie, jako działacze związkowi, jesteście zadowoleni ze zmian zachodzących w Czechosłowacji?

Odpowiedź: — Najzupełniej.

P.: — Pomijając momenty polityczne, wolności osobiste itp., jakie zmiany uważacie panowie za szczególnie korzystne?

O.: — Zapoczątkowanie reformy gospodarczej — nie dyskusji o reformie, a reformy.

P.: — Jakie kroki zrobiono w tej dziedzinie?

O.: — Pierwszym krokiem było przeorganizowanie systemu cen hurtowych tak aby ceny odpowiadały rzeczywistej wartości towarów.

P.: — Skąd zna się rzeczywistą wartość towarów?

O.: — Z kosztów produkcji.

P.: — Skąd wiadomo, że koszty produkcji są „rzeczywiste”?

O.: — Jedynym sprawdzianem może być konfrontacja na rynkach światowych. To będzie nasz drugi krok: wprowadzenie wymiennalności korony. Przewiduje się, że cel ten zostanie osiągnięty w 5 do 7 lat.

P.: — No, a jakie są dotychczasowe skutki „pierwszego kroku”?

O.: — Niektóre ceny, np. ubiorów dzieciennych, które były dotychczas mocno subsydiowane, poszły w górę.

P.: — Niezbyt to zachęcające dla robotników — jaki jest ich stosunek do tych zmian?

O.: — Pozytywny. Trzeba pamiętać, że preliniuje się wzrost płac w wysokości 3,2 % rocznie, więc robotnik w sumie będzie miał się lepiej. Na razie zresztą płace podskoczyły o 4 % w ciągu 4 miesięcy.

P.: — Czy nie grozi to inflacją?

O.: — Niebezpieczeństwo inflacji istnieje. Musimy zwiększyć produktywność, przede wszystkim w przemyśle maszynowym. Wymaga on dużej racjonalizacji czego dowodem jest choćby, że Czechosłowacja produkuje 80 % światowego asortymentu wytworów tego przemysłu. Trzeba zredukować nasz asortyment i skoncentrować się na tych produktach, w których jesteśmy najlepsi.

P.: — A co z typową bolączką organizacji wzorowanej na ZSSR — zjednoczeniach przedsiębiorstw?

O.: — Kroki ku reorganizacji są tu w toku i to bardzo zaawansowane. Nie wierzymy aby w wielkim przemyśle mogła istnieć zupełna niezależność pojedynczych przedsiębiorstw — warunki

nowoczesnej produkcji na to nie pozwalają — ale musimy rozwiązać, względnie pozwolić na rozwiązanie, starych centrali produkcyjnych, które tworzone były sztucznie w drodze administracyjnej, i umożliwić dobrowolne łączenie się przedsiębiorstw na zasadzie ekonomicznej.

P.: — Niewątpliwie potrzebne będą inwestycje?

O.: — Ogromnie. Wyłania się tu konflikt między min. Vlasakiem odpowiedzialnym za inwestycje, a wicepremierem Szikiem; pierwszy uważa, że gros inwestycji powinno iść w przemysły produkujące środki produkcyjne, drugi — że w przemysły produkujące dobra konsumpcyjne.

P.: — Po czyjej stronie stoją ZZ?

O.: — Po stronie wicepremiera Szika.

P.: — Wygląda na to, że opisana przez panów reorganizacja może wywołać problemy ludzkie, bezrobocie itp. Czy nie obawiacie się panowie niezadowolonych wśród robotników?

O.: — Problemy na pewno będą. Ale nasi robotnicy są na to przygotowani. Jeśli są oni z czegoś niezadowoleni, to przede wszystkim z istniejącego kulejącego stanu naszej gospodarki. Żądają przede wszystkim, aby władze były w stosunku do nich uczciwe i szczerze. Jeśli powie im się otwarcie jakie ofiary są potrzebne, to ścierpią i przetrzymają okres reorganizacji.

P.: — Czy nie pomogłoby już teraz zniesienie kontroli nad przysłowiowymi budkami z wodą sodową i zakładami podobnej wielkości?

O.: — Jesteśmy za poszerzeniem prywatnej inicjatywy w tych dziedzinach, zwłaszcza w rzemiośle. Osobiście sądzimy, że obsługa i reparacja samochodów prowadzona przez małe samodzielne jednostki usprawniłaby znacznie naszą gospodarkę i dała zatrudnienie wielu tysiącom ludzi. Wiemy, że odpowiednie ustawy są już w przygotowaniu.

P.: — Jednym zdaniem: jak przedstawia się stopa życiowa robotnika w Czechosłowacji?

O.: — Średnia płaca dla wszystkich zatrudnionych wynosi prawie 1.600 koron miesięcznie; mięso kosztuje od 20-30 koron za kilo; 40-45 % budżetu rodzinnego idzie na żywność; norma mieszkaniowa wynosi 12 m² na osobę.

P.: — To lepiej niż w innych krajach „bloku”.

O.: — Ale gorzej niż w krajach Zachodu.

P.: — Jaki jest stosunek robotników do ZZ?

O.: — Trzeba przyznać, że niezbyt przyjazny. Wynika to stąd, że w przeszłości ZZ stały zawsze po stronie pracodawcy, nawołując robotnika do większego wysiłku, do darmowej pracy, do różnych wyścigów pracy. Teraz to się zmieniło, teraz naszym celem będzie obrona praw robotnika.

P.: — Słyszałem krytyki, że właśnie za mało się zmieniło, że ciągle ci sami ludzie kierują ZZ — czy to prawda?

O.: — Nie. Główny zarząd składa się z zupełnie nowych osób.

P.: — Ale te nowe osoby rekrutują się ze średnich szeregów admi-

nistracji związkowej, czy więc słuszny jest zarzut, że nastąpiło tylko przetasowanie w ramach tej samej grupy?

O.: — Prawdą jest, że te średnie szeregi jak i były zarząd pochodzą z okresu minionego tzn. zostały wyłonione systemem niedemokratycznym. Natomiast duże zmiany zaszły i wciąż zachodzą w terenie. Na szczeblu przedsiębiorstw mamy już wielu związkowców wyłonionych prawdziwie demokratycznie. W ciągu bieżącego roku odbędą się wybory okręgowe i do zarządu głównego i wtedy cały zespół będzie odnowiony.

P.: — Czy mogą panowie wskazać na jakiś przyczynek ZZ w obecnym procesie wprowadzania oświeconego socjalizmu?

O.: — Trzeba pamiętać że proces ten przebiega przede wszystkim w płaszczyźnie politycznej, a więc poza nami. Tym niemniej bierzemy udział we wszystkich rozmowach, które dotyczą robotników. Można by powiedzieć że to właśnie my zaczęliśmy dyskusję o oświeconym socjalizmie bo właśnie w naszym dzienniku PRACE ukazał się w dn. 21 stycznia br. artykuł Józefa Smrkowskiego „O co chodzi?”, który żąda zmian personalnych na najwyższym szczeblu.

ROZMOWA Z MIROSLAVEM POLIVKĄ, ZASTĘPCĄ REDAKTORA NACZELNEGO, I JANEM PILATEM, REDAKTOREM DZIAŁU ZAGRANICZNEGO, TYGODNIKA HOSPODARSKE NOVINY (WIADOMOŚCI GOSPODARZE)

Pytanie: — W jakim kierunku idzie przygotowywana reforma gospodarcza?

Odpowiedź: — Chcielibyśmy połączyć to co jest najlepsze w socjalizmie z tym co jest najlepsze w kapitalizmie. Jasne jest już dla wszystkich, że bodźce i współzawodnictwo są konieczne, dyskutuje się jedynie do jakiego stopnia mają one działać.

P.: — Jakie są najbardziej palące problemy gospodarcze kraju?

O.: — Problemów jest tyle i tak są ze sobą posplatane, że trudno powiedzieć, które są najważniejsze. Spróbujemy przedstawić jeden cykl problemów. Otóż konieczne jest wyposażenie fabryk w nowy sprzęt. Ze względu na zaawansowany charakter tego sprzętu możemy go nabyć jedynie na Zachodzie. Ale nasz bilans handlowy z Zachodem jest ujemny i nie pozwala na zakupy inwestycyjne. Mamy dodatni bilans z Rosją, ale Rosjanie nie płacą wymiennej walutą, więc też nic z tego nie mamy dla naszego głównego celu.

P.: — A co uniemożliwia aktywizację handlu z Zachodem?

O.: — Przede wszystkim przestarzałość przemysłu, czyli właśnie brak tych maszyn, o których mowa powyżej. Poza tym wymagałoby to postawienia handlu zagranicznego, a tym samym całej produkcji, na bazie ekonomicznej, co wymaga dużej reformy. Jest w toku gorąca walka między *ancien régime* a nowymi siłami.

P.: — Chyba nie ma prawdziwej alternatywy dla polityki reform?

O.: — Nie ma alternatywy, ale sama reforma jest rzeczą trudną. Trzeba zmienić całą strukturę przemysłu, który w tej chwili zbudowany jest według bismarckowsko-stalinowskich zasad o prymacie stali. Ocenia się przy tym, że w wyniku reformy 300.000 robotników może stracić pracę.

P.: — Narzuca się naturalne rozwiązanie: pozwolić ludziom na otwarcie prywatnych sklepów i warsztatów.

O.: — Rozważa się to, ale nie jest to rozwiązanie. Trudno się spodziewać, żeby człowiek, który całe życie pracował przy maszynie w fabryce nagle mógł i chciał prowadzić własny sklep.

P.: — Nie należy do tego podchodzić w sposób dyrektywny, a więc wyobrazić sobie, że jakiś urzędnik z Głównej Komisji Planowania przyjdzie do fabryki i powie: tych pięciu z lewego skrzydła załóż prywatny hotel, następnych pięciu — warsztat krawiecki itd. Trzeba po prostu dać możliwości takiego działania, a wtedy ci którzy są odpowiednio predysponowani sami się wyselekcjonują a ich miejsca w fabrykach zajmą inni. A poza tym mówimy ciągle, że nadwyżki ludzkie są tylko w fabrykach — a chyba różne urzędy też mają sporo zbędnych ludzi?

O.: — Oczywiście. Mówiąc o środkach zaradczych nie zapominamy też o możliwości wyjazdów robotników za granicę. Wiemy, że Jugosławia mocno reperuje swój bilans handlowy zarobkami swoich obywateli zagranicą.

P.: — Czy są plany uprzywilejowania rolnictwa, np. tak jak w Polsce?

O.: — Oficjalnie przyznaje się, że kolektywizacja była za szybka i przeprowadzona zbyt administracyjnymi środkami. Tym niemniej oficjalnie nie wyraża się żadnych zamiarów odwracania tego procesu. Naszym prywatnym zdaniem kołchozy nie są właściwą formą organizacyjną dla rolnictwa i powinniśmy szukać wzorów w spółdzielczości takiej jak w Danii.

P.: — Do tej pory mówiliśmy tylko o planach i zamiarach na przyszłość. Czy nie przedsięwzięto dotychczas żadnych kroków na drodze reform?

O.: — Problemy nasze są tak wielkie, że musimy kroczyć bardzo ostrożnie, jak linoskoczek. Nawet wicepremier Szik zrezygnował na razie z pełnego wypowiedzenia się na ten temat. Ostatecznie czekaliśmy 20 lat więc możemy poczekać jeszcze rok.

P.: — Czy w obecnej sytuacji nie byłoby wskazane, aby Czechosłowacja ubiegała się o pomoc zagranicy w rodzaju Planu Marshalla?

O.: — Gdyby kraj nasz położony był tam gdzie leży Hiszpania, to bez wahania projektowalibyśmy taką pomoc. Ale ponieważ jesteśmy tam gdzie jesteśmy, więc łączymy nasze nadzieje z rozsądnym kompromisem głównych mocarstw. Nie chcemy stać się ani drugimi Węgry ani drugą Polską.

ROZMOWA Z JANEM PROCHAZKĄ, WICEPRZEWODNICZĄCYM ZWIĄZKU PISARZY CZĘCHOSŁOWACKICH

Pytanie: — Pisarze, których usunięto z partii za wystąpienia na zeszłorocznym zjeździe, zostali wszyscy przyjęci z powrotem. A kiedy spodziewa się pan odzyskania swego miejsca w Komitecie Centralnym?

Odpowiedź: — Miałem nadzieję, że najbliższy walny zjazd partii załatwi tę sprawę, ale niespodziewanie wyłoniła się ta kontrowersja z *Literaturną Gazetą*, co podważyło moją pozycję.

P.: — Czy może pan przypomnieć w kilku słowach o co chodziło w tej polemice?

O.: — Udzieliłem wywiadu korespondentowi AFP, w którym wyraziłem się, że sowiecki model rolniczy nie ma zastosowania w Czechosłowacji; po prostu nie mamy warunków na gospodarkę ekstensywną i musimy prowadzić gospodarkę intensywną. Za to zaatakowała *Literaturná Gazeta* mówiąc, że mogę robić co mi się podoba w moim ogródku, ale nie mam prawa wypowiadać się o modelach.

P.: — Miejmy nadzieję, przyjdzie czas, gdy nasi sowieccy przyjaciele nauczą się dyskutować, a przestaną pontyfikować. Ale skoro jesteśmy przy rolnictwie — czy jest pan zwolennikiem urywatnia rolnictwa?

O.: — Socjalizm niepotrzebnie utrudnia sobie sytuację gdy nalega na upaństwowienie każdej maszyny do szycia. To samo odnosi się do rolnictwa. Trzeba szanować przywiązanie i miłość rolnika do roli. Niestety Rosjanie zlekceważyli ten psychologiczny aspekt.

P.: — A teraz moje stereotypowe pytanie: czy jest pan zadowolony itd.?

O.: — Zadowolony. W porównaniu z tym co było w przeszłości, wszystko jest piękne.

P.: — Przecież wielu ludzi wyraża obawy, że w praktyce wszystko jest tak samo jak było w przeszłości?

O.: — Nie tak samo. Wierzę, że ludzie którzy nas prowadzą wiedzą czego chcą.

P.: — Jakie będą następne kroki w rozwoju sytuacji?

O.: — Walny Zjazd partii. Wtedy wyłoni się nowy komitet centralny i będzie można z wielką energią prowadzić nową politykę. Nowa polityka wymaga nowej partii, bo gdybyśmy zachowali starą partię zaistniałoby niebezpieczeństwo nawrotu do starej polityki.

P.: — Jakie widzi pan gwarancje, że sytuacja rozwinie się w pożądanym kierunku?

O.: — Mniej więcej takie same jak miał Kolumb gdy wyruszał w swą wielką podróż do Indii. Cała sytuacja pełna jest niepewności, niebezpieczeństw i jest bardzo interesująca. Nie jesteśmy wcale tak opanowani i pewni siebie jakby się wydawało, tym niemniej zauważam cechy w naszym charakterze narodowym, które zadziwiają nawet mnie. Np. nikt nie atakuje zbyt ostro

partii komunistycznej, panuje kompletna zgodność opinii, że w tym momencie, gdy brzęczą szable na naszych granicach, potrzebujemy przede wszystkim jedności.

P.: — A jak ocenia pan istotny stosunek ludności do socjalizmu?

O.: — W tej chwili ludzie są pełni nadziei i po raz ostatni chyba dają szansę socjalizmowi. Jeśli zostaną zawiedzeni to widzę przyszłość bardzo pesymistycznie. Ale wierzę, że wszyscy wykonamy co do nas należy i nikt nie zostanie zawiedziony.

P.: — Co myśli pan o proteście ambasadora PRL przeciwko wypowiedziom w prasie czeskiej na tematy polskie?

O.: — Nie było jeszcze oficjalnej reakcji naszych czynników; osobiście uważam, że nie można protestować przeciwko wolności prasy. Z drugiej strony organy będące pod kontrolą rządu, jak np. TV, powinny być bardziej powściągliwe, zwłaszcza tam, gdzie mogą być wystawione na szwank stosunki międzynarodowe.

P.: — Jak zapatrywałby się pan na projekt przyłączenia Polski do federacji czesko-słowackiej?

O.: — Osobiście uważałbym to za rzecz niesłychanie korzystną. Ogromnie lubię Polaków i podziwiam ich tysiącletnią historię pełną brawury i patosu. Wydaje mi się, że nasze narody doskonale się uzupełniają: nasza praktyczność w połączeniu z polskim idealizmem mogłaby stworzyć coś naprawdę nadzwyczajnego. Na razie nie ma ku temu warunków praktycznych. Chwilowo przeważają tendencje odśrodkowe, a nie jednoczące, co jest naturalną reakcją po doświadczeniach ostatnich 20 lat. Ale jeśli kraje Europy Środkowej odzyskają niepodległość, to po pewnym czasie rozpocznie się wśród nich proces łączenia.

ROZMOWA Z JIRIM LEDEREREM, WSPÓŁREDAKTOREM LITERARNICH LISTÓW

Pytanie: — Czy jest pan zadowolony itd.?

Odpowiedź: — W zasadzie jestem, ale tylko w zasadzie.

P.: — Mianowicie?

O.: — Jestem zadowolony, że załamało się to, co było, a niezadowolony ze sposobu i tempa tzw. demokratyzacji.

P.: — Dlaczego „tzw.”?

O.: — Bo mówi się o niej tyle, że boję się, że stanie się ona celem ostatecznym. A celem demokratyzacji winna być przecież demokracja.

P.: — Co według pana należałoby zrobić aby postawić ten proces na właściwe tory?

O.: — Należy:

1. Zrewidować i poddać całkowicie nowej ocenie całą politykę ostatnich 20 lat (tzn. od 1948 r.). Rehabilitacja nie wystarcza, bo odnosi się ona do najbardziej krańcowych wypadków, a trzeba znaleźć zasady ogólne, na gruncie których takie wypadki mogły zaistnieć.

2. Oczyścić partię od ludzi skompromitowanych tą polityką.

3. Powiedzieć otwarcie społeczeństwu, tzn. partia musi to powiedzieć, że będziemy mieć pluralistyczny system polityczny. Oznacza to, że może być w Czechosłowacji przynajmniej jedna partia opozycyjna; nie musi, a może. Dalej oznacza to, że partia komunistyczna musi się zmienić tak, że nie będzie decydował w niej zespół mianowanych odgórnie aparaczków, a ogół członków przez wybranych przez siebie przedstawicieli. W takiej partii nie może być mowy o mechanicznej jedności, a różnorodność poglądów może prowadzić do powstania frakcji wewnątrzpartyjnych.

P.: — Przynajmniej jeśli chodzi o ten drugi punkt, tzn. o wprowadzenie wewnątrzpartyjnej demokracji to mówi się o wolnych wyborach na kandydatów mianowanych oddolnie. Czy to w praktyce nie działa?

O.: — Działa, tzn. wybory tak właśnie się odbywają. Ale aparat jest za silny, ciągle pozostaje niezmienną strukturą partii, działa prawo inercji. Żeby można wybierać ludzi naprawdę nowych, wyborcy musieliby wiedzieć więcej niż wiedzą. Np. gdy członkowie partii nie znają przebiegu ostatnich Plenów, ich decyzje są bardzo ograniczone tą niewiedzą.

P.: — To odnosi się do każdej demokracji. Co mógłby pan na to poradzić?

O.: — O innych demokracjach nie wiem, a u nas trzeba przede wszystkim udostępnić wszystkim członkom partii te materiały o których mówiłem.

P.: — A dlaczego się nie udostępnia?

O.: — Na skutek decyzji obecnego Komitetu Centralnego, który jest przecież starym Komitetem Centralnym.

P.: — Wspomina pan niezadawalającą strukturę partii. Czy może pan to sprecyzować?

O.: — Stan obecny jest nienormalny: istnieje Komunistyczna Partia Czechosłowacji a w niej Komunistyczna Partia Słowacji. Ale nie ma KP dla Czechów. Potrzebna jest reforma idąca w kierunku federalizacji. Trzeba stworzyć oddzielną KP Czech z jej własnym KC zostawiając oczywiście KP Słowacji, w ramach której powinien powstać komitet wojewódzki węgierski i powiatowe polski i ukraiński.

P.: — Czy coś robi się w tym kierunku?

O.: — Nie. Na razie rozważa się i studiuje te sprawy i to już bardzo długo. Dochodzi do tego problem delegacji władzy. Zgadza się tu z poglądem prof. Szika, że powinny działać komisje fachowe tak żeby w wielu technicznych sprawach decydował nie jeden sekretarz powiatowy, a ciało bardziej poinformowane i autorytatywne.

P.: — Ponieważ jest pan uznanym ekspertem od spraw polskich, chciałbym zadać kilka pytań z tej dziedziny. Jak ocenia pan sytuację w Polsce?

O.: — To co dzieje się obecnie w Polsce to kryzys systemu stalinowskiego, niewystarczająco zreformowanego.

P.: — W czym według pana tkwi przewaga systemu Czechosłowacji nad systemem polskim?

O.: — Nie ma różnicy w systemie, jest tylko różnica w atmosferze życia.

P.: — Dzisiejsza atmosfera w Czechosłowacji bardzo przypomina atmosferę Polski roku 1956. Gdzie widzi pan zasadnicze różnice, gdzie są gwarancje, że reforma czechosłowacka nie zdegeneruje się w gomułkowszczyznę?

O.: — Gwarancji oczywiście nie ma żadnych, ale widzę taką różnicę w sytuacji: Październik polski był początkiem końca. Zmienił się wprowadzić garnitur rządzący, przywrócono do pewnego stopnia praworządność i zmieniono trochę stosunek do ZSSR, zrewidowano politykę agrarną i po tym minimum reform zaczął się odwrót. Stabilizacja tam łączyła się ze wzrostem ucisku. Nie było więc dążenia do postępu, tylko do stworzenia warunków dla kontynuowania starego systemu. Natomiast czechosłowacki Styczeń był początkiem początku. U nas zgłosił się do polityki cały naród. Choć system jest w zasadzie niezmiennym, to pod względem polityczno-ideologicznym jest Czechosłowacja dalej, niż PRL kiedykolwiek była. W Polsce nigdy nie dyskutowano publicznie pluralizmu czy konieczności opozycji. U nas są te tematy chlebem powszednim czytającej publiczności. Za najważniejsze zaś uważam to, że w Polsce nigdy nie zrobiono poważniejszej próby rewizji przeszłości.

P.: — Pomińmy na razie sprawy bieżące i spójrzmy na stosunki polsko-czeskie z dłuższej perspektywy. Jak ocenia pan możliwości poszerzenia omawianej przez pana federacji czesko-słowackiej na Polskę?

O.: — Uważam to za wytwór fantazji. Federacja to nie panacea na stosunki między narodami, a w tym wypadku nie ma podstaw historycznych ani żadnych innych.

P.: — Poza interesem własnym. Przecież obecnie kraje nie tylko takie jak Polska czy Czechosłowacja, ale nawet takie jak Anglia nie mogą funkcjonować samodzielnie.

O.: — U nas w tej chwili umysły zajęte są raczej federacją jako alternatywą monolitu i wszyscy widzą, że federacja to wielki postęp w porównaniu z państwem centralistycznym, bo zmniejsza niebezpieczne napięcie między narodami. Np. uważam, że dojdzie do wybuchu nacjonalizmów w ZSSR, szczególnie w Azji Środkowej, gdzie w ciągu ostatnich 10-ciu lat powstał przymysł, podniosła się stopa życiowa i wyrosła klasa inteligentna różnych narodów. Jeśli władze Związku Sowieckiego nie zrozumieją tych problemów i nie uznają rosnących ambicji tych narodów, to może dojść do bardzo poważnych kryzysów między Uzbekami, Kirgizami, Tadżikami, Ormianami itd. z jednej strony, a Rosjanami z drugiej.

ROZMOWA ZE SVATOSLAVEM SVOBODĄ, SZEFEM WYDZIAŁU KULTURY DZIENNIKA *MLADA FRONTA*

Pytanie: — Czy jest pan zadowolony itd.?

Odpowiedź: — Naturalnie.

P.: — Z czego najbardziej?

O.: — Z tego, że można powiedzieć i wydrukować to co się myśli, że zniesiono cenzurę, a przede wszystkim z tego, że usunięto wypaczenia, które deformowały socjalizm i że może się zacząć nowa faza socjalizmu, który można nazwać socjalizmem demokratycznym.

P.: — „Może się zacząć” czy „zaczęła się”?

O.: — Dopiero stworzono przesłanki do zaczęcia.

P.: — Czy jest w obecnej sytuacji coś co pana niepokoi?

O.: — W każdej sytuacji, gdzie nowe walczy ze starym, musi niepokoić akcja starego.

P.: — Co nazwałby pan starym?

O.: — Nawyki konserwatyzmu.

P.: — Porozmawiajmy trochę o *Młodej Froncie*.

O.: — Pismo ma czytelników od 18 lat wwyż, wśród wszystkich warstw społeczeństwa, głównie jednak w miastach. Ankiety wykazują, że około połowa czytelników to młodzież. Wśród młodzieży przeważa młodzież szkół średnich i młodzież robotnicza, bo studenci mają własne pismo. Nakład pisma wynosi 350.000, z czego 50.000 przybyło od stycznia. W związku z naszym stanowiskiem wobec ostatnich przemian, pismo nasze zyskało duży autorytet.

P.: — Jakie są główne problemy młodzieży w chwili obecnej?

O.: — Młodzież ma w tej chwili problem praktyczny wytworzenia nowej struktury organizacyjnej. Stara struktura obejmowała wszystkich w jedną gigantyczną organizację. Teraz organizacja ta obumarła, a powstają spontanicznie liczne odrębne organizacje. Mamy już np. Akademicką Radę Studentów, Radę Młodzieży Wiejskiej, Młodzież Socjalistyczną, Junaka (organizacja o tradycjach harcerstwa), Pioniera (o tradycjach radzieckich), Radę Młodzieży Szkół Średnich. Mówi się o potrzebie nowych organizacji.

P.: — W kilku zdaniach — jakie są warunki życia studentów?

O.: — Studentów jest 145.000 w czym 40 % kobiet. 65 % mieszka w domach akademickich. Pedagogia jest domeną kobiet, 80 % zatrudnionych w szkolnictwie to kobiety. Powszechne są dwie tendencje. Pierwsza — do studiowania w Pradze; niektórzy dojeżdżają po 100 km., byle być w Pradze. Po drugie — do studiów humanistycznych. Jest zawsze wiele wolnych miejsc na uczelniach technicznych i ogromne kolejki na uczelnie humanistyczne.

P.: — Jak widać, na uczelniach wyższych studiuje tylko około 5 % ludzi w grupie wieku nadającej się na studia. Czy *Młoda Fronta* zajmuje się tym problemem?

O.: — Do tej pory nie. Chodzi o to, że gdyby zwiększyć ilość

absolwentów, to nie byłoby gdzie ich ulokować, bo zakłady pracy nie mają tyle miejsc.

P.: — Ale przecież nie zawsze trzeba traktować studia tak utylitarnie. Czy nie można by sobie wyobrazić społeczeństwa, w którym każdy konduktor tramwajowy ma za sobą grecką filologię albo konserwatorium?

O.: — To byłoby bardzo kosztowne i nie wiem czy jakieś społeczeństwo na świecie mogłoby sobie na to pozwolić. My na pewno nie. Na razie pociecha w tym, że obecne zmiany wyrzucają z wielu stanowisk niewykwalifikowanych ludzi, więc powstają wakanse dla młodych a wykształconych.

P.: — Słyszałem tu pogląd, że obecne zmiany to rewolucja inteligentów, której celem jest przejęcie władzy przez inteligencję.

O.: — Konserwatyści nie byliby konserwatystami gdyby tak nie mówili. Faktem jest, że konserwatyści nie chcieli i nie chcą dać inteligencji miejsca, które jej się należy. Jest to problem dość ważny obecnie, bo konieczne się staje podwyższenie płac zawodów „inteligencyjnych”, które do tej pory były notorycznie upośledzone. Wydaje się że robotnicy uznają słuszność tej korekty.

P.: — W opinii pana, jak doszło do obecnych zmian?

O.: — W sytuacji obecnej nie widzę nic specjalnie nowego. Narastała ona od lat i cały proces przygotowany był przez działalność ludzi kultury. Naturalnie były trudności, ale po 1965 r. wpływ i autorytet związków twórczych wzrosły ogromnie; wpływ opinii publicznej i klimat społeczny były tego rodzaju, że sprzyjał publikowaniu tego co ludzie chcieli.

P.: — Czy więc można powiedzieć że zmiany są głównie produktem inteligencji?

O.: — Nie. Są one produktem ogólnonarodowym. Inteligencja jest tylko rzecznikiem i interpretatorem idei nurtujących w narodzie. Inteligencja nie byłaby inteligencją gdyby nie była awangardą i nosicielem najlepszych idei całego narodu.

Bohdan BRODZIŃSKI

Noc w Pradze

Gdy Pan Roman wrócił wieczorem do swego pensjonatu, na spotkanie wybiegła mu gospodyni. Była w stanie wyraźnego podniecenia, szlafrok rozchełstany, wypieki na twarzy. „Pan inżynier chodźcie prędko, gości mamy!”

— Nowi goście? Przecież miejsca już nie ma! — Zauważył Pan Roman przytomnie i z nieukrywaną rezerwą w głosie.

— Ano, ano, ale to goście z Polski, specjalnie pro pan inżynier ich przyjełam.

Weszli z wejściowego korytarzyka do większego wewnętrznego hallu, gdzie właśnie znajdowali się przybysze. On — przed czterdziestką, krępy, niezbyt wysoki brunet ze szczotkowatym wąsem, ona — szczupła, wysoka blondyna przed trzydziestką, w sukni mocno powyżej kolan i w śliskim skórzanym czarnym płaszczku tej samej długości co suknia.

— Inżynier Mieczysław Pszpszpszski z Cekopu, a tu koleżanka Krystyna Szpszpszpska, również inżynier — dość namaszczone tonem przedstawiał brunet.

— Niezmiernie się cieszę ze spotkania rodaków, moje nazwisko Brzbrzbrzski, jestem z Londynu. — Po ostatnich słowach Pana Romana w oczach inżyniera Krystyny zamigotał blask zainteresowania, a Pan Mieczysław stał się — o ile to możliwe — jeszcze bardziej formalny i namaszczony.

— Z Londynu? Hm... Rodak? Hm... rodak z Londynu... hm, zapewne i to możliwe.

— No naturalnie, wielu naszych rodaków mieszka w krajach zachodnich — pospiesznie i gorąco potwierdziła jego towarzyszkę. Pan Roman niespokojnie rozejrzał się po pomieszczeniu, które za jego pamięci nie służyło jeszcze jako sypialnia. Niezbyt szeroki hallik miał spore drzwi w każdej z trzech ścian, a większą część czwartej ściany zajmował antyczny kredens. Dwa połowe łóżka, jedno z każdej strony kredensu, z trudem mieściły się wzdłuż ścian i częściowo zachodziły na drzwi. Walizki podróżnych zajmowały środek.

— Nie wygląda to zbyt wygodnie. Co gorsze, jest to teren tranzytowy, rodzina gospodarzy zajmuje tamtą część mieszkania, a ja pokój po tej stronie i wszyscy przechodzimy przez ten hall. Po mojej stronie jest jeszcze trzech Jugosłowian, ale oni mają niezależny dostęp do korytarza.

— Nic to nam nie szkodzi, bo my jak po ogień. Właściwie nawet wcale nie powinniśmy tu być, bo trasa nasza prowadzi do

Turcji, gdzie centrala nasza instaluje trzy cukrownie, ale udało nam się wygospodarować kilkanaście godzin na obejrzenie Pragi. Bo koleżanka nigdy nie była w Pradze i bardzo chciała ją poznać.

— No to świetnie się składa, bo ja tu jestem już przeszło tydzień i mogę uchodzić za wykwalifikowanego przewodnika. Z przyjemnością państwa poprowadzę.

— Ależ proszę się nie fatygować, my sobie doskonale damy radę, ja tu już byłem kiedyś, i to całkiem długo, więc nie zginiemy.

Pan Mieczysław nie znalazł jednak, niestety, należytego poparcia u swej koleżanki, która spoglądała na Pana Romana w sposób jak gdyby wyczekujący.

— Żadna fatyga, zaręczam. Praga to tak małe miasto, że można je obejść na piechotę. Zaraz państwu zorganizuję szybką turę pieszą dla poznania ważniejszych obiektów.

Pan Mieczysław był łagodnie mówiąc, nieprzekonany, ale inżynier Krystyna przecięła niepewność: — No, jeśli pan nie jest zmęczony, to chyba skorzystamy, prawda, Panie Mietku?

— No, to w Pragę! — zakomenderował Pan Roman. Po drodze gaworzył wesoło żeby rozchmurzyć nabarmuszonego Pana Mieczysława. — No, więc zaczniemy chyba od śródeczka. Otóż proszę wycieczki, stoimy tu na schodach Muzeum Narodowego, które jest typowym przykładem budownictwa monumentalnego okresu tak sprzed stu lat...

— Nie porównuje się z naszym Teatrem Wielkim — burknął Pan Mieczysław.

— Z Teatrem Wielkim oczywiście się nie porównuje. Przed nami roztacza się piękny widok na reprezentacyjną ulicę Pragi, Václavské Namesti. Druga przecznica po lewej to ulica Krakowska, na rogu sklep z konfekcją męską ma niegorsze płaszcze produkcji polskiej, po 950 koron.

— Tak, u nas robi się ostatnio dobre rzeczy, ludzie mają poczucie mody, nie to co tu...

— A krótkie spódnice tu noszą? — wtrąciła się Krystyna.

— Niebardzo, niekiedy można je zobaczyć, ale na ogół przeważają długie.

— Czesi to mieszcuchy o tradycjach drobnomieszczańskich — zawyrokował Pan Mieczysław — oni tu jeszcze szlafmyce noszą.

— Ten konny pomnik przed nami, który mamy przyjemność oglądać od strony zadu, to oczywiście Święty Wacław.

— A, to tu jechaliśmy taksówką z lotniska i ten taksówkarz strasznie dużo opowiadał o jakichś scenach z czasu wojny, że bomby padały i padały, a święty Wacław stał i stał — relacjonowała Krystyna.

— Widzieli oni bomby — skomentował Pan Mieczysław — nie wiedzą nawet, co to wojna.

— Taksówkarz mówił pewno o ostatnich dniach wojny, bo to teraz nabrało aktualności, bo przewodniczący sejm Smrkovsky opisał właśnie w prasie tamte wydarzenia. Mianowicie ludność Pragi opanowała środek miasta, ale były znaczne garnizony niemieckie na przedmieściach. A niedaleko znajdowała się dywizja amerykańska która zajęła Pilzno i zaoferowała pomoc Pradze, co mogła zrobić w dwie godziny. Ale Smrkovsky, który był wtedy na czele powstańców, odpowiedział odmownie, gdyż wolał czekać na przyjscie Rosjan.

— No i słusznie.

— Tylko że Rosjanom zajęło to kilka dni, a w międzyczasie Niemcy ostrzelali miasto i kilkuset ludzi zginęło.

— To i tak tanio im to uszło. Mogliby do nas przyjechać i zobaczyć jak powstania wyglądają.

— Po prawej widzimy duży neon polskiej centrali eksportowej, jak widać ogłaszają rowery „Łucznik”. W sąsiednim domu ambasada PRL. Cała ulica już od dwóch lat zamknięta jest dla ruchu kołowego, z wyjątkiem tramwajów, bo robią wykopy pod metro. Tam, w połowie długości ulicy, gdzie widać te płoty i barykady, to główny wykop.

— Niech kopią, niech kopią, to zobaczą jak się narwą. Myśmy już piętnaście lat temu próbowali i nic z tego nie wyszło.

— Nawiasem mówiąc, na tym głównym skrzyżowaniu przy wykopie jest polski Ośrodek Kultury, chyba najlepszy jaki Polska ma w całej Europie.

— A interesują się tu Polską?

— O, bardzo. Nie ma zebrania publicznego, żeby nie wspomniano Polski. Jedno zebranie publiczne, urządzone przez młodzież na starym rynku, było całkowicie poświęcone sprawom Polski, byłem tam.

— I co tam takiego mówią o Polsce?

— No, protestują przeciw prześladowaniu studentów i profesorów, przeciw kampanii antysemickiej, w ogóle przeciw wszystkiemu co się akurat wydarzy.

— Dużo oni wiedzą.

Pan Mieczysław aż się zasapał i przestał mówić, taki był niezadowolony. Natomiast jego młodsza koleżanka rozkręcała się powoli. Zaglądała do sklepów, podziwiała wnętrza, zwłaszcza te, które zachowały jeszcze ślady przedwojennego przepychu, liczyła neony.

— Strasznie tu wielkomiejsko. Czy to już zbliżone do Paryża lub Londynu?

— Eee, jeszcze dużo odstają. Jakościowo i ilościowo. Na tym

etapie mogą najwyżej myśleć o doganianiu Wiednia. Osobiście za najbardziej małomiasteczkową cechę Pragi uważam to, że życie zamiera tu tak wcześnie wieczorem. Na przykład teraz, jeszcze dziesiątej nie ma, a już ulice opustoszałe.

— Mówiłem: nawyki drobnej burżuazji.

— To chyba związane z godzinami pracy, u nas też ludzie o tej porze muszą układać się do snu, bo przecież tak wcześnie trzeba się zrywać. Ale tak poza tym to Praga wygląda mi na bardzo duże miasto.

— Nie większe od Warszawy, tyle tylko że lepiej zaopatrzone. Na tej ulicy np. jest ze 20 SAM-ów, wszystkie względnie dobrze urządzone i sprawnie działające. Człowiek zapomina że jest w socjalistycznym kraju.

W tym miejscu Pan Mieczysław uznał, że potrzebne jest wyjaśnienie tego zjawiska. — Bo trzeba przyznać, że kultura obsługi zawsze u nich wysoko stała, u nas obsługa nawala.

— Żeby wszystkiego było dosyć, to i nie byłoby problemu obsługi, a jak nie starcza, to i najlepsza obsługa nie pomoże.

Dla celów sprawozdawczych przeszli przez jeden z SAM-ów. Inżynier Krystyna wyrażała głośny podziw dla ilości i jakości różnorodnych kanapek, sałatek, deserów, poustawianych w ogromne sterty. Pan Roman krytykował system konsumpcji na stojąco. Pan Mieczysław spoglądał chmurnym okiem i nic nie mówił.

Na drugim końcu Václavské Namesti zanurzyli się w stare miasto i uroczyście, wyglądającymi jak prawdziwie średniowieczne, zaufkami doszli do rzeki i wkroczyli na Karlovy Most. Goście z Polski stanęli jak wryci na widok jakiegoś bohoma namalowanego na całą szerokość chodnika. Pan Roman podjął znów swą rolę przewodnika.

— Tu w ciągu dnia zbiera się ekshibicjonistyczna część tułuszej młodzieży. Przyłazą boso, brudno i brodato, poubierani w stare firanki i obicia z kanap, z dzwonkami u szyi, leżą na chodnikach, często parami, malują takie oto dzieła, a przede wszystkim czekają żeby ich fotografować.

— Nie nadążają, stanowczo nie nadążają! Dopiero teraz dzwonki noszą! — W zdumieniu polskiej turystki ukryte było lekceważenie. — U nas teraz wszyscy zabijają się za mundurami. Mundury, liberie, zwłaszcza takie stare, kolorowe, wygląda to naprawdę, bajecznie. A co teraz nosi się w Londynie?

— Co najmniej 99,9 % mieszkańców Londynu nosi zwykłe ubrania, a pozostałe 0,1 % wysila się jak może na kreacje nie z tej ziemi. Tak w ogóle, to moda wymaga aby nosić owalne okulary słoneczne takie, że oś pionowa jest dłuższa od poziomej,

— Jak to czasy się zmieniają. Dawniej każdy marzył o wyjeździe do Paryża, tylko Paryż i Paryż. A teraz każdy u nas chce do Londynu, jakoś w tym Londynie jest życie. Niech Pan powie, dlaczego to właśnie Londyn stał się takim ośrodkiem i wzorem dla całego świata?

— Może miał zręcznego agenta reklamowego. Zresztą przecież nie cały świat wzoruje się na Londynie i nie na wszystkim co londyńskie, tylko na małym wycinku życia londyńskiego, i to wycinku chyba mało ważnym.

Po drugiej stronie rzeki była „Mała Strana”, najlepiej w Europie zachowany kompleks osiemnastowiecznych pałaców i rezydencji magnackich. Szli małą uliczką z wielkimi podcieniami w kierunku Hradczan, gdy nagle Pan Mieczysław wysforował się naprzód, powęszył, pomacał drzwi jedne i drugie i z nieukrywanym triumfem w głosie przemówił:

— Jeśli Państwo pozwolą, to chciałbym zaproponować małą przerwę w zwiedzaniu i zatrzymać się na skromny posiłek. Pan pozwoli — zwrócił się do Pana Romana — że rodacy z kraju zaproszą Pana na kolację. Jego towarzyszą, która z początku wyglądała na zaskoczoną takim rozwojem sytuacji, szybko się do niej dostosowała i również jak najgoręcej powtórzyła zaproszenie. Pan Roman oponował, że jest już po 10-ej i nic się już do jedzenia nie dostanie, ale Pan Mieczysław śmiałym ruchem pchnął antyczne, okute drzwi, przed którymi stał, i wszedł do wnętrza. Z małej sionki, wyglądającej jak autentyczny zabytek, weszli do równie zabytkowej komnaty przerobionej na salę jadalną, a z niej przez drugą sionkę do tylnej izby, której autentyzmu nie miały żadne atrapy współczesności, nawet elektryczność. Na kamiennej podłodze pod nisko sklepieniem w okrągłe łuki stropem stało sześć prostych stołów i kilkanaście prostych zydeł. Oświetlenie pochodziło ze świec osadzonych w żelaznych świecznikach. W salce spożywało kolację sześć młodych par, każda siedząca przy oddzielnym stole i każda mocno sobą zaabsorbowana. Pan Mieczysław wszczął ożywioną dyskusję z kelnerem, w wyniku której znaleźli się z powrotem we frontowej sali, gdzie był duży bufet, elektryczne światło i więcej miejsca. Siedziało się tu na ławach ustawionych wzdłuż stołów. Pan Mieczysław podprowadził swą grupę do stołu, usadził Krystynę z jednej strony, Romana z drugiej i po krótkiej walce wewnętrznej, której przebieg można było odczytać na jego twarzy, zajął miejsce po stronie Pana Romana. Poszeptał tajemniczo do kelnera i wreszcie zwrócił uśmiechniętą twarz w stronę towarzyszy.

— No i co, rodacy z kraju też się trochę orientują za granicą, co? A mówiłem że byłem już w Pradze, zna się tu to i owo. Jak się Państwu podoba lokalik?

Odpowiedział mu dwugłosowy chór zachwytów. Pan Roman nalegał, żeby Pan Mieczysław zdradził co będzie do jedzenia.

— Specjalnością tego lokalu jest danie, które nazywa się kebab. Pan Roman był z lekka rozczarowany. — Wszystkie greckie restauracje w Londynie, a jest ich z 5.000, dają kebab...

— 5.000 restauracji! — jęknęła Krystyna.

— Oczywiście, bo co ma taki grecki chłopiec robić? Przyjeżdża to do Londynu, fachu żadnego nie ma, języka nie umie, no to otwiera restaurację. A ten ich kebab to typowo wiejska, kartoflana potrawa. Wypada jeden centymetr sześcienny mięsa na jeden spory kartofel.

— To ten wasz londyński kebab inny. Tutaj mięso zapiekają w serze a kartofli w ogóle nie dają.

— To niedobrze, przydałyby się porcyjka odsmażanych kartofelków, bądź co bądź Polak nie uznaje posiłku bez kartofla.

Kelner przyniósł kebaby i butelkę węgierskiego wina zwane-go byczą krwią, przyjął zamówienie na smażone kartofle i w trakcie nakładania na talerze dyskretnie zapytał: — Wy Polacy? Wódki nie macie?

Turyści bezradnie rozłożyli ręce, a Pan Roman zainicjował poważną dyskusję. — Wygląda na to, że PRL za mało energicznie działa na tutejszym rynku. Tu już mnie wiele razy zaczepiano o polską wódkę, papierosy, nawet buty...

— Co znaczy „nawet buty”? Buty u nas teraz pierwsza klasa, w Paryżu można je śmiało pokazywać — tu Pan Mieczysław wyciągnął spod stołu nogę odzianą w prawie nowy, dobry gatunkowo but.

— Dobry, po prostu doskonały, ale Czechosłowacja od lat słynie z dobrych butów. Czesi mówią, że teraz ich przemysł nie nadąża z zaopatrzeniem własnego rynku, bo musi najpierw obuć 200 milionów ludzi między Bugiem a Władystokiem.

— Dobrze im tak. Zawsze tacy ich przyjaciele byli, to niech ich teraz obuwają.

— Wracając do handlu, jeśli jest tu popyt na polskie towary, to czemu ich więcej nie pchacie?

— Pchamy tyle, ile przewiduje umowa. Nasz handel opiera się na systemie umów clearingowych. Jakby Czesi chcieli więcej towarów od nas, to powinni w zeszłym roku od razu powiedzieć, jak podpisywali umowę.

— Mało elastyczny system. A na Zachodzie też tak samo działacie?

— Jeśli chodzi o naszą centralę, to wcale nie działamy.

— Dlaczego?

— Różne powody — jakoś im nie odpowiada, terminy, a

jak się już znajdzie kupiec, np. w Afryce, to Rosjanie nas podkupują.

— Co to znaczy?

— Sprzedają ten sam towar po niższej cenie.

— Ale w Turcji się wam udało?

— W Turcji się udało, bo Turcy starzy przyjaciele Polaków i Rosjan nie lubią.

— No, to zdrowie Turków!

Bycza krew ich rozgrzewała. Odnosiło się to zresztą i do reszty osób na sali. Głosy, początkowo dyskretnie przytłumione, brzmiały teraz śmieiej i donośniej; przeważał język niemiecki, młoda para w rogu próbowała różnych języków, ale przeważnie posługiwała się skandowanym i obficie gestykulowanym angielskim. Pan Mieczysław zamówił drugą butelkę wina.

— Jedna rzecz nie ulega wątpliwości, a mianowicie że bitwa o socjalizm jest u nas nieodwracalnie wygrana.

— No, to pod to zwycięstwo!

— I dlatego wkurza mnie jak różne pęta latają po ulicy, demonstrują, protestują, wrzeszczą, a cały świat myśli że Polska jest przeciwko socjalizmowi, wkurza mnie to jak jasna cholera!

— Świat nic nie myśli, zresztą wiadomo, że protestują nie przeciwko socjalizmowi tylko przeciwko nadużywaniu władzy przez organy administracyjne, czyli przeciwko łamaniu socjalistycznej praworządności.

— Jasne że trafiają się błędy i wypaczenia, ale to trzeba inaczej załatwić, krytyka powinna być konstruktywna.

— W Pradze mają „Kabaret Błędów i Wypażeń”, ale jak w Polsce z krytyką w podobnej formie wystąpił Szpotański, to go na trzy lata zamknęli.

Na te słowa nawet niezaangażowana dotychczas Pani Krystyna aż się zatrzęsała z oburzenia.

— Co też Pan opowiada! Szpotański! Przecież to już pełne dno.

— A co, czytała go Pani?

— Nie, ale słyszałam przez Wolną Europę, bez przerwy to nadają.

— Kto by to tam czytał! — uzupełnił Pan Mieczysław.

— Ale Czesi, jeżdżący na wizyty do Polski opowiadają, że im tam wszyscy recytują kawałki z tej operetki.

— Wszyscy nie wszyscy, ja nie recytuję. Pełne dno!

— Gomułka powiedział że dno, to dno.

— Kiedy to naprawdę jest dno, proszę Pana!

— No, to do dna!

— Ci Czesi też mnie cholernie wkurzają. Pytam się: gdzie oni byli jak myśmy paździenik robili? My się już od dwunastu

lat z tymi problemami borykamy a oni co wiedzą? Wkurza mnie jak mi tu taki gówniarz taksówkarz chwali się, że prywatny bo już mają pięć procent prywatnych taksówek. U nas już wszystkie prywatne, i rolnictwo prywatne, i rzemiosła dużo i co z tego? Kelner, flaszę byczej krwi prosim!

Kelner zaprotestował, że już za 20 pierwsza, a o pierwszej lokal się zamyka. Odpowiedziały mu gromy oburzenia: — To dwadzieścia minut nie starczy na lichą butelkę?! Cóż ty łatku, Polaków nie znasz? Dawaj flaszu! — Kelner skapitulował, a Pan Roman, zwycięsko nalewając kielichy rzekł nosowym głosem: — Dla sympatycznej Panny Krysi od sympatycznego oczywiście niewątpliwie Pana Mietka-Pucio, Pucio! — pozostali z miejsca wpadli w ton

Jesteśmy na wczasach

W nadweltawskich lasach

W promieniach słonecznych opalamy się

Orkiestra przygrywa

Skoczno beguina

To nie twoja wina że podrywam cię.

A teraz bruderszafta! Pili całując się, całowali się pijąc. Krysia nie wymigiwała się od obowiązków towarzyskich i butelka była pusta na parę minut przed wyznaczonym terminem. „Plan wyrobiliśmy w 125 %, wycieczka wychodzić, idziemy na zamek!” Wszyscy goście wychodzili naraz. W drzwiach polska trójka zderzyła się z młodą parą mówiącą głównie po angielsku. Kobieta uśmiechnęła się do nich, co z miejsca spowodowało Romana do angielskiej konwersacji.

— Słyszałem, że mówiliście po angielsku?

— Bo on Czech, a ja Belgijka i oboje znamy jako-tako angielski.

— A jak zeście się poznali?

— Jesteśmy razem na międzynarodowym obozie dla studentów rzeźby. Praga to wymarzone miasto dla ludzi sztuki!

Krysia i Miecio zaczęli na Belgijce szlifować swój francuski, Romek znalazł się z tyłu z Czechem. — Długo ten wasz obóz będzie trwać? — kontynuował po angielsku. Ale Czech miał widocznie poważne wątpliwości, bo odpowiedział po czesku i agresywnie „Wy mi nie wyjeżdżajcie z angielskim, bo słyszałem w restauracji jak mówiliście po czesku. Taki z was Anglik jak i ze mnie, Czech jesteście i koniec!”

— Nie Czech tylko Polak.

— Ano, ano. Polak-Czech, Czech-Polak — ironizował Czech, ale Roman zgodził się bez oporu — „Jasne, Czech to Polak,

Polak to Czech". Czech zaciął się na chwilę, a potem spróbował znowu: — Jak żeście taki Polak, to powiedzcie jak jest zapad po polsku?

— Zachód.

— Właśnie, a nam teraz trzeba na zachód iść, nie?

— Przydałoby się, ale gdzie tu co znaleźć o tej porze, wszystko zamknięte.

— Nie trzeba szukać, na ulicy się robi. — Stanął za występem najbliższego domu i zaczął lać na ulicę. Tym razem Roman przyjął nieprzyjemny ton głosu — „To świństwo niecywilizowane, w Sowietach tak można a nie w Europie” — i zostawiwszy Czecha podbiegł do reszty towarzystwa. Belgijka zaszemrała coś nerwowo po francusku, Krysia tłumaczyła — „Martwi się o Czecha, co z nim zrobiłeś?” — „Nic nie zrobiłem, leje tam za rogiem”. Krysia powiedziała jakieś francuskie zdanie w którym zabrzmiało słowo „pis”. Belgijka uspokoiła się momentalnie.

Na następnym placu trzeba było się rozstać — studenci szli w lewo, Polacy w prawo. „W jakim mieście mieszkaś?” — spytał Roman Belgijkę. „W Brukseli” „To może się spotkamy, będę w Brukseli za dwa miesiące” „Naprawdę? Koniecznie musimy się spotkać, zaraz dam ci adres”. Gorączkowo zaczęła przetrząsać torbę, znalazła jakiś mikroskopijny notesik w srebrnej oprawce, potem kawałek kredki i przy niemal nie istniejącym świetle średniowiecznej latarni zaczęła gryzmolić adres. Stali sami, bo Czech oddalił się jak najszybciej, a polska para poddawała szczegółowym oględzinom jakiś samochód stojący na placu. Wręczyła mu adres, który wziął pieczołowicie jak coś niezmiernie cennego i schował do wewnętrznej kieszonki portfela. Potem pocałowali się mocno i smutno, jak kochankowie, których twardy los ma rozdzielić na wieki.

— Otóż proszę wycieczki, na zamek wchodzi się tymi schodami, które w tutejszym języku nazywają się Zameckie Schody. Zejdźmy drugą stroną, tamte schody nazywają się Stare Zameckie Schody, z czego wniosek że te tu są nowsze.

Krysia rzuciła wyzwanie: „A może urządzimy turniej na to, kto pierwszy wdrze się na Hradczany i zawieści polski sztandar na szczyt?” Jeszcze nie skończyła mówić, a już mężczyźni mknęli pod górę. Krysia zataczając się pobiegła za nimi. Roman wygrał o parę długości, natomiast Miecio miał trudności z pokonaniem Krysi. „Zawsze wolałem rzuty od biegów” mruczał Miecio. „Jesteś zwycięzcą” pisnęła Krysia do Romka, wieszając mu się całym swym pijanym ciężarem na szyi. Od tej chwili szła uwieszona u jego ramienia. Zamek był zamknięty, wokół panowała ciemność i cisza, tylko w części zajętej przez straż paliło się światło. Romek wygłosił krótką i z konieczności teoretyczną pogadankę

o różnych obiektach zawartych w kompleksie zamku hradczanskiego, po czym rozpoczął się odwrót. Szli starymi schodami przez parki i ogrody, zajmujące miejsce dawnych fos i fortów. Minęli znakomicie utrzymany pałac ambasady angielskiej malowniczo dobudowany do murów fortecznych i skręcili z powrotem do mostu Karola. U wejścia na most Romek utknął w paroksyzmie śmiechu. — Ta kamienica nazywa się „Pod Trzema Strusiami” — mówił z trudem nie mogąc opanować śmiechu — „a dowcip w tym że struś po czesku to pstruś, a więc Pod Trzema Pstrusiami”. O drugiej w nocy, po trzech butelkach byczej krwi, był to dla wszystkich dowcip wprost znakovity, stali więc dłuższą chwilę podrygując ze śmiechu, a najwięcej Krysia, która ledwo już trzymała się na nogach. Na drugiej stronie wstąpili na stary rynek żeby rzucić okiem na Tynski Chram, Ratusz, pomnik Husa, a przede wszystkim na niezrównaną panoramę starych mieszczańskich kamienic. Roman usiłował opowiedzieć o wielkiej manifestacji młodzieży Pragi na rzecz studentów polskich, którą widział na tymże rynku tydzień temu, ale w tym momencie Krysia zwiłała mu w ramionach do tego stopnia, że trzeba ją było położyć na ławce. „Pijana jak bela” skonstatował fachowym tonem Miecio.

— Od czasu jak wygraliśmy bitwę o socjalizm nie używamy frazesów z lamusa burżuazji, po naszymu jest „pijany w dupe” i koniec.

Na szczęście trafiła się taksówka, w dodatku warszawa. Wrzucili Krysię obok kierowcy a sami usiedli z tyłu. Roman zdążył jeszcze wskazać na kościół Karola Boromeusza na Žytniej, gdzie w czasie wojny schronili się czescy spadochroniarze po zamachu na Heydricha, i już byli w domu. W pensjonacie Krysia szybko umyla się i poszła spać, potem Miecio mył się, a Romek całował Krysię na dobranoc. Wyłoniwszy się z łazienki Miecio zadeklarował się jako przeciwnik spania. „O szóstej musimy wychodzić, nawet szkoda czasu na rozbieranie i ubieranie się, lepiej sobie posiedźmy i porozmawiajmy, popić sobie też możemy, bo mam akurat butelkę soplicówki”. Usiedli więc w pokoju Romana, który był reprezentacyjnym salonem pensjonatu i wzięli się do soplicówki.

— Bo rozumiesz, łatwo powiedzieć „wygraliśmy bitwę o socjalizm”, tylko że o jaki socjalizm nam chodzi?

— „Socjalizm w sam raz dla ciemnych jest mas, a dla nas rycerska jest kita” zaspanym głosem zanucił Romek.

— Co ty znowu?

— Nic takiego, to Szpotański.

— Do cholery ze Szpotańskim! On i te wszystkie sztubaki, Żydy, pisarze od siedmiu boleści, to tylko o wolność walczą, o abstrakt jakiś, a tu chodzi o konkrety, o realia, rozumiesz? Zaraz

ci dam przykład takiego konkretnego: ja przed Bożym Narodzeniem dostałem podwyżkę pensji, 1.000 zł. miesięcznie, rozumiesz? 1.000 zł.! I wiesz co z tego mam? Nic, absolutnie nic! Wszystko poszło na podwyżki — mięso 100 %, mieszkanie 50 %, wódka 100 %, światło, opał, wszystko poszło w górę, nawet chleba taniego nie ma, no i tak jedno z drugim tysiąc złotych więcej się wydaje i nic nie zostaje. A kto w Polsce dostał 1.000 zł. podwyżki? Chyba nikt prawie. A co mają robić ludzie z rodzinami, robotnicy, renciści? To są sprawy istotne, tu trzeba reformy, a nie tam o cenzurę się użerać.

— Jak się wgłębić w te sprawy, to te pięknoduchy i tede, co nie mają kontaktu z produkcją, lepiej wyczuwają prawa niż rządzące niż ludzie w samej produkcji. I oni mają rację a nie ty.

— Już mi dużo ludzi taką gadkę zakładało, ale nikt mi jeszcze nie wytłumaczył, dlaczego np. cenzura jest ważniejsza od inflacji.

— Cześć się spytaj, oni od pierwszego dnia zwycięstwa socjalizmu zaczęli się uczyć i łączyć te zjawiska. Więc metodę zarządzania centralnego, taką jaką stosował Hammurabi czy Dżyngis-chan czy Stalin, można z powodzeniem stosować tylko w społeczeństwach prymitywnych, takich jakie mieli do dyspozycji wyżej wymienieni. Natomiast w społeczeństwie zaawansowanym gdzie wytwarza się dużo i w szerokim asortymencie, sprowadzenie kontroli do jednego punktu jest bardzo kosztowne i działa hamująco na całą produkcję, np. oficjalne publikacje radzieckie stwierdzają, że jeśli obecny trend nie ulegnie radykalnej zmianie, to w 1990 r. 100 % ludności ZSSR będzie zatrudnione w planowaniu.

— Ale gdzie tu miejsce na cenzurę?

— Bo jak system jest głupio niewydajny to ludzi wkurza. Przecież widzą na własne oczy, że gdyby nie zakazy i zła wola administracji to każdy mógłby zbudować sobie dom, bo przecież cegły jest dosyć, fabryki samochodów mogłyby produkować milion a nie 10.000 samochodów rocznie itd. Cenzura i inne tłumienie wolności obywatelskich są potrzebne żeby za bardzo ludziom nie otwierać oczu na to co się dzieje. No i jest też druga ważna przyčina: system jest niewydolny, więc produkuje mało; jak produkuje mało, to dla wszystkich nie starcza; jak dla wszystkich nie starcza to mogą dostać tylko niektórzy; kto? — oczywiście ci co dysponują aparatem ucisku. Oni wezmą te 7.000 Fiatów które się robi. I oni potrzebują cenzury, UB, Małego Kodeksu i całej reszty, żeby nikt nie kwestionował ich specjalnych przywilejów. Tacy Szpotańscy o tym właśnie piszą:

„Gdy kurczy się ogólna pula i socjalizmu gaśnie blask,
Wtedy na cichych się wybuła aby ścisiali ludzi wrzask”
albo: „Równość i wolność może mieć dwa procent narodu”.

— Coś ty się tego Szpotańskiego na pamięć nauczył, czy co?

— A tak. Nie najgorsze sformułowania ma czasami.

— Wierszykami nic się nie robi.

— Lepszy wierszyk niż nic. Poza tym w poezji jest potęga.

— Eee, już nie na tym etapie. U nas się taka jakaś specyfika wytworzyła, że ludzie niczemu nie wierzą i niczego nie słuchają.

Mietek mówił sporo i bez większego wysiłku, ale Romek nie był już równorzędnym partnerem. Odpowiadał monosylabami, opierał głowę o poręcz fotela i zapadał w krótki sen, krótko mówiąc towarzystwo jego nie warte było butelki soplicówki.

Zadzwoił budzik na szóstą. Miecio poszedł golić się, Krysia malowała się przed lusterkiem. Romek z drugiego pokoju poprosił ją o adres. Nie odpowiedziała, więc powtórzył pytanie.

— Wiesz, wołałabym nie dawać ci mojego adresu.

— Boisz się że cię zamkną do pierdła za kontakty z reakcją?

— Niee...

— No to co?

— O męża mi chodzi.

— Przecież męża ci nie uwiodę.

— No, eee, no nie chcę komplikacji, nie chcę żebyś myślał, że ja jestem taka...

— Rozumiem, rozumiem, i widzę że fatalnie nie nadążasz. Pytałaś wczoraj, dlaczego Londyn staje się stolicą świata. Więc dlatego, że głosi nowy styl życia i nowy typ społeczeństwa, które nazwano społeczeństwem przyzwalającym; odnosi się to głównie do seksu i objawia się to m.in. w tym, że nikt nikogo nie pyta czy jest żonaty, mężaty i z kim...

— Nie potrzeba na to Londynu ani nowego systemu społecznego, mężczyźni zawsze i wszędzie tak mówili...

— Spokojna głowa, jak przyjadę do Warszawy uszanuję twoje zasady i jak przyjadę to zadzwonię do Miccia i wszyscy razem znów pójdziemy na wódkę.

— Jesteś przemity, ach jak się cieszę! — miała łzy w oczach.

Zajeżdżał taksówkarz, jeden z 5 % w Pradze, i po chwili byli już w drodze na lotnisko. Niemal na granicy miasta minęli typowo sowiecki wieżowiec Hotelu Internacjonal. „Czesi mądrzy” — zauważył Miecio — swój pałac kultury ustawili za miastem, nie tak jak my”.

Samolot, jak to w socjalizmie, był spóźniony o półtorej godziny, siedzieli więc w restauracji i popijali kawę. „Największą przyjemnością wyjazdów” — mówiła Krystyna — „jest to, że się tak niespodziewanie spotyka tylu ciekawych ludzi. Np. na mnie większe wrażenie od całej Pragi wywarło to, żeśmy się spotkali i tak przyjemnie spędzili czas”. Mężczyźni zgodzili się skwapliwie. Romek został nagle wezwany przez megafon do biura Cedoku.

Właścicielka pensjonatu telefonicznie zapytywała czy goście z Polski nie zabrali ze sobą kluczy. Okazało się że Mietek rzeczywiście miał klucze w kieszeni. Zegnali się czule, jak rodzeństwo, które całe życie spędziło pod jednym dachem. Roman wracał do domu autobusem, nie było sensu płacić pięć razy więcej za taksówkę. Od Namesti Republiki szedł na piechotę, wstępując po drodze do kilku SAM-ów dla skosztowania różnego typu śniadań. Przy okazji przebierał w sklepach fryzjerskich i gdy wreszcie znalazł odpowiednio atrakcyjną fryzjerkę, wszedł do wnętrza aby się ostrzyć i ogolić. Gdy wreszcie wrócił do pensjonatu, na spotkanie wybiegła mu gospodyni. „Pan inżynier, chodźcie prędko, gości mamy z Polsko!” W wewnętrznym hallu czekała para przybyszów. On — brunet, przed czterdziestką, średniego wzrostu i tuszy, w eleganckim brązowym garniturze, ona — wysoka, szczupła blondyna przed trzydziestką, w jasnym wiosennym kostiumie. „Wracamy z Bukaresztu” — wyjaśniał brunet po przedstawieniu się — „gdzie byliśmy z delegacją służbową dla centrali Metronex. Mamy znakomity rumuński koniaczek i gdyby pan kolega jako lepiej zorientowany w terenie mógł postarać się o jakieś szklaneczki to łatwiej nawiązałoby się kontakt”...

— Ależ naturalnie, no i przy okazji sobie zaśpiewamy

*Jesteśmy na wczasach
W nadwiślańskich lasach...*

Bohdan BRODZIŃSKI

Wilczy wiek

*Wieku mój, zwierzu mój, kto potrafi
Zajrzeć w twoich źrenic głębi
I krwią swoją zlepić
Kręgi dwóch stuleci?*

*.....
Lecz strzaskany twój kręgosłup,
Mój piękny, żalony wieku...*

Osip Mandelsztam (1923): *Wiek*

W roku 1928 moskiewskie czasopismo *Czitatel i pisatel* rozpisało ankietę na temat „Pisarz sowiecki i Październik”. Osip Mandelsztam nadesłał krótką odpowiedź, której początek brzmiał tak: „Rewolucja Październikowa nie mogła nie wpłynąć na moją pracę, gdyż pozbawiła mnie 'biografii', odebrała mi poczucie znaczenia osobistego. Wdzięczny jej jestem za to, że raz na zawsze położyła kres bezpieczeństwu duchowemu i życiu z kulturalnej renty... Czuję się dłużnikiem rewolucji, ale moje dary niesione w odpłatę są jej chwilowo niepotrzebne”.

Rewolucja do tego stopnia pozbawiła Mandelsztama biografii, że do niedawna jeszcze białą, zupełnie białą plamą w jego *curriculum vitae* (a raczej *mortis*) był okres od dnia aresztowania w 1934 roku do śmierci bez daty i w nieznanych okolicznościach. W roku 1957, w szkicu *Zwycięstwo Borysa Pasternaka*, tylko tyle wolno mi było powiedzieć o losie Mandelsztama: „Istnieje potwierdzona z wielu źródeł wersja, że po aresztowaniu Mandelsztama Stalin — z tą typową dla wszystkich despotów sadystyczną skłonnością do igrania z myszą — zwrócił się telefonicznie po opinię o nim do Pasternaka. Przerażony Pasternak starał się zminimalizować swoją przyjaźń z „zadziwionym”. Stalin wysłuchał go do końca bez słowa, potem powiedział: „Ja lepiej bronie moich przyjaciół” i odłożył słuchawkę. Jest to podobno niezagojona po dziś dzień rana sumienia Pasternaka, choć w owych czasach rozmnożonych Judaszów nie było żadną zbrodnią powtórzyć tylko gest Piotra”.

Dziś wiemy więcej, znacznie więcej, jakkolwiek z datami są wciąż kłopoty i trzeba poprzestać na względnej ścisłości. Z tego co wiemy powstaje krótka i przejmująca opowieść o śmierci poety w naszym stuleciu.

W roku 1933 Mandelsztam osiedlił się z żoną w Moskwie. Może lepiej byłoby użyć określenia „zaszył się”, pamiętając zdanie z jego noty *Humanizm i współczesność*: „Żadne ustawy o prawach człowieka, żadne zasady własności i nietykalności nie chronią już ludzkiego mieszkania, domy nie ratują już od katastrofy, nie dają poczucia ani pewności ani zabezpieczenia”. Mały

pokoik wydzielony z *obszczeżitia* („tandetne ściany złego moskiewskiego mieszkania” czytamy w jednym z napisanych wówczas wierszy) był na pewno kruchą przystanią. Mandelsztam uczeplił jej się kurczowo, jak gdyby w oczekiwaniu nadchodzącej katastrofy, za jedynych prócz żony towarzyszy mając trzech ulubionych poetów: Dante, Petrarca i Ariosto osładzali mu goręcy i trwogę ostatnich dni wolności. Wódz (wraz z Gumilewem) akmeistów rosyjskich, urodzony w roku 1891 w Warszawie a za młodu pochylony jakiś czas nad świętymi księgami w berlińskiej wyższej szkole talmudycznej, przed wojną i jeszcze nazajutrz po rewolucji krążył żarliwie wokół chrześcijaństwa. Za niedościgniony wzór kompozycji poetyckiej uważał Notre Dame. W artykule o Puszkynie i Skriabinie pisał: „Sztuka chrześcijańska jest sztuką wolną, jest w pełnym tego słowa znaczeniu sztuką dla sztuki. Żadna konieczność, nawet najszczytniejsza, nie zaciemnia światła jej wolności wewnętrznej, gdyż jej prototypem, tym co stara się ona naśladować, jest odkupienie świata przez Chrystusa”. W eseju *Słowo i kultura* mówił o poecie „podnoszącym słowo i pokazującym je światu jak kapłan eucharystię”, dodając: „Chrześcijanin, a teraz każdy kulturalny człowiek jest chrześcijaninem, nie zaznaje tylko głodu fizycznego, tylko potrzeby pokarmu duchowego; dla niego i słowo jest ciałem i zwykły chleb radością i tajemnicą”. Gdy rewolucja okrzepła, krążył podobno z daleka — ostrożnie i lekliwie — wokół bolszewików. Teraz dokoła niego zaczęła krążyć śmierć.

13 maja 1934 roku do drzwi „złego moskiewskiego mieszkania” załomotało GPU z nakazem aresztowania podpisanym przez samego Jagodę. Rewizja trwała całą noc. Szukano wierszy. Znalaziono *Za griemucziju doblest' griaduszczich wiekow*, wiersz napisany 17-28 marca 1931 roku. Mandelsztam nie wypierał się swego autorstwa. Oto *corpus delicti* w moim dosłownym przekładzie:

*Za grzmiący i męzny przyszłych wieków chód,
Za szlachetny nowych ludzi ród,
Czarym się wyrzekł na mych ojców uczenie
I radości mojej i czci.*

*Wilczy mi spada na ramiona wiek,
Ale nie wilcza w moich żyłach krew,
Wetknij mnie lepiej niby czapkę w rękaw
Szuby gorącej jak sybirski step, —*

*Bym nie widział ni tchórza, ni lepkiego błota,
Ani kości krwawiących w kole co je wgniata,
By w noc jasną świeciły mi niebieskie lisy
O urodzie dziewiczej wieku co był czysty.*

*W noc mnie uprowadź, gdzie płynie Jenisej,
I z gwiazdą sosna na niebie się sprzega,
Nie wilcza przecież w moich żyłach krew,
Tylko ten kto mi równy śmiercią mnie dosięgnie.*

O siódmej rano zawieziono go na Łubiankę. Znane są dwie próby wstawienia: Pasternaka u Bucharina i innego pisarza u Jenukidze. W porównaniu z tym co miało niebawem w Rosji nadejść, wyrok był stosunkowo łagodny: trzy lata zesłania w Czerdyniu, małym miasteczku na północ od Solikamska. Poecie towarzyszyła żona, Nadieżda Jakowlewna Chazina.

W Czerdyniu Mendelsztam usiłował popełnić samobójstwo, wyskakując z okna szpitala; złamał sobie tylko rękę. Nadienka (jak ją nazywał) zadeszczowała błagalnie do KC. Stalin — właśnie po owym telefonie do Pasternaka — zgodził się, by zesłaniec sam proponował inne miejsce swego zesłania. Mandelsztam wybrał Woroneż.

Nie zachowały się żadne relacje o szczegółach pobytu w Woroneżu. W maju 1937 roku Mandelsztamowie wrócili do Moskwy, do tego samego „złego mieszkania”. Ale mimo usilnych starań, nie otrzymali prawa pobytu w stolicy. Przez pewien czas mieszkali w Kalininie (dawny Twer); do Moskwy wymykali się niekiedy ukradkiem i „przesiadali na bulwarze”. Jesienią 1937 roku udało się Mendelsztamowi pojechać na dwa dni do Leningradu i odwiedzić starych przyjaciół. Nastąpił czarny okres *jeżowszczyzny*. Aresztowano go ponownie 2 maja 1938 roku, w sanatorium dla nerwowo chorych. Osadzony na Butyrkach, został stamtąd wysłany etapem do Władywostoku z pięcioletnim wyrokiem OSO (*Osoboje Sowieszczanije*) za „działalność kontrrewolucyjną”. W władywostockim obozie tranzytowym oczekiwało się miesięcy sprzyjających żegludze do Magadanu. Tu należy oddać głos ocalałym świadkom naocznym, których opowiadania streścił zwięźle Georij Stukow w almanachu *Mosty*:

„Jeszcze w etapie Mandelsztam zaczął zdradzać oznaki obłąkania. Podejrzewając że *naczasłno* (to znaczy etapnyj karaul) otrzymało w Moskwie nakaz otrucia go, odmawiał przyjmowania jedzenia, które składało się z chleba, śledzi, zupy i czasem kaszy jaglanej. Sąsiedzi przyłapali go na kradzieży chleba i bili go codziennie w sposób bestialski, aż w końcu zrozumieli że jest obłąkany. W władywostockim obozie tranzytowym obłąd Osipa Emiliewicza przybrał jeszcze ostrzejsze formy. Bał się otrucia, kradł żywność sąsiadom w baraku (w przekonaniu że ich fasunek nie jest zatruty), znowu bito go bezlitośnie. Skończyło się na tym, że wyrzucono go z baraku: pętał się i spał koło śmietnika, żywił się odpadkami. Brudny, zaroił się siwymi włosami, z długą brodą, w łachmanach, obłąkany, zamienił się w obozowe straszdyło. Od czasu do czasu podkarmiali go lekarze z obozowego ambulatorium, wśród których znalazł się pewien znany lekarz z Woroneża, miłośnik poezji, dobry znajomy Mandelsztama”.

Śmierć dosięgnęła go 27 grudnia 1938 roku.

Nie był jednak widocznie aż tak obłąkany, skoro 20 października 1938 roku zdołał napisać zupełnie przytomny list do brata i żony: „*Dorogoj Szura!* Znajduję się w Władywostoku, USWITL (*Uprawnienie Siewiero-Wostocznych Isprowitielno-Trudowych Lagierej*), barak 11. Dostałem pięć lat za KRD (*kontrrewolucyjnaja diejatielnost'*) na mocy postanowienia OSO. Z Moskwy z Butyrek etap 9 września, przyjechaliśmy 12 października. Zdrowie bardzo

słabe, skrajne wyczerpanie, schudłem, jestem prawie nie do poznania, ale nie wiem czy ma sens posyłać rzeczy, żywność i pieniądze. Spróbujcie w każdym razie. Bardzo marznę bez rzeczy. *Rodnaja Nadienka*, żyjesz moja gołąbeczko? Ty, Szura, napisz mi zaraz o Nadii. Tutaj punkt tranzytowy. Nie wzięli mnie na Kołymę. Możliwe zimowanie. Kochani moi. Całuję Was. Osja. Jeszcze do Szuruczki. Byłem ostatnio na robocie. Poprawiło mi to humor. Z naszego obozu tranzytowego wysyłają do stałych. Prawdopodobnie mnie odsiali i trzeba tu będzie przetrzymać. Dajcie znak życia i przyslijcie mi telegraficznie pieniądze".

Istnieje sekret skojarzeń, który łączy w pierwszej chwili dwie różne na pozór osoby, aby dopiero później ujawnić głębszy między nimi związek. W obu tomach wspaniałego wydania *Utworów zebranych* Mandelsztama (w opracowaniu profesora Gleba Struwego i Borysa Filipowa) młody jeszcze poeta występuje na starych fotografiach w czarnym meloniku. Wsiewołod Roždewstwiński tak opisuje Mandelsztama w swoich pamiętnikach: „Niziutki, szczupły, niepozorny z wyglądu, wielka głowa, majestatyczny i trochę teatralny gest, dziecięca niemal naiwność, ostre i mądre oczy ptaka”. Gdzie widziałem już podobną małą figurę, w takim meloniku, z nieproporcjonalnie dużą głową, o ptasim i przesywającym wzroku? Na rysunkach Brunona Schulza, czy na jednym z jego rzadkich zdjęć? Nie ma pokrewieństw między sztuką Mandelsztama i sztuką Schulza, a jeśli są to zbyt nikłe lub ukryte by mogły przykuć natychmiast uwagę. A jednak?

W listopadzie 1942 roku, prawie równo w cztery lata po śmierci Mandelsztama, na uliczce dalekiego od władzywostockiej *piersytki* getta w Drohobyczu gestapowski brat mleczny enkawudowskiego „wilczego wieku” dosięgnął autora *Sanatorium pod Klepsydrą*. Nie wiadomo dokładnie jak zginął Schulz. Może przed śmiercią wałęsał się po ulicach miasteczka brudny, zarośnięty siwymi włosami, z długą brodą, w łachmanach? Może drohobyckie straszidło wzbudziło wstępną w umyśle i krótko ostrzyżonym gestapowcu? Jedną z licznych wersji głosi, że kulę poprzedził spuszczone ze smyczy i poszczuty wilczur. Echo wystrzału słychać wraz z okrzykiem „Wieku mój, zwierzu mój...".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

OSIP MANDELSZTAM

KASSANDRZE

Nie, nie szukałem w dniach rozkwitłych złudzeń
twoich, Kassandro, ust, twoich, Kassandro, oczu,
lecz w tym miesiącu — uroczysty grudzień —
cień wspomnień serca nam przytłoczył.

W tym grudniu — siedemnasty rok przystanął —
przez miłość utracono wszystko;
i jednych z woli ludu rabowano,
a inni samych siebie — na urągowisko.

Na brzegach Newy, w stolicy rozpustnej
dzień przyjdzie — święto rozwydrzonych Scytów —,
ze słicznej głowy twej obetrą chustę
przy dźwiękach muzyki niesamowitej.

Lecz jeśli nasze życie musi trwać w malignie
i domy się jak las masztowy chwieją,
bezręka Nike, skrzydła dźwigni,
zarazo zła Hiperborejów!

Wśród pancernych samochodów
widzę człowieka; pod pożogą krwawą
płoszy płonącej żagwią wilki, wściekłe z głodu,
i woła: — Wolność, równość, prawo!

Grudzień 1917.

★ ★

Boże, pozwól jeszcze jedną noc tę przeżyć:
lękam się o życie, racz-że spojrzeć ku mniei
W Petersburgu mieszkać, to jak sypiać w trumnie.

Styczeń 1931.

★ ★

Posiedźmy sobie razem w kuchni.
Tak słodkavo biała nafta cuchnie.

Ostry nóż na stole i korowaj...
Chcesz — możemy prymus napompować,

a jak nie, to dość nam sznurów stanie,
by walizki związać przed świtanie,

i na stację... Byle skryć się z dala,
żeby nikt nas nigdy nie odnalazł!

Styczeń 1931.

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI

Najnowsza historia Polski

Czy list Lenina?

List, który poniżej drukujemy wymaga dłuższego wyjaśnienia jak i dlaczego trafia na łamy *Kultury*.

Ukazał się on po raz pierwszy w dn. 21 lipca 1921 roku w Polsce, w rosyjskiej emigracyjnej gazecie „Swaboda”, widniała na nim data — czerwiec 1921, Moskwa i litera N zamiast podpisu. Nie będąc sowietologiem mogę tu jedynie przytoczyć te szczegóły, ale dla mnie absolutnie decydujące, informację jakoby ten list, przechwycony po drodze, był listem Lenina. Oto jego treść:

Moskwa, czerwiec 1921.

Jestem zmęczony. Czuję to każdego dnia coraz bardziej i bardziej, i mimowoli kusi mnie odpoczynek wśród moich książek, sprawdzenie poprzez moje obiektywne obserwacje tych wniosków, którym poświęciłem całe życie. Już nie te mam nerwy. Coraz bardziej i bardziej denerwuje mnie małostkowość mego otoczenia, jego mieszczaństwo, które rozkłada zwarty organizm partii. Państwowa praca w tych warunkach, w jakich się ona u nas odbywa teraz, jest po prostu niemożliwa. Nasza młoda biurokracja przejęła w pełni wszystkie braki swych poprzedników i przez naiwność jeszcze pogłębiła rozdział, który istniał między rządzącymi a rządzonymi.

Karta na którą postawiliśmy — instynkt kolektywny, który powinien trzymać członków partii — przegraliśmy. Nasza nadzieja na ten właśnie instynkt kolektywny i świadomość klasową robotników i chłopów równie poniosła podobną porażkę. Wspominam teraz Wasze słowa pożegnane, powiedziane w chwili wyjazdu do Rosji w roku 17-tym. Powiedzieliście mi wtedy, bym nie zapominał, że odwyłem i oduczyłem się rozumieć ducha rosyjskiego robotnika i chłopca, że lata emigracji oderwały mnie od możliwości bezpośredniej obserwacji rosyjskiej społeczności i że bym był ostrożny. Nas wszystkich upoiła władza, upoił sukces. Ja sam dałem się unieść możliwości sprawdzenia swoich wniosków w praktyce, głęboko wierząc w hart swojej partii, w jej żywotność. Rzuciwszy tłumom szerokie perspektywy spo-

lecznych reform przyszłości, starałem się obudzić w inteligentnym proletariacie, u robotników i u chłopów, samodzielność która przeprowadzając na miejscu dyrektywy z Centrali stworzyłaby fundament przyszłego państwa socjalistycznego, mogącego służyć wzorem narodom całego świata. Powiem Wam, że wahałem się trzy lata, trzy lata nie mogłem się zdecydować, by wyznać sobie samemu, że nie mieliśmy racji, że wybrałem metody nieodpowiednie, ale teraz sumując rezultaty całej naszej działalności muszę wyznać że nie miałem racji, że przeceniłem siły partii, przeceniłem rosyjskiego robotnika i chłopca. Powiem Wam, że i rosyjski robotnik i rosyjski chłop zdradzili swoją sprawę, zdradzili partię, zupełnie nieświadomie, na skutek swej miękkości (*miahkotieliosti*) i psychologii niewolnika, która przeważała poryw rewolucyjny i zatrzymała w pół drogi rozwój rewolucyjnej psychologii. Naiwność — dziecinna kultura, dziecinne okrucieństwo — pełne niezrozumienie i nieumiejętność zrozumienia konieczności pracy dla jutra, zacofanie i tępość wobec nowych idei, to jest tama której przewyciężenie okazało się ponad nasze siły, mimo tych wszystkich prawdziwie heroicznych wysiłków, na jakie partia poprzez wszystkie lata się zdobywała.

Jeżeli się jeszcze utrzymujemy, to wyłącznie tylko dzięki wysiłkom partii — która traci wszystkie swoje siły żywotne wyłącznie na to, by utrzymać władzę i chociażby takim sposobem trochę przedłużyć możliwość wychowania od nowa światopoglądu społecznego, i tym samym przygotować etap dla dalszego rozwoju i pogłębienia socjalnej rewolucji.

Ale czuję, że siły partii wyczerpują się każdego dnia, coraz bardziej i bardziej, że partię zierają wewnętrzne swary, tarcia, i drobne ambicje (*mielkoje czestolubje*) poszczególnych jednostek, dla których sprawy prywatne są ważniejsze od publicznych. Ta walka na szeregu przeróżnych frontów ostatecznie nas pogrąży. Już dawno widziałem konieczność kompromisu, nieuniknionych ustępstw z naszej strony, które by mogły wlać w partię nowe siły — wzmocnić choć trochę wykańczającą się garstkę prawdziwie, bezgranicznie oddanych sprawie pracowników. Bez tego nie będziemy mieli żadnej możliwości nie tylko utrzymać się, ale przeżyć.

Stawka na rewolucyjny militarizm naszych „napoleonów” będzie, moim zdaniem, przegrana, będzie ostatnim wyczynem naszej partii, która zginie, wyczerpawszy cały zapas swych żywotnych sił. Pisałem do Krasina o konieczności wejścia prywatnie w pertraktacje z emigracyjnymi socjalistycznymi kołami, o możliwości jakiegokolwiek kompromisu. Z dokładniej taką samą prośbą zwracam się do Was, jak do swego starego przyjaciela, a poza tym człowieka absolutnie bezpartyjnego. Wam będzie łatwiej nawiązać kontakt, z naszą emigracją i łatwiej będzie dogadać się z jej przywódcami. Nie skrywam, że pragnąłbym mieć od Was jakieś wiadomości w najbliższym czasie, bo czas idzie i lepiej dogadać się dziś, a nie za pół roku, gdy być może będzie za późno. Czekam Waszych listów w najbliższej przyszłości. Czytając je odpoczywam, wspominam Was i nasze zurychskie dysputy — z całego serca pozdrawiam Was.

Swaboda 21 lipiec 1921 r.

N.

Nie chcę pominąć żadnego szczegółu z tych, które w pamięci zachowałem; spróbuję również je naświetlić obrysowując kilka powiązań *ludzkich* które mnie, młodego nie zaangażowanego aktywnie w polityce studenta Akademii Sztuk Pięknych, doprowa-

dziły do zainteresowania się tym listem i do bezpośrednich o nim informacji.

Zimą z 1918 na 1919 poznałem w Piotrogradzie Dymitra Mereżkowskiego i jego żonę, znaną poetkę Zinaidę Hippus. Bywałem u nich prawie codzień, na Sergiewskiej. Nie było węgla, nie było chleba, ale dyskusje o rewolucji, o Rosji, o Bogu, o Dostojewskim i Nietzschem bywały gorące i namiętne. U nich również poznałem Dymitra Fiłosofowa, który już od szeregu lat mieszkał z nimi i ściśle z nimi współpracował.

Tejże zimy wróciliśmy do Polski, rok później opuścili Rosję Mereżkowsky i Fiłosofow — przeszli nielegalnie granicę sowiecko-polską. Byłem pierwszym, który wiadomość o tym w Warszawie otrzymał i ich w Warszawie przyjął.

Obecność w Polsce Mereżkowskiego, pisarza światowej sławy, który właśnie był zerwał z Rosją Sowiecką, jego odczyty w Warszawie entuzjastycznie pro-polskie, były swego rodzaju sensacją. Przez Struga zorganizowaliśmy spotkanie Mereżkowskiego z Piłsudskim.

Padła wówczas idea dalekoidącej współpracy polsko-rosyjskiej, dokładniej wspólnej akcji politycznej Polski Piłsudskiego z tzw. Trzecią Rosją, w rzeczywistości z grupą rosyjskiej inteligencji, lewicowej i rewolucyjnej, która zrywała z całą fatalną polityką narodowościową „Jedinoj i niedielimoj” Rosji carskiej, i była gotowa walczyć przeciw komunizmowi w Rosji, dyktaturze proletariatu, zduszeniu wszystkich swobód i już wtedy rozszalałemu terrorowi. Chodziło o walkę w imię nowej, również rewolucyjnej, przyszłości Rosji i nowych stosunków polsko-rosyjskich. Powstało wówczas pismo „Swaboda”; redaktorem został Dymitr Fiłosofow; w Komitecie redakcyjnym znajdowali się wśród innych Mereżkowski, Zinaida Hippus, Rodiczew — liberał rosyjski — który z zachodu przybył do Warszawy na otwarcie pisma. Centralną postacią całej akcji był jednak wówczas Borys Sawinkow, który także wtedy przyjechał do Warszawy by spotkać bliskich mu ideowo od wielu lat przyjaciół: Mereżkowskich i Fiłosofowa. Sawinkow, jeden z *leaderów* partii Eserów, terrorysta za rządów carskich, minister rządu Tymczasowego w 1917 — cieszył się on u rewolucyjnej rosyjskiej lewicy sławą najgroźniejszego wroga Sowietów. Sawinkow znał Piłsudskiego jeszcze sprzed wojny — nie wiem czy osobiście czy tylko przez kontakty partyjne i rewolucyjne — Dymitr Fiłosofow był wówczas w Polsce człowiekiem zupełnie nieznanym.

Mereżkowski ze swoim darem wizji, imaginacją i entuzjazmem, ale również polityczną naiwnością, widział już Polskę, Polskę Mickiewicza i Krasińskiego, która po zwycięskiej wojnie z Sowietami „zatknę krzyż na murach moskiewskiego Kremla”! Pokój ryski, uznanie *de iure* Rosji Sowieckiej, było dla Mereżkowskich gorzkim rozczarowaniem, ostentacyjnie opuścili „bratnią” Polskę i osiedlili się w Paryżu. W jednym z listów z Paryża

Mereżkowski napisał: „Żeby nawet od tego miała zależeć nasza i wasza wolność, ja tego pająka (pokoju ryskiego) połknąć nie mogę!”

Dymitr Fiłosofow, w przeciwieństwie do Mereżkowskich wiernej linii politycznej, którą wówczas obrał, założyciel i do końca redaktor „Swabody”, pozostał w Polsce do śmierci (1940), w pierwszych latach jako przedstawiciel Sawinkowa i łącznik między nim a Piłsudskim.

Sawinkow i on byli chyba jedynymi Rosjanami, których Piłsudski szereg razy przyjmował w Belwederze tocząc z nimi wielogodzinne rozmowy. „Piliśmy w nocy czarną herbatę, przez okna widzieliśmy stare drzewa, dokoła była zupełna cisza, jak w starym dworze” — opowiadał mi Fiłosofow. Sawinkow był zafascynowany osobowością Piłsudskiego. Fiłosofow do śmierci mówił o Marszałku jako o człowieku genialnym — choć nie przypuszczam, by każde jego posunięcie polityczne uważał za słuszne, i zachował dla niego więcej niż głęboką wdzięczność za lojalny stosunek do tych rosyjskich emigrantów, którym Marszałek zaufał i których przez czas pewien ze swoją akcją polityczną na wschodzie związał. Po przejściu Sawinkowa do Rosji (1924), uwięzieniu go w Moskwie i śmierci na Łubiance (zabójstwo czy samobójstwo?) Fiłosofow stał się w okresie międzywojennym najwybitniejszym i najbliższym z Polską związanym przedstawicielem rosyjskiej politycznej emigracji.

Tak się złożyło, że już w tych pierwszych latach Polski Niepodległej byłem wraz z moją siostrą Marią Czapską w nieustannym z nim kontakcie. Odegrał on dużą rolę w naszym osobistym życiu, otwierał nam horyzonty myśli, kierował nami. Stosunki nasze, które przetrwały do jego śmierci, nic wspólnego nie miały z jego robotą polityczną, z zabijającym go, ponad siły trudem redagowania pisma, które do końca niezależne, wielokrotnie było konfiskowane przez polską cenzurę i atakowane namiętnie przez prawą i lewą emigrację rosyjską, i które przetrwało w niezmierzenie trudnych, zdawało się coraz to bardziej beznadziejnych, warunkach materialnych. Stosunki z nami były dla Fiłosofowa w pewnym okresie chyba jednym z rzadkich wytchnień, na które sobie wówczas pozwalał; był nie tylko oddany swej pracy — był przez nią pożarty.

W Rosji Fiłosofow był już przed pierwszą wojną znanym eseistą, założycielem z Diagilewem „Mira Iskustwa”, potem religijno-filozoficznego towarzystwa z Mereżkowskimi, Rozanowem, Minskim i Kartaszowem; był przyjacielem Błoka, Rozanowa, Szestowa, Bielijskiego, Remizowa, człowiekiem najwyższej klasy nie tylko jeśli idzie o inteligencję ale o wielkość charakteru. Ostatni, polski, okres Fiłosofowa był w jego życiu najważniejszy i najbardziej heroiczny. Pisał w „Swabodzie” świetne artykuły, druzgoczące pamflety, polemiki polityczne oraz felietony na przeróżne tematy, z dziedziny kultury i sztuki (pisał nieraz po trzy artykuły dziennie!).

Ileż było tam wnikliwych, dalekich od wszelkiego banału artykułów o Polsce. Wybór tych artykułów dotyczących Polski, który miał się ukazać po polsku w 1939 roku, tłumaczony przez Marię Dąbrowską, Stanisława Stempowskiego, Marię Czapską i paru innych pisarzy — zaginął w zawierusze wojennej.

Paręset listów Filosofova, które były w posiadaniu mojej siostry i moim, a których strześliśmy jak oka w głowie — zaginęły wszystkie.

Zdawać by się mogło że roczniki „Swabody” i „Za Swabodu” (tak się nazywało pismo po jednej z konfiskat, potem „Miecz”) zaginęły również. Pomimo niezliczonych poszukiwań i starań redaktor *Kultury* na ich ślad dotychczas nie natrafił. Jestem zupełnie przekonany, że strata dorobku polityczno-literackiego Filosofova z tych lat jest stratą niepowetowaną dla kultury, a przede wszystkim dla historyków i badaczy ówczesnej literatury rosyjskiej emigracyjnej oraz dotąd jeszcze nie opracowanych i prawie że zapomnianych stosunków polsko-rosyjskich tego okresu.

Właśnie w tych pierwszych latach Niepodległości, mieszkając od 1921 w Krakowie, dojeżdżałem bardzo często do Warszawy, widywałem Filosofova codziennie, słuchałem nie raz na świeżo opowiadań o jego z Sawinkowem wizytach w Belwederze; mówił mi także, rzadko i zwięźle, o swych trudnościach a nawet o konspiracyjnych politycznych posunięciach, ciężkich konfliktach — po co? Najprościej miał do mnie zaufanie, którego nigdy nie zawiodłem a i może dlatego, że żyłem poza kręgiem jego akcji i jego pracy. Pismo „Swaboda” czytałem zawsze pilnie.

W 1921 roku trafiłem w „Swobodzie” na wyżej przytoczony, niepodpisany list, podany przez redakcję jako list komunisty z Moskwy. List ten na tyle mnie zafrapował, że spytałem Filosofova, kto może być jego autorem. I na to (pamiętam najwyraźniej) Filosofov odpowiedział mi: „Wyobraź sobie że to jest list Lenina, ten list do nas dotarł przechwycony po drodze!” Nie dopytywałem się w jakim taktycznym celu ten list wydrukowano, ani kto i jak ten list przechwycił, był to okres kiedy wielu przeróżnych agentów, pół-agentów i podwójnych agentów przeróżnych wywiadów, tajnie i pół-tajnie kursowało między Rosją bolszewicką a światem zachodnim. Jak ten list trafił do „Swabody” nie wiem, jedno co pamiętam na pewno, to słowa Filosofova: „Wyobraź sobie, że list ten napisany jest przez samego Lenina!” Te słowa, sądząc z samego tonu, który jeszcze słyszę, nie były dla niego domysłem ale pełnym pewnością. Nigdy zaś nie słyszałem z jego ust informacji powtarzanych lekkomyślnie, nie mówiąc już o faktach i wydarzeniach związanych z jego polityczną pracą. Liczył się z każdym słowem i zawsze tępił nawet cień „bujania”. Treść tego listu nieraz później wspominałem: pierwsze zdanie o pragnieniu odejścia z powrotem do pracy

naukowej, albo to dalsze, o „miahkotiełosti” robotnika i chłopca rosyjskiego pamiętałem częściowo dosłownie. Ale w miarę lat sam nie miałem pewności czy nie narosła mi tu jakaś mimowolna afabulacja.

Jean Laloy, dyplomata francuski i wieloletni kierownik oddziału wschodniego na Quay d'Orsay* wydał w końcu ubiegłego roku książkę pt. „Le socialisme de Lenine” (Desclée De Brouwer, 1967). W tej zwartej i pełnej wypowiedzi samego Lenina książce, Laloy z pasją historyka politycznego i rzetelnego psychologa próbuje dotrzeć do Lenina żywego. Zainteresowały mnie specjalnie teksty, w których można było przeczuć wątpliwości Lenina, dotyczące dalszej taktyki — zaraz po wojnie polskiej i w okresie ustanowienia „pieredyszki” NEPu — ślady jego rozczerowań i wahań czy aby linia partii bolszewickiej nie powinna ulec zmianie i czy dotychczas była słuszna. Pisząc do autora po przeczytaniu jego książki, wspominałem o liście jakoby Lenina z 1921 roku cytując go z dalekiej pamięci. Laloy odpisał mi jak bardzo pragnąłby list ten przeczytać. Wspominałem mu wówczas, że redaktor *Kultury* od szeregu lat poszukuje bez rezultatu roczników „Swabody”, pisma w którym artykuł się ukazał. Cały komplet „Swabody” z wielkiej biblioteki rosyjskiej w Paryżu, wywieziony do Niemiec na parę tygodni przed wycofaniem się Niemców z Paryża, tam zaginął.

Otóż ostatnio przyjaciel naszego pisma odkrył w jednej z bibliotek amerykańskich kilka numerów „Swabody”, wśród których właśnie był przedruk wspomnianego listu, i przysłał nam fotokopie!

Niektóre teksty i cytaty w książce Laloy wiążą się ściśle z problematyką listu. Parę z nich chcę tu przytoczyć.

Lenin pisze w styczniu 1921 roku „trzeba mieć odwagę przyznać, że partia jest chora, że partia drży w gorączce”**.

W lutym 1921 roku Lenin rozpoczyna manewr odwrotu, „nową politykę ekonomiczną” — NEP. Jest zdecydowany ten manewr przeprowadzić, ale dlatego trzeba bezwzględnie utrzymać jedność i „jedność” partii, bo tylko partia o żelaznej dyscyplinie będzie mogła — kiedy znów zaistnieją odpowiednie warunki — od góry akcję ku socjalizmowi dalej prowadzić.

W maju tegoż roku Lenin pisze: „Jesteśmy otoczeni burżuazją, która czyha na najmniejsze poślizgnięcie, żeby ‘swoich’ tu przeprowadzić i znów wrócić prawo posiadania i burżuazji. Musimy trzymać w więzieniu mienszewików i soc-rewolucjonistów, tych którzy się ujawniają i tych przebranych za bezpartyjnych***.

* W roku 1944 był tłumaczem de Gaulle'a podczas spotkań w Moskwie ze Stalinem.

** Lenin „Kryzys Partii” 19. I. 1921, Dzieła, t. 42/5, str. 254.

*** Lenin „O podatku w naturze” Maj 1921, Dzieła t. 43/5, str. 240-242. (Moje podkreślenie).

Tamże Lenin wyjaśnia, że partia będzie dążyła do „naśladowania wszystkich sposobami państwowego kapitalizmu Niemców, nie wahając się używać metod dyktatorskich, by przyspieszyć rozwój tego, co od zachodu zapożyczyła Rosja barbarzyńska, nie cofając się przed metodami barbarzyńskimi w walce przeciw barbarii”^{*}.

List jakoby Lenina ze „Swabody” jest z czerwca tegoż roku! Jakże inny w tonie od tych cytatów z maja. Jak to? Więc Lenin w maju chce trzymać w więzieniu socjalistów i eserów a w czerwcu chce pertraktować z socjalistami z zagranicy? Ale to byłaby nie pierwsza i nie ostatnia sprzeczność w wypowiedziach Lenina. Należy przy tym pamiętać, że list ze „Swabody” jest prywatny, tajny nawet, do przyjaciela bezpartyjnego sprzed 1917 roku. To Lenin intymny, piszący szczerzej, nie ukrywający wahań, bez śladu nie tylko demagogii czy propagandy jego polemicznych, tak często drapieżnych, artykułów i przemówień, ale bez woli nawet narzucenia swych koncepcji, Lenin szerszemu ogółowi nieznany^{**}.

Laloy zestawiając daty i cytaty pisze od siebie:

„Od chwili gdy trzeba było znowu wprowadzić w ruch inicjatywę prywatną poprzez powrót do indywidualnego zainteresowania zyskiem nie tylko w rolnictwie ale i w przemyśle i handlu, dlaczego nie uelastycznić żelaznej dyscypliny, dlaczego nie rozbudować instytucji lokalnych, nie włączyć partii socjalistycznych nieboleszewickich, a przynajmniej ich działaczy?”^{***}

i podaje przy tym tekst Lenina napisany o 5 miesięcy później, w listopadzie tegoż roku, który zdaje się być próbą odpowiedzi na zapytanie Laloy i który wiąże się z ciągiem myśli listu Lenina ze „Swabody”.

„Można by nam zarzucić: jeżeli po wypróbowaniu metody rewolucyjnej, uznaliście, waszą porażkę (*échec*), jeżeli przyjęliście metodę reformistyczną, czy nie znaczy to, że rewolucję uznajecie za błąd? Czy nie świadczy to, że trzeba było zacząć nie od rewolucji ale od reform i na reformach poprzestać?”^{****}.

„Odpowiedź jest mniej jasna niż zapytanie — pisze dalej Laloy — nie trzeba mówi Lenin, przywiązywać się do Rewolucji „z wielkim R”. Rewolucja może używać środków reformistycznych, istotne byłoby „wyjść z wojny (Brześć Litewski) i stworzyć „dyktaturę proletariatu” (rozpędzenie Uczreditelnawo Sa-

^{*} Lenin „O podatku w naturze”, Maj 1921, Dzieła t. 43/5, str. 211 (Podkreślenia moje).

^{**} Czy w prohibicach w Moskwie, do których mają prawo dostępu tylko rzadcy sowieciolodzy komunistyczni, nie ma więcej tego rodzaju listów, fragmentów tonem zbliżonych? Przecie zdemaskowanie Siniawskiego według jednej z wersji, miało źródło w wykrzyku, że użył w powieści „Lubimow” kilku zdań z Lenina, z tej rezerwy, do której Siniawski miał przez pewien czas dostęp?

^{***} Laloy, str. 234.

^{****} Lenin „O znaczeniu złota” 5. XI. 1921. Dzieła t. 44/5, str. 222.

branja) Postęp ekonomiczny przyjdzie jeżeli „komuniści” przemienią się teraz w „handlowców”^{*}.



Podałem tych parę tekstów Lenina z książki Laloy, bo zdają mi się naświetlać myśli i nastroje Lenina w roku, w którym list ze „Swabody” został napisany. Czy jest listem autentycznym Lenina czy apokryfem niech osądzą „uczeni w Piśmie”.

Józef CZAPSKI

^{*} Laloy, str. 236-237.

W 25 rocznicę zgonu Szmula Zygielbojma

Książka Arthura D. Morse’a *While Six Millions Died* otwarta na nowo w opinii publicznej świata cywilizowanego kwestię współodpowiedzialności za zagładę 6 milionów Żydów w czasie II wojny światowej. W związku z angielsko-amerykańską konferencją w sprawie uchodźców, odbytą w dniach 19-29 kwietnia 1943 r. na Bermudach, Morse przytacza słowa szefa delegacji angielskiej na tę konferencję, obecnego lorda Coleraine, który w rozmowie z Morsem w r. 1965 określił przebieg i wyniki konferencji jako fasadę dla bezczynności: „Mówiliśmy, że wyniki konferencji są poufne, ale w rzeczywistości nie mogę sobie przypomnieć żadnych wyników”. Morse dodaje: „Był jednakże jeden wynik pośredni. Konferencja przekonała kogoś, że nie ma nadziei dla Żydów i nie ma ratunku dla jego ziomeków. Tym kimś był Szmul Zygielbojm... W dniu 12 maja 1943 r., w trzynaste dni po odroczeniu konferencji bermudzkiej, Szmul Zygielbojm, w wieku lat 48, popełnił samobójstwo w Londynie”.

W rzeczywistości na decyzję odebrania sobie życia złożyło się u Zygielbojma coś więcej, znacznie więcej, aniżeli tylko wyniki, a raczej brak wyników konferencji na Bermudach. Zygielbojm zmarł w chwili, gdy dogasało powstanie w getcie warszawskim. Jego samobójstwo było przemyślanym i dokładnie rozważonym aktem protestu „przeciwko bezczynności, z jaką świat się przygląda i pozwala lud żydowski wyćpć”. Chodziło o wyrwanie z obojętności „tych, którzy mogą i powinni działać, by teraz jesz-

cze, bodaj w ostatniej chwili, uratować od niechybnej zagłady tę garstkę Żydów polskich, jaka jeszcze żyje". Zacytowałem tu słowa z listu, jaki Zygielbojm pozostawił, zaadresowanego do prezydenta Raczkiewicza i premiera gen. Sikorskiego. Zygielbojm wyobrażał sobie, że jego samobójstwo umożliwi im natychmiastowe wszczęcie odpowiedniej akcji na terenie dyplomatycznym i propagandowym.

Życie Zygielbojma przedstawione zostało w książce *Zygielbojm-buch*, wydanej w Nowym Jorku w r. 1947 nakładem bundowskiego miesięcznika *Unser Tsait*. Swoje wspomnienia o współpracy z Zygielbojmem w okresie wojennym przedstawiłem w przemówieniu, wygłoszonym na wieczorze urządzonym przez Studium Polski Podziemnej i Koło Armii Krajowej w Londynie w dniu 25 maja 1963 r., wydrukowanym potem w *Bellonie*, zeszyt I i II z r. 1963 oraz w osobnej broszurze pt. *Opór zbrojny w ghetcie warszawskim w 1943 roku*, razem z przemówieniem, wygłoszonym przez gen. Tadeusza Pełczyńskiego. Nie będę ich powtarzał.

Tutaj publikuję tekst raportu „Bundu” (Ogólnego Żydowskiego Związku Robotniczego w Polsce), który Zygielbojmowi wręczył Jan Karski (Kozielewski), wysłannik Delegatury Rządu w Warszawie do Rządu Polskiego w Londynie. Raport datowany był 31 sierpnia 1942 r., do Londynu dotarł z końcem listopada 1942 r., Zygielbojm otrzymał go 2 grudnia. Zygielbojm powielił i rozesłał raport z Warszawy w języku angielskim — w dniu 7 grudnia, w języku polskim — 12 grudnia. Opuścił przy tym kilka ustępów o charakterze wewnętrzno-instrukcyjnym i podobnym, przeznaczonych tylko do jego wiadomości. W języku polskim raport ten nie był dotychczas nigdzie drukowany. W języku angielskim drukowany był w biuletynie *The Ghetto Speaks*, wydawanym przez Amerykańską Delegację „Bundu” w Nowym Jorku, nr 8 z dnia 1 lutego 1943 r., jednak z opuszczeniem części końcowej (zamykał się na słowach: „Konieczne są czyny natychmiastowe i skuteczne!”). Raport ten, to dokument o ogromnym znaczeniu. Daje on bowiem odpowiedź na pytanie, dręczące zwłaszcza młode pokolenia Żydów, szczególnie w Izraelu, a mianowicie pytanie, dlaczego nie było masowego oporu żydowskiego przeciwko akcji eksterminacyjnej hitlerizmu.

W dniu 12 grudnia 1943 r. B.B.C. w Londynie nadało w swych emisjach do krajów europejskich przemówienie Zygielbojma, w którym przytoczył najważniejsze wyjątki z raportu otrzymanego z Warszawy, kierując pod adresem Narodów Zjednoczonych apel, by ratowały masy żydowskie w Polsce, zanim będzie za późno. „Zdaje sobie sprawę — mówił Zygielbojm — że być może jestem w chwili obecnej tylko przedstawicielem społeczno-

ści nieboszczyków. Lecz jeśli nawet mała liczba mych rodaków pozostała przy życiu, wzywam ich imieniem do podjęcia wyjątkowych kroków w obliczu tej wyjątkowej zbrodni, aby zmusić hitlerowskich katów do zaniechania masakry”. Postulat ten pokrywał się z postulatem, jaki w dniu 10 grudnia wystosował kierownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Edward Raczynski w nocy do wszystkich rządów sprzymierzonych, w nadziei, że podzielił zdanie Rządu Polskiego co do konieczności nie tylko potępienia zbrodni popełnionych przez Niemców na ludności żydowskiej w Polsce, ale także „co do znalezienia środków dających nadzieję skutecznego powstrzymania Niemiec od dalszego stosowania metod masowej zagłady”.

Nadzieja ta okazała się zawodna. W dniu 17 grudnia Anthony Eden, sekretarz stanu dla spraw zagranicznych, podał do wiadomości Izby Gmin deklarację Narodów Zjednoczonych, wydaną jednocześnie w Waszyngtonie i Moskwie, potępiającą bestialską politykę zagłady Żydów i zapowiadającą ukaranie winowajców tych zbrodni. Na dodatkową interpelację posła Sydney Silvermana minister Eden zapewnił, że „uczynimy wszystko co w naszej mocy, by złagodzić te okropności (*to alleviate those horrors*), ale były to słowa bez pokrycia w czynach. Należy dodać, że w dniu 15 grudnia egzekutowała brytyjskiej Partii Pracy powzięta uchwałę, idącą nieco dalej, a mianowicie żądającą od tych, którzy wciąż mają siłę i wpływ (*power and influence*) w Europie, by podjęli wysiłek przynajmniej dla ocalenia dzieci żydowskich. Uchwała Partii Pracy wzywała też sojuszników Niemiec, by odmówili dalszego współnictwa w potwornej polityce zagłady Żydów „w granicach Nowego Ładu Niemieckiego w Europie”. Na protestach i zapowiedziach ukarania sprawców zbrodni po ukończeniu działań wojennych wszystko się skończyło. Reszta — w książce Morse’a.

Można i należy jeszcze dodać, że w dniu 15 grudnia 1942 r. Zygielbojm wystosował depeszę do premiera Churchilla, cytując w niej otrzymane z Polski wiadomości o masowej zagładzie Żydów. Dokładnie po miesiącu Frank Savery, radca ambasady brytyjskiej przy Rządzie Polskim, wystosował do Zygielbojma list, potwierdzający odbiór depeszy przez Churchilla, powołujący się na oświadczenie Edena i kończący się słowami: „Może pan pozostać pewny, że Rząd Jego Królewskiej Mości bada wszystkie możliwe środki przyniesienia pomocy ofiarom niemieckiego terrozu”.

Zygielbojma oczywiście informacja powyższa nie zaspokoila. Doszedł do przekonania, że skuteczność wysiłków Rządu Polskiego w wywieraniu nacisku na rządy sprzymierzone — jeśli chodzi o ratowanie resztek ludności żydowskiej — jest w praktyce nikła

i że tylko powszechne powstanie zbrojne w Polsce mogłoby wywołać bardziej skuteczną akcję ze strony rządów sprzymierzonych. Jak złudne było to przekonanie, okazało się później w sierpniu 1944 r. w czasie powstania warszawskiego. Lecz umysł Zygielbojma, pracując gorączkowo, czepiał się wymaginowanej deski ratunku. W dniu 18 grudnia 1942 r., następnego dnia po oświadczeniu Edena, opracował wniosek nagły, który zamierzał zgłosić na najbliższym posiedzeniu Rady Narodowej. We wniosku tym wywodził, że całkowite wyniszczenie ludności żydowskiej w Polsce stanowi zasadniczy przełom w sytuacji kraju i całego narodu, wymagający podstawowej zmiany metod działania, stosowanych przez ruchy podziemne w kraju. „Najeźdźca — pisał Zygielbojm w swym projekcie — musi przez akcję najszerzących mas narodu być pozbawiony poczucia bezkarności, które pozwoliło mu i pozwala na bezprzykładną rzeź milionów obywateli. Rzeź ta nie ograniczy się do ludności żydowskiej. Jeśli katom pozostawione będzie dotychczasowe poczucie bezkarności, ofiarą rzezi w skali równie masowej niechybnie padnie również nieżydowska ludność Polski. W miarę przybliżania się perspektywy klęski wróg będzie niechybnie szukał rozpaczliwego wyjścia w najszerzym zastosowaniu metody wojny biologicznej. W związku z tym — pisał dalej — słuszną do niedawna taktyka wyczekiwania i oszczędzania sił wymaga radykalnej rewizji. Lud polski nie ma nic więcej do stracenia. Ofiary najbardziej krwawej walki przy nierównych siłach nie mogą być cięższe i bardziej krwawe niż ofiary masowej rzezi bezbronnych. Podjęcie sztandaru walki w kraju jest nie tylko nakazem moralności politycznej ale i nakazem instynktu samozachowawczego narodu. Jeśli najeźdźca jakiegokolwiek groźby może się jeszcze ulęknąć i ulękawszy się powstrzymać rzeź — to tylko groźby rozpaczliwego oporu mas. Dla kraju wybiła przeto godzina akcji zbrojnej, której rząd i emigracja winny udzielić najbardziej stanowczego i ofiarnego poparcia”. Taka była motywacja, zaś tenor wniosku brzmiał: „Rada Narodowa uważa, iż Rząd R.P. winien wezwać Delegata Rządu i komendanta O.W. jak i całe społeczeństwo w kraju do zorganizowania natychmiastowego zbrojnego wystąpienia przeciwko okupantom w celu przekonania ich, że masowe mordowanie ludności cywilnej będą musieli opłacać wysokimi ofiarami ze swej strony”. Wniosek ten — jak widać — szedł znacznie dalej, niż tego żądał raport, otrzymany przez Zygielbojma z Warszawy. Co najważniejsze, był niewykonalny. Powszechne powstanie zbrojne w Polsce mogło wchodzić w rachubę tylko w warunkach załamania się armii niemieckich, otwarcia drugiego frontu w Europie i zbliżenia się armii sprzymierzonych do ziem polskich. Do tego wszystkiego było jeszcze daleko i Zygielbojm sam zrozumiał nierealność swego

projektu, toteż z niego zrezygnował. Tym bardziej jednak wzmożła się jego rozpacz. Projekt wniosku notuję więc tutaj tylko dla oddania stanu zrozumiałej udręki, w jakim znajdowały się mózg i serce Zygielbojma.

Kierownictwo „Bundu” przebywało w Nowym Jorku i do niego należały decyzje. W tym właśnie czasie przebywał w Ameryce premier gen. Sikorski. W dniu 12 grudnia 1942 r. gen. Sikorski wystosował do podsekretarza stanu Sumner Wellesa list, w którym zwracał uwagę na postępującą eksterminację Żydów w Polsce i nawoływał do łącznego protestu rządów sprzymierzonych oraz zapobieżenia dalszym masakrom. Przed opuszczeniem Ameryki i powrotem do Londynu przyjął delegację kierownictwa polskiego „Bundu” w Nowym Jorku, która wręczyła mu memoriał z postulatami, stanowiącymi rozwinięcie wniosków raportu z Warszawy.

Trzy spośród tych postulatów zostały opublikowane w biuletynie *The Ghetto Speaks*, nr 8. Brzmiały one: 1) Poinformowanie narodu niemieckiego, że ukarani będą nie tylko rozkazodawcy, ale także wszyscy biorący bezpośrednio lub pośrednio udział w mordowaniu bezbronnych istot ludzkich. 2) Przebywających na terytoriach Narodów Zjednoczonych obywateli niemieckich o udowodnionej ideologii prohitlerowskiej należy uważać za współodpowiedzialnych za morderstwa popełniane przez Hitlera. 3) Rządy Narodów Zjednoczonych winny ustanowić stałe funkcjonującą wspólną instytucję, zajmującą się ochroną bezbronnej ludności cywilnej w krajach okupowanych przez hitlerowców. Memorandum sugerowało również potępienie antysemityzmu jako karalnego przestępstwa, wykazując — cytując dosłownie z bundowskiego biuletynu — że „ogromna większość Polaków jest przeciwna antysemickiej taktyce polskich reakcjonistów”. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że gen. Sikorski potraktował delegację i złożone przez nią memorandum z największym zrozumieniem i życzliwością.

Kalendarz czynności Rady Narodowej notuje jeszcze, że na posiedzeniu w dniu 17 kwietnia 1943 r. Zygielbojm złożył wniosek w sprawie kroków Rządu Polskiego w związku z akcją eksterminacyjną w stosunku do Żydów, przeprowadzaną przez Niemców. Wniosek odesłano do komisji prawno-politycznej. Następnego dnia rozpoczęło się powstanie getta warszawskiego. Wniosek Zygielbojma został — używając żargonu biurokratycznego — skonsumowany przez rozwój wydarzeń... I życie Zygielbojma zostało skonsumowane przez rozwój wydarzeń. W nocy z 11 na 12 maja 1943 r. zasnął na zawsze, zażywszy nadmierną dawkę środków nasennych.

Adam CIOŁKOSZ

RAPORT PODZIEMNEGO RUCHU ROBOTNIKÓW ŻYDOWSKICH W POLSCE O OSTATECZNYM MASOWYM WYŁĘPIENIU LUDNOŚCI ŻYDOWSKIEJ

Do Żygielbojma, członka Rady Narodowej Rz.P. w Londynie

Jedną z najbardziej palących i wstrząsających spraw, jaka od szeregu miesięcy stała na porządku dziennym nie tylko naszego życia, ale życia ludów i życia Polski na skali międzynarodowej jest sprawa wymordowania przez reżym hitlerowski, całej, wiele dusz liczącej ludności żydowskiej w Europie, której gros bo około 3,5 miliona, żyło w Polsce. Sprawa, która ze względu na swe rozmiary oraz sposób masowego, zorganizowanego traktowania wysuwa się na pierwszy plan życia międzynarodowego. Toteż ona właśnie, oraz wypływające z jej przedstawienia wnioski i postulaty są, obok kilkakrotnych przesłanych komunikatów iskr., przede wszystkim treścią niniejszego do was wystosowanego pisma.

Jednym z celów wojennych reżymu hitlerowskiego, który z najwyższego tronu nazistowskiego, niejednokrotnie przez samego Führera i Goebbelsa był ogłaszany — to zupełne wyniszczenie fizyczne żydowskiej ludności i to wszędzie, pokąd sięga krwawa przepaść — fałszywa. Podczas gdy wszystkie inne cele wojenne przemieniają się ostatecznie w ich przeciwnieństwo i klęska faszyzmu niemieckiego jest nieuchronna — to ten cel — zagłada zupełna — ludności żydowskiej — jest już w całej pełni urzeczywistniona. Na tym odcinku krwawy reżym hitlerowski odnosi zupełne i łatwe zwycięstwo, i mimo swej klęski nikt już tego zwycięstwa, temu już nawet zmiażdżonemu reżymowi wydrzeć nie zdoła. Do tego czasu przestanie istnieć, zostanie, jak zapowiadali hitlerowcy „ausgerottet” ludność żydowska.

Niezbitym dowodem tego są straszliwe w swej potworności cyfry i fakty, w których zawarta jest masowa tragedia ludności żydowskiej, żyjącej pod władzą hitlerowską, a przede wszystkim w Gen. Gubernatorstwie. Bo wprost żywiołowa rozpacza się burza nad społeczeństwem żydowskim w Gen. Gubernatorstwie i szaleje z potęgającym się wciąż nasileniem. Grom po gromie uderza, to jedno miasto, to drugie nawiedzane jest przez owego potwora hitlerizmu. Padają już nie setki i tysiące, ale setki tysięcy. Tracone jest całe społeczeństwo. Giną dzieci, kobiety, dojrzały mężczyźni. Kwiat inteligencji — uczeni — literaci, adwokaci, inżynierowie, lekarze. Giną talenty, energie — instytucje, prace i dzieła wszelkie. Giną masowo i produkcyjne elementy — pracownicy fizyczni i umysłowi.

Błądzą okrucieństwa, stosowane przez katów hitlerowskich w różnych okupowanych przez nich krajach, w porównaniu z tym, co te brunatne bestie wyuczyniają z ludnością żydowską. Ścina się krew w żyłach — stajemy oszołomieni i osłupieni w obliczu tej rzezi — jej surowości i wyrafinowania — okrutnych jej form i metod.

Małe ciosy wymierzane w społeczeństwo żydowskie z różnych stron na przestrzeni jego wiekowych dziejów. Zapadają się w cień nawet owe osławione okrucieństwa Dżyngischanów, Attyłów czy starożytnych Rzymian, fanatyzm średniowiecza i innych krwawych okresów historii ludów. Niemal są idyllą i wydają się nią owe, zresztą same przez się straszliwe, pogromy Żydów, przez rząd carski inscenizowane. To co czynią Niemcy hitlerowskie w stosunku do Żydów przekracza ramy najokrutniejszej krwawej fantazji pod względem metod i rozmiarów okrucieństwa; słowem od szeregu miesięcy odbywa się masowe, koszmarnie misterium śmierci o formach i zasięgu — nieznanym dotychczas w dziejach ludzkich. Ginie cały naród. I wciąż nadchodzą nowe, alarmujące, hiobowe wieści, to z tego to z owego miasta.

Bo akcja trwa wciąż, stale, systematycznie, w zorganizowany celowo sposób. Do czasu wojny niemiecko-sowieckiej położenie ludności żydowskiej pod batem hitlerowskim było również gorsze niż innych ujarzmionych przez faszyzm niemiecki ludów. Ten okres obfitował w różne, niesłychane wprost zarządzenia anty-żydowskie. Eksterminacja na wielką skalę pod względem aprowizacyjnym, gospodarczym, kulturalnym itd., oraz obozy koncentracyjne i dziesiątki i setki ofiar to ówczesny chleb codzienny ludności żydowskiej w Polsce, a na terenach Rz.P. przyłączonych do Reichu, z Łodzią na czele, ludność żydowska jeszcze znacznie okrutniej była traktowana.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej zaczął się etap drugi. Masowe rozstrzeliwania Żydów na terenach opuszczonych przez Sowietów — na Wileńszczyźnie, Kresach, w Wschodniej Małopolsce; w wielkich miastach i miasteczkach, i w mniejszych osiedlach, następowały jedno po drugim — płynęły nieprzerwanym nurtem; Wilno, Stanisławów, Tarnopol, Kołomyja, Stryj, Lwów i cały szereg mniejszych ośrodków były terenem niebawomych, dotychczas nawet przez bandy hitlerowskie niestosowanych mordów masowych. I ciągnęły się one systematycznie, raz z większym raz z mniejszym nasileniem. Okres ten pochłonięły setki tysięcy ofiar. Wreszcie nastąpił okres trzeci, w którym ta masowa likwidacja dalszych, już zdiesiątkowanych części społeczeństwa żydowskiego — objęła także tereny znajdujące się pod niemiecką okupacją od czasu wojny niemiecko-polskiej i resztę wschodnich połaci kraju. Ta akcja niszczyielska, rozpoczęta całkowitym zlikwidowaniem kilkunastotysięcznej ludności żydowskiej Lublina trwa obecnie i zatacza wciąż nowe kręgi. Najpotężniejszym ogniwem w tym potwornym łańcuchu rzezi — to 400.000 getta Warszawskiego, z którego kaci hitlerowscy wyrwali dotychczas około ćwierć miliona ofiar. „Akcja” ta trwa nadal. Kosa śmierci pracuje nieustraszenie. Wciąż, bez ustanku, masowo.

Już poprzednio wysłaliśmy komunikaty ze szczegółowymi danymi cyfrowymi, dotyczącymi dziesiątek miast i miasteczek Wschodniej Małopolski, oraz byłej Kongresówki w przedmiocie rozmiarów i form rzezi Żydów. Na podstawie aproksymalnych zestawień szczegółowych, ostatnich danych łącznie z danymi za poprzednie okresy akcji, dojść można do następujących ogólnych cyfr tragicznych. Z około trzy i pół miliona Żydów Rzeczypospolitej, może pół miliona wywiezionych zostało przez Sowietów w głąb Rosji podczas akcji „wywózkowej” w roku 1940. Z pozostałych około trzech milionów zginęło z głodu i epidemii wywołanych na umyślnie i planowo wytworzonymi przez Niemców warunkami getta — parę setek tysięcy Żydów. Ponadto około pięć ćwierci do jednego i pół milionów Żydów uległo tej przez reżym hitlerowski zorganizowanej masowej rzezi. Pozostało zatem jeszcze przy życiu około 1 mil. do pięć ćwierci mil. Żydów.

Na podstawie opisów z poszczególnych miast i miasteczek, a przede wszystkim na podstawie przebiegu akcji w większych miastach, szczególnie zaś w warszawskim getcie obraz „akcji” i jej metod przedstawiają się następująco:

— akcję prowadzi specjalna kolumna niszczyielska tzw. „Vernichtungskolonnen”, niezależna od władz miejscowych i dyrygowana wprost z Berlina przy pomocy S.S., Gestapo, S.D., oraz Szaulisów, Łotyszów i Litwinów. Gracze zamknięte murami, czy też jeszcze otwartych gett obstawione są uzbrojoną policją lub wojskiem. Wewnątrz zaś jeżdżą auta ciężarowe z uzbrojonymi bandytami, którzy strzelają z karabinów i z karabinów maszynowych do ludzi i domów. Ulice wciąż zasłane trupami. Akcja ta nosi nazwę przesiedlenia. „Umsiedlung” nieproduktywnej ludności gett do rzekomych innych miejsc, obozów pracy itd. Jest to jednak wyrafinowany podstęp, mający na celu uspić czujność i zabić każdy zarodek ewentualnego oporu czynnego. W rzeczywistości jest to w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, wysyłanie na śmierć. Uchronionymi od wywózki, więc od śmierci, miały być elementy

produkcyjne i ich rodziny, członkowie i urzędnicy Rady Żydowskiej i ich rodziny, oraz policja żydowska i ich rodziny. Ma to na celu zainteresowanie jednych, by pomagali w „przesiedlaniu”, więc wysyłaniu na śmierć innych. Następnie atoli idzie akcja przeciw poprzednim itd. aż koło tych co mają pozostać przy życiu jest coraz ciśniejsze.

W getcie warszawskim, ma w ten sposób pozostać z cyfry pierwotnej 400.000 względnie pozostałej (po przeprowadzonej 4-rotgodniowej akcji przesiedleniowej) ostatniej cyfry 150.000, tylko 25.000-30.000 pracujących Żydów, robotników w olbrzymich zakładach niemieckich Schultza i Tebensa, oraz dla Wehrmachtu. Podobnie jak z 60-80 tys. ludności żydowskiej w Lublinie pozostało jedynie około 4.000 robotników bez rodzin, którzy mieszkają w Majdankach pod Lublinem. Lecz i te pozostałe produkty dla władz niemieckich elementy czeka ten sam los zatracenia. „Przesiedlono” więc na przód sierocińce, internaty, domy starców, szpitale, więzienia. Następnie blokowe domy i ulice całe skąd spędzano na plac zborny materiał na rzeź. Stąd tych skazańców pakuje się wprost do wagonów ciężarowych. Ścisł w nich i brak powietrza, oraz wyziewy tak straszne (spełnianie naturalnych potrzeb w wagonach), że przy wyładowaniu na miejscu kaźni — zawsze kilkadziesiąt lub nawet kilkaset trupów się wyrzuca. Zrazu — rozstrzeliwano na pobliskim cmentarzu żydowskim lub innych miejscach starców, chorych, kaleki i dzieci poniżej lat 12. Następnie już wszystkich ładowano do wagonów i na miejscu samym likwidowano. Pewnego dnia zarządzili kaci hitlerowscy, że wszystkie pozostałe dzieci getta warszawskiego mają być dostarczone na plac zborny dla „przesiedlenia”.

Przy wagonowaniu „przesiedleńców” wyławia się młodzież obojga płci, zdrową, zdolną do pracy i tę wysyłają do obozów pracy, gdzie wśród okrutnych warunków pracy, głodu i tortur, pędzi ona żywot kończący się szybką śmiercią. Jest to minimalny, bo zaledwie kilka procent wynoszący ułamek całej ludności na śmierć bezpośrednią nie idący. Pociągi odchodzą do obozów w Tremblince, Bełżcu, Sobiborze (pod Włodawą) i innych. W drodze są ci „przesiedleńcy”, ograbiiani przez straż ukraińską, litewską, lub niemiecką, z kosztowności i rzeczy, które zarządzenie oficjalne pozwalało im zabrać ze sobą. W obozach tych odbywa się masowe trącenie po uprzednim rozebraniu skazańców do naga. Trącenie to odbywa się za pomocą rozstrzeliwań, w komorach gazowych lub opróżnionych z powietrza, albo prądem elektrycznym, a ciała pomordowanych wrzuca się do olbrzymich dołów, wykopanych przez samych skazańców, lub przez mechaniczne bagry, które również doły te zasypują. Często i żywych zakopuje się w tych dołach, gdy jest materiału za dużo. W wielu wypadkach wpakowywano skazańców — przesiedleńców do wagonów już chlorowanych, w których jeszcze przed ich nadejściem do celu, tj. do miejsca trąceń, dusili się oni na śmierć. Ubrania po czynności są magazynowane przez władze niemieckie.

W Sobiborze, gdzie znajdowały się państwowe polskie zakłady impregnacyjne progów kolejowych, z ciał pomordowanych wytipa się tłuszcz, oraz wiele się ich kości na mączkę dla celów przemysłowych. — W niektórych okolicach na zarządzenie władz muszą technicy dentyści wyrywać pomordowanym z uśmiechu złote zęby i korony.

W samych zaś gettach, w których z powodu ograniczonego dowozu żywności i drakońskich zarządzeń — panuje głód — środki żywności są o wielokroć droższe, niż w innych nieżydowskich dzielnicach. W getcie warszawskim dochodziła cena bochenka chleba do wysokości 80-100 zł, 1 kg. kartofli 30-40 zł., a masło 250 zł., podczas gdy poza murami gett chleb kosztował 12-15 zł., kartofle 3-4 zł., a masło 120 zł. Zresztą żywności tej otrzymać nie można. Panuje przeto w gettach nastrój napięcia nerwowego, nieopisanego lęku — beznadziejna rozpacz. Totcz częste są wypadki pomieszczenia zmysłów, oraz samobójstwa. Zdarzają się wypadki, że rodzice trują dzieci,

a dzieci rodziców, byle by nie wpaść w paszczę rozjuszonej bestii hitlerowskiej.

Były tu i ówdzie objawy czynnego oporu. Domy się barykadowały, w niektórych miastach np. w Nieświeżu był opór zbrojny. — Te oznaki oporu kończyły się likwidacją na miejscu. Masowego oporu jednak nie ma na skutek perfidnie przez Niemców szerzonej iluzji, że to tylko „przesiedlenie”.

Jest to również rezultatem świadomości mas o stosowaniu przez zbirów hitlerowskich zasady zbiorowej odpowiedzialności, na skutek której wszyscy natychmiast zostaliby straceni, a ci, którzy by chcieli stawiać ten czynny opór, stają przed tragicznym dylematem, czy narazić innych, którzy by się może mogli przeciw utrzymać przy życiu. W końcu świadomość braku reżonu u zagranicznych sprzymierzonych w pierwszym rzędzie, oraz brak nadziei na pomoc z zewnątrz murów getta w ewentualnym wystąpieniu czynnym ludności żydowskiej, dopełnia tę czarę masowego odchodzenia z tego świata bez masowego oporu.

Zmaltretowana, zgnębiona, zmiażdżona różnymi od trzech lat działaniami okrutnych zarządzeń niemieckich, zamknięta w więziennych murach gett, obstawiona policją, wojskiem i żandarmerią, otoczona karabinami maszynowymi, otoczona atmosferą bezprawia, grozy i śmierci, bez nadziei pomocy skądkolwiek — w tak tragiczny sposób ginie całkowicie. Uświadomiona część robotników żydowskich i inteligencji uświadamiała sobie konieczność czynnego oporu mimo, iż w rezultacie celowo i świadomie przez władze niemieckie wytworzonej w samym getcie i dokoła niego atmosfery i sytuacji, opór taki nie byłby na większą skalę skuteczny.

(W ostatniej chwili otrzymałem wiadomości ze Lwowa i innych miast, gdzie właśnie toczy się akcja „przesiedleńcza”, więc je rejestruję niniejszym dla pełniejszego obrazu chwili obecnej).

LWÓW

Po dłuższym okresie kilkakrotnie powtarzających się „akcji” opryszków hitlerowskich na terenie żydowskim we Lwowie, co w konsekwencji pociągnęło za sobą w sumie stratę około 35 tysięcy Żydów (zwłaszcza w tzw. „akcji pod mostem”, gdzie łapano głównie starców), przystąpiły centralne czynniki SS i Gestapo przed 3-ma tygodniami do radykalnego wytępienia Żydów. Jeśli w poprzednich akcjach przestrzegana była przynajmniej z pozoru — zasada, że należy wyłapywać elementy, z hitlerowskiego punktu widzenia, nieprodukcyjne oraz ich rodziny, to obecnie tę zasadę prawie zignorowano, „wysiedliwszy” około 55-60 tysięcy Żydów. Chwilowo z branki zwolniono — pod naciskiem Wehrmachtu — robotników bezwzględnie z punktu widzenia potrzeb wojska, niezbędnych. Pracujące i zorganizowane z rozmachem na modłę amerykańską, tzw. „Miejskie Warsztaty” podległe bezpośrednio kierownictwu Stadthauptmanna, straciły ze swojej 3 i pół tysięcznej licznej załogi 2.800 osób, w tym najtęższych fachowców, organizatorów m.in. prawie cały personel lekarski i sanitarny. Porwane zostały dzieci ze wszystkich istniejących sierocińców, przeważnie sieroty pozostałe po wymordowaniu w poprzednich akcjach ludzi. Szpitale — trzy — zostały opróżnione ze wszystkich nawet najciężiej chorych. Nawet chorzy ze Szpitala Żakańskiego — choć na tyfus plamisty i inne zakaźne choroby — „wywiezieni” zostali w... nieznane, a z nimi prawie wszyscy lekarze, siostry, sanitariuszki, dyrekcja etc. Garnitur lekarski dwu poliklinik w liczbie około 30 osób został również schwytany (część lekarzy już się widziało w baonach pracy, pracujących w charakterze pracowników fizycznych). Oczywiście jeszcze surowiej obchodzono się z resztą inteligencji i z innymi zawodami.

O ile wspomina się w tym zestawieniu tyle o lekarzach, a wzięto ich

dotąd około 200 — to głównie dlatego, że po raz pierwszy we wspomnianych akcjach, element lekarski, do pewnego stopnia dotychczas premiowany, został zrównany pod względem wartości „użytkowej” z resztą Żydów. Co do losu tych wywiezionych da się jedynie ustalić, że mężczyźni w sile wieku kierowani są do poszczególnych obozów pracy przymusowej, gdzie w warunkach drakońskiej dyscypliny i bestialskiego maltretowania giną z głodu i z wycieńczenia, bądź zostają za najłżejsze przewinienia, lub z powodu choroby rozstrzelani. W Janowskim np. obozie we Lwowie (liczącym około 5-6 tysięcy ludzi) tacy komendanci obozu jak Rokita, Wildhauss i Gebauer, rozstrzelują dziennie około 15-30 osób. Zajęci tam dentyści wyrrywają głównie nieboszczykom zęby ze złotymi koronami. Część silniej zbudowanych kobiet posyła się rzekomo na roboty w pole, resztę, zwłaszcza dzieci, starców i większą część kobiet posyła się na stracenie w drodze rozstrzelania z karabinów maszynowych lub wytruwania po uprzednim rozebraniu ich do naga. Już nie mówiąc o wielokrotnych kontrybucjach, jakie tego rodzaju akcje poprzedzają, pod koniec każdej akcji (zwłaszcza ostatniej) odbywa się regularny rabunek pozostałego — przeważnie skromnego — mienia i ruchomości wywiezionych Żydów. Dla pozostałych 20 tys. Żydów (a było ich z chwilą wkroczenia Niemców do Lwowa około 120 tys.) wydzielono na przedmieściu Lwowa mały, zaniedbany i urągający wymaganiom higienicznym teren.

Jeszcze potworniej jeszcze brutalniej, w drodze rozstrzelania tzw. „wywózkowej” ludności, wprost na ulicy, na podwórzu, w mieszkaniu (Tarnów — 6.000), najczęściej na rynku lub cmentarzu (np. w Stanisławowie kazano urzędnikom kahalnym wybudować i urządzić na cmentarzu kiosk z bufetem dla oddziałów egzekucyjnych w wigilię masowego rozstrzelania). Stracono wówczas około 3.000 Żydów.

MSZANA DOLNA

Z liczącej około 2.000 Żydów gminy pozostało przy życiu 150 osób. Resztę, w tym 2 lekarzy, rozstrzelano po wykopaniu przez ofiary głębokiego rowu. Wszystko to odbyło się w ciągu niespełna 4-6 godzin. Podobne rzezie miały miejsce w Samborze, Mielcu, Rabce, Rohatynie i wielu innych miejscowościach Małopolski.

Ostatnio Wieliczka była widowiskiem analogicznych scen. W Bochni tuż przed akcją spalono Warsztaty Miejskie, będące chlubą zachodniej części Małopolski, o czym się nawet prasa hitlerowska rozpisywała. Podobnie jak rozpisywała się o jeszcze większych zakładach produkcyjnych w Warszawie i innych miastach b. Kongresówki.

W czasie akcji przesiedleńczej getta warszawskiego, zlikwidowane zostały w ciągu kilku godzin getta Otwocka, Falenicy oraz Miedzeszyna, przy czym zastywające sławy w całym świecie pedagogicznym, znane sanatorium dla dzieci im. Medema również zostało całkowicie zlikwidowane przy czym ofiarą padło 250 dzieci wraz z większością personelu lekarskiego, pielęgniarskiego i pedagogicznego. Ostatnio podobna akcja „przesiedleńcza” szalała w ciągu kilku godzin w Radomiu, Mińsku Mazowieckim, Siedlcach itd.

Tylko drobne grupy z tego olbrzymiego pożaru masowych rzezi zdołały się uratować. Ale i je czeka los tragiczny, bo brak środków do życia i możliwości zarobku zagna je prędzej czy później w objęcia śmierci. Jasno odcinają się liczne objawy szlachetności, pomocy wzajemnej i cichego bohaterstwa. Matki, które odrywano od dzieci, szły za nimi na śmierć. Dzieci za rodzicami. Działacze w sierocińcach, internatach itp., jak Korczak, jak przeważająca część personelu wychowawczego i lekarskiego w sanatorium Medema w Miedzeszynie mimo, iż mogli się ratować, szli za swymi dziećmi i na własną ofiarę śmiertelną.

Ale w tej chwili nie czas o tych sprawach mówić szerzej. Na pierwszy plan wysuwa się sprawa najpilniejsza, najbardziej piękna, najistotniejsza, sprawa ratowania od śmierci reszty jeszcze przy życiu pozostałego społeczeństwa żydowskiego, rozrzuconego po różnych miastach i miasteczkach, a która jest przedmiotem systematycznie codziennie dokonywanej się zorganizowanej wyjątkowej „akcji” hitlerowskiej.

Chodzi o ratowanie 1 do 1 i pół miliona żyjących jeszcze Żydów

O ratowanie ich od niechybnej śmierci. Zmarłych, zamordowanych, na śmierć sturutowanych już się nie wskrzesi. Trzeba ratować żywych! I to jest najsilniejszy imperatyw, wyrrywający się z serc żyjących jeszcze. I to wołają też zza masowych grobów te setki tysięcy Żydów, około półtora miliona ofiar wyrwanych ze społeczeństwa żydowskiego przez faszyzm hitlerowski.

Bez skutku i znaczenia są powzięte uchwały i postanowienia ukarania morderców hitlerowskich po wojnie, bo zanim to się stanie, cała pozostała jeszcze przy życiu część żydowskiego społeczeństwa, a nawet te, z punktu widzenia interesów niemieckiego Wehrmachtu żydowskie elementy wybitnie produktywne i pożyteczne — zostaną bez śladu wytępione i pozostanie tylko jedno cmentarzysko gigantyczne, w którym spoczywać będzie kilka milionowa społeczność żydowska.

Konieczne są czyny i to natychmiastowe i skuteczne!

Uświadamiamy sobie znakomicie i jesteśmy tego pewni, i w tej pewności niezłomni, że reżym hitlerowski, a z nim i jego satelici zostaną doszczętnie zniszczeni, a w ich miejscu budować będziemy nowy świat, a szal, z jakim hulają bandy hitlerowskie we wszystkich okupowanych krajach, a przede wszystkim na odcinku żydowskim, jest bodaj że jednym z objawów nieomyślnych zmierzchu wojującego hitlerizmu i nie akt rozpacz czy rezygnacji dyktuje powyższe słowa, ale niezależnie od czysto ludzkich względów wola silna, wola niezłomna, by i społeczeństwo żydowskie — twórce, produktywne elementy w szczególności, mogły współdziałać przy tworzeniu nowego świata i nowego życia.

Poruszenie tu sprawy wyłącznie eksterminacji ludności żydowskiej jest przeto podyktowane nie jakimś — obcym nam zresztą — nacjonalizmem, mamy bowiem otwarte oczy na obecne o olbrzymim zasięgu społeczno-politycznym i gospodarczym problemy świata i konieczność ich rozwiązania w myśl narzucających się sformułowań obecnych, ale tym, że sprawa ta — ta rzeź żydowska — jest nawet na tle wielkich okrucieństw wobec wszystkich okupowanych krajów i wobec historii bez jakiegokolwiek precedensu, oraz z uwagi na konieczność natychmiastowego ratunku tych pozostałych setek tysięcy, które są przez faszyzm niemiecki skazane na śmierć.

W konsekwencji powyższego szkicu-obrazu masowej tragedii w oczach naszych się rozgrywającej na społeczeństwie żydowskim narzucają się następujące:

Wnioski:

1) Konieczność natychmiastowej retorsji wobec Niemiec na terenie wszystkich państw sprzymierzonych z zagrożeniem natychmiastowych dalszych odwetów w razie kontynuacji rzezi ludności żydowskiej, uważać bowiem należy ten akt retorsji jako akt działania nie politycznego, ale strategicznego, gdyż to, co czynią władze niemieckie z ludnością żydowską jest wojną, wojną sui generis, w której jedna strona — banda hitlerowska — jest uzbrojona od

stóp do głów, a druga — ludność żydowska — została przez nią wyrafinowanie, perfidnie i ostatecznie obezwładniona, jako całkowicie rozbrojona i bezsilna stała się przedmiotem bezprecedensowych, okrutnych i podstępnych działań wojennych rycerzy spod znaku Hitlera. Społeczeństwo żydowskie, jako jeden z drobnych członków wielkiej rodziny sprzymierzonych ma prawo żądania od reszty sprzymierzonych bezzwłocznej i skutecznej pomocy w tej nierównej wojnie.

2) Skierowanie przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej i Radę Narodową do wszystkich wolnych społeczeństw świata apelu z przedstawieniem potworności hitlerowskich dokonywanych na ludności żydowskiej pod jarzmem faszyzmu niemieckiego będącej i wezwanie odnośnych rządów do natychmiastowej akcji retorsyjnej (zgodnie z p. 1).

3) Wezwanie przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej i Radę Narodową skierowane do społeczeństwa polskiego w kraju do udzielania wszelkiej pomocy ludności żydowskiej.

4) Apel do klasy robotniczej (fizycznej i pracowników umysłowych i inteligencji pracującej) całego świata z przedstawieniem rzezi dokonywanej na ludności żydowskiej i wezwaniem, by wywarła nacisk na swe rządy w kierunku postulatu ad 1). W szczególności chodzi też o zwrócenie się w tym samym celu do klasy robotniczej Związku Sowieckiego, w którym znajduje się znaczna ilość jeńców niemieckich, wojskowych i cywilnych.

5) Poinformowanie dokładnie społeczeństwa niemieckiego o faktach rzezi.

6) Przesłanie przez władze oficjalne wydanej pomocy materialnej dla pozostałej ludności żydowskiej, zupełnie spauperyzowanej i zdanej na śmierć głodową.

Podpis

Warszawa, 31. VIII. 1942.

Kronika kulturalna

Ostatnie dzieło Walickiego

Polska sztuka, zwłaszcza epok bardziej odległych, jest na ogół „drogim nieobecnym” w podręcznikach czy syntetyzujących monografiach wydawanych poza granicami Polski.

Stosunkowo jeszcze najwięcej wzmianek o niej znajdujemy w dawniejszych wydawnictwach niemieckich, ale przeważnie w postaci najłagodniej mówiąc — jednostronnej. Głównym przedmiotem zainteresowania autorów było tu, często oparte na nader hipotetycznych przesłankach, przedłużanie „niemieckiego kręgu kulturowego”.

Zmianę, choćby częściową, tego stanu rzeczy mogło przynieść jedynie opublikowanie znacznego i reprezentatywnego repertorium polskiej sztuki średniowiecznej dokonane w sposób dający rzeczywisty obraz jej wartości artystycznych.

Dzieła tego dokonał w ostatnich latach swego życia Michał Walicki, historyk sztuki, którego przedwczesne odejście nie zostało wprawdzie skwitowane w Polsce milczeniem, ale też trudno chyba liczyć aby obecna, druga jego rocznica znalazła należyty jej wyraz i przypomnienie.

W istocie bowiem dzieła Walickiego w najbardziej nawet karłowaty sposób nie można zaliczyć do dziedzictwa „okresu władzy ludowej”. Wszystko czego zdołał dokonać w powojennym okresie zostało osiągnięte mimo wszelkich możliwych przeszkód łącznie z wieloletnim pobytem w politycznym więzieniu „minionego (?) okresu”, któremu też w głównej mierze należy przypisać przedwczesną śmierć w pełni wieku i sprawności intelektualnej rokujących jeszcze długie lata twórczości. Niestety zrujnowane zdrowie i coraz bardziej ciężąca nad życiem intelektualnym presja „neostalinizacji”, dyktowanej przez szybko odzyskujących swą poprzednią pozycję partyjnych „dyrygentów nauki” tworzyły stan ustawicznego napięcia, znajdującego swój ostateczny wyraz w katastrofie.

Szczęśliwym jedynie biegiem wydarzeń dzieło ostatnich lat znajdowało się już poza zasięgiem możliwości jego unicestwie-

nia. Synteza lat pracy, studiów, pasji badawczej i ogromnej kultury humanistycznej została udostępniona, zapewniając należne miejsce nie tylko osobistemu dziełu autora, ale znacząc też ogromny krok naprzód w udostępnieniu dziedzictwa polskiej kultury.

To co uznać należy za najistotniejszy rys Michała Walickiego było tak dziś rzadką w świecie polskiej nauki osobowością łączącą w sobie w równej mierze walory twórczego intelektu z charakterem dla którego racje moralne były zawsze przed racjami koniunkturalnego wyboru.

Nie ułatwiało to z pewnością życia, szczególnie w „rzeczywistości Polski ludowej”, ale zapewniało Walickiemu autorytet o którym na próżno mogli marzyć inni przedstawiciele uniwersyteckiej humanistyki.

Znajdowało to też pełny wyraz w efektach jego pedagogicznej działalności, zarówno przedwojennej, rozpoczętej w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, jak później na Uniwersytecie Warszawskim. Młodzież studencka, zwłaszcza pierwszej z tych uczelni, jest dla wykładowcy trudną „klientelą”. Nastawiona praktycznie, traktująca wszelkie przedmioty „teoretyczne” jako balast nie bardzo wiadomo pociągający tok studiów, miała też najczęściej niezbyt zachęcające doświadczenia ze strony wykładowców owych przedmiotów, przeważnie starszych, kulturalnych panów mających miłe osobiste wspomnienia z muzeów całej przynajmniej Europy, prawiących piękne anegdotki o „tajemniczym uśmiechu Giocondy”, ale na tym też kończących swą wiedzę o sztuce.

Walicki był ich oczywistym przeciwieństwem, jak również innego typu „intelektualisty” owej epoki, owych „światowców” patrzących na wszystko „z perspektyw głównych stolic”, mających znakomitą międzynarodową orientację we wszystkich „wielkich sprawach świata tego”, władających co najmniej sześcioma językami, ale od siebie nie mających w żadnym z nich nic do powiedzenia.

Walicki potrafił przełamać tę passę złych tradycji i zaszczerpieć w swych uczniach prawdziwe zrozumienie wartości sztuki przeszłości, umiejętność patrzenia na nią jako na źródło inspiracji własnej twórczości. Wywierał tu przemożny wpływ wyzwalający dyspozycje twórcze uczniów, często wskazując im też najważniejszy kierunek działania, stanowiący pole efektywnej pracy badawczej.

Stosunek Walickiego do jego uczniów jest szczególną kartą jego działalności dyktowaną w pierwszym rzędzie bezinteresownością i dobrem nauki. Najdalszy był tu od tak rozpowszechnionego dziś typu profesora — „feodała”, będącego prawdziwą plagą polskiej nauki, starannie utrącającego wszystkie autentyczne talenty a forującego miernoty i „potakiwaczy”. Przysiąc zresztą trzeba, że typ ten dominuje w szczególnej mierze wśród partyjnych „administratorów nauki”, od których Walicki był pod każdym względem jak najdalej.

Posiadał też dar rzadki i szczególny, nieodłączny chyba od prawdziwej wielkości, jakim jest wolność od przynależności do swego tylko pokolenia — obciążenia jego mentalnością.

Nie będąc bynajmniej „przyjacielem młodzieży” stale wśród autentycznych i bliskich przyjaciół miał swych studentów lub niedawnych absolwentów, z którymi w sposób bezpośredni i naturalny znajdował zawsze wspólny język nie tylko w sprawach nauki.

Podobnie jak do wieku, nie przywiązywał też wagi do posiadanych stopni akademickich. To co się dlań liczyło — to siła osobowości i talent w których ocenie mylił się niezwykle rzadko. Nie miał też żadnych irracjonalnych uprzedzeń. Siłą faktu ludzie będący w najbliższym kręgu jego oddziaływania w większości szli jego śladami specjalizując się w badaniu sztuki średniowiecza. Walicki w tej dziedzinie stworzył niewątpliwie szkołę i to bynajmniej nie tylko w sensie bezpośrednio akademickim. Być może oddziaływanie jego licznych prac było tu czynnikiem jeszcze bardziej istotnym niż działalność dydaktyczna. Bez Walickiego trudno w istocie wyobrazić sobie krystalizację takich osobowości polskiej mediewistyki jak Białostocki czy Zofia Rozanow.

Ale wokół niego skupiali się nie tylko mediewiści — nie brakło tam też badaczy epok późniejszych, zwłaszcza baroku, który w tak bogaty i szczególny sposób zapisał się w dziejach polskiej kultury. Walicki był bowiem w pierwszym rzędzie historykiem polskiej przeszłości artystycznej, a jednocześnie skupienie się niemal wyłącznie na jej zagadnieniach nie oznaczało dlań rezygnacji z „europejskości”, ani też wąsko pojętej apologetyki „ku pokrzepieniu serc”.

Celem jego pracy było dotarcie do źródeł, tak jednocześnie bogatych i złożonych, kultury duchowej późnego średniowiecza, znajdujących tak bardzo szczególne odbicie w polskiej twórczości gotyku, której zabytki znał jak mało kto. W interpretowaniu ich daleki był tak od przesadnej „wpływowologii” doszukującej się w każdym zabytku polskiej sztuki echa Zachodu, jak od izolacyjnego traktowania jej w oderwaniu od międzynarodowego kontekstu. Pierwszy też szukał jej odniesień nie tylko w stosunku do odległych centrów gotyku zachodniego, ale też w środowiskach sąsiednich: Czech, Węgier i południowo-wschodnich Niemiec osiągnął w tej dziedzinie naświetlenie wielu problemów nad których rozwiązaniem na próżno trudzili się nieraz poprzednicy.

Jednocześnie też szeroko naświetlił inne, nader interesujące zagadnienie jakim jest współistnienie w polskim malarstwie XV stulecia elementów „łacińskich” i „greckich” (wedle terminologii tamtych czasów).

Zagadnienia te dominowały zwłaszcza we wczesnych publikacjach poświęconych freskom wykonanym z fundacji Jagielly w kaplicach lubelskiego zamku, w sandomierskiej kolegiacie czy na Wawelu. Podobnie istotne znaczenie miały późniejsze studia nad architekturą romańskiej kolegiaty w Tumie pod Łęczycą,

jednym z najkapitałniejszych zabytków polskiej sztuki romańskiej.

Wreszcie niejako podsumowaniem tej działalności są publikacje reprodukcji średniowiecznej plastyki „Malarstwo Polskie” (Auriga 1962) oraz monumentalny album reprezentujący Polskę w kolekcji UNESCO (POLOGNE — La peinture du XV^e siècle) (1964).

Zwłaszcza te dwa ostatnie dzieła stanowią kamień milowy — one bowiem po raz pierwszy w sposób celowy i systematyczny dają przekrój zabytków malarstwa polskiego gotyku. Są też one punktem wyjścia dla dalszych uzupełniających obraz publikacji, oraz dają międzynarodowemu środowisku badaczy możliwość uzupełnienia syntetycznych opracowań brakującym ogniwem polskiej sztuki.

Zasadniczą wartością obu tych publikacji jest doskonałość techniczna reprodukcji, tak trudna do osiągnięcia, a jednocześnie istotna ze względu na kolorystyczne bogactwo malarstwa tamtej epoki, będące jednym z podstawowych elementów jego artystycznej ekspresji.

Warto też podkreślić, że pierwsza z omawianych pozycji zamknęła wieloletnią działalność „Oficyny Auriga”, będącej pierwszą w Polsce w pełni udaną próbą stworzenia wydawnictwa wyspecjalizowanego w wydawaniu reprodukcji dzieł sztuki.

Mimo skromnych możliwości technicznych (przemysł poligraficzny jest w Polsce jedną z dziedzin będących przedmiotem rażących i systematycznych zaniedbań) realizowana przez wiele lat seria „Klejnoty Sztuki Polskiej” ma epokowe znaczenie dla upowszechnienia jej zabytków. Niestety wydawnictwo to padło ofiarą już początkowej fazy „neostalinizmu” pociągając za sobą śmierć Rafała Glucksmanna, jego założyciela i dyrektora.

Szczerliwemu trafowi zawdzięczamy, że oba ostatnie dzieła Walickiego zdołały ujrzeć światło dzienne dosłownie „za pięć dwunasta”...

Z historycznego punktu widzenia publikacje te były przedsięwzięciem niezwykle trudnym, szczególnie przy założeniu ich możliwie pełnej reprezentatywności. Z jednej bowiem strony jest oczywiste dążenie autora do ukazania materiałów o możliwie wysokiej wartości artystycznej, z drugiej jednak jego dobór musiał być podporządkowany chronologii i przesłankom stylistycznym. Oba te względy nastroczały wiele problemów. Z jednej bowiem strony szczególne nasilenie twórczości gotyckiego malarstwa było zjawiskiem równoległym w wielu centrach „łacińskiej” Europy, z drugiej polskie zachowane jego zabytki obejmują epokę dosyć chronologicznie ograniczoną — od początku XV po pierwsze dwudziestolecie XVI stulecia.

Burze dziejowe, ale niewątpliwie w większej jeszcze mierze ustawiczne dostosowywanie wystroju wnętrz kościelnych do zmiennych wymagań estetyki sprawiło że z bogactwa twórczości polskiego gotyku przetrwały fragmenty. Wspaniałe, wielopłaszczyznowe ołtarze wędrowały w XVII i XVIII wieku w najlep-

szym razie do prowincjonalnych kościołów, częściej ulegając po prostu zagładzie.

Żałować dziś musimy że tradycja zachodnia nie знаła typowej dla wschodniej teologii sakralizacji obrazów, uważanych zgodnie z doktryną św. Jana z Damaszku za mistycznego pośrednika między przedmiotem a podmiotem modlitwy, czemu też w głównej mierze możemy przypisać zachowanie w świecie prawosławnym tak wielkiej stosunkowo ilości dawnych ikon.

To jednak co dziś posiadamy z dziedzictwa polskiego gotyku stanowi przedmiot nielada wartości, którego analiza ukazuje różnorodność postaw i tendencji stylistycznych.

Ich opis i szczególnie interesującą interpretację znajdujemy w przedmowie oraz wstępie w które zaopatrzone tom wydany w serii UNESCO. Teksty wprowadzające francuskiego historyka René Huyghe (członka Akademii) oraz Michała Walickiego tworzą wzajemny kontrapunkt dający czytelnikowi nader pouczające naświetlenie tych samych problemów z polskiego i zachodniego punktu obserwacji. Łącznym ich celem jest wyjście poza dziewiętnastowieczne formuły „szkół narodowych” i „prymitywów” skonstruowane na podstawie bardzo niepełnej znajomości źródeł i tendencji do przedwczesnej syntezy.

Oczywiście najistotniejsze jest tu studium Walickiego będące wyczerpującą charakterystyką polskiego malarstwa ołtarzowego XV wieku, kreślące w znakomity sposób jego ewolucję, wyjaśniając genezę zjawisk stylistycznych i ich przekształcanie w kontekście zmian jakim podlegało w tym okresie polskie społeczeństwo i co za tym idzie jego kulturalny wyraz.

Zabytki których reprodukcjom poświęcony jest album służą jako ilustracja omawianego procesu historycznego, wraz z kilkoma uzupełniającymi je reprodukcjami czarno-białymi wprojekowanymi w tekst omówienia.

Uwypuklając w szczególnej mierze wartości artystyczne polskiego gotyku odzwierciedla Walicki ewolucję jego stylu — stałe współgranie elementów własnej tradycji absorbującej i asymilującej różnorodne impulsy docierające nieraz bardzo skomplikowanymi szlakami ze środowisk zagranicznych przekazujących zarówno swe własne tradycje jak elementy czerpane ze sztuki kręgów bardziej odległych, w pierwszym rzędzie kultywujących sztukę bizantyjską.

Na szczególne podkreślenie zasługuje tu wiązanie stylu sztuki z przemianami społecznymi, w pełni przy tym udokumentowane, dalekie od uproszczeń i „socjologicznego fantazjowania” neostalinowskich „marksistów”.

Świetnie zarysowane jest zwłaszcza przejście wraz z osiągnięciem dominującej pozycji w drugiej połowie XV stulecia przez mecenat patrycjatu wielkich miast od abstrakcyjnego intelektualizmu i estetyzującej stylizacji, ustępując miejsca dekoracyjności i realizmowi ostatniej fazy gotyku którym w sukurs przyszły wzory czerpane ze sztuki niderlandzkiej, szczególnie silne w Gdańsku i Krakowie.

Walicki z jednakowym znanstwem i zamiłowaniem analizuje zabytki pierwszego okresu znajdujące tak ciekawą postać w twórczości malarzy Szkoły Sąddeckiej — „Polskiej Sieny”, jak też dzieła późnego gotyku, znajdującego kapitalny wyraz w jednym z arcydzieł tego okresu — monumentalnym „Wniebowstąpieniu” Franciszka z Sieradza, zdobiącym dziś wrocławską katedrę.

Kolekcję zamykają malowidła utrzymane w formie stworzonej przez gotyk (ołtarz wielopłaszczyznowy), ale pod względem przedstawienia tematu zdecydowanie wkraczającego w renesans z jego naukowo traktowanym studium malarskiej perspektywy.

Styl ten ilustrują w szczególnej mierze ołtarz „Legendy św. Jana Jąłmużnika” z krakowskiego kościoła augustianów oraz monumentalny ołtarz kościoła dawnej rezydencji biskupiej w Bodzentynie koło Kielc, dzieło Marcina Czarnego, przetwarzające w nowy sposób wizję mariackiego ołtarza Wita Stwosza.

Walicki nie poprzestaje tu zresztą na analizie zabytków znajdujących się na terenie Polski. Po raz pierwszy chyba podjął on w tej mierze problem oddziaływania polskiej sztuki na zewnątrz, tak na środowiska ościennie, jak też bardziej oddalone, udokumentowując w szczegółowy sposób działalność polskich malarzy, miniaturzystów i witrażowników we Włoszech, Flandrii czy wreszcie najistotniejszy element owej dyfuzji — twórczość Jana Polaka, krakowskiego założyciela monachijskiej szkoły późnego gotyku.

Ostatnim publikacjom Walickiego można już dziś przypisać istotne znaczenie dla wyprowadzenia sztuki polskiej z zapomnienia. Obserwujemy to choćby w kolekcji „Skira'y” gdzie pojawia się ona jako ogniwo średniowiecznego malarstwa, istotne z historycznego i artystycznego punktu widzenia.

Oczywiście problem ten trudno uznać za zamknięty — jest to w istocie pierwszy krok, który winien znaleźć kontynuację na możliwie wielu polach. Czy okaże się ona możliwa nie należy być nadmiernym optymistą. Niktę możliwości realizowania podobnych wydawnictw w Polsce oraz współpraca polskich specjalistów z zagranicznymi wydawnictwami blokowana absurdalnymi przepisami, stającymi się niezawodną bronią personalnych rozgrywek sprawia, że perspektyw tych nie należy przeceniać.

Dziedzinami w Polsce bardziej niż malarstwo udostępnionymi, ale czekającymi wciąż na „międzynarodowe odkrycie” jest średniowieczna rzeźba i miniaturstwo. Miejmy nadzieję, że być może inicjatywa wielkich międzynarodowych wydawców pozwoli w sprzyjającym momencie przełamać obecne bariery. Fakt wielokrotnego już publikowania zasobów zachodnich kolekcji muzealnych czyni nieznane a wartościowe dzieła przedmiotem żywego zainteresowania.

Adam SUTKOWSKI

O „Dzienniku” bez namaszczenia

Défendre Wagner par ce que Saint-Saëns
l'attaque est trop simple. Il faut crier:
„A bas Wagner” avec Saint-Saëns. C'est
la véritable bravoure.

Jean Cocteau

Dzisiaj panuje zdecydowanie moda na dzienniki (Ionesco, Malraux) całkowite, pół lub czasami nawet ćwierć zwierzenia. W tym nawale literatury intymnej „Dziennik” Witolda Gombrowicza jest prawie że wyjątkowym klejnotem; sprawy sztuki i filozofii oraz problematyka moralna wysuwają go na pozycję dzieła samodzielnego, dzieła, które może istnieć nie tylko z powodu napisania „Ferdydurki” i „Ślubu”. Zresztą, gdy Gombrowicz zaczynał pisać ten dziennik dzieła te nie istniały w prawdziwym znaczeniu tego słowa; istniały dla autora i niewielkiej liczby wielbicieli, ale nie tak jak istnieje samodzielnie muzyka Beethovena, nie miały jeszcze statutu obywatelstwa w hierarchii socjalnego systemu sztuki. Gombrowicz pisał nie dlatego, że w oczach pewnej publiczności jest twórcą „Ferdydurke”, ale dlatego że sam czuł się ojcem „Ferdydurke”. Z początkiem lat sześćdziesiątych ton nieco się zmienił, ale linia, obrany kierunek pozostają te same.

Czytam „Dziennik” i skwapliwie notuję wszelkie „poślizgnięcia” autora w stronę sztuk pięknych, ba, nawet muzyki! Przyznam szczerze, że dla mnie są to najmniej ciekawe fragmenty, ich ilość jest niewielka, ale zawsze... Pozycje antykulturalne, przeciw pustym pomnikom, niby nadymanym powietrzem chochołom na sztucznych postumentach, powstałym z naszej ludzkiej potrzeby autorytetu, porządku, wartości... Pozycje przeciw źle pojętej tradycji są podniecającą strawą dla krytyka. Ale tam gdzie rąbią drzewa lecą wióry. Dzisiaj zamierzam zabrać się bardziej do wiórów aniżeli do samych drzew wyrąbanych, do tego spróchniałego porządku hierarchii kultury muzealnej, kultury obcej nam, którą dźwigamy jak natrętne freudowskie wspomnienie ojcowskie. Niby to do niej należymy, a jednak nam przeszkadza, ciąży. Dzisiaj na tę kulturę „klasyczną” przeprowadza się decydujący atak: Gombrowicz, Dubuffet, muzyka Cage'a i nowojorski „minimal art”, jakby nie były od siebie oddalone są nie tylko barometrem nowej epoki, ale pulsują tętnem dzisiejszej prawdziwej rewolucji sztuki. Może nawet w tej fali Gombrowicz jest tyleż klasyczny co nowoczesny, ale to jeszcze większa waga jego twórczości, gdyż w rozrachunku globalnym jest ona jednym z najsolidniej osadzonych kamieni nowego gmachu.

Z wrodzoną sobie przekorą i energią Gombrowicz zabiera się do ataku na każdą rzeczywistość — moralno-polityczną, filozoficzną, czy artystyczną. Śmierć specjalistom! Dość zakłamania, zabałamucenia! Ja sobie też dam radę! Niemniej w tych pospiesznych i nerwowych kontaktach Gombrowicza z plastyką zawsze czuć pewną rezerwę, jakąś małą chmurkę, która jak szklany ekran podświadomości mówi: „a jednak czyżby nie inaczej...” Ta wzruszająca nuta szczerości stwarza niesamowity klimat całego „Dziennika”. Ja i inni, ja w stosunku do mnie samego. Czy ja jestem sobą czy moją Formą? Oto problematyka iście tragiczna na każdej stronie.

Stosunek Gombrowicza do sztuk plastycznych można by streścić jednym słowem — negatywny. Negacja w sensie zupełnej czystości semantycznej tego słowa: negować = nie istnieć. Ale czyżby nie za łatwo odrzucić całą złożoność problemu jednym określeniem Gombrowicza jak ten najbardziej czysty z współczesnych ikonoklastów.

Pamiętam, że gdy w sierpniu 1967 po raz pierwszy przekroczyłem próg mieszkania przy Place du Grand Jardin w Vence ze zdziwieniem oglądałem jego dekorację: wielka ilość obrazów — wszędzie: w korytarzu, w salonie, w pokoju w którym rozmawialiśmy przez kilka godzin. A więc jak — czyżby fałszywy ikonoklasta? Oczywiście, że to pytanie parzyło mi usta, nie powstrzymałem się. Miałem podczas tej pierwszej wizyty duże szczęście gdyż Gombrowicz zgodził się rozmawiać na ten temat. (Następnym razem w ogóle odprawił mnie z kwitkiem: „Niech Pan czyta uważniej mój „Dziennik”, szczególnie II i III tom. Wszystko co miałem do powiedzenia na ten temat tam napisałem”). Rozmowa zeszła na malarstwo. Wskazawszy na obraz młodego malarza G. zawieszony nad biurkiem Gombrowicz spytał się jakbym poznał, że to nie Picasso? Gdzie kryteria? A w ogóle to istny cyrk z tym wyrabianiem obrazów i artystycznymi koneserami, po czym nastąpiło urocze opowiadanie o odmowie zwiedzania pobliskiej fundacji Maeght'a. (Zaproszony przez skandynawskich przyjaciół, czy może wielbicieli pióra autora „Ferdydurke” — Gombrowicz dał się namówić na spacer samochodowy do tego przepięknego muzeum sztuki nowoczesnej, znajdującego się zaledwie o kilka kilometrów od Vence. Przed samą bramą fundacji natomiast odmówił zwiedzania, pozostając na pogawędce z szoferem taksówki). Przyznam, że wtedy opowiadanie to trafiło we mnie jak strzała — celnie, mocno. Byłem wzruszony tym żelaznym nonkonformizmem. Jak to ładnie myślałem, że Gombrowicz jest taki prawdziwy. Dzisiaj po ponownym przeczytaniu trzech tomów „Dziennika” nie tylko odpowiedziałbym inaczej, ale zadałbym mistrzowi kilka pytań. Nie zgodziłbym się na tak jaskrawy nonkonformizm. Nienawidzę także zawiera sporo uczucia. Jest ona negacją pasjonata. Nie odpowiedziałbym, jak wtedy, z uprzejmością, że owszem obraz G. to... nie za bardzo, ale, że dla mnie to jednak nie Picasso. W bogatej kopalni myśli poza malarskich „Dziennika” znalazłbym zdanie znajdujące się na samym końcu

roku 1961 (II t. str. 264), zdanie, które dla mnie w dobitny sposób ilustruje ewolucję Gombrowicza, jego upewnienie się o słuszności własnych poglądów, w stosunku do obranej drogi — drogi absolutu Formy, czy to myśli, czy psychologii i filozofii i jak najbardziej teorii sztuki (tej niewyrażonej oficjalnie w jakimś akademickim traktacie „o dobrej robocie” w sztuce, gdyż on oczywiście do autora „Słubu” nie pasuje). Ta swojego rodzaju filozoficzna abstrakcja w stosunku do każdej formy myśli (zakładam, że sztuka jest jedną z tych form, może najbardziej „podskórną” i przez to istotną), do każdego aktu twórczego, to herkulesowe wdrapywanie się na szczyty *niezależnej perfekcji* stwarza całą dynamikę „Dziennika”, dynamikę, która istnieje od samego początku twórczości Gombrowicza, który w latach pięćdziesiątych przechodzi do dialogu z samym sobą, do dialogu prowadzonego w „Dzienniku”. Może to wypłynięcie na powierzchnię świadomości odbiera jej pewien element zgrzytu, zmniejsza drapieżność, niemniej zawarta jest ona w każdym zdaniu „Dziennika”, pulsuje ona w każdej linijce tej fascynującej spowiedzi o walce, o stwarzaniu się, o walce z własną Formą, z formą własnych myśli, w konfrontacji ze światem literatury i sztuki, filozofii i „polskości”, a przede wszystkim ze światem socjalnych konwencji, które „upupiają” sztukę.

Powróćmy jednak do początku „Dziennika”; Gombrowicz pisał w roku 1953 (t. I, str. 19): „I właśnie dlatego, że bliskie pod względem treści (zdania w artykule W. Gr.) stają się niepokojąco wrogie. Gdyż treść pochodzi od kogoś innego, jest wynikiem innych światów, innego stylistycznego, duchowego zaplecza”. Porównajmy ze słowami z roku 1961 (t. II, str. 264): „Naucz się oceniać myśl niezależnie od tego kto i jak ją wypowiada”. (Zauważam, że tutaj „dlaczego” jest zupełnie wyeliminowane, nie istnieje nawet w ubocznej argumentacji). Tym ostatnim słowem mogę świetnie obronić obraz malarza G. (wcale mi na tym nie zależy), mógłbym obronić całą dzisiejszą sztukę awangardową — tę wyśmiewaną lub nawet przyjmowaną „na zasadzie eksperymentu”, coś w rodzaju dziecka, czy błazna, któremu pozwala się bawić, gdyż przecież i tak to niepoważne, nieszkodliwe. Tak, sztuka jest niepoważna, ale dlatego straszliwie niebezpieczna, gdyż nie szanuje powagi, rozbija świętości ustalonych instytucji. Żadne społeczeństwo nie wytrzyma tej *révolution permanente*.

Krytykować pozycje estetyczne Gombrowicza w stosunku do sztuk plastycznych z punktu widzenia specjalisty — jest bardzo łatwo. Choćby taki przykład rozważań na temat obraz-słowo (czyli malarstwo-literatura) — t. II, str. 62-63. Można by od razu orzec, że już przed końcem osiemnastego wieku Lessing w „Laocoonie”, który jest po dziś dzień klasykiem (w sensie nowoczesnym tego słowa) estetyki uporał się z tym problemem. Natomiast nie można odmówić wielkiej słuszności gombrowiczowskiemu uwagom „niefachowym”, czyli tym zdaniom, które atakują chorobę społeczną dzisiejszej sytuacji artystycznej. (Tutaj wychodzimy poza ścisły

obręb sztuk plastycznych, przechodząc do problematyki ogólnej, dotyczącej tak samo muzyki, malarstwa jak i literatury). Ze dzisiaj sztuka jest produktem konsumpcji¹, że malarzy jak psów, tak samo w Nowym Jorku jak w Paryżu i w Buenos Aires — to święta racja. (Podejrzewam Gombrowicza, że w tym wypadku jest bardziej gastronomicznie aniżeli szlachetnym pisarzem, porównując malarzy do kucharek). Uderzenie w system sztuki jako część dzisiejszego systemu produkcji-konsumpcji (tak jak Dubuffet nazywa ich *facteurs de tableaux*), uderzenie w tę zakłamaną *jeu de société*, jest tak samo mocne jak uderzenie w sztuczną polskość, w sztucznych artystów, którzy wprawdzie chcą być tymi *artiste-peintre*, a dopiero potem zastanawiają się jak produkować dzieła sztuki, które w ostatecznym rozrachunku z samą sztuką nie wiele mają wspólnego. Tutaj znajduje się wspólne źródło pozycji „antykulturalnych” Gombrowicza i Dubuffet’a. Gombrowicz nie jest więc ikonoklastą w sensie filozoficznym, tak jak byli nim św. Bernardyn z Clervaux i Tołstoj, jest on ikonoklastą na zasadzie kwalitatywnej, wyrażającej się pogardą do tych, którzy fałszują intencje istoty twórczej sztuki, a z powodu chwiejności kryteriów (własnych) zalicza on do tej zakażonej oazy całe malarstwo współczesne, czując też, że w systemie niemego zachwyty przed muzeami kryje się druga strona medalu, czyli zachwyty na zasadzie niezrozumienia, najgorszy ze snobizmów, snobizm podświadomego kompleksu niedokształcenia artystycznego. W tym wypadku stać Gombrowicza na wielki *knock-out*, na odmowę pójścia do muzeum (choćby sztuki nowoczesnej jak fundacja Maeght’a) i na wspaniałą krytykę muzealnej konsumpcji sztuki w Luwrze, przed tym najgorszym z eklektyzmów, który jest śmiercią wszelkiego odczucia sztuki.

Problematyka „Dziennika” usytuowana jest częściej na poziomie wyższym niż ten, czy obraz X jest lepszy od obrazu Y, czy ten styl czy kierunek bardziej wartościowy. Można by pójść jeszcze dalej; poza literaturę *sensu stricto* Gombrowicz jest swojego rodzaju filozofem, takim nowym Diogenem, który z rozbrajającą szczerością próbuje przy pomocy własnej teorii o sztuce i moralności artysty, wyciągnąć z każdej beczki sens istnienia, sens dogłębnej prawdy i fałszu, prawdy usytuowanej poza utartymi schematami „czy to jest prawdziwe czy fałszywe”, prawdy Formy, tej istotnej struktury, usytuowanej poza powierzchwnymi zdarzeniami, które jak w krzywym zwierciadle odbijają jedynie nasze błędne i zmęczone klasyczną retoryką spojrzenia. W tych dialogach o Formie i o rozbiciu jej wszechmocnego, zakłamanego królestwa, kryje się wybuchowa siła samego aktu twórczego Gombrowicza. Pomyśleć, że tak blisko — Forma, jej istnienie i stwarzanie się, odbicia i deformacje, walka na „miny” na samym początku „Ferdydurke”, świat dionizyjskich zjaw wyobraźni i

1. Już Marcel Duchamp mówił, że malarze nie podpisują obrazów, ale czekają.

czysto plastycznych skojarzeń formalnych w „Kosmosie” czy „Transatlantyku”, kto może wyobrazić sobie inaczej jak w obrazach „Operetkę”? — i jednocześnie tak daleko od spraw plastyki w „Dzienniku”. Może w tej samorodnej plastyczności wyobraźni Gombrowicza należy szukać całej głębi jego rozwoju z malarstwem. Wyobraźnia o tak potężnym ładunku obrazowym, formalnym w sensie para-literackim, nie może jednocześnie być bezstronnie wyrozumiała dla spraw czystej plastyki. (Należałoby zauważyć, że Gombrowicz operuje obrazami na zasadzie czysto malarskiej, na zasadzie znaków intuicyjnych, które zresztą nawet u niego powstają w ten sposób, jak to tłumaczy w swoich rozmowach z Dominique de Roux). Mistrz „Ferdydurke” za bardzo jest zaangażowany w formie plastycznej, jest zaangażowany podskórnie i nie może być w stosunku do niej obojętny.

Do tej samej grupy argumentów natury psychologicznej należałoby zaliczyć czysto gombrowiczowską zasadę sztuki — *definitio ab negationem*. Na stronie 75 drugiego tomu czytamy: „Powiedziałem rzeczywiście za dużo. To było niepotrzebne. A jednak czuję się lepiej... ta agresywność wzmocniła mnie”. Byłoby za łatwe sprowadzić krytykę do pozycji „odgryzania się”. Niech ja zaszarżuję gdyż to jest przede wszystkim mnie potrzebne, dla własnego zdrowia. Jest na pewno coś z tego, a jednocześnie więcej w tym prawdy, głębszej prawdy. Ten niepokój w stosunku do własnej odrębności, w stosunku do kształtowania własnej Formy, jest potężnym katalizatorem w dynamice sił, zmieniających pozycje wartości, odpowiednich poziomów waloryzacji moralnej, filozoficznej czy artystycznej. Oczywiście, że w tym wypadku trudno sprowadzić tak potężny *spiritus movens* do powierzchownej pseudo-konkluzji zaciętrzewionych antygombrowiczowców: „a nie mówiliśmy! on tylko dla przekory się z nas nabija”. Bynajmniej. Szczerość tej walki z Formą narzucaną nam przez życie jest bezapelacyjnie jawna.

O „Dzienniku” można dobrze, można źle, niemniej „Dziennik” istnieje nie tylko jako dodatek do Gombrowicza, ale jako samodzielne dzieło i zawiera, tak samo jak cała twórczość autora, sformułowania czasami tak absolutne, że niezależnie od tego kto je wypowiedział, zawiera część tego absolutu kwartetów Beethovena’a. Nawet jeżeli często burzymy się przeciw twierdzeniom o malarstwie, muzyce czy muzeach, nie zapominajmy, że ogólna estetyka tego dzieła jest tak samo przydatna malarzom jak i muzykom. (Może najmniej przydatna pisarzom, i to nie jest zwykłym paradoksem, ale prawie że niezbędnym dowodem tej estetyki parapraktycznej). Tak jak to genialnie ujął Kandinsky w swym rozdziale „Über Geistige in der Kunst”: „*Chaque art en s’approfondissant se renferme en soi et se sépare*. Trudno wyobrazić sobie dzisiaj literaturę, która jest bardziej literaturą niż „Ferdydurke” i „Transatlantyk”; teatru bardziej teatralnego od „Iwony” czy „Operetki”. Może właśnie w tej koncentracji należy szukać oddalenia Gombrowicza od reszty sztuk. Ale cóż cenniejszego niż wyłączna miłość. Kogo dzisiaj na to stać? Wiadomo,

że czyste złoto nie łączy się z żadnym innym metalem, widocznie, że i w chemii artystycznej istnieją czasami podobne wypadki.



P.S. Na marginesie tych rozważań pragnę podkreślić niezwykłą wagę i aktualność zdań z II tomu „Dziennika” (str. 264). Mowa o Dudku: „Dudek — orzekłem — niczego bardziej nie obawia się, jak żeby go nie wystrychnięto na dudka. Ten strach nie opuszcza go: a nuż mnie nabierają! Ależ, dudku co ci z tego, że będziesz wiedział, czy ja „szczerze”, czy „nieszczercze”? Co to ma do słuszności wypowiedzianych przeze mnie myśli? Mogę „nieszczercze” wypowiedzieć niebotyczną prawdę, a „szczerze” pałać największe głupstwo. Naucz się oceniać myśl niezależnie od tego, kto i jak ją wypowiada”. Odrzucając motywację „uczciwości” rozgrzesza Gombrowicz całą dzisiejszą awangardę artystyczną, której z braku innych argumentów (gdyż nie istnieją, a sam fakt być oskarżycielem w tej materii ustawia takiego oskarżyciela na pozycji częściowo „dudkowatej”) od przeszło 100 lat (od impresjonistów) zarzuca się „nieuczciwość”, atakuje się ich ciosami „poniżej pasa”, argumentami natury społecznej, a nie artystycznej. Zawsze gdy pewna estetyka szokuje, to reakcyjny odłam publiczności (każdy człowiek co najmniej raz w życiu znalazł się w tej grupie) nie myśli kategoriami Cocteau: *Picasso court plus vite que la beauté. C'est pourquoi ses œuvres paraissent laides*, a broni się argumentem: „oni się z nas wyśmiewają!” Aż dziwne, że nikt nie oskarżył publiczności o nieuczciwość. Panu Turkiewiczowi, który zabawia się w tę samą grę (*Kultura* nr 245 str. 126) odpowiem w następnym artykule, gdyż to naprawdę może się odbyć bez błogosławieństwa tematyki Gombrowiczowskiej.

Andrzej NAKOV

O wielkości Hruszewskiego

Wybitny historyk ukraiński Mychajło Hruszewski, którego setną rocznicę urodzin obchodził świat naukowy w 1966 roku, Polakom nie jest znany. I to nie tylko przeciętnemu obywatelowi, ale i współczesnym polskim historykom. Wpłynęły na to dwa powody. Pierwszy to to, że historia ziem ukraińskich dawnej Rzeczypospolitej jest względnie szczegółowo opracowana przez historyków polskich i to nie tylko o zapatrywaniach nacjonalistycznych. Dla przykładu wspomnę tylko Aleksandra Jabłonow-

skiego, którego prace dotyczące ziem ukraińskich obejmują dziesiątki tomów. On to m.in. opracował najcenniejszy materiał do gospodarczych dziejów województw ruskich dawnej Rzeczypospolitej. Drugim powodem jest to, że Mychajło Hruszewski uważany jest za szowinistę ukraińskiego i człowieka, który do Galicji Wschodniej przeschępił pojęcie Ukraina i Ukraińcy. Tego pewnie koła społeczeństwa polskiego do dziś dnia nie mogą jemu darować. Poza tym historycy Polski „ludowej” idąc w ślady swych równiejszych braci, otoczyli go pierścieniem nietykalności — milczenia. Dlatego dobrze się stało, że w „Kulturze” (grudzień 1967), chociaż po upływie piętnastu miesięcy, ukazał się artykuł o tym wielkim Ukraińcu. Wyszedł on spod pióra nie tylko działacza politycznego, ale i byłego profesora historii na Wyższej Ukraińskiej Uczelni Pedagogicznej w Pradze Czeskiej p. Panasa Fedenki. Napisany był po ukraińsku i specjalnie dla „Kultury”, został przetłumaczony przez Józefa Łobodowskiego, który artykuł zaopatrzył w taką oto uwagę: — „Te fragmenty artykułu Fedenki, które dotyczą stosunków polsko-ukraińskich w przeszłości, zwłaszcza w wieku XVII, mogą polskiemu czytelnikowi wydać się jednostronne. Ale kto uznaje konieczność prowadzenia dialogu polsko-ukraińskiego (w kraju jest to niemożliwe), nie powinien poddawać się niechęci, ani czuć się obrażonym. Konfrontacja wzajemnych zarzutów, choćby najbardziej skrajnych, jest potrzebna, co więcej — niezbędna, gdyż tylko z niej przy obustronnej dobrej woli może wykluć się trwałe porozumienie”. Tak przygotowany do lektury, pomyślałem: — „No, zobaczmy co ten Fedenko napisał” i zacząłem czytać. Może p. Łobodowski w pewnym stopniu zdziwił się, ale artykuł od początku do końca przeczytałem bez podniecania się i mimo pewnych jednostronności nie obraziłem się, ani nie zniechęciłem się. Przeciwnie postanowiłem odpowiedzieć.

Otóż p. Fedenko pisze, że Hruszewski był uczniem prof. Wołodomyra Antonowycza, który udowodnił, że większość polskiej szlachty na Ukrainie wywodziła się z przodków ukraińskich, którzy w XVII i XVIII wieku przyjęli religię katolicką i weszli w skład narodu polskiego. Inny historyk ukraiński Władysław Łypynskij doszedł również do tego twierdzenia i wydając broszurkę, nawoływał tę szlachtę do porzucenia polskości. Oczywiście masowej reukrainizacji nie było. Było to całkiem zrozumiałe, gdyż jak można było żądać od człowieka, którego rodzina od kilku pokoleń przyznawała się i była narodowości polskiej, by stał się Ukraińcem. W owym czasie oznaczało to również degradację narodową, gdyż powszechnie mówiono że Ukraińiec „to chłop i pop”. Dziś to uległo radykalnej zmianie. Profesor, inżynier czy lekarz Ukraińiec może dzisiaj konkurować z Polakiem. Ale wtedy inteligencja ukraińska była znikoma. Dlatego np. kiedy Ukraińiec w Kanadzie przed 50-ciu laty został np. naczelnikiem straży pożarnej w małym miasteczku, wszystkie ukraińskie gazety o tym tygodniami rozpisywały się. A dzisiaj? — ilu samych profesorów Ukraińców zatrudniają kanadyjskie uniwersytety.

Mimo tego, zdarzały się wypadki, że polscy inteligenci powracali do narodowości swoich przodków, w tym wypadku do narodu ukraińskiego. Był to proces w pewnym stopniu zrozumiały. W ludziach tych płynęła krew polsko-ukraińska, w związku z czym uczucia albo kierowały się ku polskości, albo ku ukrainizacji. Stąd rodziny dwujęzyczne i dwuobrazkowe jak — Szeptycy, Lipińscy, Antonowicze i in. Ale znam górala ruskiego — Łemkę p. Szpaka, który uważa się za Polaka i Polaka p. Charuckiego, który czuje się Ukraińcem. W tzw. akcji repolonizacyjnej, którą Ukraińcy tak niesłusznie potępiają, zapominając o swoich planach ukrainizacyjnych, udowodniono mu, że przodkowie jego byli Polakami. Niemniej nie zmieniło to jego zapatrywań i pozostał Ukraińcem. Wniosek z tego jest taki, że w wypadku mieszanej krwi, o swojej przynależności narodowej decyduje dana osoba — jej uczucia. Natomiast w żadnym wypadku o przynależności narodowej nie może decydować państwo, gdyż jest to brutalny gwałt. Takim brutalnym gwałtem była m.in. ustawa rządu litewskiego o litwinizacji nazwisk. I jeśli osoba pochodzenia ukraińskiego uważa się za Polaka, to jest bezpodstawnie nazywanie jej renegatem narodu ukraińskiego, lub prześladowanie. Czy książę Konstanty Wasyl Ostrogski postąpił humanitarnie zamykając w zamku w Dubnie swego syna Janusza za to tylko, że przeszedł z prawosławia na katolicyzm? Chyba nie, prawda? Czy Polska, a właściwie Polacy i kultura polska są winni zagłady za to tylko, że tysiące Ukraińców oraz setki ludzi innych narodowości dobrowolnie spolonizowało się? Dlaczego to piszę? Otóż dlatego, że Fedenko pisze, że Hruszewski w broszurze „Za ukraiński masłak” odmawiał prawa do Chełmszczyzny zarówno Rosji jak Polsce, gdyż przed pierwszą wojną światową większość ludności należała do narodowości ukraińskiej. Czy twierdzenie Hruszewskiego odpowiada prawdzie? I tak i nie, ale raczej nie, bowiem Hruszewski do Ukraińców zaliczył byłą ludność unicką, która w 1875 roku została zmuszona przez Rosjan do przejścia na prawosławie. Skorzystała ona z dekretu tolerancyjnego z 1905 r. i w ogromnej większości (ponad 100 tys.) przeszła na katolicyzm szybko przy tym i ostatecznie polonizując się. W roku 1912, a więc w chwili oderwania Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego i włączenia jej bezpośrednio w granice Rosji, gubernia chełmska liczyła 745.000 mieszkańców w tym 467.000 katolików-Polaków (według danych rosyjskich). Do kogo więc powinna należeć? Odpowiedział na to m.in. zbieracz ziem ruskich z połowy XX wieku tow. Stalin, który uznał ją za dzielnicę polską. Zaznaczyć jeszcze trzeba, że przed tysiącem lat tereny te, według najnowszych badań (uznaje je również historiografia Polski „ludowej”) zamieszkiwały tylko plemiona lechickie, tzn. te które stworzyły naród polski.

Po przybyciu do Lwowa w roku 1894 Hruszewski jest źle widziany przez polskich profesorów. Jest to logiczne, bowiem w tym czasie całe społeczeństwo ruskie zaczyna sobie zdawać sprawę ze swej odrębności narodowej. Dochodzi do ostrych starć.

Studenci ukraińscy niszczą aule uniwersytetu, w którym Polacy pozwolili na powstanie kilku katedr ukraińskich. I na to wszystko przyjeżdża Hruszewski — nacjonalista ukraiński. Warto zwrócić uwagę na to, że Hruszewski po czternastu latach pobytu w Galicji dochodzi do wniosku, że Galicja Wschodnia jest na wieki stracona dla Ukrainy, gdyż Polacy stoją tam silnie na nogach. Dlatego w 1908 roku opuszcza Lwów udając się na Ukrainę rosyjską, gdyż wierzy, że przyjdzie w Rosji ten czas, który zrodzi niepodległą Ukrainę.

We Lwowie rozpoczął pracę nad swoim monumentalnym dziełem, nad „Historią Ukrainy-Rusi”. Oczywiście jest w niej dużo mowy o polskiej polityce względem ziem ukraińskich. Jaki więc był stosunek Hruszewskiego do Polski w przeszłości? Czy historia jego jest godną zaufania? Autor przytacza wypowiedź Aleksandra Brücknera, który w „Zapiskach Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki we Lwowie” napisał, że jest to doskonała, bogata treścią wypełniona praca, której można zaufać... Napisał to Brückner w 1922 roku, a więc w chwili, gdy ukazało się zaledwie kilka tomów, które obejmowały początki Ukrainy-Rusi, gdyż do roku 1930 autor doprowadził swoją pracę do opisu okresu Unii Hadziackiej czyli do roku 1658. Wiemy natomiast, że bardzo bogata w treść była historia polsko-ukraińska dopiero po Unii Lubelskiej w 1569 roku, kiedy to cała Ruś Kijowska została włączona do Korony. Brückner nie daje więc opinii o całości pracy, a tylko o pierwszych tomach.

Fedenko pisze: — „W swojej pracy Hruszewski musiał wykonywać pod wieloma względami rolę pionierską, odszukiwać w archiwach nowe materiały, obalać różne historyczne legendy i falsyfikacje”. Rzeczywiście Hruszewski obalił liczne legendy i falsyfikacje, ale czy wszystkie? Świadomie czy nieświadomie na pewno nie. Był przecież nacjonalistą ukraińskim, a wiemy że prawie wszyscy nacjoniści mają specyficzne spojrzenie na przeszłość i teraźniejszość swojego narodu. Na historię „Ukrainy-Rusi” patrzył nie jako bezstronny widz, ale jako Ukrainiec. Ale jeśli jego praca sprzed 50 czy 40 lat ma w chwili obecnej nadal dużą wartość naukową, to najlepszy dowód, że swoją nacjonalistyczną pychę zredukował do minimum. Zrobił to co mógł, a nie mógł zrobić wszystkiego, gdyż to jest dla jednego człowieka niemożliwością, a i lata robią swoje. I tak np. Hruszewski opisując sprawę buntu Nalewajki z roku 1596, wyraźnie zarzuca hetmanowi Zółkiewskiemu wiarołomstwo i zbrodnię wymordowania wszystkich prawie Kozaków z obozu nad Sołonicą. I oto p. Czesław Chowaniec, dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu, w 1954 roku odnajduje w zbiorach rękopisów list samego hetmana do króla Zygmunta III z 10 czerwca 1596, który rozwiewa legendę o rzezi Kozaków przez wojska Zółkiewskiego. Nowe światło na wczesnośredniowieczne dzieje Wołynia rzuciły badania Jakuba Hoffmana, a na wczesnośredniowieczne dzieje plemion ruskich Henryka Paszkiewicza. Tych rewelacyjnych badań Hruszewski nie mógł

znać. Zaznaczyć jeszcze muszę, że na sprawę kościoła unickiego inaczej patrzy Ukrainiec katolik i inaczej Ukrainiec prawosławny. Różnice w poglądach są niezmiernie wielkie. Przytoczona cytata z listu oboźnego koronnego Rzeczypospolitej, Andrzeja Potockiego z roku 1659, która ma za cel przedstawienie opinii polskiej na sprawę ukraińską, jest raczej głosem odosobnionym. Również — pisze Jakub Hoffman — należałoby raczej powściągliwiej mówić o „państwowej” działalności Chmielnickiego. Bardzo krytycznie o niej mówił sam wieszcz-poeta, a zarazem niezły znawca historii Taras Szewczenko. Sprzeczność poglądu można również zauważyć u Fedenki. Zrazu pisze: — „Wiadomo, że Chmielnicki na początku swego powstania w roku 1648 nie zamierzał zrywać związku Ukrainy z Polską. Kozacy zaporoscy szli do powstania pod polskimi, królewskimi sztandarami”, by dalej napisać: — „Fanatycznie nieprzejednana postawa polskich kół kierowniczych w stosunku do narodowo-wyzwoleńczego ruchu na Ukrainie...” O co więc chodziło? Autor mówi, że celem powstania była reforma ustroju feudalnego w Polsce. Ale my wiemy również, że Bohdan Chmielnicki, który był synem szlachcica, wychodzący z Mazowsza z okolic Warszawy, doznawszy wielkiej krzywdy osobistej od podstarościego Czaplińskiego, który mu zagrabił slobodę (gospodarstwo) i uprowadził kochankę, szukając zemsty, udał się na Sicz przygotowując Kozaków do powstania. Przedtem udał się ze skargą do króla. I gdyby król ujął się za nim, nie byłoby powstania, czyli jak ktoś napisał, że gdyby papież zawczasu dał Lutrowi kapelusz kardynalski, nie byłoby reformacji. Niestety stało się inaczej. Powstanie wybuchło i Kozacy poszli do walki ze szlachtą i unitami pod królewskimi sztandarami, pałac w czasie powstania m.in. właśnie cerkwie prawosławnej (np. św. Jura we Lwowie — za murami miasta). Powstanie więc miało raczej charakter powstania chłopskiego i śmiało można je przyrównać do powstania chłopskiego w Niemczech na początku XVI wieku. Bowiem lud ruski w tym czasie nie myślał o niepodległej Rusi. Taka myśl zaczęła z biegiem lat korcić Chmielnickiego, który z poduszczenia posłów (tatarskich, tureckich i innych) zaczął myśleć o koronie dla siebie i dla syna. Ale te plany przyniosły z woli samego Chmielnickiego niewolę rosyjską dla znacznych obszarów Ukrainy, niewolę znacznie gorszą od polskiej. Niestety tego okresu już Hruszewski nie zdążył opisać. Wspomnę również, że prof. Władysław Wielhorski w swej pracy „Ziemie ukraińskie Rzeczypospolitej. Zarys Dziejów” mówiąc o powstaniu Chmielnickiego pisze:

„Historycy ukraińscy z pocz. XX wieku, i to takiej nawet miary, jak Michał Hruszewski, czy Wacław Lipiński, wypowiadają zarzuty pod adresem państw z otoczenia Ukrainy, dotyczące doby Chmielnickiego. Twierdzą, że państwa te zawierały pochylenie umowy polityczne i wojskowe z Kozakami, następnie zaś fałszywie je bez skrępowań. Przechodziły kolejno to do rządu ich przyjaciel, to znowu wrogów. Sądziłbym, że chodzi tu o anachronizmy pojęciowe. Autorowie ukraińscy, o jakich mowa, oceniają postępowanie sąsiadów wobec narodu ukraińskiego sprzed lat trzydziestu w oparciu o rzeczywistość...

wieku XX. Dla państw ówczesnych z dawną tradycją, dla Turcji (Tatarów Krymskich), Siedmiogrodu, Moskwy, Szwecji a nawet dla sąsiednich polityków z Polski i Litwy — Ukraina Chmielnickiego, wyłaniająca się na powierzchni dziejów, stanowiła wielką niewiadomą, z którą dopiero zaczęto eksperymentować w stosunkach międzynarodowych pod naciskiem okoliczności wyjątkowych: zaciętych wojen powszechnych w tej części Europy. Zdolności państwowotwórcze Kozaczyzny musiały wyglądać na wątpliwe w oczach wytrawnych mężów stanu wymienionych państw w dobie dziejów, o jakiej mowa”.

Lecz mimo tych kilku czy kilkunastu, świadomych czy nieświadomych, potknięć i pomimo niedokończenia pracy, dzieło Mychały Hruszewskiego jest doskonałą pracą, pracą na jaką — według proroczych słów Aleksandra Brücknera — „nie prędko jeszcze zdobędą się inne kraje, nawet kraj z najstarszą słowiańską literaturą”.

Marian KAŁUSKI

Komunikaty

ANNA WEINTRAUB MEMORIAL

Dla uczczenia pamięci Dr. Anny Weintraub, żony profesora Wiktora Weintrauba, która pracowała jako *library searcher* w dziale polonistów biblioteki uniwersyteckiej w Harvard, ogłoszono apel wzywający do składania datków pieniężnych na zakup książek do zbiorów polskich w *Widener Library*. Wpłaty należy przysyłać na adres: Mr. Charles L. Grace, Harvard College Library, Cambridge, Mass. 02138, USA. Czeki należy wystawiać na Harvard College Library — Anna Weintraub Memorial. Kultura wypłaca na ten piękny cel dol. 20, wyrażając jednocześnie nadzieję że wielu jej czytelników uczyni to samo.

BIAŁORUSKA SZTUKA DRUKARSKA

Początki białoruskiej sztuki drukarskiej u progu XVI wieku, jej schyłek i kolejny renesans w XIX i XX wieku, są przedmiotem wystawy „450 lat drukarstwa białoruskiego” w *New York Public Library*. Materiał do wystawy zaczerpnięto z działu słowiańskiego Biblioteki, jednego z najbogatszych w Ameryce zbiorów książek, czasopism i druków białoruskich. Ojcem białoruskiej sztuki drukarskiej był Franciszek Skaryna, wybitny uczony i humanista. Skaryna urodził się w Połocku pod koniec XV stulecia, studiował m.in. w Krakowie i w Padwie, gdzie otrzymał dyplom lekarski; wzorem humanistów renesansowych interesował się również teologią, literaturą, lingwis-

tyką, sztuką, prawem, botaniką i drukarstwem. Jego najwybitniejszym osiągnięciem był przekład Biblii na stary język białoruski, który sam wydał najpierw w Pradze w latach 1517-1519, potem w Wilnie w roku 1525. Białoruska Biblia Skaryny była drugą w kolejności wydrukowaną w rodzimym języku słowiańskim. Na wystawie w *New York Public Library* można oglądać nieco późniejsze wydanie z roku 1575.

WALNE ZGROMADZENIE INSTYTUTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

25-te Walne Zgromadzenie INSTYTUTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO w AMERYCE, odbyło się 25 marca 1968 r. w sali Fundacji KOŚCIUSZKOWSKIEJ, w Nowym Jorku.

Wybrano nowe władze Instytutu:

Prezes — Henry KORAB-JANIEWICZ,

Wiceprezesi — J. KANAREK, prof. A. KORCZYŃSKI,

Skarbnik — senator E. KLESZCZYŃSKI,

Sekretarz — J. KOWALSKI.

Członkowie Rady — K. BAZANOWSKI, A. BECK, M. BUDNY, W. DOMANIEWSKI, prezes St. GIERAT, prof. T. GROMADA, prof. W. JĘDRZEJEWICZ, T. KATELBACH, płk. A. KOC, L. A. KUPFERWASSER, J. LIBRACH, płk. L. MARCHWICKI, I. NURKIEWICZ, Dr L. OBIEREK, T. PAWŁOWICZ, J. PUŁASKA, prof. P. WANDYCZ.

Dyrektorem INSTYTUTU wybrała RADA po raz piąty Dr. Jana FRYLINGA.

Komisję Rewizyjną wybrano w składzie:

Przewodniczący — Cz. ZBIERAŃSKI,

Członkowie — A. LIPSKA i E. RYCHŁOWSKI.

POLSKI INSTYTUT NAUKOWY W AMERYCE

W Nowym Jorku, w siedzibie Instytutu, odbyło się 26-te walne zgromadzenie Polskiego Instytutu Naukowego.

Sprawozdanie z działalności Instytutu słożyli kolejno — dyrektor Damian Wandycz, w imieniu Oddziału w Kanadzie — dyrektor Tadeusz Romer, oraz — Oddziału w Chicago — wiceprezes Aleksander Rytel.

Przyjęto również do wiadomości decyzję Zarządu zorganizowania II Kongresu naukowców polskich w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, który odbędzie się w r. 1969 (przypuszczalnie we wrześniu) w Nowym Jorku lub Chicago. Wybór miejsca pozostawiono Zarządowi.

Prezesem wybrano ponownie prof. Stanisława Mrozowskiego, wiceprezesem prof. Feliksa Grossa.

Do Zarządu weszli: prof. Teodor Abel (ponownie), prof. Zbigniew Brzeziński (ponownie), prof. Tadeusz Romer (ponownie), dr Jan Danek.

DR WACŁAW SIERPIŃSKI W PAPIESKIEJ AKADEMII NAUK

Papież Paweł VI mianował dr. Wacława Sierpińskiego, emerytowanego profesora matematyki U.W. członkiem Papieskiej Akademii Nauk (*Pontificia Accademia delle Scienze*) w Watykanie. Papieska Akademia Nauk, założona w r. 1607 grupuje najwybitniejszych uczonych z całego świata z dziedziny

nauk przyrodniczych. Spośród członków Akademii Papieskiej w ciągu ostatnich kilkunastu lat było 15 laureatów Nobla. Z Polaków przed prof. Sierpińskim był członkiem Akademii prof. Emil Godlewski z Krakowa w roku 1912.

Nominacja prof. Sierpińskiego na członka tej Akademii jest 15-tym członkostwem Akademii naukowych tego 86-cioletniego uczonego.

APEŁ O POMOC DLA SZPITALA MABLEDON

Zwracamy się z wezwaniem do społeczności polskiej o przyjęcie z pomocą naszym rodakom leczącym się w Szpitalu Mabledon koło Dartford, w hrabstwie Kent.

Spalony został budynek, który był ośrodkiem życia społecznego, kulturalnego i towarzyskiego szpitala. Ośrodek ten odgrywał ważną rolę w leczeniu chorych.

Nie wątpimy, że władze brytyjskie odbudują spalony budynek i przywrócą zniszczone urządzenia. Zanim jednak to nastąpi zachodzi konieczność szybkiego stworzenia tymczasowych pomieszczeń dla świetlicy, biblioteki, czytelnicy i kantyny.

Przez zebranie potrzebnych na ten cel funduszy damy dowód naszym chorym, że los ich nie jest nam obojętny. Powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by ulżyć ich cierpieniom. Dajmy również dowód, że społeczeństwo polskie docenia rolę jaką na uchodźstwie odgrywa Szpital Mabledon i że jest wdzięczne lekarzom i personelowi za ich opiekę nad chorymi.

Wzywamy gorąco całe społeczeństwo polskie do poparcia naszego apelu przez choćby najskromniejszy datek. Każdy grosz będzie doceniony.

Ofiary należy przysyłać na adres Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim, 33, Weymouth Street, London, W.1. Czeki i Postal Order'y należy wystawiać na: „Mabledon Appeal Fund”.

Książki

Rodowód polskiego rewizjonizmu

Lektura już pierwszych rozdziałów tej książki* przywołuje nieodparcie znakomite sformułowanie Jasienicy „Rzeczypospolita i tym razem dołała do pełnego”.

„Casus Skolimowski” jest jednym z najklasyczniejszych przykładów trwającego od XVIII stulecia zubożania polskiej substancji intelektualnej (być może jedynie z krótką przerwą „drugiej niepodległości”) przez odpływ najbardziej twórczych jednostek i asymilację ich przez obce środowiska naukowe.

Oczywiście w wieku XIX był to proces nieuchronny — polscy uczeni nie mieli po prostu innej drogi niż wzbogacanie swą pracę wiedzy środowisk zagranicznych. Galicyjski skrawek jakkolwiek odegrał historycznie ogromną rolę, dawał w końcu szansę nader nielicznym i to nie we wszystkich dziedzinach. Jedyny wybór jaki wówczas istniał to między państwami rozbiorczymi a bardziej na Zachód położonymi centrami Europy czy Ameryki.

Działalność przyjaciela Witkacego, Bronisława Malinowskiego — twórcy „szkoły funkcjonalnej” w etnologii i autora fascynujących studiów społeczeństw prymitywnych wysp Pacyfiku, czy też rola Polaków w rozwoju rosyjskiej nauki ery przedrewolucyjnej są przykładami najbardziej znanymi.

Powojenny exodus intelektualny ma zgoła inne podłoże — najbardziej chyba mylące jest częste traktowanie go jako analogii „ucieczki mózgów” z niektórych krajów Zachodu do USA czy Afryki Południowej. To ostatnie zjawisko ma typowy charakter wynikający z istnienia międzynarodowego rynku pracy i jest funkcją dyfuzji między rejonami względnego nasycenia a względnego braku ludzi nauki. Przynosi też chyba obopólne korzyści służąc w pierwszym rzędzie porozumieniu i współpracy. „Emi-

granci” przeważnie zresztą wracają i utrzymują łączność ze swym środowiskiem stając się jego znakomitymi ambasadorami.

Polska „emigracja naukowa” jest zjawiskiem gatunkowo odmiennym — nie jest też analogią *par excellence* politycznej emigracji ludzi kultury szukających tą drogą wolności wypowiedzi i mimo tych czy innych trudności znajdujących za granicą jej środki.

Trzydziestoletni pobyt za granicą Gombrowicza niczym w końcu nie zubożył polskiej kultury... Sytuacja człowieka nauki, nawet reprezentanta humanistyki jest gatunkowo odmienna. W przeciwieństwie do dzieła sztuki praca naukowa nie może powstawać w próżni ani „iść do szuflady” — jej aktualność jest ograniczona — nieogłoszona we właściwym czasie staje się przeważnie martwa. Sprawą podstawową jest tu warsztat pracy, metoda i środowisko z nimi związane. Osobowość twórcza wprawdzie nadaje ich działaniu swe piętno ale ulega też determinacji. W sumie niezależnie od własnej postawy pełna i szybka asymilacja osobowości naukowej jest nieunikniona i celowa. O „ambasadorstwie” nie może tu już być mowy, naukowa „zmiana narodowości” staje się faktem dokonany, pozostaje nieistotny fakt tego lub innego pochodzenia.

Może nie tyle liczna ile gatunkowo istotna polska „emigracja naukowa” okresu popaździernikowego ma swą genezę w pierwszym rzędzie w szczególnej postaci skorumpowania tego środowiska w Polsce. Pewien wgląd w jego mechanizm dała prowadzona przed kilku laty prasowa dyskusja o „feodałach i wasalach”. Szybko ucięta i kontrolowana starannie nie dała pełnego efektu ale przyniosła m.in. arcywnikliwe studium prof. Infelda będące celną analizą zjawiska, że „po złym w sposób nieunikniony przychodzi jeszcze gorszy”. W istocie wśród pokolenia kierującego dziś polską nauką do rzadkości należą ludzie stawiający sobie jako główną wytyczną dobro swej dyscypliny. Powszechnym zjawiskiem jest zachłanne budowanie własnej kariery wyrażające się kumulowaniem stanowisk i synekur.

Rzecz oczywista, że systemem asekuracji, rodzajem obwarowania, jest tworzenie wokół siebie „pustyni” drogą wczesnego eliminowania potencjalnej konkurencji przez staranne utracanie autentycznych talentów i otaczanie się ludźmi niezdolnymi nigdy wyjść poza status „pomocnika”.

Jeśli do tego dodamy powszechnie praktykowaną „pańszczyznę” w postaci „dopisywania się” w roli fikcyjnych współautorów do prac swych młodych kolegów i nierzadkie czerpanie z tego procederu korzyścipekuniarnych (podział honorariów), obraz jest dostatecznie przynębiający.

Powody tego stanu rzeczy są złożone, ale ogólnymi przesłankami są tu szczególne upośledzenie materialne (według oficjalnych danych przeciętna zarobków pracowników nauki kształtuje się znacznie poniżej średniej robotników budowlanych, gdzie stopień przygotowanie zawodowe jest niższy niż w przemyśle), z dru-

* Henryk Skolimowski — „*Polish Analytical Philosophy*”, International Library of Philosophy and Scientific Method, New York 1967.

giej strony kadra partyjnych „naukowców” jest grupą o niesłychanym nasileniu karierowiczostwa. Stopniowe odchodzenie „starej kadry” oraz jej elastyczność i fałszywa „akademicka solidarność” spowodowały, że „wilcze prawa” ugruntowały się tu silniej niż gdziekolwiek indziej.

Autor omawianej książki od 1962 roku stale przebywa za granicą, od 1964 będąc profesorem filozofii w University of Southern California w Los Angeles. Jest to człowiek, który z uporem szukał swojej drogi. Ukończywszy studia politechniczne, pracując jako wykładowca na Warszawskiej Politechnice poświęcił się całkowicie filozofii. Już w końcowym okresie jej studiów, w latach 50-tych, stał się głośną postacią dzięki swym artykułom i wystąpieniom na międzynarodowych sympozjonach filozoficznych w Oslo, Moskwie, Salzburgu i Oxfordzie. W tym ostatnim odbył dłuższą specjalizację podyplomową. Oczywiście w scharakteryzowanych stosunkach nie mogło to „ujść na sucho”. Po powrocie zastał wokół siebie starannie zmontowany „kordon sanitarny” łącznie z utraceniem doktoratu. Na szczęście oka sieci nie były wtedy jeszcze hermetyczne, dzięki pomocy prof. Kotarbińskiego zdołał powrócić do Oxfordu a stamtąd po otrzymaniu doktoratu wyjechał do USA.

Obecna publikacja Skolimowskiego jest wynikiem szeregu lat studiów analitycznych tematu, którego wybór trzeba uznać za szczególnie szczęśliwy i z metodycznego punktu widzenia równie nieschematyczny co celowy. Głównym walorem takiego właśnie jego określenia jest możliwość włączenia polskiej myśli marksistowskiej (w jej nurcie zasługującym na miano filozofii — dziś przedmiot ostrych represji) w ramy ogólnej analizy różnicowego nurtu polskiej filozofii naszego stulecia.

Ten element przyniósł też gruntowne naświetlenie szeregu nader istotnych problemów wyjaśniając genezę i kierunek rozwoju polskiego „rewizjonizmu”, co czyni książkę arcyciekawą nie tylko dla czytelnika zainteresowanego w pierwszym rzędzie problematyką ściśle filozoficzną.

Zagadnienie to umieszczam na pierwszym miejscu nie dlatego, że jest ono dominantą książki (w istocie należy ono do jej dalszych tematów) — jednakże w chwili obecnej jego analiza jest niewątpliwie bardziej pierwszoplanowa niż pozostałych tematów raczej już „historycznych”.

Skolimowski nie jest historykiem filozofii, ale „praktykującym” filozofem, stąd też w swej analizie wychodzi z przesłanek metodycznych filozofii, a nie historii doktryn. I to nadaje jego dziełu szczególny walor. Nie relacjonuje też doktryn i teorii ale analizuje je w sposób celowy i precyzyjny. Włączenie marksizmu do nurtu filozofii analitycznej ma tu swe głębokie uzasadnienie gdyż polska szkoła filozofii marksistowskiej nasiąknięta jest wieloma elementami filozofii analitycznej mając z nią jednocześnie wiele wspólnych płaszczyzn zainteresowania. Temu też przypisuje autor paradoksalny fakt, że w pierwszej fazie „walki ideologicznej” głównym celem natarcia była szkoła analityczna a nie

np. neotomizm — filozofia całkowicie marksizmowi przeciwna i mająca inny punkt odniesienia.

Teza wydaje się jednocześnie słuszna i niesłuszna. Byłaby sprawdzalna gdyby marksistowska kampania lat 1949-54 przebiegała w innej atmosferze. Ponieważ jednak kampania filozoficzna była jedynie elementem ogólnej kampanii partyjnej i taktyka była jej elementem pierwszoplanowym, nie wydaje się aby można tu było problematykę filozoficzną uważać za element podstawowy.

W końcu to „aparatus” a nie ludzie zajmujący stanowiska akademickie wyznaczali cele i zadania ataków. Paradoksalnie neotomizm i inne zdecydowanie „idealistyczne” (w marksistowskim sensie) odmiany filozofii chrześcijańskiej były w pewnej mierze „pod ochroną”. Istnienie KULu i wydawnictw katolickich zapewniało im nawet ograniczony teren oddziaływania. (zob. „Kultura” Nr 5/247 1968, str. 145-150).

Natomiast przedstawiciele niezależnych kierunków filozofii nie-marksistowskiej stali się kozłem ofiarnym. Słusznie jednak przypisuje Skolimowski kulturze filozoficznej i ogólnej głównych przedstawicieli marksizmu polskiego ograniczone rozmiary represji personalnych oraz inicjatywę tak niezwykle wówczas zjawiska jak wydawanie kapitalnej serii „Biblioteki Klasyków Filozofii”, po raz pierwszy udostępniającej w polskim przekładzie systematycznie ujęty wybór podstawowych tekstów od filozofów starożytności aż po wiek XX, i to bez uprzedzeń i dyskryminacji.

Praca wydawnicza stała się też refugium dla filozofów pozabawionych katedr (Ingarden).

W odniesieniu do marksizmu praca Skolimowskiego przynosi syntetyzującą i przekonującą analizę kierunku zwanego najbardziej adekwatnie „humanizmem socjalistycznym”. W tej dziedzinie popiera on pogląd samych jego twórców, że nie mamy tu do czynienia z rewizjonizmem z zasadniczych powodów; jako że pojęcie to jest sprzeczne tak z samą istotą filozofii w ogóle, jak z otwartym charakterem systemu Marksa.

Podkreśla też praktyczne konsekwencje tego nurtu, szczególnie jego antydeteterminizm egzystencjalny, w szczególnej mierze manifestujący się w poglądach Kołakowskiego, obalający „filozoficzne” fundamenty komunistycznego totalitaryzmu.

Represje jakie dotknęły ostatnio już nie tylko Kołakowskiego, ale też bardziej umiarkowanych i „obiektywizujących” — dobitnie świadczą o docenieniu przez „dyktatoriat” gomułkowski niebezpieczeństwa ze strony nawet najbardziej autentycznie marksistowskiego ale przecież humanizmu.

Świadczy to też i o tym, że wykładnia stalinowskiej „konfesji moskiewskiej” marksizmu stała się na powrót obowiązująca. Jej pełna restytucja w ZSSR jest dziś faktem dokonanym, choć powstaje zasadnicza wątpliwość na jak długo. Ostatecznie już Heraklit odkrył że „nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki”.

Nie jest to jednak przedmiotem rozważań Skolimowskiego. Analizując filozofię trzech głównych przedstawicieli polskiego marksizmu: — Kołakowskiego, Schaffa i Krajewskiego udowadnia w przekonujący sposób, że mimo podjęcia przez nich różnych problematyk — etyczno-egzystencjalnej w wypadku Kołakowskiego, analityczno-lingwistycznej w wypadku Schaffa czy systematyczno-metodologicznej w studiach Krajewskiego — ich wspólną cechą jest inkorporacja w obręb marksizmu dziedzin filozoficznego poznania zapoczątkowanych i rozwiniętych przez inne szkoły lub też dziedziny pozafilozoficzne (lingwistyka). A jednocześnie inkorporacja ta jest w pełni organiczna i systematycznie bezbłędna, pozwalająca zarówno na dalszy rozwój samych dyscyplin, jak marksistowskiej metody ich badania.

Pracom tych autorów cechy autentycznej filozofii nadaje w pierwszym rzędzie fakt otwartości ich systemu — marksizm staje się tu w pierwszym rzędzie ogólną metodą, kierunkiem filozoficznej analizy zjawisk a nie zbiorem dogmatów w obrębie których nie ma miejsca na bardziej samodzielną myśl.

Mamy więc tu do czynienia ze zjawiskiem jakościowo zupełnie odmiennym od „oficjalnego” marksizmu, zbioru reguł skonstruowanych z pragmatyczną dowolnością mających za główny cel stworzenie teoretycznego uzasadnienia totalitarnej tyranii.

Od scharakteryzowanej postawy „rewizjonistów” prosta droga do uznania przez nich wartości dyscyplin filozoficznych poprzednio oficjalnie potępionych, uznanie ich integralności, zwłaszcza wtedy gdy dotyczą problemów mających inny przedmiot niż marksistowska dialektyka (np. logika formalna).

Oczywiście można by tu przypomnieć że i Stalin pod koniec życia przywrócił pewne dziedziny wiedzy (zwłaszcza matematyczne) poprzednio zakazane jako „burżuazyjne”, nadając im rangę „aklasowych”, ale przesłanka była tu czysto utylitarna — po prostu okazały się niezbędne dla rozwoju pewnych dziedzin techniki.

Zasada ta nigdy nie uległa w ZSSR zmianie, ona przecież posłużyła Chruszczowowi do rozpętania nagonki na Pasternaka, podczas gdy fizykom nagrodzonym równocześnie nagrodą Nobla przyznano dodatkowe odznaczenia i „pochwały”.

Analiza Skolimowskiego silnie akcentuje pozytywny element — otwarty charakter polskiego marksizmu pozwalający mieć nadzieję, że jego dominacja nie musi oznaczać likwidacji filozofii.

Dziś wprawdzie stał się on przedmiotem represji, ale chyba trudno tu mówić o przegranej gdyż w dalszej perspektywie po prostu nie ma go czym zastąpić. Nawet ponowna „intronizacja” groteskowych egzegetów stalinizmu nic dać nie może — stalinizm przy niemożności uniwersalnego poparcia i narzucenia go siłą jest tak czy inaczej martwy. Natomiast jego współczesny odpowiednik w postaci maoizmu, o całe przy tym niebo bardziej autentycznie filozoficzny, a w płaszczyźnie politycznej totalny terror zastępujący totalną mobilizację jest dla Rosjan nie do przyjęcia,

zmusiłby ich do przyjęcia roli ideowego i politycznego satelity Chin.

Skolimowski analizując pozamarksistowskie odmiany polskiej filozofii analitycznej słusznie przyjmuje, że jest to dziś zjawisko historyczne, bez perspektyw kontynuacji.

Żyją wprawdzie jeszcze niektórzy jej wybitni przedstawiciele, ale trudno od nich oczekiwać istotnych nowych prac. Strukturalny natomiast układ polskiej nauki nie pozwala dziś adeptom filozofii na inny wybór niż między „sensu largo” marksizmem a spirytualistycznym kręgiem filozofii chrześcijańskiej.

Zjawisko więc „niezależnej” polskiej filozofii jest już faktem zamkniętym. I tego trzeba nade wszystko żałować — i to bynajmniej nie z filozoficznego tylko punktu widzenia. Niezależnie bowiem od wyczerpania większości problematyk klasycznej filozofii analitycznej kontynuowanie jej niezależnej, liberalnej tradycji miałyby ogromne znaczenie dla całokształtu tradycji polskiej kultury umysłowej.

Główna część monografii Skolimowskiego poświęcona jest charakterystyce wszystkich nurtów polskiej filozofii analitycznej, historii jej ewolucji oraz w szczególnej mierze porównaniu jej z brytyjskim nurtem tej samej szkoły. Podkreślając ich wspólny rodowód w postaci nie tyle może systemu ile kierunku któremu impuls dał Brentano analizuje Skolimowski ich punkty styczności i rozbieżności akcentujące się zwłaszcza przez podejmowanie różnych problematyk filozoficznych. Podkreśla również rolę polskiej filozofii analitycznej w rozwoju dziedzin z pogranicza nauk (jak logika matematyczna), w której rozwoju niektórzy jej przedstawiciele (Łukasiewicz, Tarski) odegrali szczególnie doniosłą rolę. Szczegółowo omawia wreszcie dziedziny będące szczególnym dorobkiem polskiej szkoły, których zaledwie przesłanki znajdujemy w literaturze filozoficznej innych krajów, jak np. prakseologia Kotarbińskiego.

Ogromnym walorem monografii Skolimowskiego jest nie tylko inteligentna i przekonująca analiza zjawisk, ale także bardzo przejrzysta, świetna metodycznie dyspozycja tematu. Jeśli do tego dodamy dyscyplinę myślową i tkwiące w najlepszej tradycji oksfordzkiej opracowanie stylistyczne otrzymujemy w sumie publikację filozoficzną stanowiącą przedmiot fascynującej lektury tak dla specjalisty jak dla czytelnika zainteresowanego problematyką filozoficzną. Jednocześnie pełni ona ogromną rolę jako systematyczny informator współczesnej polskiej literatury filozoficznej w której orientacja jest dla nieznaących języka bardzo utrudniona. A przyznać trzeba że filozofia na równi z matematyką przyciąga do Polski znaczną ilość studentów zagranicznych, i to mimo trudności językowych.

Skolimowski-filozof jest dziś chyba już zdecydowanie poza obrębem polskiej szkoły, tym razem wystąpił jako jej najlepszy orędownik.

Adam SUTKOWSKI

Ten jest z Ojczyzny mojej

Pamięci Jadwigi Mańkowskiej-Strzałeckiej

Czy mogliśmy wierzyć czytając tak liczne, z całego świata, listy pisane do *Kultury* podczas zagrożenia i po zwycięstwie Izraela, że antysemityzm polski rozwiązał się jak dym i nigdy nie powróci? Nie byliśmy na tyle naiwni, spodziewaliśmy się jednak i spodziewamy, że wstrząs wojny izraelskiej przyczyni się, pomoże znieść dawne wzajemne urazy i nienawiści.

W tym rozumowaniu nie jesteście osamotnieni.

„Po 6 dniach wojny na Bliskim Wschodzie — pisze do nas, jeden z wielu, A. Szyper z Brooklynu — Izrael stał się dla większości Polaków symbolem wolności walczącej z przemocą. Wydaje mi się, że świadomość wspólnego wroga (Rosji komunistycznej) zbliży Polaków i Żydów w stopniu nie mniejszym niż ich kilkusetletnie współzycie... Zastanawia mnie coś innego — *wzajemne nic nie dające polemiki polsko-żydowskie na temat „Kto ma rację”*: Każda strona chce mieć całkowitą rację... Czas otworzyć oczy na rzeczywistość, na dzisiejszy świat, zachodzące w nim zmiany. Czas, aby przestać myśleć kryteriami przeszłości. Tak Polacy jak Żydzi żyją w świecie wspólnego wroga — komunistycznej Rosji. To ich łączy, to natomiast co było źródłem ich konfliktów jest już nieaktualne i przeszło do lamusa dnia wczorajszego. Tak mówi prosta cyniczna logika. Uczucie i serce mówią dużo więcej. Nie ma już prawie Żydów w Polsce. Została jednak historia i wszystko co piękne i szlachetne. Wszystko co łączyło te dwa narody na jednej ziemi przez setki lat. Nie ma już żydowskich miasteczek na tle polskiego krajobrazu. Pozostały wspomnienia. Dlatego też za wszystko co nas łączyło w przeszłości, za Mickiewicza, za Tuwima, za miliony spalonych, szczytych i niešťliwych, za przyszłość podajmy sobie rękę...” (Moje podkreślenia).

W dniu Święta Zmartwychwstania i Paschy Żydowskiej wraca do mnie jakby wczorajsze wspomnienie dzieciństwa.

W Przyłukach, na Białorusi, w każdą Wielkanoc odwiedzaliśmy — my, dzieci wraz z naszym proboszczem Księdzem Zebą — starego młynarza Lejbę. Okna jego domku nie zasłonięte firankami wychodziły na czarny o zmroku staw wśród olch i na drogę, którą wracaliśmy z jesiennych i zimowych spacerów. Co sobotę widzieliśmy Lejbę w świetle świec szabasowych. Miał twarz rembrandtowską, białą brodę i tańs, czytał święte księgi.

W dzień Wielkiej Nocy częstował nas pejsachówką i ciastkami, których smaku już nie pamiętam. Jak głosi żydowska tradycja, prorok Eliaś odwiedza w Paschę każdy bogobojny dom żydowski, więc i dom Lejby również i upija nieznacznie pierwszą kroplę z pełnego kielicha wina, który potem cała rodzina wypija do dna.

Idąc do Lejby mieliśmy jeszcze w uszach rozpięający, radość

cią brzmiący śpiew przepełnionego wiejskiego kościoła, „Wesoły nam dzień dziś nastał”, rannej rezurekcji.

Lejba czekał na Mesjasza, my wierzyliśmy, że Mesjasz już przyszedł i zmartwychwstał. Lejba omiął dyskusje biblijne, do których nasz ksiądz próbował go wciągać, ale gdzie tu było miejsce na wrogość czy nawet niechęć? Ksiądz i Lejba-młynarz znali na pamięć te same, tysiące razy odmawiane, psalmy nadziei, grozy i wiary, a my, dzieci, czuliśmy się razem z księdzem i Lejbą związani czymś cichym, niewymownym i to uczucie dziś wraca do mnie bo leży przede mną książka o której Borwicz w *Kulturze* napisał, że gdyby termin „Złotej Księgi” nie był już zbyt nadużyty należałoby tak ją nazwać.

Myślę o „Ten jest z ojczyzny mojej” Bartoszewskiego i Lewinówny. Ta książka uświadomiła mi nagle, że A. Szyper ma może rację pisząc w swoim liście — po co dyskusja, po co polemiki, że są one płonne. *O co innego chodzi*, o inne drogi zbliżenia.

„Ten jest z Ojczyzny mojej” to zebrane tylko w drobnej części dane o pomocy Polaków Żydom a także o ich wspólnej walce przeciw barbarzyństwu i zagładzie.

Jest naszym obowiązkiem — każdego Polaka i każdego Żyda — tę książkę nie tylko posiadać, ale *przeczytać od początku do końca i szerzyć*.

Czytać tę książkę jednym tchem jest prawie niemożliwe. Nagie fakty, skrawki ogromnych wydarzeń, a każdy z nich ma wagę absolutną, nie słów pięknych, ale ofiary. Nie widać tu śladu zacierań stron ciemnych — prawie co strona wspominać są szantaże, szmalcownicy, szpicle na usługach Niemców, Polacy a nieraz Żydzi czyhający na mienie i życie Żydów. Wyczuwamy coraz to tło wypadków, ogół zastraszony, obojętny, wrogi wszystkiemu co grozi straszliwym ryzykiem. Kto wie za granicami Polski, że Polska była jedynym krajem w którym za podanie szklanki mleka Żydowi, za udzielone schronienie, groziła kara śmierci. Czytamy szereg przykładów wymordowania całych polskich rodzin za przechowywanie jednego starca, czy jednego dziecka. Bartoszewski, sam współorganizator rady pomocy Żydom w przeciągu całej wojny, sprawie tej duszą i ciałem oddany przekazuje tu zbierane przez lata materiały, włącznie z tekstami zarządzeń dowódców niemieckich, które należy „mieszkańcom wsi wyjaśnić jak najdobitniej”, że nawet ci którzy sami Żydom nie udzielają schronienia, ale dają im wikt lub sprzedają żywność „podlegają karze śmierci”. Jest m.in. tekst plakatu, w którym Kreishauptmann obiecuje jeden metr żyta każdemu Polakowi w zamian za każdy donos na Żyda.

Świetny w swej absolutnej rzetelności wstęp Bartoszewskiego, bez cienia wątpliwej literatury, bez cienia efektów i chwytów literackich, przedstawia nam stan rzeczy i rozwój akcji ratowniczej. Ta akcja się opiera przede wszystkim na jednostkach, które ryzykują życiem całych rodzin polskich, na akcji przeróżnych klasztorów, na nieustannym informowaniu polskiego Londynu,

który powołując się na wieści przesyłane z kraju, informacje te przekazuje dalej w świat, stykając się przeważnie z zadziwiającą obojętnością i biernością wielkich mocarstw.

Jest również opisana — tak nikła w porównaniu z kolosalnymi środkami walki, którymi wówczas świat rozporządzał — pomoc w broni i w aktywnym poparciu Armii Krajowej zbrojnego oporu Żydów. Czytając uważnie jak opowiada o tym książka Bartoszewskiego i Lewinówny, widzimy nie martwe cyfry, ale żywych młodych Polaków, którzy giną wymordowani w tych beznadziejnych, szalonych próbach pomocy walce żydowskiej. I pomoc ta urasta do rozmiarów wielkich, bo to są ofiary krwi i życia.

Świadectw tu setki: świadczą Żydzi, świadczą Polacy, świadczą ludzie zupełnie prości, widzimy niezliczone małe wycinki i wszędzie czujemy tę samą nieoddychną grozę. Po dziesięciu-dwudziestu stronach zamykamy książkę, nie mamy siły jej dalej czytać, ale wracamy do niej znowu.

Każdy uczciwy czytelnik po przeczytaniu tej książki inaczej spojrzy, inaczej odczuje naszą polsko-żydowską przeszłość. Właśnie ta przeszłość zawarta w tej książce, to nieprzemijający wkład nadziei na przyszłość.

Nasze stosunki mogą i muszą być wyrównane, dzisiejsze zarządzenia w Polsce nie wytrzymają konfrontacji z ładunkiem braterstwa tej Złotej Księgi Bartoszewskiego i Lewinówny.

Józef CZAPSKI

Niedziela Wielkanocna, 14 kwietnia 1968.

Nowe wiersze Iwaniuka

Czerniawski nie ma podstawowej zasady krytyki, obiektywności.

W.I. (Toronto) „Oficyna Poetów” nr 9

Ciemny czas Wacława Iwaniuka (Instytut Literacki, 1968) jest chyba najlepszym z opublikowanych przez niego dotychczas zbiorów. Czytelnicy jego *Wyboru wierszy* (Instytut Literacki, 1965) znajdują tu znów zakres tematów, do których poeta obsesyjnie powraca. A więc pamięć pieców krematoriów:

*Na osiwałe w ciągu jednej nocy
Na wywiezione w bydlęcych wagonach
Na ten popiół w który nasze matki
Odchodziły bez pożegnania...*

wyobcowanie poety polskiego na ziemi kanadyjskiej:

*Ja nie wyrośłem pod ich kłosem
Nie byłem ich kolonialnym sprzętem
Wydał mnie mały ale urodzajny kraj
Gdzie mieszkańcy często zstępują do piekła...*

znamiennosc słowa, zasadniczego narzędzia poety:

*poeta
odgrodzony od słowa
pozostawi po sobie
tylko krzyk papieru*

upływ czasu, przemijanie i śmierć:

*Nie ma takiego nieba które by trwało wiecznie
Ani kości nie wrócą do własnego ciała —*

wreszcie komentarze do dzieł sztuki, w których poeta ustala związek między sztuką a życiem. Technicznie także na pozór nie widać żadnych zmian. Cóż więc stanowi cechę wyróżniającą *Ciemnego czasu*?

Rygor i zwartość. Utwory w *Wyborze wierszy* nieraz cierpiały na dłużyźny, zwrotki o dużym ładunku poetyckim przeplatały linijki banalne, niezręczne. W obecnym tomiku zdarza się to rzadko.

Jednym z niewielu przykładów jest „Norwid w Nowym Jorku”. Początek brzmi:

*Był jak schizma odłożona na jutro
Jak dąb pokryty bluszczem
A myślał że się o niego upomną współcześni
Ze jego głos wyda echa.*

a zakończenie:

*Rozumię potrzebę Ziemi Obiecanej
Jerozolimy
Ale nie rozumię
Kary samotności.*

*I pomyśleć że za drzwiami było niebo
A on nie mógł otworzyć drzwi.*

Czym jest to niebo? Chyba uznaniem współczesnych, którego domagał się Norwid. Iwaniuk stwierdza, że nie rozumie dlaczego marsz do ziemi obiecanej musi się odbywać w samotności. Naturalnie można ubolewać, że sztuka wymaga cierpienia i samot-

ności, można ten stan rzeczy uznać za „niezrozumiały”. Ale skoro Iwaniuk konstatuje, że tak się rzeczy mają, nie może zaraz dodawać, że „za drzwiami” czekało Norwida zbawienie, gdyby tylko Norwid mógł te drzwi otworzyć. Jeżeli otwarcie drzwi nie leżało w ramach możliwości poety (tzn. jeżeli obojętność współczesnych musimy przyjąć jako fakt, jak sam Iwaniuk stwierdza w poprzedniej zwrotce) nie ma sensu w ogóle pisać o drzwiach, których nie można otworzyć. Jeżeli jednak Norwid mógł być drzwi otworzyć gdyby tylko zechciał, wówczas „kara samotności” nie byłaby żadną koniecznością. Iwaniuk zapewne chce powiedzieć, że Norwid drzwi otworzyć nie mógł, dlatego, że otwierając je, poszedłby na kompromis z leniwym współczesnym czytelnikiem. Ale wówczas trudno jest utrzymywać, że ten kompromis byłby dla Norwida „niebem”.

Jeżeli zgęcam się nad tymi kilkoma linijkami, to dlatego, że Iwaniuk sam pisze tak, jakby spodziewał się, że czytelnik wyłuska z nich „morał”, który da się sparafrazować w jednym zdaniu prozy. Nie twierdzą, że tego typu „prozaiczny” komentarz nie jest w poezji możliwy: przeciwnie, jest możliwy i może być nieraz bardzo efektowny. Ale warsztat Iwaniuka nie jest do takich skoków stylistycznych dostosowany.

W obecnym tomie jednak większość wierszy jest starannie wykończona i zestrojona w jednej tonacji od początku do końca: zespala je zawsze jakiś dominujący obraz, który, niczym wątek muzyczny, poeta rozpracowuje i precyzuje. Przykładami są tu „Troja”, „Kompozycja”, „Miejsce przez duże M”, „Miasto” i „Sierpień”, którego zakończenie cytuję:

*W sierpniu nie pytaj, bo nic nie przemija
W sierpniu zapominamy o wędrówce czasu —
Ale z lotu owadów z ruchu pajęczyny
Z układu liści które drżą na drzewie,
Nie patrząc w papierową czelusć kalendarza
Można wyczytać w sierpniu, co grudzień przyniesie.*

W tomiku Iwaniuka szczególnie zainteresowały mnie trzy wiersze o tematyce artystycznej: „Mondrian — kompozycja nr 2”, „Pejzaż Ruisdaela” i „Mozart”.

Zazwyczaj skłonni jesteśmy szukać w malarstwie odzwierciedleń naszych doznań wzrokowych. Z takiej perspektywy abstrakcyjne płótna Mondriana mogą się wydać szczególnie nieciekawe. Przeczy temu poeta:

*Interesuje mnie wnętrze jego linii
Więcej niż dramat tak zwanego życia.
Nie to co żyje, ale to co ginie,
Kształt gdy przechodzi w pozakształt
I przestrzeń w pozaprzestrzeń...*

Mondrian nie „imituje” rzeczywistości. Statyczna harmonia jego płócien ma inną wymowę niezwiązaną z pochodem doczes-

nych wydarzeń. Co więcej, nawet kwadraty mogą się wrażliwemu widzowi wydawać „ukrzyżowane i cierpiące”.

„Pejzaż Ruisdaela” może posłużyć jako kontrast: tu „rzeczywistość” krajobrazu holenderskiego jest wiernie oddana. Lecz właśnie ta fotograficzna skrupulatność zagraża swobodzie wyobraźni:

*Tłuste boginie odpoczywają pod soczystym drzewem
Objedzone — nie chcą powracać do nieba*

i dlatego poetę „męczy... pejzaż Ruisdaela”. Jest tu jednak pewna dwuznaczność: czy wiersz rzeczywiście jest opisem dzieła Ruisdaela, czy też samego krajobrazu holenderskiego? Krajobraz może być „nudny”, ale czy wynika stąd nieodparcie, że przedstawienie go na płótnie musi także być „nudne”? Nie jestem jednak pewny, czy ta niejasność jest wadą, czy też raczej zaletą wiersza.

„Mozart” składa się zaledwie z czterech linijek, lecz w tych kilku liniijkach Iwaniuk mówi bardzo dużo. Istnieje szeroko rozpowszechniony przesąd, że dla człowieka, szczególnie dla artysty, przyroda jest głównym źródłem natchnienia. Ale tu bynajmniej nie leży cała prawda. Po pierwsze, nie jest dziwolągiem człowiek, któremu większą przyjemność sprawia obcowanie ze sztuką niż z przyrodą, a po drugie, sztuka właśnie uczy nas rozpoznawać bogactwo otaczającego nas świata. Życie imituje sztukę:

*Ptakom otwiera głosy on
Drzewom eliksir wlewa w zieleń*

W drugim dwuwierszu poeta ujmuje równie znamienne myśli. Twórczość artystyczną cechuje wiele najróżniejszych elementów, a jednym z nich jest paradoks, że artysta jest i wizjonerem rozkoszującym się swą nadzwyczajną siłą i niewinnym dzieckiem nieświadomym dajmona, który go posiada:

*W sonacie jest jak anioł który
Wie że aniołem jest i nie wie.*

Adam CZERNIAWSKI

Pożegnanie z awangardą

I

Co uderza we współczesnej liryce polskiej, to zdrowe odejście od Awangardy, nie tej która w wyobraźni debiutanta sprzymierza się w naturalny sposób z nowymi wartościami, ale tej, ogólnie nazwanej „krakowską”, wleczonej sztucznie od wielu lat przez karty pism i książek. Nie ma ona już dziś wielu zwolenników;

ostatnią wojującą jej ariergardą była znana nam londyńska grupa poetów, wierząca nie tyle w mit Awangardy, co w jej dożywotniego Biskupa. A sprawdziliśmy — jakież właściwie był ten dorobek Awangardy? Na gruncie polskim, a raczej w krakowskim jej zaścianku, to może duży, w oczach zaś poezji, zwłaszcza poezji zachodniej — bardzo nikły. Zdobył, o których pisał stałe Przybóś, były albo sztuczne, albo wynikały z nieznanego zupełnie u nas poezji amerykańskiej: Marianne Moore, Williamsa, e.e. cummingsa, Aikena, Stevensa i innych. Przykładem może tu być prekursorska twórczość Marianne Moore, bogatsza i dojrzalsza w osiągnięciach formalnych, od spóźnionych rewelacji T. S. Eliota, przyswojonych nam w niezręcznej, powierzchownej polszczyźnie.

Powojenna poezja polska z Różewiczem, Białoszewskim i Herbertem na czele, nie ma nic wspólnego z teoretycznymi założeniami Awangardy, młodszy zaś: Harasymowicz, Grochowiak, Bryll czy Jerzy, karmił swoje pegazy zupełnie innym ziarnem, łatwiej jednak u nich znaleźć łączność z wielką tradycją polską, wyczuć powoływanie się na spadek po Norwidzie, Leśmianie, na dorobek Staffa, niż twórczość Przybósia czy Peipera. Ci poeci przypominają mi niedożywną secesję zagranicznych i z m ó w, bogato krzewiących się na przełomie XIX i XX wieku, żyjących po dziś dzień w sztucznie spiętrzanej stylizacji, czy to będzie przesadnie bogaty barok, czy nawet oszczędniejszy klasycyzm. Stylizacji tej uległ Czachorowski, Sito, Jarosław Marek Rymkiewicz, Bordowicz, z młodszych: Polsakiewicz. Czasami słyszy się jej echo w dojrzałych wierszach Brylla i Jerzyny, a nawet u wybijających się najmłodszych poetów: Kawińskiego i Sprusińskiego.

Podkreśliłbym tu zwłaszcza wybijający się talent Kawińskiego. Debiutował on w 1964 roku tomem *ODLEGŁOŚCI POSŁUSZNE*, zawierającym wiele ciekawych zdobyczy poetyckich i nowych sformułowań. Nowy jego tom *ZIARNO RZEKI*, wydany przez PIW w ubiegłym roku, to już osiągnięcie na dużą skalę. Zawiera wiersze o czystej, własnej konstrukcji, pełne ostrych wizji, nieoczekiwanych spój stylistycznych, obrazów które buduje z zaskakujących często przeciwstawnych logicznie elementów. Jak choćby powiedzenie: Syk rosnącej trawy, czy: Zagęszczanie się suszy.

Historyk, oceniający w przyszłości twórczość Awangardy, nie będzie miał chyba tyle trudności, co współczesny nam krytyk, lawirujący zręcznie między poetami a ich wierszami, nasłuchujący i ostrożny, liczący się z każdym prawie słowem. Będzie do tego miał on potrzebny w takich sprawach dystans, niezawodny często wskaźnik przy rejestrowaniu literackich faktów.

II

Tu mogło powstać piekło albo Eden

albo:

Pioruny przekrzykują zdyszane strumienie

albo:

Odczłowieczona ziemia samotnieje

albo:

*Na dwu brzegach próżnego spojrzenia
kamień ostrzy ogień*

W tych kilku zdaniach jednego wiersza mieści się formuła życiowa i twórcza Jana Śpiewaka. Zmarł przedwcześnie, w grudniu 1967 roku, zdołał wydać jeszcze przed śmiercią tom wierszy *ANNA*, wyjątkowo pełny i dojrzały, o krystalicznej zwięzłości i czystości.

Śpiewaka znałem mało, dwa razy w życiu spotkałem go, natomiast korespondencja między nami, nawiązana zaraz po wojnie, utrzymała się aż do jego śmierci. Ceniłem w jego listach i wypowiedziach szczerość i prostotę; był pełen poświęcenia dla przyjaciół i wyrozumiały dla tych, którzy go nie doceniali lub nie lubili. On to, w nieprzychylnych powojennych warunkach, przyczynił się do przywrócenia czytelnikowi polskiemu twórczości przemilczanego wówczas Czechowicza, pracował wraz z Pollakiem nad pierwszym jego wyborem wierszy, wydanym przez Czytelnika w 1955 roku, jak również zajął się twórczością Piętaka, po tragicznej śmierci tego pisarza.

Sam Śpiewak w swoim ostatnim tomie jest jak lampa wypełniona mocnym światłem, tyle w tych wierszach jasności, spokoju,ładu, głębokiego wkraczania w rdzeń słowa, w człowieka, jego związki z czasem, historią, społeczeństwem otaczającym go. W *ANNIE* skoncentrował Śpiewak całą rozpiętość swego talentu, oczyścił go z naleciałości werbalnych, z nadmiernego szafowania słowem, nabrał dystansu, gdzie fakt codzienny uwolniony z cech tymczasowości staje się mitem. Mitologizowanie jest tu jakby wypracowaną nadrzędną zasadą poetycką, każdy impuls czy odruch, poeta podaje szerszej ocenie, wydziela z tkanki która go zrodziła, upowszechnia, podbarwia symbolem.

W tomie tym poeta bezustannie nawraca do zagadnienia czy problemu śmierci. Jest ona przy nim gdy pisze o milczeniu, o znieruchomiałej grudzie ziemi, o losie drzew w ich jaskrawych strojach, o średniowiecznych artystach, o kundlu lub zając. I o ciemności, jakby przeczuwając, że przyjdzie ona do niego wkrótce „Trumną spieczonych oddechów”.

III

Czesław Śleszak pisał w roku 1961: „Należę do grupy poetów polskich młodego pokolenia. W twórczości mej zajmuję się szczególnie tragedią narodu żydowskiego w czasie drugiej wojny światowej. Zbieram wszelkie materiały itd.”.

Zdania te przytaczam nie bez powodu. Przedtem chciałem jednak dodać, że Śleszak jest poetą, przygotował on tom wierszy *WOŁAM CIĘ, JERUZALEM*, który w przekładzie na hebrajski został wydany przez Światowy Związek Byłych Więźniów Obozu

Bergen-Belsen. Książka wydana jest luksusowo, na ładnym papierze, ale dla czytelnika polskiego tekst oryginalny wygląda dość dziwnie, gdyż trzeba go czytać razem z tekstem hebrajskim — od ostatniej strony.

Wiersze, mimo entuzjastycznej opinii wydawców, nie poruszają w nas ani strony uczuciowej ani estetycznej. Od czasu do czasu trafiamy na jedno głębsze zdanie, tryska iskra poezji, ale natychmiast gaśnie zalana nadmiernym werbalizmem i młodopolszczyzną.

Całość jest raczej dokumentem i warto go było ocalić w imię natychmiast gaśnie zalana nadmiernym werbalizmem i młodopolszczyzną. Całość jest raczej dokumentem i warto go było ocalić w imię

IV

Substancja słowa jest czasami podobna do substancji światła. Nie można w żaden sposób otworzyć jego wnętrza, dociec co się w nim kryje. Spróbuj rozłamać promień lub przydeptać dźwięk, zmysły jednak w żaden sposób nie chcą przyzwyczaić się do pewnych niemożliwości, poddać się. I dlatego poeci będą bezustannie penetrować słowo, a fizycy zjawiska kosmiczne.

To samo jest z walką wypowiedzianą umownym pojęciem. Nigdy właściwie nie wiemy gdzie się zaczyna zło a kończy dobro? Kto i po co stworzył te pojęcia, dlaczego wmówione je w nas, a nawet zorganizowano cały system prawny, by je przestrzegać? Człowiek, widać, lubi wszelkiego rodzaju kocz i dobrze się czuje, gdy jest ich niewolnikiem.

Gdyby było prawdą, że doświadczenie uczy, jacy mądrzy bylibyśmy czerpiąc pełną ręką, poczynawszy od biblijnych przegód Noego i przejścia przez Morze Czerwone, po bliską nam, ostatnią wojnę. Niestety, jest to tylko frazes, wprawdzie mądry ale mało życiowy i dlatego nie należy mu ufać.

Przypomina mi się, jak tuż po zakończeniu wojny natknąłem się w Londynie na śp. Ksawerego Pruszyńskiego, z którym tak jeszcze niedawno płynąłem do Narwiku. Weszliśmy na wódkę do jakiegoś zacisznego baru, by pomówić o najbliższych planach. Moja Dywizja stacjonowała jeszcze w Niemczech, a ja byłem na zwykłym urlopie, Pruszyński natomiast jechał już do Polski, choć nie był pewny czy na stałe, czy wróci jeszcze na Zachód. „Gdybym został — powiedział mi wtedy — to dam Panu znać, czy ma Pan wracać, czy nie. Może napiszę list, a może w inny sposób przekażę Panu tę wiadomość. W każdym razie usłyszysz Pan o mnie”.

Z tym rozstaliśmy się. W jakiś czas potem dostałem z Polski numer „Odrodzenia” z artykułem Pruszyńskiego, w którym był również apel skierowany do mnie osobiście, bym wracał. Numer zachowałem, ale z rady tak wytrawnego korespondenta i pisarza nie skorzystałem. Tego rodzaju decyzje pobiera się po rozmowie z samym sobą, z nikim innym.

Wszystko to przypomina mi się, gdy patrzę na skromnie wydaną przez angielską firmę książeczkę: POLISH WRITING TODAY: Widzę dalszy ciąg powojennych perypetii repatriacyjnych, zaciąganie tak zwanej „żelaznej kurtyny” i jej teatralny aspekt, gdy na wybierających „wolność” ziomków, patrzyliśmy jak na aktorów obnoszących się niby Katoni, choć nie zawsze czyste kierowały nimi pobudki. Zachód brał wszystko za dobrą monetę, zwłaszcza w okresie „zimnej wojny”.

Taka długa podbudowa pod skromnie wydaną książeczkę, powie ktoś. Może dlatego — odpowiem — że o samej książce nie można nic poważnego napisać, trzeba ją raczej rozpatrywać pod kątem owego ogłupienia politycznego, jakiego jesteśmy dziś świadkami. Dobór autorów jest tak przypadkowy, że aż bezsensowny. Szkoda mi tylko Różewicza i Herberta w tym zespole, lecz wątpię czy się ktoś ich pytał o pozwolenie lub zapoznał z treścią i zestawem nazwisk. Chyba nie.

Nie tylko ja mógłbym wymienić niekonsekwencje tej książki ale każdy przeciętny czytelnik i miłośnik literatury polskiej mógłby wytknąć ślepotę literacką pani Wieniewskiej, jej kardynalne przeoczenia, gdyby rzeczywiście chodziło w niej o zapoznanie czytelnika anglosaskiego z naszą współczesną twórczością. Autorka zapewne ułożyła dziwny ten konglomerat w zupełnie innym celu.

Wacław IWANIUK

Wojciech Kawiński, *Ziarno rzeki*, str. 75, PIW, Warszawa 1967.

Jan Spiewak, *Anna*, str. 115, Czytelnik, Warszawa 1967.

Czesław Słezak, *Wolał cię Jeruzalem*, Wydawnictwo World Federation of the Bergen-Belsen Association Inc. New York, Tel-Aviv, z języka polskiego przełożył A. Gilbon, Grafika A. Jelenof.

Polish Writing Today, str. 206, Penguin Books, Edited by Celina Wieniewska.

Na marginesie «Poezji i rzeczywistości» Jastruna

Zbiór szkiców Mieczysława Jastruna „Poezja i rzeczywistość” (Czytelnik, 1965) przypomina jego poprzedni zbiór pt. „Między słowem a milczeniem” (PiW, 1960). W obecnej książce Jastrun znów zajmuje się bliską mu bardzo poezją Norwida, Rilkego, Hölderlina i francuskich symbolistów nie mówiąc już o wielu

innych poetach polskich, niemieckich i francuskich. Na materię szkiców i not Jastruna składają się starannie zespolone elementy erudycji, krytyki literackiej, popularnego wykładu o poezji i jej problemach, oraz zapisu osobistego doświadczenia warsztatowego poety i tłumacza. Jastrun erudyta i lingwista, będąc również poetą, nie grzeszy jałowością pedantów i filologów, a ponieważ ma głęboką znajomość historycznego tła literatury, jego uwagi krytyczne posiadają solidną podbudowę.

Irytującą dla mnie cechą jego rozmyślań o poezji jest nadmierny jednak nieraz patos i wyważony, pompatyczny styl. Mgiełka poetyczności, która owiewa jego prozę krytyczno-eseistyczną zaciera czasem tok myśli. Zwracając na przykład uwagę na obecność poważnych luk w biografiach wielu poetów, Jastrun pisze o „pograniczu” między prawdą a legendą. Ale ten obraz „strefy pogranicza — jak ją autor nazywa — pełnej niespodzianek, zasadzek, półmroku podświadomości, snu i jawy”, jest tak dla Jastruna-poety urzekający, że trzy zdania niżej nadal rozwija metaforę, a czytelnik zapomina już jakiemu celowi ma ona służyć: —

„Nie unikajmy tej strefy — pisze — nie nazywajmy jej deptakiem dla łowców sensacji i sekretów, krzyżują się w jej półmroku odległe błyski gwiazd z błyskami legend tuż nad ziemią, w pobliżu siedzib opuszczonych dawno przez mieszkańców, w niezdeterminowanych porach między blednącą nocą a nieobecny jeszcze światem, między pierwszym dźwiękiem dnia a jeszcze nieprzebudzoną ciszą”. To jest może przykład skrajny, ale bynajmniej nie wyjątkowy.

Najlepiej wypadają eseje Jastruna, w których najmniej zajmuje się ogólnikowymi rozważaniami o życiu i sztuce. Mam na myśli te szkice, w których występuje ton polemiczny ponieważ przedmiot dyskusji angażuje jego znajomość literatury i jego doświadczenie poetyckie. Dobrym przykładem jest esej „Powinowactwa i wpływy”, w którym Jastrun zajmuje się tezami Gomulickiego i Żurowskiego odnośnie dostrzegalnych wpływów w poezji Norwida.

Jak wiadomo, we wstępie do swej edycji „Vade-mecum” Gomulicki przedstawia tezę, że ten cykl jest odpowiedzią na „Kwiaty zła” Baudelaire’a. Jastrun komentuje: „Nie uwierzę w to, że Norwid czytał autora „Kwiatów” dopóki nie znajdę bezpośredniego świadectwa tej lektury” i dodaje nader rozsądnie: „Zdarza się, że ludzie, zwłaszcza w tej samej epoce, wpadają na podobne pomysły, nie wiedząc nic o sobie, nie czytając się wzajemnie”. I wreszcie wyraża zniecierpliwienie naiwnymi uproszczeniami badaczy-filologów: „Ogromne biblioteki które musiałby przeczytać każdy niemal ze znakomitszych autorów, gdyby wierzyć badaniom wpływologów, istnieją często jedynie w ich własnych głowach. Z zasady przecenia się wiedzę książkową pisarzy, uważa się, że czytają wszystko, co wychodzi w druku, i pamiętają całą literaturę przeszłości”.

Uczeni opierają swe wnioski na dokumentach w postaci listów i brulionów poety, na uważnej lekturze jego utworów, i tam gdzie wpływu nie są w stanie naukowo uzasadnić, konstruują hipotetyczne wpływy. Tymczasem poeci wiedzą, że dziwnymi drogami chodzi wyobraźnia, wiedzą że często nie może być mowy o prostym łańcuchu przyczyn i skutków, że zachodzą powinowactwa, tam gdzie nie może być mowy o żadnych wpływach. Jastrun przytacza fragment swojego wiersza sprzed trzydziestu lat, który jest bardzo podobny do wiersza Norwida ogłoszonego dopiero w roku 1948.

W pełni doceniam to doświadczenie Jastruna. Mnie też przytrafiła się podobna przygoda. Kilka lat temu napisałem w swoim wierszu:

Na wydmach zachodniego wybrzeża
wybuduję dom.
Nocą księżycową grzywy
fal grzywy białych koni rozwiane
włosy bajecznych istot.
Wiatr dmie kryształ soli w szczeliny
skruszonej cegły.
Pewnej księżycowej
nocy struktura się zawali
... od słonego wiatru...

W rok później ukazał się w Anglii wybór wierszy zmarłego w roku 1944 poety amerykańskiego Johna Bishopa. Wyczytałem tam ze zdumieniem taki wiersz:

Wybudowałem mój dom wśród morzem wygrzanej zieleni,
Wśród smolnych sosen rzadkiego lasu;
Przez pięć zim wytrzymał nieustanne wiatry,
A słone powietrze wybieliło kamienne ściany.
... Najstarsze kontury
Tych zmiennych wybrzeży
Stale podlegają zemście morza.
Morze z fal wyrzucało jak pianę bogów z solą na ustach,
Ręce ich uwikłane w dzikie grzywy koni...

Nie wszystko więc, co jest podobne, jest wynikiem wpływów*.

* Nie jest wykluczone, że byliśmy pod urokiem końcowej zwrotki znanego nam obu „Prufrocka”:

Widziałem, jak na pełne morze szły,
Zaczesał białe włosy wiatrem giętych fal
Kiedy wiatr tonące wód odmienia.
Zasiedzieliśmy się w komnatach morza,
Dziewczęta morskie z wodorostów nam uwiły rdzawe diademy,
Aż gdy głosy ludzkie nas przebudzą i toniemy.

Ale i ta ewentualność nie wyjaśnia tak dużego stopnia zbieżności między wierszem Bishopa a moim, gdyż w obu wierszach dominującym elementem, którego nie ma śladu w utworze Eliota, jest dom zbudowany na wybrzeżu.

Ostatecznie każdy poeta o tyle jest twórcą, o ile posiada własną wyobraźnię.

Sprawa wpływów nie jest wcale tak prosta także i tam, gdzie wpływ jednego pisarza na drugiego jest oczywisty i udokumentowany. Nie wystarczy ustalić zależność. Trzeba mieć odwagę wyciągnąć z tego odkrycia należyte wnioski, nie tyle dla badań historyczno-literackich, ile dla pisarza, który wpływowi uległ.

Co innego bowiem, gdy wpływ zdradza pisarz, którego twórczość cenimy. Wówczas wnioskujemy, jak na przykład w wypadku Słowackiego, że zapożyczył on pomysły bliskich mu z temperamentu autorów, by wykorzystać je w nowy oryginalny sposób. A co innego znów, gdy mamy do czynienia z pisarzem, który jest pozbawiony własnej wizji i wobec tego bezceremonialnie powtarza to co inni już dawniej lepiej od niego wyrażali. Ale tu właśnie dotykamy istoty problemu: skoro i jeden i drugi korzysta z dorobku swych poprzedników, a więc obaj zdają się postępować jednakowo, na czym polega różnica między nimi? W tym punkcie z badań historyczno-literackich przechodzimy na śliski grunt sądów artystycznych. Dlatego badacz musi być nie tylko erudyta, musi także posiadać zmysł krytyczny.

Z drugiej strony nie można polegać wyłącznie na własnym smaku, intuicji i wrażliwości. Można w przypływie euforii ogłosić geniuszem pisarza, który po cichu ściągał wszystkie swoje pomysły od innych. Tu praca badacza, który potrafi wykryć źródła inspiracji delikwenta okaże się niezbędna dla osiągnięcia właściwego sądu artystycznego.

Inne, nie mniej ciekawe i zasadnicze zagadnienie, które przeżywa się przez książkę Jastruna, to kwestia prekursorstwa. Naturalnie najczęściej spotykamy się z nią w szkicach poświęconych Norwidowi, który jest najwybitniejszym w naszej literaturze przykładem prekursorstwa.

Wszyscy piszący o poezji, a także o innych dziedzinach sztuki, ulegają magii prekursorstwa. Jeżeli pewien kierunek w poezji czy malarstwie naszego stulecia da się wysledzić w załączku w dziele jakiegoś twórcy sprzed stu lat, mówi się z nieukrywaną aprobatą: to prekursor. My rozwijamy pewne pomysły, które on zapoczątkował. W zasadzie więc chwalimy siebie samych: zakładamy podświadomie, że nasza twórczość jest najlepsza, i dlatego, każdy kto w przeszłości do niej się zbliżył, zasługuje na wyróżnienie. Tak jakby poruszenie w XIX wieku problemów, które i nas dziś nękały było samo w sobie artystycznym osiągnięciem, a nie czystym przypadkiem, który w żaden sposób nie może decydować ani o wartości dzieła dawnego, ani o wartości spókrwionego dzieła współczesnego.

Adam CZERNIAWSKI

« Czarny Polonez »

Dziwiącego marca wysłałem do Wierzyńskiego list, w którym napisałem: „Jestem pod ogromnym wrażeniem Pańskiego *Czarnego Poloneza*. To wstrząsający poemat, trafiający, moim zdaniem, w sam rdzeń obecnej polskiej kondycji. Gdyby to można opublikować w Polsce, cały kraj by się od tego zatrząsł. Poemat, który będzie kiedyś manifestem rewolucji w Polsce”. Tego samego dnia gazety doniosły o rozruchach, jakie miały miejsce poprzedniego dnia na Uniwersytecie Warszawskim. Rozruchy dały początek wydarzeniom, od których zatrząsła się cała Polska. Trzęsie się do dziś. *Czarny Polonez* jest pokaznej objętości poematem. Nad taką rzeczą pracuje się długi czas. Na początku więc było słowo. Jeszcze raz w Polsce poeta ubiegł rzeczywistość.

W dawnych czasach polonez w naszym kraju rozpoczynał wesela, bale, i tym podobne huczne i zwykle podniosłe uroczystości. Wstępem do czego jest *Czarny Polonez* Wierzyńskiego? Do nowej epoki historycznej w rozwoju naszego kraju. Na naszych oczach rodzi się nowa Polska. Po tzw. wypadkach marcowych, jak to eufemistycznie określił Gomułka, Polska już nigdy nie będzie ta sama. Nowe pokolenie zabrało głos.

Nie pierwszy to raz kiedy poloneza zaprzęgnięto do odegrania tak hierarchicznej roli. Obyczaj ma już swoją tradycję w naszej literaturze. W „Popiele i diamentach” Jerzego Andrzejewskiego polonez akompaniował narodzinom powojennej polskiej rzeczywistości. Kiedy noworodka obmyto i pokazano światu, okazało się że to potworek.

Wierzyński tego potworka rozłożył na stole operacyjnym, poetyckim skalpelem dokonał na nim wiwsekcji. A skalpel to ostry. Każde cięcie odsłania coraz to nowe źródło nieuleczalnej choroby. *Czarny Polonez* wstrząsa i jednocześnie wprawia w podziw. To mógł napisać tylko poeta, który żyje w Kraju.

Adam Ważyk w 1956 roku swoim „Poematem dla dorosłych” odsonił przepaść dzielącą naród od ówczesnych zarządców Polski. Potem nastał Gomułka. Zaczął nawoływać naród do wspólnego zasypania przepaści. Miał szansę pozyskania sobie narodu. Bo ludzie

*Mysleli że dość pan nasiedział się w celi
Po turecku, w kucki,
Wydawało się, szedł pan pod ułós,
Po naszymu,
Prawie tak
(...)
Jak Piłsudski.*

Ale tę szansę Gomułka zaprzepaścił. Zamiast pójść z narodem, obrócił się przeciwko niemu. Z mównicy krzyczał o „polskiej racji stanu”, co należało wyklądać: jeśli mnie nie poprzecie, jeśli mi nie dacie wolnej ręki, skończy się niepodległość, Rosja wkroczy do Polski. Toteż przepaści nie zasypiano. Zresztą w samym sposobie sformułowania zawołania mieściła się sprzeczność nie do rozwikłania. W październiku 1956 mógł się jeszcze poniektórzy ludzi, że przepaść rozdzielała nie partię komunistyczną i naród, lecz stalinizm a naród. Dziś nawet tę maskę zerwano z oblicza P.Z.P.R. Wierzyński pokazał co mieści się pod spodem. Partie totalitarne komunistyczno-faszystowskiego chowu lubią szafować wobec pisarzy zarzutem, że żyją w wieży z kości słoniowej. Ten zarzut to kłamstwo zrodzone ze strachu ciemniaka przed prawdą. W Polsce jest tylko jedna wieża z kości słoniowej: gmach Komitetu Centralnego P.Z.P.R. na rogu Jerozolimskich i Nowego Świata.

Dziś już widać aż nadto wyraźnie, że Polska Ludowa jest kontynuacją Ciennogrodu. W rozgrywce o władzę sięgnięto po najbardziej haniebne narzędzie: rozpetano nową falę antysemityzmu. Na wspomnienie przedwojennego polskiego antysemityzmu jeszcze dziś ogarnia mnie wstyd. Nie rozgrzeszy nas fakt, że antysemityzm panował również gdzie indziej. To jest nasz polski grzech, od którego tylko my sami możemy się uwolnić. Nie dokonamy tego stwarzając kłamstwo, że u nas antysemityzmu nie było, jak to czynią teraz w Polsce komuniści. I nie tylko komuniści. I nie tylko w Kraju. Trzeba wziąć na siebie naszą winę. Ściszy więc głosy. Jeszcze nie rozwinęły się dymy po milionach europejskich Żydów spalonych przez hitlerowskie Niemcy i oto znowu z mora antysemityzmu podnosi się w Polsce. Zawołajmy za Wierzyńskim:

Gdzie tu jest ściana płaczu,
Gdzie tu niedola kamieniada od wieków,
Gdzie tu schodzą się Żydzi?
Ja chcę tam pójść,
Stanąć między nimi,
Pochylić głowę,
Polak który się wstydzi.

I niech tym słowom towarzyszy nadzieja, że z czasem znajdą się na ustach ogromnej większości naszego narodu.

Czarny Polonez powstał z żalu i gniewu zranionego serca. A jednak nad wszystkim góruje akord wiary w przyszłość. Żyje już u nas nowe pokolenie. Połowa mieszkańców Polski to ludzie liczący po 30 lub mniej niż 30 lat. Pokolenie wyrosło w niewoli, ale nie zniewolone.

Wszystkiemu na przekór
Idzie milczący
Ale go słychać
Świadomy siebie
Krok pokolenia.

To przeciwko temu pokoleniu autokary z bojówkami Moczara czekają w bocznych uliczkach naszych miast, to przeciwko temu pokoleniu zakoli się milicję do walk ulicznych. To pokolenie bowiem już wyszło na ulice. Pierwszą rundę ma za sobą.

Czarny Polonez jest odbezpieczonym granatem, który Wierzyński rzucił pod nogi ludziom zarządzającym chwilowo Polską.

Piotr GUZY

Nadesłane nowości wydawnicze

LEDNICKI (Wacław). *Pamiętniki*. Tom II. Str. 752. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1967, cena \$ 10).
Czas nagli. Komunikat informacyjny Nr 9. Str. 44. (Wyd. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Londyn, 1968).

LISZKOWSKI (B.) *Kronika Towarzystwa „Zgoda” od 1926 do 1966*. Str. 90. (Wyd. Autor, Vancouver, B.C., cena \$ 1,80).

MICKIEWICZ (Adam). *Les sonnets de Crimée. Le Paris*. Str. 61. Powieści. Poezje w języku polskim

i francuskim. Wstęp i noty w języku francuskim oraz tłumaczenie — Edmond MAREK. (Wyd. Faculté des Lettres et Sciences Humaines, Toulouse, 1968).

MAREK (Edmond). *La ballade ukrainienne de Mickiewicz*. Str. 73-84. Odbitka z kwartalnika „Annales”. T. II, Zeszyt 4, Septembre 1966. Wyd. Faculté des Lettres et Sciences Humaines de Toulouse).

MAREK (Edmond). *Les origines des ballades et des romances d'Adam Mickiewicz*. Str. 155-168. (Odbitka z kwartalnika „Annales”, T. I, Zeszyt 3, Novembre 1965, Wyd. Faculté des Lettres et Sciences Humaines de Toulouse).

Social Science Information. Information sur les sciences sociales. Tom VI-6. W językach angielskim i francuskim. Str. 298 i 6 nlb. (Decembre 1967. Wyd. Conseil International des Sciences Sociales, Paryż).

RUDNICKI (Adolf). *Feuillets bleus*. Przekład z polskiego Anny Posner. Str. 361 i 3 nlb. (Wyd. Gallimard, Paris, 1968, cena F. 24,00).

KARAVANSKYI (S. Y.). *Le problème national en U.R.S.S.* Str. 32 (Wyd. Editions de l'Est Européen, Paris, 1968).

TCHORNOVIL (Viatcheslav M.). *Repression et procès arbitraires en Ukraine (1965-1967)*. Str. 36. (Wyd. Editions de l'Est Européen, Paris, 1968).

Cinquante ans de communisme en Russie 1917-1967. Livre blanc édité par le Comité de l'Emigration Nationale Russe en Belgique. Str. 36. (Wyd. „La Sentinelle”, Bruksela, cena F. 2,00).

Une légende. L'agression tchèque contre l'Allemagne Nazie. Str. 14 nlb. (Wyd. „Légendes de Notre Temps”, S.A. 1967).

GASIOROWSKA (Xenia). *Women in Soviet Fiction 1917-1964*. Str. 288 i 3 nlb. (Wyd. The University of Wisconsin Press, Madison, 1968, cena \$ 10,00).

KIMCHE (Jon). *The Unfought Battle*. Str. 168. (Wyd. Stein and Day, New York, 1968, cena \$ 5,95).

MAKOWSKI (William Boleslaus). *History and Intergration of Poles in Canada*. Str. 274. (Wyd. The Canadian Polish Congress Niagara Peninsula, Canada, 1967, cena \$ can. 10,00).

GRONOWICZ (Antoni). *The Quiet Vengeance of Words*. Poezje. Str. 32 (Odbitka z The Polish Review, Vol. XIII, No 1, Zima, 1968, pp. 66-94, Wyd. The Polish Review, 1968).

The Israel Year Book 1968. Str. 326. (Wyd. Israel Yearbook Publications Ltd., 1968).

CIENCIALA (Anna M.). *Poland and the Western Powers 1938-1939*. Str. 310. (Wyd. Routledge and Kegan Paul, Londyn, 1968, cena 56 sh. lub \$ 9,00).

BROMKE (Adam). *Ideology and National Interest in Soviet Foreign Policy*. Str. 547-562. (Odbitka z „International Journal, Vol. XXII, No 4, Autumn 1967. Wyd. Canadian Institute of International Affairs).

GOETZ (Helmut). *Bronislaw Huberman and the Unity of Europe*. Str. 23 i 5 nlb. (tłum. przez Eleanor Nicolson z oryginału pt. „Bronislaw Huberman e unificazione europea”, opublikowanego w „Lotta Federalista per gli Stati Uniti d'Europa”, A.V., N. 4/5, Lipiec-Październik 1967, Roma, 1967).

MIŁOSZ (Czesław). *Lied vom Weltende*. Gedichte. Wybrał i przetłumaczył Karl Dedecius. Str. 73 i 3 nlb. Wyd. drugie. (Wyd. Kiepenheuer & Witsch, Köln, 1967, cena DM. 12,80).

RAINA (Peter K.). *Die Kriese der Intellektuellen*. Die Rebellion für die Freiheit in Polen. Str. 128. (Wyd. Walter-Verlag, Olten und Freiburg im Breisgau, 1968, cena 13 F.S.).

DATA	POLITYKA
16-4-68	144 osoby podpisały petycję domagającą się legalizacji „Bezpartyjnego Klubu Zaangażowanych” w Pradze. Przedstawiciel tej organizacji L. Rybček zapowiedział, że Klub zamierza wysunąć swych kandydatów w wyborach.
18-4-68	Rada Narodowa południowej Morawii zażądała przyznania Morawom podobnych praw jak Słowacji i utworzenia 3 członkowej federacji. To żądanie spotkało się ze sprzeciwem Bratysławy.
19-4-68	Na Zachód nadeszły wiadomości o aresztowaniu i procesie około 60 intelektualistów w Leningradzie, Tomsku i Irkucku, którzy w 1964 r. utworzyli tajną organizację pod nazwą „Wschodni Sojusz Społeczno-Chrześcijański dla Wyzwolenia Ludu”. Drugi z kolei proces członków tej organizacji toczy się obecnie w Leningradzie.
20-4-68	W Rumunii rozdzielono funkcje Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Zarówno Ministerstwo jak i Komitet będą odpowiedzialne przed gabinetem i KC Partii.
21-4-68	Tygodnik <i>Polityka</i> zamieścił artykuł, podpisany przez wszystkich członków redakcji, odrzucający zarzuty <i>Trybuny Ludu</i> że „zwraca się w kierunku klasy menadżerów”.
22-4-68	Czołowy brytyjski polityk konserwatywny Enoch Powell wygłosił przemówienie przestrzegające przed niebezpieczeństwem ruchów rasowych w W. Brytanii. Przywódca Konserwatystów E. Heath uznał to przemówienie za rasistowskie w formie i zwolnił Powella z „gabinetu cieni”.
23-4-68	Do Pragi przybyła z wizytą oficjalną delegacja bułgarska z T. Ziřkowiec na czele celem podpisania nowego traktatu o przyjaźni i wzajemnej pomocy gospodarczej.
24-4-68	W Budapeszcie rozpoczęły się drugie z kolei rozmowy wstępne przywódców komunistycznych w sprawie przygotowania światowej konferencji komunistycznej w Moskwie. W rozmowach nie wzięli udziału przedstawiciele Jugosławii i Rumunii.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Związek Pisarzy Czechosłowackich postanowił wznowić wydawanie dziennika <i>Lidové Noviny</i> . Pismo to utworzone w 1892 r. reprezentowało swego czasu poglądy T. Masaryka.	Zbigniew Nowicki i P. B. Cliff zdobyli pierwsze miejsce w wyścigu samochodowym East Africa Safari — na Peugeot 404.
<i>Literaturnaja Gazieta</i> zamieszcza artykuł A. Czarkowskiego, określający proces Ginzburga, Gałaskowa i Dobrowolskiego jako „epizod walki ideologicznej”.	Dowódca wojsk sowieckich w NRD, P. Koszewoj i d-ca wojsk przeciwlotniczych, P. Batyckij, mianowani zostali marszałkami.
Dwaj czołowi fizycy nuklearni, prof. J. Dobrowolski i K. Żarnowiecki, zwolnieni zostali ze stanowisk w Instytucie Badań Nuklearnych w Warszawie.	Koło A.K. w Londynie zorganizowało wieczór pt. „Ten jest z ojczyzny mojej” z okazji 25 rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim.
K. Hłakowiczówna otrzymała roczną nagrodę Poznania za całokształt twórczości.	Francja i Niemcy Zachodnie skonstruowały wspólnie trzy nowe typy rakiet taktycznych: dla piechoty, broni pancernej oraz obrony przeciwlotniczej.
	Wielka Brytania wprowadziła w obieg dwie pierwsze monety systemu dziesiętnego 5 pensów odpowiadające 1 szylingowi i 10 pensów = 2 szylingom.
	A. Dubczek oświadczył, że może opóźnić wyjazd ambasadora czzechosłowackiego do Moskwy, jeżeli ambasador sowiecki w Pradze Czerwonienko nadal będzie utrzymywał ścisły kontakt z Nowotnym.

DATA	POLITYKA
25-4-68	Przemówienie członka-kandydata Politbiura B. Jaszczuka wygłoszone w Opolu zostało ocenzone przez <i>Trybunę Ludu</i> i radio warszawskie. Pominęto m.in. zdanie: „Syjonizm nie jest naszym głównym wrogiem”.
26-4-68	Były rumuński minister spraw wewnętrznych A. Draghici pozbawiony został wszystkich funkcji partyjnych. Zdaniem wielu obserwatorów jest to zapowiedzią ogólnej czystki funkcjonariuszy partyjnych związanych bezpośrednio z Moskwą. Mają do nich należeć członkowie Prezydium partii: Stoica, Bodnarus i Apostol.
27-4-68	Były czechosłowacki minister Bezpieczeństwa Bacilek oskarżył publicznie Mikojana o wydanie nakazu wytoczenia procesu Slansky'emu.
28-4-68	Skrajnie prawicowa partia neo-nazistowska w Niemczech Zachodnich NPD odniosła poważny sukces wyborczy w Badenii-Wirtembergii. NPD jest reprezentowana w 7. spośród 11 parlamentów krajowych w NRF.
29-4-68	Organ włoskiej partii komunistycznej <i>Rinascita</i> odcina się zdecydowanie od „metod opresji” stosowanych przez władze komunistyczne w Polsce i przeciwstawia je „znamiennemu odrodzeniu demokratycznemu” w Czechosłowacji.
30-4-68	Gubernator Nelson Rockefeller oświadczył, że będzie się ubiegał o nominację na kandydata partii Republikańskiej w wyborach prezydenckich.
3-5-68	W Niemczech Zachodnich powstała organizacja pod nazwą: Akcja Demokratyczna przeciw Neo-Nazizmowi i Faszyzmowi. Jej organizatorem jest znany pisarz dr Frank Arnau.
4-5-68	Prezydent Johnson przyjął propozycję Północnego Wietnamu przeprowadzenia wstępnych rozmów pokojowych w Paryżu 10 maja.

KULTURA I NAUKA

Wice-przewodniczący Związku Pisarzy Czechosłowackich, J. Prochazka, wyraził w wywiadzie udzielonym Francuskiej Agencji Prasowej swą sympatię dla intelektualistów polskich i potępił prześladowanie „wielkiego pisarza sowieckiego” Solżenicyna.

Na Siódmym Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Jazzowej w Wiedniu pierwszą nagrodę zdobył polski zespół M. Kosza.

Związek Pisarzy Sowieckich uchwalił rezolucję zapowiadającą usunięcie ze Związku każdego pisarza, który dołączy się do akcji protestów. Identyczną rezolucję uchwalił Związek Plastyków Sowieckich.

Tydzień Polski na uniwersytecie w Gandawie zainaugurował prof. Backvis wykładem o roli kultury polskiej w kulturze europejskiej.

W Paryżu ukazał się nakładem Edition du Seuil książka „Le dos tourné” M. Hłaski. Krytyka przyjęła ją bardzo przychylnie.

Amerykańska Akademia Filmowa uznała za najlepszy film zagraniczny w roku ubiegłym czechosłowacki: „Pociąg pod specjalnym nadzorem”.

RÓŻNE

Sowiety wznowiły próby orbitalnego systemu satelitów bombardujących.

Radio Budapeszt ogłosiło wiadomość o utworzeniu szeregu przedsiębiorstw węgierskich zagranicą, m.in. w Finlandii, W. Brytanii, NRF, Libanie, Indiach i Nigerii.

Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego, który miał się odbyć w Paryżu, został w ostatniej chwili odwołany wobec zakazu władz francuskich.

Zmarł w Warszawie Wojciech Świętosławski, wybitny chemik, b. min. Oświaty w okresie międzywojennym.

W Warszawie zmarł długoletni speaker radia polskiego Tadeusz Bocheński.

Podobno ma być w Polsce wznowiony proces przeciw nieznanym mordercom syna Bolesława Piaseckiego. Proces ten ma stanowić nowe ogniwo walki z Izraelem i syjonistami.

Włoski Fiat uzyskał z tytułu dostaw inwestycyjnych 10 % kapitału zakładowego jugosłowiańskiej fabryki samochodów „Zastava”. Jest to pierwsze porozumienie tego typu między państwem zachodnim a komunistycznym.

DATA	POLITYKA
5-5-68	W Południowym Wietnamie rozpoczęła się nowa ofensywa komunistyczna, której celem jest przede wszystkim Saigon.
6-5-68	Sowiety ratyfikowały, po prawie 4-letniej zwłoce, traktat konsularny ze Stanami Zjednoczonymi.
7-5-68	W dzielnicy uniwersyteckiej Paryża tysiące studentów walczy z policją. W Berlinie Zachodnim i we Frankfurcie odbyły się demonstracje studenckie wyrażające solidarność ze studentami francuskimi.
8-5-68	Amerykańska Izba Reprezentantów zatwierdziła rządowy wniosek w sprawie dodatkowego opodatkowania dochodów w wysokości 10 %.
9-5-68	Do Moskwy przybyli niespodziewanie na obrady przywódcy komunistyczni z Polski — Gomułka, z Węgier — Kadar, z Niemiec Wschodnich — Ulbricht i z Bułgarii — Żiwkow. Przypuszcza się, że przedmiotem rozmów był rozwój wydarzeń w Czechosłowacji.
10-5-68	Na Zachód dochodzą wiadomości o ruchach wojsk sowieckich w pobliżu granicy czechosłowackiej, na południe od Krakowa Zachodnim attachés wojskowym nie pozwolono opuścić Warszawy.
11-5-68	Po gwałtownych rozruchach studenckich we Francji rząd francuski zapowiada przeprowadzenie reform na uniwersytetach, wypuszczenie aresztowanych studentów i wznowienie wykładów na Sorbonie.
12-5-68	Szef Zarządu Politycznego Armii Sowieckiej gen. Jępiszew oświadczył, że „grupa lojalnych komunistów czeskich” może się zwrócić do Sowietów i innych krajów „socjalistycznych” z prośbą o pomoc w „ochronie komunizmu”.
13-5-68	W Paryżu rozpoczęły się pertraktacje pomiędzy delegacjami U.S.A. i Północnego Wietnamu. Rozmowy Stanów Zjednoczonych i Północnego Wietnamu w Paryżu określone zostały przez obie delegacje jako konstruktywne mimo, że obie strony wystąpiły w wypowiedziach inauguracyjnych z wieloma ostrymi oskarżeniami.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
W Budapeszcie wydano „Antologię Polskiej Poezji Współczesnej”, która zawiera 300 wierszy przeszło 30 poetów polskich.	Władze w Czechosłowacji przeznaczyły 5 miliardów koron na odszkodowania dla ofiar prześladowań w okresie stalinowskim.
	<i>Trybuna Ludu i Życie Warszawy</i> wystąpiły z ostrymi atakami pod adresem nowych władz w Czechosłowacji.
	Moskiewska <i>Prawda</i> zamieszcza artykuł przestrzegający przed wymianą kulturalną z Zachodem oraz przed turystami, którzy są rzekomo wykorzystywani dla celów dywersyjnych przez wywiad amerykański. <i>Prawda</i> podkreśla z naciskiem, że czujność jest również potrzebna wobec obywateli Demokracji Ludowych.
W Szwecji ogłoszono, że od przyszłego roku Królewska Akademia Nauk przyzna będzie nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomicznych.	W ZSSR zmarł marsz. W. Sokołowski, jeden z czołowych dowódców sowieckich w czasie ostatniej wojny światowej.
Reżyser włoski G. Palasciano rozpoczął w Krakowie kręcenie filmu o królowej Bonie.	

DATA	POLITYKA
14-5-68	Prezydent de Gaulle oświadczył po przybyciu z wizytą oficjalną do Bukaresztu, że jaltański podział Europy był sztuczny i jałowy i wezwał Rumunię i inne kraje europejskie do utwierdzenia swej tożsamości narodowej.
15-5-68	Delegacja partyjno-rządowa z Gomułą i Cyrankiewiczem na czele udała się do Budapesztu. Według niepotwierdzonych wiadomości, Kadar podjął się pośrednictwa między Pragą a pozostałymi stolicami państw RWPG.
16-5-68	
17-5-68	Rząd francuski zarządził częściową mobilizację żandarmerii narodowej w związku z pogłębiającym się kryzysem na wyższych uczelniach.
18-5-68	Robotnicy fabryki samochodów Renault rozpoczynają strajk okupacyjny. Prezydent skracą swą wizytę w Rumunii i powraca do Paryża.
19-5-68	Do Czechosłowacji przybył z wizytą oficjalną premier sowiecki Kosygin. Przebywa tam również min. Obrony Greczko i szef Głównego Zarządu Politycznego Armii gen. Jępiczew. Kosygin uda się następnie na 10-dniowy wypoczynek do Karlowych Warów.
20-5-68	Prezydent de Gaulle zapowiada przeprowadzenie reform. Robotnicy okupują 120 fabryk.
21-5-68	Prezydent de Gaulle zapowiada przeprowadzenie referendum oświadczając, że jeśli nie uzyska masowego poparcia społeczeństwa, to ustąpi ze stanowiska prezydenta. Rząd uzyskuje większość głosów w parlamencie.
22-5-68	Rząd czechosłowacki sprzeciwia się sowieckim planom stacjonowania na terenie Czechosłowacji 12 tys. żołnierzy sowieckich i polskich.
24-5-68	

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Kompozytor polski T. Baird otrzymał znaną amerykańską nagrodę muzyczną im. Sergieja Krusewickiego.	
	W Rumunii ogłoszono szczegóły porozumienia w sprawie dostaw 9 milionów ton ropy naftowej z Arabii Saudyjskiej w zamian za rumuński sprzęt przemysłowy.
	W okolicach Raciborza w pobliżu granicy czeskiej odbyły się polsko-sowietkie manewry wojskowe.
Plenum ZG ZBOWiD-u wysunęło „konkretne” postulaty pod adresem środowiska twórczego, po wysłuchaniu referatu Moczarsa.	
	Zmarł prof. W. Świętosławski, chemik światowej sławy.
Organizacja partyjna Zjednoczonych Zespołów Realizatorów Filmowych pozbawiła członkostwa partii A. Forda i oddzieliła nagany J. Rybkowskiemu. Obu przysyrom zarzucano „brak ambicji i zaangażowania”.	
	W Albanii ogłoszono książkę pt. „Myśli Envera Hodży”.

25-5-68

W Pradze ogłoszono, że w przyszłym miesiącu na terenie Czechosłowacji i Polski odbędą się manewry wojsk Paktu Warszawskiego.

26-5-68

Rząd francuski godzi się na przyznanie robotnikom podwyżki płac w wysokości 10 %, i podwyższenie płac minimalnych o 35 %.

30-5-68

Prezydent de Gaulle odwołuje zapowiedziane referendum, rozwiązuje parlament i zapowiada przeprowadzenie wyborów w czerwcu. Rozeszły się pogłoski, że prezydent gotów jest użyć, w razie potrzeby, wojska.

31-5-68

Kierowana przez komunistów Generalna Konfederacja Pracy CGT zapowiedziała, że nie zbojkotuje wyborów. Część strajkujących zapowiada powrót do pracy.

1-6-68

Plenum KC Czechosłowackiej Partii Komunistycznej zakończyło się utwierdzeniem wpływów liberalnego skrzydła partii z Dubczkiem na czele. Plenum postanowiło zwołać zjazd partii na 9 września br. A. Nowotny zawieszony został w prawach członka KC.

2-6-68

Włoska partia socjalistyczna postanowiła wyjść z koalicji rządowej z Chrześcijańskimi Demokratami, po utracie wielu głosów w wyborach powszechnych.

3-6-68

Organ teoretyczny sowieckiej partii komunistycznej oskarżył Chiny o przedłużanie wojny w Wietnamie.

4-6-68

Naczelnny Prokurator PRL prowadzi dochodzenia w sprawie „zaniedbań i błędów” Państwowych Wydawnictw Naukowych, w związku z opublikowaniem „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej”.

5-6-68

Po zwycięstwie w pra-wyborach w Kalifornii sen. Robert Kennedy został zamordowany przez zamachowca, z pochodzenia Araba palestyńskiego.

6-6-68

Studenci demonstrują w Belgradzie domagając się przyznania im większego głosu w życiu akademickim.

W Birmingham odbył się 14 Światowy Zjazd Związku Inwalidów Wojennych PSZ.

Czechosłowacja i Iran podpisały porozumienia w sprawie dostaw irańskiej ropy naftowej w latach 1970-80.

W Londynie odbył się Światowy Zjazd Stronnictwa Narodowego, który otworzył prezes dr T. Bielecki.

Agencja TASS ogłosiła wiadomość, że w czerwcu odbędą się łączne manewry polsko-czechosłowacko-sowieckie na terytorium Czechosłowacji.

Zmarł wybitny pisarz francuski Jacques Chardonne.

Prof. Kotarbiński zrezygnował z funkcji wiceprzewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodowej.

Papież mianował ks. prałata Alfreda Abramowicza biskupem pomocniczym kardynała Cody w Chicago i bpem tytularnym Paestum.

W Polsce wprowadzono nowe zasady przyjmowania na Wyższe Uczelnie. Dzieci chłopów i robotników otrzymywać będą dodatkowe punkty przy egzaminach, a 10 % miejsc zarezerwowano dla dzieci robotników, chłopów, wojskowych i milicjantów.

Humor krajowy

Na początek kilka przedruków z prasy krajowej, które nie wymagają komentarza.

Z. H.

ZOŁNIERZ WOLNOŚCI 26. 4. 1968

PARYSCY „MALARZE” WSPÓŁCZESNEJ POLSKI

Pisząc na łamach „Żołnierza Wolności” o systemie dywersji ideologicznej, wymierzonej przeciw naszemu krajowi, wspominał dr Janusz Kolczyński o funkcji jaką w tym systemie ma do spełnienia paryska „Kultura”. Miesięcznik — którego działalność wywodzi się już od roku 1946, a którego redaktorem jest b. oficer wywiadu II korpusu, Jerzy Giedroyc — przez cały czas istnienia Polski Ludowej toczył z nią walkę perfidną i uporczywą. Charakter owej walki zmieniał się w zależności od dyrektyw, jakie „Kulturze” przedkładali jej mocodawcy z CIA, którzy zadbali o to, aby stworzyć temu miesięcznikowi „warunki pracy”. Własny dom w Maisons-Laffitte pod Paryżem, własne biblioteki i archiwa, własna drukarnia. Od 1950 roku, kiedy to „zimna wojna” osiągnęła swój nagórniejszy punkt na polach bitew Korei, „Kulturze” dodano własny Instytut Literacki, który rychło przystąpił do edycji trzech serii wydawniczych — tzw. „Dokumentów”, tzw. „Zeszytów historycznych” i tzw. „Archiwum rewolucji”, gdzie z zapalem publikują swe oszczerce wspomnienia przeróżni renegaci i zaprzańcy sprawy socjalizmu. Całym tym kartelem zarządza od lat Jerzy Giedroyc, wśród bliskich współpracowników którego widzimy m.in. Juliusza Mieroszewskiego, Aleksandra Weissberga-Cybulskiego, Gustawa Herling-Grudzińskiego, Kazimierza Iranka-Osmeckiego, Aleksandra Hertza, Jerzego Stempowskiego, Miriam Hochberg-Mariańska, Czesława Miłosza.

Zadaniem tego szkicu nie jest omawianie publicystycznej działalności „Kultury”, którą tak dobitnie scharakteryzował w swoim pamiętnym przemówieniu do aktywu Warszawy tow. W. Gomułka. Pragniemy zająć się sprawą, która antypolskiej publicystyce „Kultury” ma być osłoną dyną, zwodniczą.

Myszę o artystycznej „produkcji” paryskiego Instytutu Literackiego. Dzięki temu, iż udało mu się pozyskać do współpracy wielu pisarzy emigracyjnych (m.in. Kazimierza Wierzyńskiego, Józefa Wittlina, Tadeusza Nowakowskiego, Józefa Łobodowskiego), lubi pan Giedroyc szermować frazesem o „kulturotwórczej funkcji swego zespołu”, o „tworzeniu trwałych wartości, które pozostaną w kulturze polskiej”. Frazesy te podbudowuje Giedroyc teraz o rzekomej apolityczności swego literackiego zaścianka, gdzie istotnie wydał kilka porycji nie wyróżniających się jawną agitacyjnością, jak np. tom

szkiców Józefa Wittlina — „Orfeusz w piekle XX wieku”, w którym znaleźć można nawet ciepłe wspomnienie o komunistycznym pocie Wandurskim, lub powieść Danuty Mostwin „Ameryko, Ameryko!”, stanowiącą dość prawdziwy opis ciężkiej doli powojennej emigracji polskiej w USA. Te sporadyczne lekcje apolityczności stanowią przecież mają jedynie parawan dla prawdziwej misji Instytutu Literackiego. A rzeczywista produkcja tej placówki, pochłaniająca gros nakładów — charakter ma zgoła odmienny. Jawnie antypolski, jawnie służący obcym interesom politycznym.

Publicyści „Kultury” lubią powtarzać — zwłaszcza dzisiaj — jak to życzliwie potraktowali program przemian, z którym nasza partia i jej I sekretarz, tow. Władysław Gomułka wystąpili w październiku 1956. Powtarzają to, by z tym większym faryzeuszostwem biadać nad odejściem Partii „z drogi październikowej odnowy”. Warto zatem przyjrzeć się, jaki to obraz Polski wyciera ze stronice książek, które właśnie po roku 1956 zaczął wypuszczać w świat Instytut Literacki w Paryżu. Obraz ten służył mi przed wszystkim na użytek polskiego czytelnika emigracyjnego, który — ku przerażeniu Andersów, Giedroyców i Mieroszewskich — zaczynał okazywać zdrową podatność na docierające doń z kraju hasła. Aż przeraził się czołowy, londyński ideolog, Tymon Terlecki, iż nie jeden zwykły emigrant „ujawniał egoistyczne pobudki, potwierdzał bezkrytycznie wszystkie zmiany i solidaryzował się z nimi na odległość” („Wiadomości” nr 635/1958, Londyn).

Człowiekiem, który w księgozbiorze Instytutu Literackiego obraz tej Polski przemian — rzekomo popieranej przez p.p. Mieroszewskich — miał kształtować, stał się w pierwszym rzędzie Marek Hłasko. Dla emigrantów — rzecznik prawdy, bo świadek wydarzeń; dla ewentualnego czytelnika krajowego — pisarz owiany wspomnieniem „Pierwszego kroku w chmurach”; dla samego wreszcie Giedroycia — partner idealny, bo i bez skrupułów i bez przekonań. Do tego ostatniego Hłasko przyznaje się zresztą otwarcie: „Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko commies. Tak długo, jak oni popelniają świństwa, a ja mogę o tym pisać — wszystko jest dla mnie o.k. Jestem tylko świadkiem w procesie oskarżenia: sprawa jest dla mnie obojętna, byleby proces był ciekawy. To wszystko. Życie, które mi dano, jest tylko opowieścią, ale jak ja ją opowiem, to już moja sprawa. Jedynie o to mi chodzi”. „Piękni, dwudziestoltni”, Paryż 1966, s. 13).

Motto Hłaskowej opowieści o Polsce zatem mamy, równie prosty jest tej opowieści mechanizm. Najłatwiej uchwytne jest on właśnie w „Pięknych, dwudziestoltnich” gdzie pozor fabularyzowanego pamiętnika pozwala Hłascie splatać prawdę z fałszem w węzeł niemal idealny. Podaje daty, imiona, nazwiska, podbudowuje je informacją, kto z kim i za ile. Ta gra w pozory przybiera momentami kształt groteski: „milijant, który mnie przesłuchiwał w bazie samochodowej nazywał się...”, „na bokserki mecz wszedłem na gapę dnia...”. Groteska ma przecież cel bardziej serio, milijant zamienia się w partyjnego działacza, mecz w redakcyjną konferencję. Jeśli pierwsze informacje brzmiały tak prawdziwie, trudno niby wątpić o prawdziwie drugich: Putrament staje się więc głupawym propagandzistą. Broniewski — sprowadzony do rozmiarów genialnego maniaka, którego nie obchodziło życie, bo ładniej mu się pisało o legendach. Jeśli w „Pięknych, dwudziestoltnich” ogranicza się przy tym Hłasko do rozrachunków z własnymi kompleksami środowiskowymi, to w kolejnych jego książkach: „Cmentarzach”, w „Sowie, córce piekarni” występuje z totalną wizją Polski pod rządami komunistów. Jest to wizja istotnie przerażająca. Zakłada bowiem powszechny zanik norm moralnych. Oczywiście jest to wizja zakłamaną, co przyznają nawet niektórzy emigracyjni recenzenci książek Hłaski, ale nie o to chodzi. Ma ona spełniać konkretną funkcję propagandową: zohydzać kraj w oczach czytelników, wśród których znaczny procent stanowią emigracyjni Polacy, nie mający okazji do konfrontacji literackich kłamstw z prawdą polskiej rzeczywist-

tości. I każe im się wierzyć, że w Polsce za opowiadanie dowcipów grozi kara zsyłki, że ludzie idą spać niepewni, czy nie obudzi ich nocna rewizja, że jedyną chwilę wytchnienia gwarantuje im knajpa i wizyta u prostytutki. Swoistym dopełnieniem prozy Marka Hłaski są memoiry drugiego z tych, co „obrali wolność”, Leopolda Tyrmanda, raczącego swych czytelników sensacyjkami o nihilizmie i degrengoladzie polskich środowisk inteligentnych. Swoistym dopełnieniem jest powieść Tomasza Stalińskiego — „Widziane z góry”, karykaturująca obraz życia politycznego w Polsce, pełna paszkwi-lanek ataków na niektórych przywódców naszego kraju. Staliński kreśli kafkowską wręcz wizję mechanizmu rządzenia, w którym żadnej wartości nie posiada faktyczna wiedza, oddanie sprawom Polski i socjalizmu: wszystkim rządzi fałsz, donos, intryga. Znamienne nb. że w tej oplutej przez siebie Polsce znajduje Staliński barwy cieplejsze dla grupki „światłych opozycjonistów”, próbujących podjąć beznadziejną walkę z immanentnie złym systemem. A jako że powieść „Widziana z góry” skonstruowana jest na dość przejrzyściej zasadzie „opowieści z kluczem”, wśród tych „sympatycznych opozycjonistów” łatwo można odgadnąć kilku ex-prominentów, których marcowe wydarzenia zmioły do reszty z areny życia politycznego Polski, Polski, która dla Stalińskiego jawi się jako upiorne repetytorium z Kafki, dla Hłaski, jako zapijaczony rynek, dla Tyrmanda jako rozplotkowany dom publiczny.

I oto całą tę literaturę puszają w obieg ludzie, mający czelność zapewnić nas na łamach paryskiej „Kultury”, iż nie droższego dla nich niż Ojczyzna! Zapewniają nas również, iż jako „trzeźwi politycy” rozumieją rację stanu, która Polsce każe szukać sojuszu z Krajem Rad. Jak wygląda relacja pomiędzy tymi zapewnieniami a powieściową produkcją Instytutu Literackiego — w następnym felietonie.

INNI I MIEROSZEWSKI

Antykomunizm, nienawiść do Kraju Rad to uczucia, którymi prześlągnięty jest każdy numer paryskiej „Kultury”. Określają one również polityczny charakter książek, jakie produkuje działający przy tym miesięczniku Instytut Literacki. Rzeczywistość radziecką maluje się tam jedynie piórami Tarsisa czy Abrahama Terca, komentarz polityczny dorabiają do tej karykaturalnej fikcji zdradcy Krywickij czy odszczepieniec Koestler. O poznawczych walorach tego komentarza świadczyć może fakt, iż ilekroć „intelektualiście” Koestlerowi brakuje w jego „Fragmentach wspomnień” argumentów, akcję swych pamiętników natychmiast kieruje ku... łóżku. Tej literaturze zdradzo- sekunduje również literatura polskich autorów emigracyjnych. Nie ma chyba potrzeby wyliczać tutaj poszczególnych tytułów. Zbędna byłaby to reklama, zbytnim zaszczytem byłoby zaliczanie do rejonów sztuki utworów, w których polityczne zacietrzewienie idzie przeważnie w parze z warsztatowym prymitywizmem, z niechlujstwem słowa, z ubóstwem formy...

Należałoby przecie — nawiązując do wypowiedzi czolowego ideologa paryskiej „Kultury”, Juliusza Mieroszeńskiego, na temat „obiektywnych konieczności oparcia się Polski o ZSRR” — zwrócić uwagę na pewien fakt, Juliuszowi Mieroszeowskiemu zapewne znany...

Przypomnieć chcę mianowicie fakt znamiennej intensyfikacji tematyki antyradzieckiej w księgozbiórce parysko-londyńskim właśnie tuż po 1956 roku, kiedy to pan Mieroszeowski począł na łamach „Kultury” doradzać nam formy współżycia ze Związkiem Radzieckim.

Witold FILLER

ŻOŁNIERZ WOLNOŚCI 22. 4. 1968

JAKA POLSKA IM SIĘ MARZY

POD BATUTĄ CIA

... Paryska „Kultura”, o której Władysław Gomułka mówił m.in. w kontekście jej ideowych związków z rewizjonistami w kraju, jako że przeznaczona jest dla środowisk intelektualnych, przemawia na ogół w sposób za-wołowany. Juliusz Mieroszeowski, pierwsze pióro miesięcznika, jest mistrzem słownej szermierki, unika mówienia wprost, że rewizjonizm, który propaguje ma spełniać zupełnie inne cele, wykraczające poza „naprawianie” socjalizmu w naszym kraju! Ale zdarza się nieraz, że i „Kultura” mówi bez ogródek. Na przykład z okazji... jubileuszu. I to nie na żadnym cocktailu, ale na tzw. łamach.

Powitalny list jubileuszowy od Adama Pragiera wydrukowała „Kultura” na honorowym miejscu. Pan Pragier, człowiek też z tamtej strony baryka- dy, ocenił w swym liście rewizjonistyczne wysiłki pisma, pochwalił je, przy okazji poklepując po ramieniu warszawskich „raczkujących” rewizjonistów („Niech sobie już „Kultura” dogadza taktycznie przez przyświadczenie mło- dym zbankrutowanym komunistom w Polsce, że mają rację. Przynosi im to pociechę...”). Po czym stwierdził: „Ale poza tym istnieje przecież poważ- ne zagadnienie przyszłości tej części świata, gdzie panuje komunizm. A tutaj fikeja „ewolucjonizmu” do niczego nie prowadzi i raczej męci ludziom w głowach (...). Byłoby dobrze, gdyby w zespole „Kultury” przestano pocieszać się widokami na „ewolucję” komunizmu, a rozpoczęło rozważać zagadnienie zatamowania i przewyciężenia w oparciu o siły wolnego świata”. (1967, nr 5).

Koniec, kropka. Podziękujmy Adamowi Pragierowi za szczerość. Za ten apel: panowie, nie czarujmy się, bo koniec końców nie o to idzie. Idzie o to, aby komunizm przewyciężyć „w oparciu o siły wolnego świata”.

Czy w oparciu o te, które bezskutecznie próbują przewyciężyć w Wiet- namie?

KWARANTANNA DLA 32 MILIONÓW

Ale Polska nie leży na antypodach. Leży w określonym punkcie Europy, zawarła określone sojusze polityczne, wiążące ją trwale ze Związkiem Ra- dzieckim i innymi państwami socjalistycznymi. Jak wyobrażają sobie mię- dzynarodowy status tej Polski — znów burzyszyjnej?

Zacznijmy od „Kultury”, która chciałaby „europeizować” Związek Ra- dziecki rękami Polaków. Pisał Mieroszeowski: „Polska dzięki kluczowej i „pomostowej” pozycji posiada wszelkie możliwości w tej materii”. Mierosze- wski wysuwa też ideę federacji państw środkowoeuropejskich, które stanowi- łyby „twardy orzech do zgryzienia” („Kultura”, 1964, nr 6). Wiadomo, dla kogo mielibyśmy być tym „twardym orzechem”, skoro wszystkie europejskie koncepcje „Kultury” związane są z hegemonią w Europie Stanów Zjedno- czonych i NRF...

... Ale „Kultura” celuje na środowiska inteligentkie w Polsce i różnymi nielegalnymi kanałami jest to pismo do kraju przemykane. Aby zatruwać atmosferę życia politycznego w Polsce, jątrzyć przeciwko naszemu sojusznikowi, Związkowi Radzieckiemu, dawać do ręki argumenty rodzimym wichrzy- cielom. Warto im w tym miejscu przypomnieć to, co mówił Władysław Gomułka:

„Gwarantem socjalizmu w Polsce i sojuszu ze Związkiem Radzieckim jest przede wszystkim nasza partia. Każdy kto podejmie walkę przeciw naszej partii i systemowi socjalistycznemu — obiektywnie, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy też nie — podrywa fundamenty bytu narodowego Polski. Ci, którzy dziś wzywają do walki z naszą partią nie są jedynie wrogami Polski Ludowej. Są oni wrogami Polski, jako takiej. Gdyby zdołali osiągnąć swe cele, staliby się grabarzami niepodległości narodu, zgotowaliby mu ten sam los, jak magnateria w 1794 r. i jak burżuazja w 1939 r.”

Andrzej BRONIAREK

PANORAMA PÓŁNOCY 28. 4. 1968

Z HISTORII PEWNEGO KLUBU

... Znana jest taktyka polityczna agentury wywiadu amerykańskiego, paryskiej grupy „Kultury”, na której czele stoi przedwojenny oficer „dwójki” mgr Giedroyc. Polega ona na „rozmiękczeniu komunizmu” na jego erozji ideologicznej, na popieraniu wszelkich tendencji odśrodkowych, antypartyjnych i rewizjonistycznych oraz na szerzeniu w Polsce nastrojów antyradzieckich. Kontakt z Klubem [Krzywego Koła] nawiązał Giedroyc już w latach 1956/57. Inspiracje Giedroycia przenosił na teren Klubu przede wszystkim Stefan Kurowski, publikował w „Kulturze” paryskiej odrzucone przez prasę krajową artykuły Jerzy Kornacki (Nr 3 z r. 1957), korespondentem Giedroycia był jeszcze przed swą emigracją zażyty przyjaciel Leszka Kołakowskiego, Jedlicki. W roku 1958 kierowniczka klubu postarała się o własnego łącznika z redakcją „Kultury” paryskiej. Stała się nią Anna Rudzińska, socjolog, w Klubie prowadząca sprawy personalne, osoba o niezwykle rozgałęzionych kontaktach. W roku 1959 przy poparciu Klubu otrzymała ona stypendium do Francji, tam nawiązała bezpośredni kontakt z Giedroyciem i innymi działaczami emigracyjnymi. Odtąd zadaniem jej było przekazywanie opracowywanych przez liderów klubowych materiałów za granicę, zaś dyrektyw do kraju. Za tę działalność została skazana w r. 1961 na 1 rok więzienia. Dla Jasienicy, Lipskiego i Jedlickiego, kierujących wówczas Klubem, stało się jasne, że zakaz działalności jest już kwestią krótkiego czasu...

Zapada postanowienie przeniesienia działalności do innych, legalnych organizacji. Były to przede wszystkim: Polskie Towarzystwo Socjologiczne (gdzie do dziś w kierownictwie oddziału warszawskiego odgrywa poważną rolę, po odbyciu kary więzienia, Anna Rudzińska), Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Klub Literacki „Ognisko” (tu działają m.in. Jasienica, Ziembinski), Towarzystwo Kultury Moralnej (Lipski, Grzędziński), Klub Dobrej Roboty (Szpakowski, Lipski).

Pilnym problemem stało się wychowanie „następców”...

... Dalsze losy „Poszukiwaczy Sprzeczności” i ich powiązania z syjonistycznym klubem „Babel” są znane powszechnie. Tak więc linia od Staszewskiego, poprzez Jasienicę, Lipskiego, Kołakowskiego, Brusa, Schaffa aż do Modzelewskiego, Kuronia, Michnika i Szalajfiera, do syjonistycznych komandosów i klerykalnej reakcji i na koniec — paryskiej „Kultury” oraz „Wolnej Europy”, nie jest niczym nowym. Jest starą, zbankrutowaną koncepcją, z uporem od lat dwunastu kontynuowaną — aż do gorzkiego końca.

E. KRUPIC

Ostatnio w Polsce ludzie składając sobie życzenia mówią: „Zdrowia, szczęścia, pochodzenia!”

Westchnienie Antoniego Słonimskiego: „Jak to dobrze, że jestem sierotką. — Tatusia nie wyrzuci!”

PYTANIA I ODPOWIEDZI:

- Co to jest ORMO?
- Ostatni Ratunek Ministra Oświaty.

- Dlaczego jedni policjanci mają czarne patki, a inni białe?
- Te białe — to na niewidomych!

- Co to jest patka policyjna?
- Przedłużenie gomułkowskiej konstytucji.

- Jaka jest różnica między kartoflem a dyrektorem?
- Nie ma żadnej różnicy i jednego i drugiego albo wsadzą, albo zjedzą.

- Jaki był najdłuższy dzień w 1968 roku?
- 8 marca — o 4 białe godziny!

Poziom Milicji znacznie się w ostatnim czasie podniósł — po spędzeniu 2 tygodni na Uniwersytecie. W związku z tym chodzą obecnie po mieście trójkami: jeden umie czytać, drugi umie pisać, a trzeci pilnuje dwóch inteligentów.

- A czy znasz ty bracie młody
- Piękny pejzaż mazowiecki?
- Moczar — Kępa — Moczar — Kąkol i Piasec(z)ki...

Nowa pieśń Ormowców (na melodię „O mój rozmarnie...”):
 O moje Ormo rozwijaj się,
 Pisarze spiskują,
 Studenci strajkują,
 Zaciągnę się...

Pogrzeb w Moskwie. Starym zwyczajem wiozą nieboszczyka przez miasto w otwartej trumnie. Ludzie na ulicy przyglądają się konduktowi. Nagle widzą, że nieboszczyk podnosi się i zaczyna machać ręką do przechodniów. Zdumieni krzyczą: — Dokąd idziesz? — Na cmentarz — pada odpowiedź. — Dlaczego, przecież żyjesz? — Too jest życie???

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Warszawa dn. 6. IV. 1968.

W. Ob. Jerzy Putrament, Z.L.P.

Szanowny Panie Kolego,

Dnia 15. III. skierowałem do Pana list, na który dotąd nie mam odpowiedzi. W międzyczasie Pańska grupa POP wydała komunikat, z którego widzę, że ze spokoju, który miał służyć do rozwiązania dzielących literatów konfliktów zrobił Pan wręcz przeciwny użytek.

Z powyższych względów uważam za właściwe memu listowi do Pana nadać charakter listu otwartego.

Z poważaniem

(—) J. Grzędziński.

List z dn. 15. III. 1968

Szanowny Panie Kolego,

Zakomunikował mi Pan, że przerywa Pan nasze dalsze rozmowy podając przy tym jako motywację fakt wygłoszonego przeze mnie na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu O.W. dn. 22. II. przemówienia, którego treść Panu się nie podobała. To *mores* w naszych *tempores* jest tematem dla Juvenala: Czy Pan sądzi, że ja podzielałem kiedykolwiek Pańskie przekonania od chwili Pańskiego odwrotu od wileńskiego „Poprostu” do totalitaryzmu Pańskich późniejszych, zwłaszcza obecnych wystąpień? Ale moje rozumienie nakazów kultury każe mi rozmawiać OTWARCIE i swobodnie z ludźmi z naprzeciwka — ba, jestem głęboko przekonany, że takie rozmowy służą wyłuskaniu prawdy, bez której mamy to co widzę w dziś szerzonym zamęciu przez Pańskich przewodników, opiekunów i kolegów czy towarzyszy.

Na owym Nadzwyczajnym Zgromadzeniu przemawiał Pan i starał się Pan przekonać kolegów, że tylko w rozmowach, prowadzonych w spokoju, można dojść do rzetelnego rozwiązania konfliktów, które oddzieliły literatów od Pańskiego obozu. W tej chwili DAJE PAN DOWÓD, że Pańskie oświadczenia mają wartość polemicznego uniku i nie można im wierzyć. W chwilach spokoju od listu 34-ch poprzez memoriał Neverlego uchylaliście się od każdej rzetelnej rozmowy w kierunku odzyskania wolności myśli i słowa (zapowiadanych w zdradczonym potem Manifestie Lipcowym), a gdy, jako skutek takiej polityki macie burzę, możecie rozmawiać tylko... w czasie spokoju. Każdy chyba zrozumie, że jest to polityka strusia, albo jeśli kto woli cyganstwo.

Powiedzieć otwarcie: jedynie tylko policyjna pałka jest argumentem na rzecz waszych politycznych ideałów i rozmawiać BEZ MASKI nie jesteście zdolni.

Aby nie było nieporozumień i okazji do uprawianych po waszej stronie „małych form literackich” (Vulgus nazywa to insynuacjami) PODKREŚLAM, że restytucja moich praw do publikacji zablokowanych przez obskurantów z urzędu, moich utworów, o której zaczęliśmy mówić, jest dla mnie tylko SPRAWĄ PUBLICZNĄ a nie prywatną — kwestią zasad i norm a nie honorariów — gdybym kierował się interesem prywatnym miałbym dzisiaj więcej samochodów od Pana i inne korzyści z funduszy P.R.L., wyduszonych z klasy robotniczej.

January GRZĘDZIŃSKI

Styl to człowiek! Putrament odpowiedział... wnioskiem swej organizacji partyjnej do Zarządu Głównego Z.L.P. o wykluczenie Grzędzińskiego, Jasienicy i Kisielewskiego ze Związku Literatów.

New York, 15 maja 1968 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W swym świetnie napisanym i jakże ciekawym artykule pt. „Spotkanie z Mackiewiczem” (*Kultura* Nr 4/246) p. Z. S. Siemaszko dopuścił się pewnej nieścisłości. Rozgrzesza go okoliczność, że, jak sam pisze, zna opisywane zdarzenie jedynie z opowiadania, a jego ostatnie stadium „z widzenia”.

Chodzi o rzekomy „wywiad” z ppłk. Jerzym Dąmbrowskim* po osadzeniu Mackiewicza w Berezie i szczegóły targnięcia się Dąmbrowskiego na życie.

Z ppłk. Dąmbrowskim łączyły mnie bliskie, przyjacielskie stosunki, stąd przebieg całego zajścia znam z jego, najbardziej chyba miarodajnego opowiadania, a w początkowej fazie zdarzenia brałem bezpośredni udział.

W dniu, w którym rozeszła się po Wilnie wiadomość o wywiezieniu Mackiewicza do Berezy, w godzinach południowych spotkałem Dąmbrowskiego na Mickiewicza w pobliżu Kasyna Oficerskiego. Zatrzymał mnie i z tajemniczą miną zaprowadził do ustępu w Kasynie. Tam, upewniwszy się, że nikt nas nie słyszy, powiedział mi: „Wiem, że jestem dziś szczególnie śledzony. Napisałem o Mackiewiczu artykuł, ale sam go nie mogę zanieść do Słowa. Weź ten artykuł i zanieś go Syrewiczowi**”. A teraz rozejdźmy się w różne strony”.

Nazajutrz w *Słowie* ukazała się wzmianka (nie wywiad) tej treści, że w roku 1919 oddział mjr. Dąmbrowskiego zajął Berezę Kartuską. Jednym z żołnierzy, zajmujących Berezę, był ułan Stanisław Mackiewicz. Rok 1939. Ułan Mackiewicz znowu przyjechał do Berezy. Wzmianka podpisana była: „J. D. były d-ca”.

Ciąg dalszy znam również z opowiadania, ale samego Dąmbrowskiego. Po ukazaniu się wzmianki Inspektor Armii w Wilnie gen. Dąb-Biernacki, pomimo, że nie było wątpliwości, kto kryje się pod inicjałami J.D., były d-ca, zażądał od Syrewicza oficjalnego podania mu nazwiska autora wzmianki. Gdy Syrewicz zasłonił się tajemnicą redakcyjną, Dąb-Biernacki zagroził, iż jeśli w ciągu 24 godzin nie otrzymażądanego nazwiska, *Słowo* zostanie zamknięte. Powiadomiony o tym Dąmbrowski włożył mundur galowy, przypiął

* Dąmbrowski, nie Dąbrowski — tej pisowni używał Jerzy Dąmbrowski i jego rodzina.

** Konstanty Syrewicz, pełniący obowiązki redaktora *Słowa* po wywiezieniu Mackiewicza.

wszystkie order i udał się do willi Podzamcze, siedziby Inspektoratu Armii. Gdy wchodził na górę po schodach, spotkał schodzącego Dąb-Biernackiego. Stał na baczności i powiedział: „Panie generale. Melduję, że J.D. były dowódcą, to ja, podpułkownik Jerzy Dąmbrowski. Sądzę, że teraz Słouco nie zostanie zamknięte”. Po czym błyskawicznym ruchem wyjął rewolwer i strzelił sobie w pierś. Kula trafiła nie w przedramię, jak słyszał p. Siemaszko, ale przeszła płuca tuż obok serca. Odwiedzałem później Dąmbrowskiego w szpitalu i nie mówił mi, aby generał miał „czynnie zainterweniować” i udaremnić fatalny skutek.

Fatalny? Dziś myślę, że może i lepiej by było, gdyby kula ugodziła wówczas Dąmbrowskiego wprost w serce. Nie dożyłby ponurego września, nie widziałby wkroczenia hord bolszewickich do ułmowanego Wilna i uniknąłby okropnych męczarni, zadawanych mu aż do ostatniego tchnienia przez sowieckich zbirów.

Dąmbrowski... Ta piękna, ciekawa, nieco egzotyczna postać jednego z ostatnich naszych zagonczyków, który niepoślednią rolę odegrał w zaraniu naszej niepodległości i niejedno miasto kresowe uwolnił od bolszewików, tak i prosi się o jakąś piękną monografię. Może by który z żołnierzy Dąmbrowskiego takie wspomnienie-monografię o nim napisał. Nie ma już Stanisława Mackiewicza, nie ma Eustachego Sapiehy, ale jest ks. Walerian Meysztowicz. Chyba nikt inny, jak on, był dąmbrowszczyk, predestynowany jest do napisania takiej monografii. Czekamy.

Wyrazy prawdziwego poważania łączę,

Bohdan KAWECKI

Edmonton, Kanada.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze Nr 4/246 „Kultury” — p. B. Heydenkorn omówił wydaną książkę senatora Dr. Paul Yuzyka — „The Ukrainian in Manitoba”. W zestawieniu tych wszystkich statystyk, co do ilości procentowej Kanadyjczyków pochodzenia ukraińskiego widzimy, że faktycznie dr Paul Yuzyk robi „dobrą robotę”. — Wiele czytałem i czytam jego publikacji i sprawozdań prasowych. Nawet miałem możliwość, podczas jego pobytu w Edmontonie — spotkać się z nim i rozmawiać. Na zapytanie skąd wziął on tak potężną ilość Ukraińców, zamieszkałych na terenach Kanady, a przede wszystkim w mniejszych miejscowościach, we wioskach (na farmach), — odpowiedział po prostu, że robiąc statystykę użył do tego przeważnie książek telefonicznych, czy innych spisów ludności prywatnych firm. Dodał wszystkie nazwiska (nie sprawdzając) polskie, rosyjskie, białoruskie, czeskie, niemieckie o brzmieniu polskim i ukraińskim — razem i jako sumę otrzymał tę liczbę. Oczywiście jest faktem, że przyrost i ilość Kanadyjczyków pochodzenia ukraińskiego stanowi poważną grupę etniczną w Kanadzie. Są świetnie zorganizowani, zajmują wyższe stanowiska, na gwałt się kształcą, a najważniejszą rzeczą jest to, że są niezależni finansowo i ten właśnie dominujący czynnik przyczynia się do wzrastającej roli grupy będącej rzecznikiem obecnej „trzeciej siły”. Skoro oni wiele uczą się od Polaków, dlaczego my nie mamy się uczyć od nich, zwłaszcza gdy jest nas mniej w Kanadzie.

Z poważaniem,

Ludwik KONDRATOWICZ

Będę bardzo wdzięczna za wszelkie informacje dotyczące rosyjskiej autorki N. A. Teffi (1875-1952). Prawdziwe nazwisko Buchinska z domu Łochwicka. Piszę pracę doktorską o tej pisarce.

Elizabeth Neatrou

Slavic Department,

Indiana University, Bloomington, Indiana 47401, U.S.A.

Erie, Pa., 27 kwietnia 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie mam zwyczaju „odpowiadać na odpowiedzi” na moje skromniutki listy do redakcji, bo to wywołuje tylko niekończące się spory które mało interesują ogół czytelników.

Pan Weydenthal powołuje się na *New York Times Magazine* z 10 grudnia 1967, gdzie była podana suma 100 tys. dol. jako wynagrodzenie dla McLuhana na uniw. Fordham. O ile sobie pamiętam wysłałem do Redakcji wycinek z prasy katolickiej — przedrukowany zresztą w wielu podobnych pismach. Jeżeli ten wycinek gdzieś w tekstach redakcyjnych istnieje, to proszę go łaskawie wysłać do P. Weydenthala dla prostej informacji. W przeciwnym razie proszę o tym nie wspominać.

Leżąc w łóżku — grypa azjatycka — przewertowałem ponownie sporo numerów *Kultury* z ub. lat — odkrywając moc wiadomości służących za tło ostatnich wydarzeń w Kraju. Pokazuje się, że *Kultura* wie co w trawie piszczy. Numer marcowy znakomity. Pokłóciłbym się z Mieroszewskim (nr 1-2, str. 102 etc.), ale temat jest zbyt obszerny. Jakby to np. pięknie było, gdyby człowiek mający „pełne władztwo nad przyrodą” zapobiegł skutecznie choćby huraganom, trąbom powietrznym i tajfunom, nie mówiąc już o śniegach... *Qui nimis probat, nihil probat* mawiali nie zawsze głupi filozofowie scholastyczni... Ale trudno — co głowa to rozum!

Z wyrazami szacunku,

ks. W. SOJKA

BIBLIOTEKA „KULTURY”

TOM 148 — TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są członkowie Biura Politycznego KC PZPR

Str. 320

Cena egz. 18,50 F (dol. 4,00)

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 151 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
ALEKSANDER WEISSBERG-CYBULSKI

WIELKA CZYSTKA

Przekład Adama Ciolkosza
 Ze wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego
 Najbardziej wstrząsający dokument z okresu stalinizmu.
 Str. 576 Cena egz. 30 F (dol. 6,50)

TOM 152 — LEOPOLD TYRMAND ŻYCIE TOWARZYSKIE I UCZUCIOWE

Powieść o potędze małości w socjalizmie
 Str. 520 Cena egz. F 26 (dol. 5,50)

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK,
 263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Korespondent „Kultury” w Stanach Zjednoczonych: Leopold TYRMAND,
 State University of New York at Albany, Social Sciences,
 1400 Washington Ave., Albany, N.Y. 12203.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
 Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3^e Trimestre 1968



KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
 Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
 Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlenicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, rpp. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 28, Que., Tel.: 488-5224; B. Krasowski, 357 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel.: 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Milkicuk, 8 München 45, Gablonsenstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wesung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SIWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; I. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossietynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11829 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian A. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; J.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co. 1136 Milwaukee Ave., Chicago Ill. 60622; L. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 4419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; J. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosacrans Ave., Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel.: 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 tel.: 75-67-241	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Meul-la-Roi,
 par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-54

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 157 — LEON MITKIEWICZ

**Z GEN. SIKORSKIM
NA OBCYZŹNIE**

(Seria „Dokumenty”)

Wspomnienia jednego z bliskich współpracowników gen. Wł. Sikorskiego, które wnoszą szereg nowych — sensacyjnych nieraz — informacji i naświetleń, rzucając nowe światło na postać Generała.
Str. 400. Cena egz. F. 23 (dol. 5,00)

TOM 158 — ALICJA IWAŃSKA

ŚWIAT PRZETŁUMACZONY

Oryginalny pamiętnik znanego w St. Zjednoczonych socjologa studiów wśród Indian Mazahua (Meksyk), przeplatany wspomnieniami z Polski z Powstania Warszawskiego.
Str. 240. Cena egz. F. 15 (dol. 3,50)

TOM 159 — PIOTR GUZY

STAN WYJĄTKOWY

Nowa powieść autora *Krótkiego żywota bohatera pozytywnego* jest fragmentem wielkiego fresku życia rodziny podczas okupacji niemieckiej i pod rządami PZPR.
Str. 144. Cena egz. F. 12 (dol. 2,50)

TOM 160 — JULIAN KULSKI

STEFAN STARZYŃSKI

w mojej pamięci
(Seria „Dokumenty”)

Wspomnienia najbliższego współpracownika i przyjaciela bohaterskiego Prezydenta m. Warszawy.
Str. 144. Cena egz. F. 12 (dol. 2,50)

Cena 7,50 F